

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI
PRYMAS POLSKI

ZAPISKI WIĘZIENNE

Komańcza, 1956 rok.

Wydawnictwo im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego
„Soli Deo”

APOS|oLICUM

Warszawa - Zabki 2001

Opracowanie redakcyjne:
Instytut Prymasowski Stefana Kardynała Wyszyńskiego
Wydawnictwo Editions da Dialogue

Projekt okładki:
Anna Pankiewicz

Wydanie piąte

ISBN 83-901856-9-5

ISBN 8.3-7031-257-8

© Copyright 1982 by Editions du Dialogue; 25, rue Surcouf, 75007 Paris

© Copyright by Instytut Prymasowski Stefana Kardynała Wyszyńskiego
Warszawa 1995

APOSTOLICUM

Wydawnictwo Księży Pallotynów Prowincji Chrystusa Króla
ul. Wilecza 8,05-091 Zabki
tel. (0-22) 781-74-64,65; fax (0-22) 781-73-89
e-mail: info@apostolicum.pl; apostol@peryt.net
księgarnia internetowa: www.apostolicum.pl

Instytut Prymasowski Stefana Kardynała Wyszyńskiego, jako prawny spadkobierca praw autorskich kardynała Stefana Wyszyńskiego, dziękuje Wydawnictwu SEI Pallottinum w Paryżu za pierwszą edycję „Zapisków więziennych”.

Przypominamy jednocześnie, że prawa drukowania i powielania „Zapisków więziennych” zastrzeżone są wyłącznie dla tych dwu instytucji.

KALENDARIUM WIĘZIENNE

- 25 września 1953* W późnych godzinach nocnych został aresztowany i uwięziony Stefan kardynał Wyszyński, Prymas Polski, arcybiskup metropolita gnieźnieński i warszawski.
- 26 września 1953* Kardynała Wyszyńskiego przywieziono w nocy samochodem do pierwszego miejsca uwięzienia - do Rywałdu.
- 12 października 1953* Wieczorem przewieziono Prymasa Polski do nowego miejsca uwięzienia - do Stoczka koło Lidzbarka Warmińskiego.
- 8 grudnia 1953* Uwięziony Prymas dokonuje aktu duchowego oddania się Matce Bożej i pełnego zawierzenia Jej swego losu. W akcie tym była zgoda na każdy los wyznaczony przez Boga.
- 2 lipca 1954* Prymas Polski w poczuciu odpowiedzialności za Kościół kieruje z miejsca uwięzienia w Stoczku memoriał do rządu, rekapitulujący wszystkie wysiłki Episkopatu dla osiągnięcia porozumienia z rządem.
- 6 sierpnia 1954* Znakiem zmniejszającej się izolacji jest częściowe udostępnienie Kardynałowi prasy.
- 6 października 1954* Prymas Polski zostaje przewieziony samolotem do trzeciego miejsca uwięzienia w Prudniku Śląskim. Ponownie zwraca się listownie do rządu, m.in. w czasie choroby swego ojca, ale listy te pozostają bez odpowiedzi. Prymas postanawia nie kierować więcej żadnych pism do władz.
- koniec 1954* Władze dopuszczają do badań klinicznych w szpitalu MBP zapadającego na zdrowiu Kardynała.
- 7 sierpnia 1955* Kardynał Wyszyński odrzuca propozycję władz zamieszkania w izolacji klasztornej za cenę zrzeczenia się swych funkcji kościelnych.
- 27 października 1955* Rząd wydaje zarządzenie, mocą którego Ksiądz Prymas zostaje przeniesiony do czwartego miejsca uwięzienia w Komańczy, co oznacza złagodzenie warunków izolacji, ale władze

- podtrzymują decyzję z 24 września 1953 zakazującą kardynałowi Wyszyńskiemu pełnienia jego funkcji kościelnych.
- 2 listopada 1955* Pierwsze odwiedziny u Prymasa Polski biskupów Klepacza i Choromańskiego, w czasie których kardynał Wyszyński dowiaduje się o wszystkim, co nastąpiło po jego aresztowaniu.
- 16 maja 1956* Ksiądz Prymas pisze w Komańczy tekst Ślubów Jasnogórskich, będących programem moralnego przygotowania narodu do Milenium Chrztu Polski.
- sierpień 1956* Nadal uwięziony w Komańczy Prymas Polski opracowuje koncepcję Wielkiej Nowenny Tysiąclecia, będącej następnym po Ślubach Jasnogórskich elementem przygotowań do Tysiąclecia Chrztu Polski.
- 26 sierpnia 1956* Pełniący obowiązki przewodniczącego Konferencji Episkopatu biskup Klepacz składa w Częstochowie zredagowane przez Prymasa Polski Jasnogórskie Śluby Narodu.
- 28 października 1956* Po uprzednim przyrzeczeniu przez przedstawicieli rządu przywrócenia Kościołowi głównych praw i naprawienia krzywd Prymas Polski wraca na prośbę władz do Warszawy i obejmuje wszystkie swoje funkcje kościelne.

ARESZTOWANIE

25. IX. 1953, piątek

WARSZAWA. Dziś uroczystość Patrona Stolicy, błogosławionego Władysława z Gielniowa. Rano o godzinie 7 jestem w kaplicy Seminarium Metropolitalnego, wśród alumnów, którzy rozpoczynają oficjalnie rok swojej pracy. Odprawiam Mszę świętą i wygłaszam konferencję od ołtarza. Mówię o wychowawczej wartości prawdy w życiu. Po śniadaniu, w gronie księży profesorów, udaliśmy się na akademię inauguracyjną. Przemawiał biskup rektor Pawłowski. Przemówienie moje zakończyło to zebranie. Drugie zebranie - delegatów Referatu Powołań Kapłańskich - obradowało zaraz po inauguracji. Wysłuchaniem sprawozdania rocznego z prac, wskazałem główne kierunki pracy w najbliższym roku i pożegnałem obecnych, by wcześniej wrócić do domu.

Po obiedzie pracowałem dwie godziny nad wieczornym kazaniem ku czci błogosławionego Władysława, Patrona Stolicy. Ogromnie odczuwa się brak odpowiednich materiałów historycznych z życia Błogosławionego. Myślą przewodnią kazania była „prawda wewnętrzna człowieka Bożego”. Chciałem rozprawić się z religijnością reprezentacyjną, pokazową, która wyrządza tak wielką krzywdę chwale Bożej, dobru bliźnich i dobru dusz. Skromny zakonnik, którego życie tak mało było znane, jako Patron Stolicy wydaje się być kimś bardzo mało pociągającym dla ruchliwych i swobodnych warszawian (Święty i Syrena). A jednak życie Błogosławionego jest bardziej realne niż Syrena. Życie bierze górę nad legendą. Bo w życiu jest prawda. Po tej linii poszły moje rozważania i te myśli zostały wypowiedziane w kazaniu u Świętej Anny. Stawiła się wielka rzesza; nigdy bodaj kościół nie był tak wypełniony. Nigdy też nie było tak gorąco u Świętej Anny jak dziś. Ale warszawianie umieją słuchać. Cisza panowała wzorowa. Po Mszy świętej udzieliłem błogosławieństwa relikwiami błogosławionego patrona.

Przy schodach wiodących do mieszkania rektorskiego zatrzymała mnie gromada akademików i „niewiast ewangelicznych”. Prosiłem o modlitwę: „Mówcie różaniec. Znacnie obraz Michała Anioła *Sąd Ostateczny* Anioł Boży wyciąga człowieka z przepaści na różańcu. Mówcie za mnie różaniec”. Tymi słowami pożegnałem dzielną gromadkę.

Tym razem dłużej pozostałem w gronie kapłanów, którzy zebraли się na górze u księdza rektora Kamińskiego na skromnej wieczerzy. Dopiero o godzinie 21.30 wyszedłem z bramy kościoła. Przy samochodzie czekała jeszcze spora gromada ludzi. Ktoś zaczął krzyżeć, ktoś inny uspokajał - ostrzegając przed prowokacją. Ponieważ wiele już razy prosiłem wiernych, by nie wznosili okrzyków, oceniono to jako obawę przed prowokacją. Ludzie pamiętają jeszcze smutną przygodę księdza doktora Padacza po podobnych okrzykach.

Wkrótce byliśmy na Miodowej. Wydałem dyspozycje panu Antoniemu na jutro. W sieni domu nikogo nie zastałem. Poszedłem na górę i zaraz udałem się na spoczynek.

Bojąc w pół godziny później usłyszałem kroki skierowane do mego mieszkania. Przyszedł ksiądz Goździewicz. Melduje, że jacyś panowie przyszli z listem od ministra Bida do biskupa Baraniaka i proszą o otwarcie bramy. Wyraziłem zdziwienie: „O tej porze? Zresztą - dodałem - proszę im powiedzieć, że wszelkie listy od ministra Bida są przekazywane do sekretarza Episkopatu, biskupa Choromańskiego. Dziwi mnie ta wizyta, bo minister Bida dobrze wie, do kogo należy kierować listy”. Tknięty przecuciem, wstałem i ubrałem się.

Istotnie, w bramie stało kilka osób i mocno szturmowało klamkę. Wrócił ksiądz Goździewicz, który moją informację dla spóźnionej delegacji przekazał panu Cabankowi.

Już dobrze wiedziałem, kto nas odwiedza. Zszedłem na dół i kazałem otworzyć bramę. Właśnie w tej chwili wszedł biskup Baraniak, prowadzony z ogrodu przez grupę ludzi, którzy tłumnie weszli do Sali Papieży. „Ci panowie - mówi biskup - chcieli strzelać”. „Szkoda - odpowiedziałem - wiedzielibyśmy, że to napad, a tak to nie wiemy, co sądzić o tym nocnym najściu”. Jeden z panów wyjaśnia, że przychodzą w sprawie urzędowej i że dziwią się, iż nikt bramy nie otwiera. Odpowiadam: „Godziny urzędowe u nas są za dnia, a wtedy i bramy, i drzwi są otwarte. Teraz nikt u nas nie urządzuje”. „Ale państwo ma prawo - odpowiada ów pan - zwrócić się do obywateli, kiedy chce”. Wyjaśniam, że i państwo ma obowiązek być przyzwoite wobec obywateli, zwłaszcza wobec takich, o których wiadomo, że są zawsze dostępni.

Wyszedłem na dziedziniec, by odszukać pana Cabanka, gdyż nikogo z księży przy mnie nie było. Ale nasz „Baca” rzucił się na jednego z panów, który szedł za mną, i skaleczył go. Wobec tego wróciłem do przedsionka, by zaopatrzyć rannego. Siostra Maksencja przyniosła jodynę. Zapewniłem rannego, że pies jest zdrowy. Sprawdzono biskupa Baraniaka; weszli trzej panowie z bramy frontowej i wszyscy udaliśmy się do Sali Papieży. Jeden z przybyłych wystąpił oficjalnie z wymówką, że Władzy państwowej nie otwiera się drzwi. Wyjaśniłem, że dotąd jeszcze nie wiem, czy mam przed sobą przedstawicieli władzy, czy napad. Żyjemy tu na pustkowiu, wśród ruin i

gruzów, i dlatego w nocy nikogo nie wpuszczamy. Tym bardziej, że ci panowie „w bramie” zaczęli od kłamstwa.

Wreszcie wszystko się wyjaśniło. Jeden z panów zdjął palto, wyjął z teki list i otworzywszy - podał papier, zawierający decyzję Rządu z dnia wczorajszego. Mocą tej decyzji mam natychmiast być usunięty z miasta. Nie wolno mi będzie sprawować żadnych czynności związanych z zajmowanymi dotąd stanowiskami. Prosił, bym to przyjął do wiadomości i podpisał. Oświadczyłem, że do wiadomości tego przyjąć nie mogę, gdyż w decyzji nie widzę podstaw prawnych; nie mogę też poddać się decyzji z uwagi na sposób załatwiania sprawy. Przedstawiciele Rządu tyle razy prowadzili ze mną rozmowy - i pan Mazur, i pan prezydent Bierut. Jeśli są niezadowoleni z mojego postępowania, znali drogę, na jakiej mogli mi to powiedzieć. Decyzja Rządu jest wysoce szkodliwa dla opinii o Polsce, gdyż ściągnie na nią ataki propagandy zagranicznej. Decyzji tej nie mogę się poddać i dobrowolnie tego domu nie opuszczę. Urzędnik prosił, by podpisać list, że go czytałem. Na karcie dolnej listu napisałem wręczonym mi piórem: „Czytałem” i umieściłem swoje inicjały.

Udałem się na górę, ze mną kilku panów. Dom był pełen ludzi i na dole, i przed kaplicą. W prywatnym mieszkaniu polecono mi zabrać to, co mi jest potrzebne. Oświadczyłem, że nic zabierać nie mam zamiaru. Jeden z urzędników zaczął tłumaczyć, że życie ma swoje wymagania. Odpowiadam, że tym wymaganiom każdy obywatel czyni zadość w swoim domu. Na próby perswazji ponawiam protest raz jeszcze przeciwko nocnemu najściu na mój dom. Urzędnik nalega, bym przystąpił do zbierania swoich rzeczy. Przychodzi siostra Maksencja, która przyłącza się do tych nalegań. Odpowiadam: „Siostrzo, nic nie zabieram. Ubogi przyszedłem do tego domu i ubogi stąd wyjdę. Siostra składała ślub ubóstwa i wie, co on znaczy”. Panowie zaczynają się denerwować. Jeden z nich zabiera walizy i udaje się do sypialni.

Przyprowadzono biskupa Baraniaka. Pytają mnie: „Kto tu jest gospodarzem?” Odpowiadam: „Nie wiem, kogo zabieracie. Gospodarzem podczas mej nieobecności jest zawsze biskup Baraniak”. Składam księdzu biskupowi oświadczenie, że to, czego jestem świadkiem, uważam za gwałt. Proszę, by nikt nie podejmował mojej obrony. W razie procesu, nie chcę adwokatów. Bronić się będę sam. Biskup Baraniak odchodzi. Pozostają dłuższy czas w pracowni; porządkują książki. Wreszcie jeden z panów proponuje, byśmy przeszli do gabinetu przyjąć. Przechodzimy na drugą stronę domu. Tutaj zdołałem pozbiierać nieco papierów i złożyć do szafy. Zauważyłem kilka nowych papierów, gotowych do podpisania; zaopatrzyłem je w podpisy i złożyłem na zwykłym miejscu. Od tej chwili nie widziałem już nikogo z domowników. Nie widziałem ani księdza Goździewicza, ani księdza Padacza. Przyniesiono mi palto i kapelusz. Wziąłem brewiarz i różaniec. Proponują mi przejście do prywatnego mieszkania. Wracam do pracowni. Pytają mnie, czy

wszystko zabrałem. Raz jeszcze protestuję przeciwko gwałtowi, niczego nie zabieram, mam brewiarz i różaniec. Wychodzimy na korytarz. Chcę wstąpić do kaplicy. Przedstawiciel Władzy stawia warunek: „0 ile ksiądz Prymas nie będzie stawiał oporu, bo i po cóż mamy się szarpać”. - Nie przyjmuję tego warunku. Wstąpiłem na chwilę do kaplicy, by spojrzeć na tabernakulum i na moją Matkę Bożą - w witrażu. Zeszliśmy na dół. Z progu raz jeszcze spojrzałem na obraz Matki Bożej Jasnogórskiej, wiszący nad wejściem do Sali Papieskiej, raz jeszcze złożyłem protest i wyszedłem do samochodu. Wsiadło 3 panów. Nie wiem dokładnie, która mogła być godzina, gdy opuszczaliśmy bramę ulicy Miodowej. W każdym razie - na pewno po godzinie 24.00.

Samochód skierowano w ulicę Długa; otoczyło nas 6 innych. Cała ekipa ruszyła koło pałacu Mostowskich na linię W-Z, przez most Śląsko-Dąbrowski i Zygmuntofską ku Jabłonnie. Droga prowadziła na Nowy Dwór, Dobrzyń nad Drwęcą, do Grudziądza. Po drodze nie mogłem odczytać żadnych drogowskazów. Widniało, gdy zatrzymaliśmy się na północnym przedmieściu Grudziądza. Po krótkim postoju zawróciliśmy w kierunku Jabłonowa. Ludzie dążyli do pracy. Przyjechaliśmy z powrotem do Rywałdu. Było to miejsce mojego przeznaczenia. Wjechaliśmy w puste podwórze gospodarcze klasztoru Ojców Kapucynów. Dość długo czekałem w wozie, zanim „pan w ceracie” zaprosił mnie do wnętrza brzydkiego budynku. Wprowadzono mnie do pokoju na pierwszym piętrze. Oświadczone mi, że to jest miejsce mego pobytu, że nie należy wyglądać oknem. Nadto dowiedziałem się, że za kilka dni będzie przeprowadzona ze mną rozmowa na temat mej obecnej sytuacji. Mój konwojent usłyszał raz jeszcze dokładnie sprecyzowane moje stanowisko wobec faktu dokonanego.

Protestuję na jego ręce przeciwko gwałtowi, przeciwko sposobom postępowania z obywatelem, którego państwo mogło osiągnąć w inny sposób, zgodny z Konstytucją. Protestuję przeciwko uniemożliwieniu mi sprawowania rządów nad diecezjami gnieźnieńską i warszawską. Protestuję przeciwko pogwałceniu jurysdykcji Stolicy świętej, którą wykonywałem na mocy uprawnień specjalnych. Oświadczam, że czyn dokonany przez Rząd jest bardzo szkodliwy dla Rządu, gdyż spowoduje ataki radia i prasy zagranicznej. Protestuję przeciwko zakazowi spoglądania przez okno.

Rozejrzałem się w swoim pokoju, który nosi ślady niedawnego zamieszkania przez któregoś z Ojców Kapucynów.

Zostałem sam. Na ścianie, nad łóżkiem, wisi obraz z podpisem: „Matko Boża Rywałdzka, pociesz strapiionych”. To był pierwszy głos przyjazny, który wywołał wielką radość. Przecież stało się to, czym tyle razy mi grożono: *pro nomine Jesu contumelias pati*. Lękałem się, że już nie będę miał udziału w tym zaszczycie, którego doznali wszyscy moi

koledzy z ławy seminaryjnej. Wszyscy oni przeszli przez obozy koncentracyjne i więzienia. Większość z nich oddała tam swe życie; kilku wróciło w stanie inwalidztwa, jeden umarł po odbyciu więzienia polskiego. W ten sposób wypełniła się w części zapowiedź, którą w roku 1920 na wiosnę dał nam profesor liturgiki i dyrektor Seminarium Niższego we Włocławku, ksiądz Antoni Bogdański. Niezapomniany ten człowiek podczas pewnego wykładu liturgii powiedział: „Przyjdzie czas, gdy przejście przez takie udręki, o jakich człowiek naszego wieku nawet myśleć nie umie. Wielu kapłanom wbić będą gwoździe w tonsury, wielu z nich przejdzie przez więzienie”... Niewielu z moich kolegów zapamiętało te słowa. Zapadły mi one głęboko w duszę. Gdy w roku 1939 odwiedzałem księdza Bogdańskiego w Skulsku na łożu śmierci, pamiętałem o nich. Kazał mi wtedy gotować się do ciężkiej i odpowiedzialnej drogi, która w życiu kapłańskim mnie czeka. Oczy tego płonącego człowieka patrzyły z głębi zapaści niezwykłym światłem. Na pierwszym zjeździe koleżeńskim, po wojnie, przypominałem kolegom te słowa; ci, co pozostali, nie robili wrażenia, by je zapamiętali.

Kolegom moim należy się tu choćby krótkie wspomnienie. Otrzymałem święcenia kapłańskie z rąk biskupa Stanisława Zdzitowieckiego, w Bazylice Katedralnej Włocławskiej 29.VI. 1924 roku. Było nas razem 17, chociaż nie wszyscy stanęli w tym dniu do święceń, jako że 2 już było na studiach w Lille, a ja znalazłem się w szpitalu, chory od tygodnia na płuca. Z tej gromadki zginęli w Dachau: ksiądz Stanisław Michniewski, ksiądz Julian Konieczny, ksiądz Jan Mikusiński, ksiądz Jan Fijałkowski, ksiądz Zygmunt Lankiewicz, ksiądz Bronisław Placek, ksiądz Stanisław Ogłaza.

Wrócili z obozu koncentracyjnego: ksiądz Józef Dunaj, nasz dziekan kursowy, ksiądz Stefan Kołodziejki, ksiądz Wojciech Wolski, ksiądz Marian Sawicki, ksiądz Antoni Kardynski, ksiądz Antoni Samulski. Uniknąłem obozu tylko ja, dzięki temu, że na polecenie biskupa Michała Kozala opuściłem Włocławek na kilka dni przed drugim aresztowaniem duchowieństwa. Jeszcze przed wojną zmarł nasz kolega, ksiądz Konstanty Janie, na gruźlicę. Koledzy, którzy wrócili z obozu, są niemal inwalidami. Ksiądz Kardynski był „królikiem doświadczalnym” i ciężko chorował na zaszczepioną flegmonę. Ksiądz Antoni Samulski dostał się do więzienia polskiego jako dyrektor „Caritas” diecezji wrocławskiej i wyszedł zeń z tak złamanym zdrowiem, że nie udało się go uratować.

Takie są dzieje jednego tylko kursu kapłanów polskich w wieku XX. Mój brat Tadeusz odsiedział obozy i więzienia: sowieckie, niemieckie i polskie. Większość księży i biskupów, z którymi pracowałem, przeszła przez więzienia. Byłoby coś niedojrzałego w tym, gdybym ja nie zasnął więzienia. Dzieje się więc coś bardzo właściwego; nie mogą mieć żalu do nikogo. Chrystus nazwał Judasza „przyjacie-

lem". Nie mogę mieć zału do tych panów, którzy mnie otaczają i byli dla mnie dość grzeczni. Oni mi przecież pomagają do dzieła, którego nieuchronność od dawna była oczywista dla wszystkich. Muszę doceniać to, co mnie od tych ludzi spotyka.

RYWAŁD k. LIDZBARKA

26. IX. 1953, sobota

Mogę powiedzieć, że przyjechałem tu wprost z ambony od Świętej Anny, pod znakiem Patrona Stolicy, błogosławionego Władysława.

A dziś sobota. Dzień, w którym zwykłem odprawiać Mszę świętą ku uczczeniu Matki Bożej Jasnogórskiej. Dziś po raz pierwszy od tylu lat Matka Boża nie otrzyma swej sobotniej Mszy świętej.

Wzrok mój zatrzymał się na biurku. Stoi tu Chrystus Miłosierny z podpisem: „Jezu, ufam Tobie” - fotografia znanego obrazu. Uznaję to za drugą łaskę dnia dzisiejszego. Oddaję się w opiekę Temu, za którego sprawę tu się znalazłem. Na biurku stoi jeszcze obrazek świętego Franciszka z Asyżu, słuchającego muzyki anielskiej, i obraz roześmianego „muzyka” w koszuli. To wszystko.

Dostaję posiłek, odmawiam brewiarz, porządkuję pokój. Pokój, do którego byłem wprowadzony, robi wrażenie mieszkania świeżo i pospiesznie opuszczonego. Łóżko nie jest zaścielone, pozostawione osobiste rzeczy przez zakonnika, który tu mieszkał. Wśród tych rzeczy - walizka na wpół otwarta, z której wygląda najnowszy zeszyt pisma *Kuźnica Kapłańska*, z zaadresowaną imiennie obwolutą. Wszystkie meble są w stanie ruiny: biurko „trzyma się ściany”, podobnie szafka nocna, miednica z niewylaną wodą, w szafie osobista bielizna i ubranie. Na podłodze sterta książek przykrytych papierem. Podłoga brudna, po kątach pełno „kotów”. Wygląd typowej celi zakonnej, gdzie gospodarzy człowiek zajęty ważniejszymi sprawami. Z pokoju wychodzą dwa okna na podwórze gospodarcze, na którym kręcą się kury, kaczki i indyki. Obora na pół uchylona, z krowami. Zresztą pusto, nie ma żywej duszy. Na korytarzu kręcą się młodzi ludzie w ubraniach cywilnych.

Wieczorem przyniesiono mi walizkę z osobistymi rzeczami, które zabrano z własnej inicjatywy z Miodowej, i pościel; było w niej nieco bielizny i trochę drobiazgów toaletowych.

27. IX. 1953, niedziela

Odprawiam *missam siccam* w swym pokoju. Pana „w ceracie” pytam, czy będę mógł pójść do kościoła, by odprawić Mszę świętą, do czego jestem obowiązany jako ordynariusz diecezji. Oświadczono mi, że jest to niemożliwe. Dziś miałem wizytować parafię Świętego Krzyża w Warszawie. Niepokoję się tym, czy który z księży biskupów zastąpił mnie. To jest prawdziwy „święty Krzyż”. Dotychczas nigdy nie zawiodłem terminu wyznaczonego. Szkoda mi Księży Misjonarzy, którzy tak starannie przygotowywali się do tej wizytacji.

Cały dzień spędzam w „swoim” pokoju. Napłynęły myśli, które napłynąć musiały. Trzeba je spokojnie przyjąć i rzetelnie ocenić.

Czy to, co się stało, było nieuniknione, czy nie jest zawinione i czy nie jest ze szkodą dla Kościoła?

Przechodzę myślą całe 5 lat mej pracy na stanowisku Prymasa Polski i kierownika spraw kościelnych. Naprzód jedno *a priori*. Od początku byłem przygotowywany przez wszystkich na ofiarę sytuacji. Gdy wchodziłem do pierwszego kościoła parafialnego swej archidiecezji w drodze na ingres do Gniezna, w Toruniu, na Podgórzu, otrzymałem od parafian obraz przedstawiający Chrystusa Pana ze związanymi dłońmi, trzymanego za ramię przez żołnierza. Obraz ten umieściłem w Gnieźnie, w swej pracowni. Obraz ten stał się symbolem, chociaż nie był moim „programem”. We wszystkich niemal przemówieniach ingresowych, którymi byłem witany, ten symbol się przebijał. Niemal wszyscy płakali nade mną od początku. Ojciec był wyraźnie pod wrażeniem przyszłych moich losów. Podobnie moje siostry. Wśród moich domowników ta pewność rychłego aresztowania mnie była tak powszechna, że szofer oglądał się nawet za nową posadą. Pewnego dnia zgłosił się do mnie jeden z młodych kapłanów i oświadczył, że przychodzi dlatego, iż Ojciec Kornilowicz przed swoją śmiercią kazał mu to zrobić. Opowiadał Ojca sen, który miał w okresie mojej konsekracji. Sen ten zapowiadał mi los podobny do losu biskupa krakowskiego. Tylko obawa przed moją reakcją powstrzymywała go od tego, że dotychczas nie wypełnił polecenia Ojca. Ale dziś (był to rok 1949) jest zdania, że dłużej nie może prawdy ukrywać. Wysłuchałem spokojnie relacji o śnie, podziękowałem, uspokoiłem go, że jestem na wszystko przygotowany - i rozstaliśmy się.

W gronie Episkopatu też utrzymywała się opinia, że skończę w więzieniu. Jeden z księży biskupów podarował mi dzieło księdza Klimkiewicza o kardynale Ledóchowskim, mówiąc: „Warto tę książkę przeczytać, bo może się przydać”. Niektórzy księża biskupi oczekiwali „katastrofy” w każdej chwili.

Stolica święta też liczyła się poważnie z tą ewentualnością, i to raczej prędzej niż później. Mogłem to wyczytać w każdym dokumencie, określającym moje uprawnienia specjalne.

Wielu księży było tak bardzo przekonanych o nieodzowności takiego końca, że domagali się szybkiego załatwienia swoich spraw albo potwierdzenia na piśmie decyzji ustnych, motywując prośbę wyraźnie tym, że może mnie wkrótce zabraknąć. Z taką postawą spotykałem się bardzo często na wszystkich szczeblach hierarchii kościelnej.

Spółeczeństwo niemal „oczekiwało” tego momentu. Niektórzy byli wyraźnie zawiedzeni, że Jeszcze nie”. Ileż to pogłosek na ten temat powtarzano niemal z dokładnością periodyczną. Kto je puszczał i w jakim celu, nie wiem. Nieraz wchodząc do któregoś z kościołów spotykałem się z gromadą płaczących ludzi.

W takiej atmosferze predestynacji powszechnej na więzienie - miałem pracować. Czy poddałem się jej? Subiektywnie byłem gotów na wszystko. Obiektywnie jednak postanowiłem pracować, tak by ta ostateczność, jeśli ma przyjść, przysła jak najpóźniej.

Nieraz z kół rządowych zarzucano mi, że „chcę” zostać męczennikiem. Byłem daleki od tej myśli, chociaż tej możliwości nie wykluczałem. Od początku swej pracy stałem jednak na stanowisku, że Kościół polski zbyt wiele oddał już krwi w niemieckich obozach koncentracyjnych, by mógł nierozważnie szafować krwią pozostałych kapłanów. Męczeństwo jest, niewątpliwie, wysoce zaszczytne, ale Bóg prowadzi Kościół nie tylko drogą nadzwyczajną - męczeństwa, ale i zwyczajną - pracy apostołskiej. Owszem, byłem zdania, że dziś nam potrzeba innego rodzaju męczeństwa - męczeństwa pracy, a nie krwi. Jak bardzo jestem przekonany o tym do dziś, to dowód, że powtarzałem to duchowieństwu przy łada sposobności. Zasadę swoją, jako myśl przewodnią kierowania Kościołem w Polsce, wyłożyłem również Ojcu świętemu i mons. Tardini w Rzymie.

Do Warszawy przybyłem z zarysem programu; nie był to program do końca wyraźny. Nie byłem jednak daleki od rozpoczęcia pracy od wizyty u Prezydenta Rzeczypospolitej. Sposób, w jaki potraktowano mnie zaraz w początkach - szykany czynione przez policję w czasie ingresu do Gniezna, zachowanie się prasy itp. - doradzały mi zająć postawę wyczekującą.

Niemniej od pierwszych zaraz tygodni zacząłem oswajać księży biskupów z zarysem swego programu. Pragnąłem doprowadzić za wszelką cenę do stworzenia stałego ciała porozumiewawczego między Episkopatem a Rządem, które później powstało w postaci Komisji Mieszanej. Odtąd Komisja Mieszana jest zjawiskiem stałym w mej pracy. Odbywa ona dość często zebrania. Przed każdym zebraniem członkowie-biskupi odbywają naradę u mnie; na Komisji występują ze sprawami uprzednio uzgodnionymi. Po zebraniu Komisji Mieszanej odbywa się konferencja sprawozdawcza, z której sporządza się „pod dyktando” protokół. Powstała w ten sposób ogromna teka zapisanych protokółów, jako obfity materiał dla historyka.

Z czasem Komisja Mieszana przybrała charakter specjalny i zajęła się tekstem „Porozumienia”. Pracujemy nad nim systematycznie od lipca 1949, a więc już w kilka miesięcy po objęciu przeze mnie kierownictwa spraw kościelnych.

Nie zrażamy się niczym, nawet tym, że Rząd, jakby nie licząc się ze zdaniem swoich przedstawicieli w Komisji Mieszanej, cały szereg spraw załatwia poza wiadomością Komisji, która jest po prostu zaskakiwana faktami. Protestujemy, ale zaczętej pracy nie zrywamy. Kosja biskupia miała ogólne wskazanie: my nie przestajemy mówić z wami. Natomiast bardzo często tak było, że przewodniczący Komisji Mieszanej, pan Mazur, nie zwoływał Komisji Mieszanej całe miesiące i nie było sposobów nawiązania kontaktu.

Dziś, gdy zostałem postawiony wobec wyraźnych zarzutów działania na szkodę „Porozumienia”, muszę stwierdzić, że - ujmując sprawę od strony Episkopatu - do „Porozumienia” prawdopodobnie by nie doszło, gdyby nie moja postawa. Nawet biskup Klepacz, najbardziej konsekwentny zwolennik tej linii, niekiedy od niej odchodził. Tak było w ostatniej chwili, w Krakowie, na kilka tygodni przed podpisaniem „Porozumienia”. Jeśli więc kiedyś Episkopat będzie oskarżany o „Porozumienie”, to prawda wymaga, by wiadano, że sprawcą „Porozumienia” od strony Episkopatu jestem ja.

Dlaczego prowadziłem do „Porozumienia”? Byłem od początku i jestem nadal tego zdania, że Polska, a z nią i Kościół święty, zbyt wiele utraciła krwi w czasie okupacji hitlerowskiej, by mogła sobie obecnie pozwolić na dalszy jej wpływ. Trzeba za każdą możliwą cenę zatrzymać ten proces duchowego wykrwawiania się, by można było wrócić do normalnego życia, niezbędnego do rozwoju Narodu i Kościoła, do życia zwyczajnego, o które tak w Polsce ciągle trudno. Kościół polski, po 150 latach niewoli i wegetacji, miał zaledwie kilkanaście lat wolności. Okupacja hitlerowska była strasznym ciosem dla zaledwie rozpoczętej pracy. Byliśmy w takim okresie odrabiania zaległości, że zdołaliśmy zaledwie przygotować siły do pracy. Seminarium otrzymały młodych profesorów, wydziały teologiczne zdołały zaledwie skompletować siły naukowe, redakcje pism katolickich zdołały wyszkolić personel fachowy, wydawnictwa katolickie zdołały zaledwie stworzyć aparat techniczny. Zaledwie odbudowano i odnowiono świątynie, rozpoczęto tworzyć nowe parafie, wznosić gmachy dla szkół katolickich. Duchowieństwo, choć podniosło swój poziom pracy w sposób widoczny, pracowało jeszcze starymi lub zapożyczonymi wzorami. Jeszcze nie została wypracowana polska teologia pastoralna. Na każdym odcinku byliśmy bardzo młodzi. W takim okresie przygotowywania się do skoku twórczego zastała nas wojna. Przygotowane siły zostały zniszczone, seminarium przerwały swą pracę, święceń kapłańskich w wielu diecezjach nie udzielano. Natomiast z obozów koncentracyjnych i więzień nadchodziły co dzień hiobowe

wieści o wyniszczaniu duchowieństwa. Z wojny wyszliśmy tak okaleczeni, że ledwie zdolni do życia. Byłoby rzeczą nierozważną nie liczyć się z tą sytuacją. Nie mogliśmy też oglądać się na wzory obce, bo żaden naród - ani Czechy, ani Węgry, ani nawet Niemcy katolickie - nie był tak wyniszczony, jak polskie duchowieństwo. Zapewne, Bóg ma zawsze prawo wymagać od nas każdej ofiary; duchowieństwo polskie dało już dowód, że zdolne jest odpowiedzieć nowym wymaganiom Bożym i ofiar nie odmówi. Wielu z tych kapłanów, którzy ocalili z obozów hitlerowskich, znalazło się znowu w więzieniach. Do kół kierowniczych Episkopatu należało tak prowadzić sprawę Kościoła „w polskiej rzeczywistości”, by oszczędzić mu nowych strat. Tym więcej, że możemy się spodziewać, że to są *initia dolorum*, że cały rozwój przemian społecznych może doprowadzić do konfliktu: chrześcijaństwo - bezbożnictwo. By jednak ten konflikt nie zastał nas nie przygotowanych, trzeba zyskać czas, aby wzmocnić siły do obrony Bożych pozycji.

Tak wyglądała rzeczywistość od strony Kościoła; od strony Rządu PRL wyglądała to tak, że ten Rząd, dla powodów zaledwie domyślnych, chciał „Porozumienia”. Zapewne, o wiele łatwiej by to przyszło, gdyby nie zrywał był Konkordatu. Ale po tym chwycie demagogii partyjnej musiały przyjść jakieś względy, może strategiczno-taktyczne, które doradzały wyjście ku „Porozumieniu”. Mogliśmy nie ufać; Rząd dotychczasowymi wyczynami wobec Kościoła upoważniał do tej nieufności. To pogarszało sytuację „Porozumienia”, gdyż nieufność duchowieństwa i społeczeństwa katolickiego szły w parze. Doświadczenie jednak pouczało, że Kościół nigdy nie mówił „nie” tam, gdzie można było dojść do pokoju i zgody. Wszak po najcięższych prześladowaniach we Francji, w Niemczech bismarckowskich, w Meksyku, w Hiszpanii - dochodziło do zawieszenia broni. Dzieje konkordatów są bardzo bogate we wzory i ukazują wiele możliwości.

W czasie nieustannych debat nad możliwością doprowadzenia do jakiejś ugody, stale pamiętałem, że nie jest to ugoda między Państwem a Kościołem, bp do zawarcia takiej ugody Episkopat nie był kompetentny. Tak zwane *causae maiores* są zastrzeżone Stolicy świętej. Ale tu nie szło ani o konkordat, ani o porozumienie (*iaccordó*); nazwa ta wypłynęła w ostatniej chwili. Szło tylko o *modus vivendi* między Episkopatem a Rządem. Wydało mi się, że ułożenie kilku punktów tego *modus vivendi* jest możliwe i niezbędne, jeśli Kościół nie ma stanąć w obliczu nowego - może przyspieszonego i drastycznego w formach - wyniszczenia.

A więc „Porozumienie” miałoby spełniać rolę zderzaka, łagodzącego narastający konflikt? I tak, i nie! Tu już wchodzi w grę cały sposób rozumowania, który wyrasta z formacji duchowej człowieka biorącego na siebie odpowiedzialność. Może ona być niedoskonała i wtedy sprowadzi błędy, za które wypadnie kiedyś odpowiedzieć. Na

ile było to niedoskonałością, osądzi historia. W każdym razie, w chwili koniecznej decyzji, gdy Episkopat Polski był niezdecydowany, rzuciłem na szalę dyskusji własną formację umysłową, z jej cechami i brakami. I ona zdecydowała w Krakowie, podczas konferencji Episkopatu, w obecności kardynała Sapiehy, że „Porozumienie” zawrzeć trzeba. Chociaż więc rozeznanie rzeczywistości miało tu znaczenie decydujące, to jednak formacja duchowa, którą nam daje Kościół, dostarczyła atmosfery dla sprawy, która była argumentem dodatkowym.

Faktem jest, że Kościół wychowuje nas w duchu współdziałania i pokoju społecznego. Zarówno Ewangelia, jak filozofia tomistyczna, filozofia społeczna i prawo publiczne Kościoła, katolicka nauka o państwie i władzy, wreszcie socjologia ogólna, czy też etyka społeczno-ekonomiczna, łącznie z encyklikami społecznymi, wszystko to tworzy swój ciężar gatunkowy, który studiowany przez całe lata daje formację umysłowo-moralną każdemu członkowi Kościoła, wybitnie społeczną. Taka formacja jest niewątpliwie moim dorobkiem życiowym, który musiał zaważyć na całym trudzie poszukiwania rozwiązań pokojowych. Nie byłem koniunkturalny, nie politykowałem, nie stawałem „na przetrwanie”. Wierzyłem, że ułożenie stosunków jest konieczne, podobnie jak nieunikniony jest fakt współistnienia Narodu o światopoglądzie katolickim z materializmem upaństwowionym.

Można było przestrzegać, że stanowisko nie jest równe, bo gdy my stajemy do obrad ze względów zasadniczych, druga strona pojitykuje, prowadzi grę taktyczną, dąży do „skompromitowania Kościoła” - jak często mówiono w kołach społecznej opozycji. Nawet gdy się przyjmie pod uwagę częste zapewnienia rządowych członków Komisji Mieszanej, obradującej nad „Porozumieniem”, że kierują się wolą dochowania paktów - to jeszcze można było przyznać jakąś rację ostrożnym, że postawa obydwu stron jest nierówna. Ale właśnie wychodząc z tych założeń zasadniczych nauki Kościoła, nie można było powiedzieć: nie chcemy porozumienia, bo Kościół zawsze chce porozumienia, nawet wtedy, gdy trzeba czynić ustępstwa - jak o tym świadczy historia konkordatów. Tym więcej, że tekst „Porozumienia” nie zawierał żadnych przywilejów prawnych dla Rządu, jako że takie przywileje od Prawa Kanonicznego może czynić tylko Stolica Apostolska. „Porozumienie” w swej merytorycznej treści było tylko gwarantowaniem sobie „wzajemnego bezpieczeństwa” we współżyciu. Episkopat Polski nie mógł powiedzieć: „nie”.

Rozważaliśmy, jak wyglądałaby sytuacja Kościoła, gdyby Episkopat Polski powiedział: nie chcemy „Porozumienia”. Ponieważ Rząd odrzucił Konkordat i nie uznaje Kodeksu Prawa Kanonicznego ani też Konstytucji Kościoła, wytworzyłby się stan *ex lege* bardzo dotkliwy w nieuniknionych kontaktach współistnienia. Doświadczenie kilku lat istnienia „Porozumienia” pokazało, ile razy mogliśmy powoływać się na nie; a chociaż nie zawsze to było skuteczne, to jednak wiązało

ręce Rządowi i hamowało programowane niszczenie Kościoła. Patrząc *ex post*, mogliśmy przyjąć, że Rząd nałożył sobie w oczach opinii społecznej łańcuchy na ręce wobec Kościoła. Bo naprzód - akcja niszczeniowska wobec instytucji kościelnych zelżała; a gdy Rząd „musiał” nadać, by program likwidacji przyspieszyć, zmuszony był bardziej jeszcze zakonspirować swe wyczyny, by wobec opinii nie uchodzić za gwałcicieli „Porozumienia”.

Badając uważnie rozwój dziejowy „Rewolucji październikowej”, mogłem zauważyć, że stosunek taktyczny do religii ulegał zmianie, idąc po linii elastycznej. Początkowy brutalizm, na poziomie procesów, muzeów bezbożniczych, zamykanych cerkwi, rabowanych cudownych obrazów, załamał się, ustępując miejsca metodzie Dymitrowa. A gdy przyszła „wielka wojna narodowa”, rząd ZSRR poszedł na „cichą ugodę” z Cerkwią. Oczywiście, była to uгода przy łożu umierającego; ale jednak istniały jeszcze w społeczeństwie siły, które nakazywały tę ugodę. Ta ewolucja wskazuje, że każda forma rządu, nawet tak bezwzględna, powoli stygnie i bieleje, w miarę jak napotyka na trudności, których sam urzędnik bez pomocy społeczeństwa rozwiązać nie może. Trzeba więc jakoś o to społeczeństwo zabiegać. - Można więc było przypuścić, że i w naszym rodzimym eksperymencie, który jest tak mało oryginalną kopią wzoru sowieckiego, taka ewolucja byłaby możliwa. Właściwie przecież już sam punkt wyjścia świadczył o tej ewolucji. Społeczeństwa Zachodu, które znają eksperyment bolszewicki w oczach procesu arcybiskupa Cieplaka, nie zdają sobie sprawy z tej ewolucji. Zapewne, w procesie kardynała Mindszenty pokazano Europie, że wszystko jest możliwe. Ale ostatecznie, był to wybrzyk, dla zbadania temperatury chrześcijańskiej Europy.

To uważne śledzenie rozwoju metod walki z religią kazało mi przyjąć, że w Polsce może być inaczej niż było w ZSRR, niż było na Węgrzech czy też w Czechach. Zresztą, Konstytucje państw demokratycznych, zwłaszcza NRD, wskazywały, że strona prawna zagadnienia może wyglądać w każdym państwie demokratycznym inaczej. Wiemy, że Kościół katolicki w protestanckiej NRD posiada o wiele korzystniejszą sytuację niż w katolickiej Polsce. Przyjmując więc nierówną postawę obu stron, przyjmując atawizm kłamstwa, jakim obciążona jest taktyka układów strony drugiej, przyjmując zmienność linii postępowania i ewolucję stosowanych metod - mogłem liczyć na to, że eksperyment polski wypadnie inaczej i może być śmiały.

Wchodzi w grę nadto cały program przebudowy społeczno-ekonomicznej, którego nie mogliśmy nie brać pod uwagę przed podjęciem decyzji. Byłem przekonany, że ten program ma przed sobą wiele czasu i w jakiejś części może być zrealizowany. Tym więcej, że przebudowę struktury społeczno-gospodarczej uważam za konieczną, na równi z całym mnóstwem ludzi, którzy od dawna walczą w Polsce o „sprawiedliwość społeczną”. Nie przesądzam w tej chwili, jakiego

ustroju społeczno-gospodarczego Polska potrzebuje. Wiem, że taki jaki był, ostać się nie mógł, że pokój społeczny, ten warunek wolności wewnętrznej, wymaga przemian gospodarczych. Ogromna energia sił społecznych już została użyta na przebudowę ustroju, a w tym trudzie nie brakło wskazań i zachęt Kościoła. Oczywiście, nie jest prawdą, jak głoszą „postępowi katolicy społeczni”, że Kościół nic w tej dziedzinie nie zrobił; zapewne, nie patronował rewolucji, ale dokonał wielkiego wyzwolenia sumień, którym zabezpieczył wolność walki o sprawiedliwy ustrój społeczny. To był ten oddech psychiczny, to nabranie powietrza w płuca, do startu w lepszą przyszłość.

W Polsce nie brak było sił społecznych - zarówno wśród duchowieństwa, jak i świeckich katolików - które były duchowo przygotowane do przebudowy ustroju. Te siły nie były dalekie od dążeń socjalistycznych, jakkolwiek ich programowy ateizm stanowił tu szkodliwą przegrodę. Gdyby nie ciasny ateizm, przybierający tak często wymiary walki religijnej, społeczeństwo polskie, ze swoim kulturalnym, dziejowym demokratyzmem, byłoby najwładźniejszym polem pracy dla rozumnego rządu. Oczywiście, ten rząd musiałby być wolny od demagogii, wybitnie społeczny i niezależny od takich nacisków od zewnątrz, jakie pozbawiałyby go popularności wobec społeczeństwa, które musiało zdobyć się na ofiary. Nie przesadzam tu, z jakim obciążeniem przystąpił Rząd do przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego w Polsce. Widoczną było rzeczą, że te obciążenia wymagają rozumniejszego działania, aby program wydał zamierzone wyniki. Niestety, obserwacje pouczały, jak mało talentów społecznych miał ten Rząd, jak bardzo zufała represji politycznej i sile. Już to przekreślało znaczną część wyników, gdyż Naród dręczony stanął w opozycji, nawet wobec wielu słusznych dążeń. Gdyby marksizm przyszedł był wprost z Zachodu, bez pośrednictwa wschodniego, byłby niezawodnie przyjęty ufniej, jak był przyjmowany marksizm przedwojenny w latach 1905-1907.

Rząd polski dopuścił się wielu błędów: przesadne pomniejszanie wartości i osiągnięć gospodarczych Polski przedwojennej; jaskrawe wychwalanie osiągnięć gospodarczych sowieckich; narzucanie wzorów i literatury radzieckiej; ignorancja kierowników życia politycznego; błędna ocena rzeczywistości społeczno-gospodarczej Polski; niezajomość psychologii społecznej Narodu; represyjne procesy; niszczenie rozbudowanego życia społecznego; likwidacja partii i wolnych związków zawodowych oraz wiele innych - to były drażniące błędy, które wysoce utrudniały start przebudowie społeczno-gospodarczej. W tych warunkach najbardziej umiarkowany program bez użycia siły nie mógłby być zrealizowany. Popełniwszy takie mnóstwo błędów Rząd zrozumiał, że pozostaje mu tylko przymus. Jest to „środek przebudowy” najbardziej zawodny tam, gdzie trzeba dobrej woli i współpracy wszystkich warstw społecznych dla dobra publicznego.

Przed użyciem tej siły Rząd nie cofnął się. Było rzeczą oczywistą, że ta siła będzie tym bardziej wyłącznym środkiem oddziaływania, im dalej posuwać się będzie przebudowa społeczno-gospodarcza w towarzystwie tych błędów. A błędy mnożono dalej; doszły błędy na odcinku życia religijno-moralnego, zerwanie Konkordatu, ataki na Stolicę świętą, schlebienie wolności obyczajowej młodzieży, ugodzenie w Kościół - co musiało razić Naród, który nigdy walki z religią nie prowadził. Nawet społeczeństwo obojętne religijnie wzmaga swą czujność i nieufność wobec inicjatorów wszelkiej walki religijnej.

Siła i przemoc - użyte jako środek przebudowy społeczno-gospodarczej - mogły stworzyć taką sytuację, w której praca Kościoła stałaby się niemożliwa. Wystarczy nowa dyscyplina pracy, projektowana *nieprerywka*, zastąpienie niedziel dekadami - aby zdeorganizować życie kościelne. Nowy ustrój rolnej wsi, którego początki widzieliśmy w spółdzielniach rolnych, *pegeerach* (PGR), mógł być wyrażdź znaczne szkody obyczajom religijno-moralnym wsi. Groziło włączenie wszystkich obiektów kościelnych do własności komunalnej; rezultaty łatwo było przewidzieć, zgodnie z doświadczeniem radzieckim. Kościół na wsi zależałby od PGR-ów i spółdzielni rolnych.

Rzecz oczywista, że od programowania do wykonania droga daleka, ale kto ma czas i siłę, ten dojdzie. Trzeba było liczyć się z tą perspektywą, gdy należało odpowiedzieć na propozycję „Porozumienia”. Jakoż „Porozumienie” złagodziło nieco sytuację ekonomiczną jednostek parafialnych, a do dziś dnia większych szkód Kościół tu nie poniósł.

Nie był to motyw najważniejszy w decyzji, ale jeden z dalszorządnych.

W sumie - wszystkie te motywy, wyłożone na Konferencji krakowskiej Episkopatu (w marcu 1950) w obecności kardynała Sapiiehy, doprowadziły do postanowienia: 1. by dążyć do „Porozumienia”; 2. by przedstawiony projekt przeredagować; 3. w każdym wypadku - prowadzić dalsze rozmowy w Komisji Mieszanej. Kardynał Sapiieha, gdy wyjeżdżał z Warszawy do Rzymu, wiedział dobrze o tym stanowisku Episkopatu i je podzielał. „Porozumienie”, podpisane 14.IV. 1950 roku, stało się odtąd argumentem w ręku Episkopatu w walce o prawo Kościoła. Był to argument jedyny, gdyż Rząd nie liczył się już z Konstytucją, zerwał Konkordat, nie uznawał Kodeksu Prawa Kanonicznego.

28. IX. 1953, poniedziałek.

Zgłosił się „pan w ceracie”, wysoki, przystojny mężczyzna, młody jeszcze, o twarzy bez wyrazu. Wykładał mi raz jeszcze moje stanowisko wobec dokonanego na mnie gwałtu. Zdumienie może budzić

w ludziach, przyzwyczajonych do praworządności, jak można na podstawie jednostronnej uchwały, dokonanej zaocznie, decydować o losach obywatela, wbrew Konstytucji i „Porozumieniu”. W decyzji swej Rząd nie zadał sobie nawet elementarnego trudu, który jest nakazem prymitywnej sprawiedliwości: *audiatur et altera pars*. Skoro istniały zarzuty, czyż nie prostszą rzeczą było dać mi możliwość je poznać? Może to uchroniłoby od posunięć, które będą kosztowały Polskę wiele ataków ze strony całego świata cywilizowanego.

„Pan osłaniał bibułkami szyby moich okien, żeby kto nie dostrzegł Prymasa Polski. Tych okien nikt nie zdoła przed światem ukryć, i tak wszyscy będą wiedzieli, gdzie mnie więzicie”. - „Przesada” - wygłosił mój rozmówca. „Nie przesada, tylko stwierdzenie rzeczywistości, której wy nie znacie, bo zamykacie na nią oczy. Pozycja Prymasa Polski więcej znaczy w świecie, aniżeli każdego innego hierarchy na Wschodzie Europy; i na to rady nie ma. Świat interesuje się losami każdego kardynała - i na to również rady nie ma. Kto zna choć odrobinę Europę, wie, że to nie są pojęcia martwe. Trzeba wielkiego zaślepienia, by strzelać do obywatela z ciężkich dział, zamiast użyć ludzkiej mowy. Nadal oczekuję w sprawie gwałtu mi zadanego wyjaśnień”. - Mój rozmówca obiecuje, że w ciągu najbliższych czterech dni otrzymam wyjaśnienie sytuacji, gdyż zgłoszą się do mnie przedstawiciele Rządu, którzy będą chcieli przeprowadzić ze mną rozmowę. Wyrażam na nią gotowość.

Po *missam siccą* przeglądam stertę książek leżących na podłodze; wśród mnóstwa kazań i konferencji, bez większej wartości, jest kilka książek, które wybieram do lektury.

Rozpoczynam więc życie więźnia. Słowa tego używać nie można, gdyż otoczenie moje proste: to nie jest więzienie. Pomimo to czuwa nade mną blisko 20 ludzi „w cywilu”. Nie opuszczają korytarza i w dzień, i w nocy; skrzypiące kroki słyszę cały dzień. Brak nam światła. Jeden z młodych ludzi usadza się na noc na koślawym krzesełku pod drzwiami i tu, przy kopającej lampce albo przy świecach ołtarzowych, czyta książki. Na podwórzu gospodarczym stale przebywa kilku młodych ludzi, którzy nie spuszczaają oczu z moich okien. Zresztą, są grzeźni i trzymają się na odległość.

Upominam się o możliwość odprawiania Mszy świętej. Dowiaduję się, że do kościoła nie będę mógł chodzić. Wobec tego proszę o przybory do Mszy świętej, którą chcę odprawiać w celi. Wszak mogą je przynieść z sąsiedniego kościoła. Sprzętów nie otrzymałem.

30.IX. 1953, środa.

Otrzymałem dziś aparaty kościelne i sprzęty liturgiczne do odprawiania Mszy świętej, przywiezione z Miodowej. Brak jest

portatyłu, wina mszalnego i hostii, ampułek i mszału liturgicznego. Obiecano mi dostarczyć świece. Gdy przed opuszczeniem domu wyraziłem życzenie wstąpienia do kaplicy, pan, który mi pokazał do przeczytania „dekret” rządowy, oświadczył, że „tam będzie kaplica”. Skłamał, podobnie jak ci przy bramie, którzy „przynieśli list od ministra Biedy do biskupa Baraniaka”. Widocznie skłamano i wobec domowników na Miodowej, którzy nie wiedzieli, że nie mam kaplicy i dlatego przysłali mi tylko kielich i ornat. Zdecydowany byłem odprawiać Mszę świętą na koślawym biurku, które dotąd służyło mi za „pokój stołowy” i „gabinet pracy”.

Wraz z przyborem do Mszy świętej otrzymałem nieco książek, które mi ułatwią przejęcie do życia człowieka „uczącego się”. Spis rzeczy sporządził ksiądz Goździewicz. Przyjąłem ten znak z niepokojem o biskupa Baraniaka; ten wysoce sumienny i dokładny człowiek, gdyby pozostał w domu, na pewno sam sporządziłby spis rzeczy.

Wśród książek, które mi przywieziono z domu, znalazłem *Historię Kościoła* - Seppelta; *Dzieje Pawła z Tarsu* - księdza Dąbrowskiego; *Zmartwychwstańcy a Niepokalanki* - księdza Obertyńskiego; *Monarchia Kazimierza Wielkiego* - Z. Kaczmarczyka, oraz małą książeczkę o nabożeństwie *3 Zdrowaś Maria*, którą jakiś nieznany ksiądz rozniósł po mieszkaniach księży biskupów podczas ostatnich ćwiczeń rekolekcyjnych na Jasnej Górze.

Postanawiam sobie tak urządzić czas, aby zostawić jak najmniej swobody myślom dociekliwym. I dlatego po Mszy świętej (dziś była jeszcze *missa sicca*), rozpocząłem lekturę kilku książek na zmianę, by różnorodność tematu chroniła od znużenia. Znalazłem jedną książkę francuską o świętym Franciszku, niewielką, ale niezwykle wartościową, a drugą książkę włoską - zbiór przemówień. Te dwie książki służyć mi mają jako ćwiczenia językowe.

Lekturę przerywam odmawianiem godzin kanonicznych mniejszych, by w ten sposób pracę łączyć z modlitwą. Breviarz odmawiam chodząc po swoim niewielkim pokoju, by brak powietrza uzupełnić ruchem. Wieczorem, gdy się już robi ciemno - a mamy brak światła - odmawiam różaniec, wędrując po pokoju. Modlę się wiele do mej szczególnej Patronki, Matki Bożej Jasnogórskiej, za obydwie moje archidiecezje, księży biskupów i moich domowników.

/ X. 1953, czwartek

Dziś rano otrzymałem dwie stearynowe świece i dwa pokojowe lichtarze oraz butelkę wina „riesling”. Mogę więc odprawiać Mszę świętą - pierwszą od chwili wywiezienia mnie ze Stolicy.

Raduję się, że Mszą świętą mogę zacząć miesiąc różańcowy. Dziękuję za ten macierzyński uśmiech Matki Bożej. Wszystkie Msze

święte października odprowadzę ku uczczeniu Matki Bożej Janogórskiej.

Dziś już mam pełne dłonie, na których ofiaruję Ojcu Niebieskiemu Jego Kapłańskiego Syna. Jednak kapłan musi mieć Boga w dłoniach, by miał z czym stanąć przed Ojcem Niebieskim. Ale musi też mieć i lud przy sobie. Tę samotność przy składaniu świętej Ofiary odczuwa się tak bardzo, jak brak dłoni. Wszak kapłan *pro hominibus* ustanowiony. Toteż na swoją samotną Mszę świętą zwołuję wszystkich, których mi pamięć przywodzi, a zwłaszcza tych, których tak często - przy łada sposobności - zachęcałem do odmawiania różańca świętego, do czci Matki Bożej Jasnogórskiej. Wiem, że dla nich jestem dziś największą próbą. Muszę ich wspierać, by nie zwątpili. Rzecz szczególna, jak blisko „niezachwianej wiary” krąży lęk. Człowiek, który mocno wierzy, tak bardzo wszystkiego się spodziewa rychło od Boga, że każda zwłoka wywołuje niepokój. Nie jest to niewiara, ale „zaskoczenie” na punkcie konfliktu: „potęga - dobroć Boża”. Lękam się o ludzi, którzy bardzo wierzą w skuteczność modlitwy, by nie chcieli zbyt szybkich rezultatów swej modlitwy, by w razie zwłoki z odpowiedzią Bożą, nie ustali. Wiem od początku, że „moja sprawa” wymaga czasu i cierpliwości, że będzie trwała długo. Jest Bogu potrzebna: jest nie tyle sprawą „moją”, ile sprawą Kościoła. A takie sprawy trwają długo.

4. X. 1953, niedziela.

Po Mszy świętej odwiedza mnie „pan w ceracie”. Ma oczy wymijające; twarz spokojna, uzbrojona w obiektywizm. Zwykle pytania. Przypominam mu zapowiedź rozmowy „kilku panów” ze mną. Odpowiada: „Uległo to małej zwłoce, zwłaszcza że w międzyczasie zaszły nowe okoliczności. Ale nie jestem upoważniony do czynienia oświadczeń”. Rozumiem - gra na zwłokę.

W ciągu dnia dostał mi się do ręki przypadkiem skrawek *Słowa Powszechnego*, w którym czytam o zebraniu Konferencji Episkopatu pod przewodnictwem biskupa Klepacza i o złożeniu przez Konferencję „oświadczenia”. Ma ono pokonywać wszystkie dotychczasowe trudności, ma stwarzać nowe możliwości dla wykonywania „Porozumienia”, zapowiada uwzględnienie życzeń, które Episkopat przedłoży. Słowem - *treuga Dei*. Muszę użyć całego doświadczenia lat minionych, by wiedzieć, jak należy przyjmować i czytać takie wiadomości. To są właśnie te „nowe okoliczności”, które usztywniły „pana w ceracie”, że stał się niegrzeczny.

Moi „gwardianie” czytają tylko prasę „katolicką”; wszędzie pełno skrawków *Słowa Powszechnego* i tygodnika wrocławskiego, przemalowanego *Tygodnika Powszechnego*. Jeden z nocnych czuwających na korytarzu studiuje zawzięcie *Kalendarz Katolicki*, wydany przez ZBoWID. Śmiecie z mieszkań wynoszone są w *Słowie Powszechnym*.

Pod wieczór dostał mi się do ręki kawałek *Trybuny Ludu* z artykułem pana Ochaba z 26. IX. br., wystosowanym przeciwko „dotychczasowemu kierownictwu Episkopatu”. Pan generał zarzuca mi, że: 1. przeskądzałem w wykonaniu „Porozumienia”; 2. utrudniałem stabilizację stosunków kościelnych na Ziemiach Zachodnich.

Wielką pociechą jest dla mnie lektura książki księdza Eugeniusza Dąbrowskiego - *Dzieje Pawła z Tarsu*. Jest to książka wysoce aktualna, zaradza tym potrzebom, które w duszy człowieka, noszącego *vincula Christi*, zrodzić się mogą. Warunki naszego bytowania są różne. Ale ideał ten sam, sprawa, za którą cierpimy pozbawienie wolności - trwa.

Czyż można stawać do porównania? Z człowiekiem tej miary co święty Paweł, nie można się równać. Ale radosne porównanie narzuca się myśli, gdy idzie o niespożytość sprawy Chrystusowej. A więc „sprawa Chrystusowa” trwa blisko 2 tysiące lat i za tę sprawę ludzie siedzą do dziś dnia w więzieniach. Sprawa się nie przeżyła. Jest aktualna, świeża, młoda, pociągająca. Ileż wart się zmieniło, ile więzień rozsypało w gruzy, ile kluczy zardzewiało, ile zamków i łańcuchów opadło! - a sprawa trwa. Została dotąd obroniona. Sprawa żyje! Pawłowe łańcuchy poruszane są nie tylko historycznymi wspomnieniami; ich nurt życiowy dosięga aż do mojej celi. Dziękuję Bogu za łaskę tej książki.

Dziś „erygowałem” sobie Drogę Krzyżową, pisząc na ścianie, ołówkiem, nazwy stacji Męki Pańskiej i oznaczając je krzyżykiem. Resztę - *Ecclesia supplet*.

Przez „pana w ceracie” prosiłem biskupa Baraniaka, by przesłał mi *Missale Romanum*, relikwiarz świętego Stanisława i świętej Julii, pozostawiony w pokoju sypialnym, cztery świece półwoskowe do Mszy świętej, przybory piśmienne i różne drobiazgi toaletowe (zyletki, szczotkę do zębów, nici i igły). Nadto prosiłem o następujące książki: Dobraczyńskiego - *Listy Nikodema*, Manzoni - *Promessi sposi*, dzieło zbiorowe *Maria* (2 tomy), rosyjskie wydanie Tołstoja - *Wojna i pokój*, Grabskiego - *200 miast*, Thielsa - *O kapłaństwie*, świętego Tomasza a Kempis - *Naśladowanie*.

7. X. 1953, środa.

Dziś wielka uroczystość w mojej celi: „Odpust Matki Bożej Różańcowej”. Na Mszy świętej „ludno”. „Zwołałem” tych wszystkich, których zachęcałem do modlitwy różańcowej. Pragnę ich „uzbroić w cierpliwość”. Im się może wydawać, że przyszedł czas łaski, o którą proszą. A te łaski, które dziś wypraszamy, działają już, tylko w innej formie, i działać będą nieco później.

Coraz wyraźniej widzę, że miejscem najwłaściwszym na obecny moment bytowania Kościoła jest dla mnie więzienie.

Raz po raz dochodziły do mnie głosy ze strony ludzi badających nurty społecznych myśli, że to społeczeństwo nie zawsze jest dostatecznie zorientowane w taktyce „politycznej” Episkopatu. Już w początkach maja br. mówiono o tym, że Kościół zabezpiecza się sam „Jak może”; że biskupi niedostatecznie bronią księży. Oczywiście, brak prasy i wolnej opinii nie pozwalał na należyte informowanie. Społeczeństwo nie wie o tylu listach, memoriałach, protestach, które składał Sekretariat Episkopatu i niez mordowany biskup Choromariski, a także ja - na ręce Rządu, stając w obronie praw Kościoła. „Memoriał” z 8. V. br. nie doszedł do szerszej opinii. Moje kazanie z okazji procesji Bożego Ciała w Stolicy było zaledwie „kropką nad i” w tej ciężkiej pracy obrony praw Kościoła przed „nową inwestyturą”. Społeczeństwo mogło więc słusznie wysuwać swoje obawy.

Proces biskupa Kaczmarka był przyjęty wprawdzie przez opinię nieufnie; reżyserowie i tym razem przesadzili. Chcieli uczynić z biskupa „przestępcę uniwersalnego”. Brak im wyczucia możliwości i zdolności odbiorczych Narodu. Jednak Polacy to Naród wysokiej kultury. Ale w moich myślach proces ten wywołał wielki niepokój; lud nie uwierzył w zarzuty stawiane biskupowi. Inteligencja gorszyła się sposobem zachowania się biskupa na ławie oskarżonych. Prości ludzie rozwiązywali sobie na swój sposób to „zgorzenie”:

„To nie był biskup, to był człowiek podstawiony” - tłumaczył księdzu jeden robotnik w pociągu elektrycznym. - A jednak to był biskup. „W dodatku „przyznał się” do czynów, których nigdy nie popełnił. „Przyznał się” do tego, że 1. otrzymywał instrukcje polityczne od Stolicy świętej, 2. że na konferencjach Episkopatu forsował swój program polityczny, pomimo oporu księży biskupów. To wszystko nieprawda. Jak do tego dojść mogło? Musiałem zaprotestować przeciwko takim insynuacjom, przypisywanym Konferencjom Episkopatu i Stolicy świętej. I dlatego przed aresztowaniem wystosowałem list do prezesa Rządu, w którym stwierdziłem stanowczo, że: 1. Stolica święta nigdy nie próbowała nawet dawać nam instrukcji politycznych, 2. na Konferencjach Episkopatu nigdy nikt nie forsował żadnego własnego programu politycznego, a jedyną sprawą o charakterze politycznym było „Porozumienie”. Być może, iż list ten, który wyraźnie godził w wartość dowodową procesu, mógł rozgniewać Rząd. List był wysłany w wyniku uchwały Konferencji Episkopatu na Jasnej Górze.

Jednak koszmar spraw biskupa Kaczmarka nadal ciążył nade mną. Wydało mi się, że to nie wszystko, że dla utrzymania autorytetu moralnego Episkopatu Polski musi się stać coś więcej. I tu właśnie przyszedł mi z pomocą sam Rząd. Biorąc rzecz z punktu „politycznej racji stanu”, Rząd nie mógł popełnić większego błędu, jak dopuszczenie do bliskiego następstwa tych dwóch faktów: proces biskupa Kacz-

marka i moje wywiezienie. Bo zestawienie tych dwóch faktów jest bardzo wymowne.

10. X. 1953, sobota

Gratiarum actio za zwycięstwo chocimskie było bardzo uroczyste; przy jednej świeczce stearynowej, przy 1/4 hostii i kilku kropelkach wina. Ale dusza radowała się pełnią kielicha, który Kościół podaje słuździe swemu, by umiał dziękować za łaski Boże dla Narodu.

Rozczytywałem się dziś w życiorysie Anieli Salawy, krakowskiej słuźdzącej. Chociaż książka jest napisana niedobrze, to jednak sylwetka Anieli wychodzi wyraziście. Jej wrodzona inteligencja - prostej dziewczyny podhalańskiej - była dobrym przyrodzonym podkładem dla pracy łaski. Im bardziej zdobywał ją sobie Bóg, tym więcej oddawała się ludziom w przedziwnej gotowości ofiary i usługowości, a nawet zastępczego cierpienia. Jest to doskonała patronka na czasy współczesne. Czynię postanowienie, że dołożę swych starań, by przyspieszyć wyniesienie na ołtarze tak pożytecznego na czasy dzisiejsze wzoru doskonałości.

Odwiedza mnie „pan w ceracie”. Jak zawsze „obiektywny”, grzeczny, z zatrzymanym sercem, równie dobry kandydat na inteligenta, jak i na policyjnego sadybę. Przedkładał mi swój kłopot. Nie wiem, jaka jest sytuacja na Miodowej, gdzie prowadzona jest budowa. Nie wiem, czy biskup Baraniak jest w domu. Jeśli on jest, to może przelewać pieniądze z Sekretariatu na budowę Domu Arcybiskupiego i robotnicy otrzymają wypłatę. Jeżeli go nie ma, ludzie zostaną bez wypłaty, bo nikt prócz mnie nie jest upoważniony do podpisywania czeków przelewowych. Uważam to za ważniejszą dla siebie sprawę, niż moje osobiste. Mój rozmówca wyraża zdziwienie: „Ważniejszą niż osobiste”? - „Tak, proszę pana, bo tu idzie o innych ludzi, a nie o mnie, a sprawa moich zobowiązań wobec ludzi pracujących jest dla mnie ważniejsza niż moje więzienie”. „Cerata” odpowiedział: „Biskupa Baraniaka pozostawiliśmy na Miodowej”. - „Wobec tego mogę być spokojny?” - Odpowiedź: „Tak, ale rzecz przedstawię swoim przełożonym”.

11. X. 1953, niedziela

Uroczystość Macierzyństwa Bożego Najświętszej Maryi Panny. Z pobliskiego kościoła dochodzą śpiewy ludu, w miarę jak rozchylają się drzwi kościelne (może chórowe) na korytarz klasztorny. Radość wstępuje do serca, że Matka Boża hołd swój odbiera.

Wśród lektury dziennej przewijają się myśli, które snują się wokół mego związku z Matką Bożą. Wcześniej straciłem Matkę rodzoną, która miała szczególne nabożeństwo do Matki Bożej Ostrobramskiej, dokąd jeździła z pielgrzymką, jeszcze z Zuzeli. Ojciec mój natomiast ciągnął zawsze na Jasną Górę. Cześć Matki Bożej w życiu domowym była bardzo rozwinięta; często odmawialiśmy wspólnie różaniec w godzinach wieczornych. Gdy Matka moja umierała w Andrzejewie (31.X. 1910) - usłyszałem Jej ostatnie słowa, do mnie skierowane: „Stefan, ubieraj się”. Wyszedłem, wziąłem palto i wróciłem do łóżka. Nie rozumiałem. Ojciec wyjaśnił mi później, co Matka miała na myśli. Po śmierci Matki naszej, służąca domowa, zająca Ulisia, często nam mówiła o Matce Niebieskiej. Byłem sercem związany z pięknym posagiem Matki Bożej, stojącym na cmentarzu kościelnym. Później, gdy już byłem w Warszawie, w gimnazjum Wojciecha Górskiego, uczucia swoje przeniósłem na posąg Matki Bożej Passawskiej, na Krakowskim Przedmieściu, przed kościołem *Res sacra miser*, gdzie zbierały się niektóre klasy szkolne na nabożeństwo.

W czasie pobytu w Seminarium Duchownym we Włocławku dwa nabożeństwa się wzajemnie uzupełniały: do Serca Pana Jezusa i do Matki Bożej Jasnogórskiej, której obraz był w bocznym ołtarzu. Wszystkie święta Matki Bożej obchodziłem z wielkim podniesieniem ducha. Świecenia kapłańskie otrzymałem w kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej w Bazylice Włocławskiej. Pierwszą Mszę świętą odprawiłem na Jasnej Górze, przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Odtąd chętnie wybierałem ołtarz Matki Bożej, by przed nim składać Bogu codzienną Ofiarę. Nabożeństwo maryjne ożywiło się we mnie szczególnie w czasie ostatniej wojny. Związałem się gorąco z ołtarzem Matki Bożej Wrociszewskiej, przed którym spędzałem co dzień długie godziny wieczorne. W ciągu pracy mojej w Laskach, wśród dziatwy ociemniałej, podtrzymywałem ducha strwożonych sytuacją przyfrontowego życia głównie modlitwą do Matki Bożej. Rzecz znamienna, chociaż Zakład przechodził przez bardzo ciężkie chwile obstrzału artyleryjskiego, pacyfikacji Kampinosu, nigdy nie byliśmy zmuszeni do odłożenia wieczornego różańca.

Nosiłem się z zamiarem wstąpienia do Zakonu Paulinów i poświęcenia się pracy wśród pielgrzymów. Ojciec Kornilowicz, mój kierownik duchowny, oświadczył mi, że to nie jest moja droga. Ale nie przestałem myśleć, że życie moje musi jednak iść drogą maryjną, jakkolwiek by płynęło.

Odtąd wszystkie ważniejsze moje sprawy działy się w dzień Matki Bożej. „Zwiastowanie” biskupstwa lubelskiego miało miejsce w Poznaniu z ust Jego Eminencji kardynała Hlonda - w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny (1946). Od razu postanowiłem sobie, gdy następnego dnia składałem konsens kanoniczny, że na mojej tarczy biskupiej będzie mi przewodziła Matka Boża Jasnogórska. Dlatego

wybrałem Jej miesiąc na konsekrację i na ingres. Dlatego konsekracja miała miejsce na Jasnej Górze.

Dlatego też wszystkie ważniejsze listy i zarządzenia biskupie były wydawane w dni świąt Matki Bożej. Dlatego organizowałem tyle pielgrzymek z ziemi lubelskiej do Częstochowy.

A później, gdy otrzymałem wiadomość o powołaniu mnie na stolicę „Bogurodzicy Dziewicy” - do Gniezna, w liście datowanym 16.XI. 1948, a więc w dzień Matki Bożej Miłosierdzia - moje nabożeństwo do Matki Najświętszej stało się programem pracy. Ingres do Gniezna wyznaczyłem na 2 lutego, w dzień Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny. Zaraz po ingresie warszawskim wyjechałem na Jasną Górę, gdzie odprawiłem tygodniowe rekolekcje, podobnie jak przed konsekracją biskupią. Stąd wyruszyłem do pracy.

I tu podobnie: wszystkie ważniejsze listy, odezwy, zarządzenia datowałem imieniem Matki Najświętszej. Często organizowałem kongresy maryjne i na terenie Gniezna, i na terenie Warszawy. Wygłosiłem przeszło tysiąc przemówień okolicznościowych o Matce Boga Człowieka. Co roku urządzałem rekolekcje dla kapłanów na Jasnej Górze - jednego roku dla Gniezna, następnego dla Warszawy. Najchętniej organizowałem konferencje Episkopatu na Jasnej Górze, a już z reguły rekolekcje dla księży biskupów. Przyjeżdżałem na Jasną Górę każdego roku 4 - 5 razy. Tu zbierałem przełożonych zakonnych, zarówno męskich jak i żeńskich zgromadzeń. Często celebrowałem sumy pontyfikalne na Jasnej Górze i głosiłem słowo Boże do rzesz pielgrzymich. Neoprezbiterów tu wysyłałem z pierwszą ich Mszą świętą. Prosiłem ojca generała Markiewicza o przyjęcie mnie na członka agregowanego do Zakonu Paulinów; tej łaski dostąpiłem z wielką radością.

Wspominam dziś te doniosłe daty dla swojego życia, składając w macierzyńskie dłonie Maryi swoje sprawy, aby Opiekunka moja dalej je sama prowadziła i stanęła w obronie swojego żołnierza.

STOCZEK WARMIŃSKI

12. X. 1953, poniedziałek

Po wyjątkowo wczesnej wieczery zasiadłem do lektury książki Ojca Bernarda KB, o świętym Józefie. Ze skupienia wyrwało mnie niezwykle o tym czasie stukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, wszedł „pan w ceracie”, z kapeluszem w ręku. „Pojedziemy dalej” - zwrócił się do mnie. Nie byłem zbytnio zaskoczony. „Ile mam czasu na zebranie rzeczy?” - „Pół godziny, my pomożemy, są walizki”. - „Dziękuję, poradzę sobie sam”. - Mój „gość” zaprosił drugiego i przystąpili do zbierania moich rzeczy. Pytam, jak daleka czeka mnie droga. Z wahaniem odpowiada: „Około 100 kilometrów”. Przypominam, że nie doczekałem się zapowiedzianej na początku mego tu pobytu rozmowy. „Pan w ceracie” nic sobie nie przypomina, by zapowiadał jakąś rozmowę. Widzę, że zapowiedź była manewrem policyjnym.

Zebrałem dość szybko swoje rzeczy do waliz przywiezionych przez moich panów z Miodowej. Po ciemnych schodach idziemy na dół, pierwszy raz od 2 tygodni. Wokół nie ma żywej duszy. Nawet żołnierzy, którzy zazwyczaj wśród nocy czynili tyle hałasu na korytarzach, ani śladu.

Zajmuję miejsce w aucie wraz z „panem w ceracie”: Stoi kilka innych wozów w dyskretnej odległości. Ruszamy. W imię Boże! Czuję się tak bardzo „rzeczą”, że nie pytam o nic. Oddaję się w opiekę Matce Bożej i świętemu Józefowi, od którego tak nagle zostałem oderwany.

Droga wśród ciemności nadaje się doskonale do modlitwy i rozważań. Jedziemy wyraźnie na Jabłonowo Pomorskie.

Bardzo starannie czuwano nad tym, bym nikogo nie widział. Po drodze mijamy Ostródę; dłuższy czas stoimy przed gmachem województwa w Olsztynie. Jest późno - wraca mnóstwo ludzi z nieznanym nam drogą. Wreszcie ruszamy dalej; mijamy Dobrze Miasto i Lidzbark. Znowu zbłądziliśmy w ciemnościach; stoimy na drodze, zbliża się jakiś wóz, który zatrzymano z daleka i zawrócono. Nadchodzi jakiś mężczyzna, którego zawrócono. Po kilku minutach jazdy zajeżdżamy przed jasno oświetloną bramę; świeci się wiele lamp. Brama jest obita świeżymi deskami. Jakiś niedostrzegalny duch otwiera bramę od środka. Wjeżdżamy w podwórze, które w ciemnościach robi na mnie

wrażenie więzienne. Pomyślałem, że przewieziono mnie do więzienia. Wóz zatrzymał się przed szeroko otwartymi drzwiami, wiodącymi na widny korytarz. Zaproponowano, bym wysiadł. Jesteśmy na korytarzu jasnym i pustym. Jednak „nie tędy droga”. Znów jesteśmy wozie po to, by wjechać przez wysoką bramę, zbudowaną ze świeżych desek, do ogrodu. Tu przez oszkloną werandę weszliśmy raz jeszcze na ten sam korytarz. Widocznie do „obrzędu instalacji” w nowym miejscu należały drzwi ogrodowe.

Wprowadzono mnie na pierwsze piętro, na szeroki korytarz, oświetlony na biało; wszędzie znać świeżą farbę. Jestem w obszernym pokoju. Konwojenta „w ceracie” już nie widzę, chociaż prosiłem go o rozmowę i otrzymałem zapewnienie, że się zgłosi. Nie zgłosił się więcej. Jakiś wysoki drab w czapie na głowie przedstawia mi się jako kierownik domu. Wyjaśnia, że komendanta chwilowo nie ma, ale niedługo nadjedzie. Jakoż wkrótce nadchodzi tęgi jegomość czyniący wrażenie *maitre d'hôtel*. Nie przedstawivszy się oświadcza mi, że jest to nowe miejsce mego pobytu; w tym domu mam do rozporządzenia dwa pokoje, kaplicę, korytarz i ogród. Obok mieszka ksiądz, który jest kapelanem, i siostra zakonna. Obecnie śpią, ale rano się przedstawia. Nie dowiedziałem się, jak się nazywa miejscowość, do której mnie przywieziono. Natomiast poinformowano mnie, że koszta pobytu w tym domu pokrywa państwo. Wkrótce wrócił kierownik i doniósł, że samochód z walizami popsuł się w drodze, opóźni się, wobec czego proponuje pościel domową. Podziękowałem oświadczając, że wolę poczekać na swoją.

Po wyjściu obydwu panów przyszedł „ksiądz kapelan” - ksiądz Stanisław Skorodecki, więzień, przywieziony tu wczoraj wprost z Rawicza, gdzie dotąd odsiadywał karę więzienną. Wysoki, przystojny, szczupły, wynędzniały, blady, pochylony, choć młody człowiek. Zaczaj rozmowę od usprawiedliwienia, co sobie o nim pomyślę. Przecież on o niczym nie wie, a może być posądzony o to, że jest na usługach wywiadu. „Istotnie, drastyczna to sytuacja dla Księdza - odpowiadam - ale o tym później. Proszę, by Ksiądz nie uważał się za kapelana, gdyż nominację na swego kapelana mogą dać tylko ja sam, a nie władze bezpieczeństwa. Chcę widzieć w Księdzu tylko współbrata - więźnia, jak i ja sam jestem więźniem. A resztę przyszłość wyjaśni. Niech Ksiądz teraz idzie spać, zaczniemy jutrzejszy dzień od Mszy świętej, a później sobie pomówimy”. Uspokoił się znacznie, przestał płakać i wyszedł.

Za chwilę weszła zakonnica w habitcie sióstr Rodziny Maryi. Przedstawiła się jako siostra Maria Leonia Graczyk, więźniarka, przywieziona z Grudziądza. Powiedziano jej, że Ksiądz Prymas jest chory, znajduje się na kuracji, a siostra będzie się nim opiekować. Jest jeszcze bardziej zaniepokojona niż ksiądz. Snuje swoje obawy; może to jakiś podstęp, może zechcą jej użyć jako prowokacji do jakiegoś

procesu... itd. Z kolei uspokajam siostrę; proszę, by nie gubiła się w domysłach. Nie mam zwyczaju posądzać, zanim nie poznam bliżej. Proszę się wyspać, a jutro porozmawiamy. Siostra była jeszcze więcej wynędzniała niż ksiądz; drobna, szczupła, blada istota, pełna słów i łez.

Wreszcie zostałem sam. Przyszedł raz jeszcze kierownik w czapie i powtórzył propozycję z pościelą, gdyż samochód może nadejść bardzo późno. Wkrótce przyniesiono mi czystą pościel i zasłano łóżko. Myśle, że była godzina druga w nocy, gdy poszedłem spać.

13. X. 1953, wtorek

Przy świetle dziennym poznałem dokładniej swoich towarzyszy doli. Oboje wyniszczeni w życiu więziennym. Ksiądz przesadnie szczupły, siostra - skóra i kości. Wydobylśmy aparaty kościelne i urządziliśmy ołtarz na biurku. Mszę świętą odprawialiśmy bez świec i mszału liturgicznego. Tak zaczęło się nasze życie duchowe - we troje.

Po śniadaniu rozpoznaliśmy naszą siedzibę. Jest to duży dom, stary budynek poklasztorny, świeżo opuszczony przez nieznaną nam mieszkańców. Wszędzie są ślady prowadzonych remontów. Korytarze wybielone, podłogi zagruntowane. Pokoje noszą ślady świeżej roboty, bardzo tandetnej. Pod domem ślady wylanej farby, rozrzucone pędzle, odrzucone śmieci do sadzawki podokiennej. Na murach zabytkowego domu znać, że śmiecie były wyrzucane oknami. Znajdujemy fragmenty sprzętu liturgicznego: połamane lichtarze, rozbite kropielnice, jakieś resztki krzyżów i figurek Matki Bożej. W ogrodzie ścieżki świeżo przysypane żółtym piaskiem. Wiele drzew wyciętych. Drzewa, stojące przy wysokim parkanie, niemal wszystkie są okręcone drutem kolczastym do wysokości parkanu. Wiele drzew, które rosły bliżej parkanów, ścięto, inne podpiłowano do połowy; niektóre z nich należały do zabytków drzewnych. Wszędzie pełno zaniedbań i śmieci. Na drzewach owocowych brak wszelkich śladów owoców. Duże sadzawki rybne - pełne śmieci i błota. Cały parkan jest otoczony od zewnątrz latarniami; festony drutów, kabli, przewodników zwisają zewsząd. Widzimy świeżo wzniesione wysokie płoty, jeszcze białe, odgradzające ogród od podwórza gospodarczego i od północno-wschodniej strony gmachu.

Budynek nosi na sobie ślady starości; na wieżycze chorągiewka z datą 1675 (1645 lub 1615?). Gmach robi wrażenie klasztoru jezuickiego, może z czasów Hozjusza. Wysoki budynek dwupiętrowy, z małymi oknami, skierowany ku północy, z wewnętrznym wirydarzem okolonym korytarzami. Od ulicy rysuje się kościółek z kopulastym, okrągłym zwieńczeniem. Cała posesja jest ukryta wśród drzew, spoza

których widać niewiele. Zaledwie można domyślić się drogi wzdłuż północno-wschodniego muru. Szpalery grabowe drzew schorowanych i spróchniałych tworzą dobre miejsce do spacerów. Zresztą nie wokół nie widać. U wylotu środkowej alei rysuje się szczyt domu parterowego; szczytowe okienka patrzą na ogród nie tylko szybkami, ale też i wnikliwym okiem dyskretnej dozorcej. Drugi stoi pod drzewem i od niechcenia czyta książkę.

Wnętrze gmachu stanowi czworobok, o który oparty jest od ogrodu główny gmach klasztorny, a od drogi kościół. Ściany zewnętrzne do wysokości parteru zniszczone przez wilgoć, korytarze wewnętrzne mokre, zimne wnętrza, posadzki kamienne całe pokryte wodą. Korytarz i mieszkania pierwszego piętra suche i czyste; podłogi noszą ślady zniszczenia i grzyba. Oddano nam do dyspozycji korytarz i pokoje pierwszego piętra gmachu wychodzącego na ogród. Są tu dwa pokoje dla mnie, kaplica, pokój dla księdza, drugi dla siostry i kilka pokoi umebrowanych, pustych. Wszystkie są umebrowane w wystarczający sposób nowymi meblami i przykryte dywanami.

O godzinie 11 zgłasza się „pan”, który uchodzi za komendanta instytucji. Dotąd nie orientuję się w charakterze tej instytucji. Widzę wokół pełno mężczyzn w ubraniach cywilnych, kręcących się tu i ówdzie. Można ich obliczyć w przybliżeniu na 30, przynajmniej w naszym polu widzenia. Komendant jest człowiekiem w średnim wieku, krępy, w ubraniu cywilnym, które leży na nim dość prowizorycznie; wyraz twarzy zatrzymany, z lekka badawczy. Raz jeszcze informuje mnie, że mam do dyspozycji pierwsze piętro z korytarzem i łazienką oraz ogród. W ogrodzie można przebywać od wczesnego rana do godziny 20.00.

Ponieważ jestem w nowym położeniu, składam raz jeszcze swoje oświadczenie, protestując przeciwko takiej formie więzienia mnie. Jest ono dokonane 1. z pogwałceniem praw przysługujących obywatelom na podstawie Konstytucji, gdyż na podstawie jednostronnego zarządzenia Rządu; 2. pogwałcona została elementarna zasada wymiaru sprawiedliwości: *audiatur et altera pars*-, 3. pogwałcone zostały prawa Kościoła w mojej osobie, jako ordynariusza dwóch archidiecezji, metropolity dwóch prowincji kościelnych i Prymasa Polski; 4. pogwałcone zostały prawa ludności katolickiej, która ma prawo do swego pasterza; 5. pogwałcone zostały prawa, Stolicy świętej, w imieniu której sprawowałem jurysdykcję specjalną, udzieloną mi przez Ojca świętego; 6. pogwałcone zostało „Porozumienie”, które uznaje jurysdykcję Stolicy świętej.

Mój rozmówca zapytał mnie, co sędzę o procesie biskupa Kaczmarka i o praworządności w Polsce. Nie wdając się w ocenę procesu oświadczyłem, że stanowisko wobec procesu określiłem w liście swym do Rządu, przesłanym w ostatnich dniach przed aresztowaniem, imieniem Episkopatu Polski. Biskup Kaczmarek „przyznał się” do rze-

czy, których nie czynił. A więc: 1. przyznał się do tego, że otrzymywał instrukcje polityczne od Stolicy świętej i przekazywał je biskupom; 2. że na Konferencjach Episkopatu przeprowadzał swój program polityczny. - Jak mógł dojść do tego, że biskup przyznał się do czynów, których absolutnie nie przeprowadzał, nie mogę pojąć. Te wątpliwości rzucają mi światło na proces biskupa. Mówiono tam o mojej rozmowie z Ojcem świętym, która się odbyła bez świadków; nikomu o niej nie mówiłem, a świadka, który opowiadał o tej rozmowie nigdy nie wtajemniczałem w żadne sprawy kościelne. Sędzia, który słyszał zeznania biskupa, mógł być powołać na świadków kilku uczestników Konferencji Episkopatu, czego zaniedbał, dając pole prokuratorowi do napaści na Kościół.

„Czy istnieje w Polsce praworządność, na to Pan nie potrzebuje odpowiedzi, widząc, co czynicie ze mną”.

14. X. 1953, środa.

Życie nasze zaczyna się normalizować. Powoli osuwamy się ze sobą. I siostra, i ksiądz raz jeszcze podnieśli sprawę zaufania-. „Co Ksiądz Prymas myśli o mnie”. Zwłaszcza obawy siostry wyglądają egzotycznie. „Słyszałam - mówi siostra - że ci ludzie używają kobiet do skompromitowania ludzi. Może liczyli i na mnie. Może będą chcieli wytoczyć jakieś oskarżenie przeciwko moralności” itd. „Wszystkie te dociekania - wyjaśniam siostrze - nie są celowe. My wiemy, na co nas stać, a nie wiemy, na co ich stać. Nie traćmy na to czasu: miejmy zaufanie do siebie. Jesteśmy dziećmi Bożymi, a siostra jest dzieckiem «Rodziny Maryi». Nie słowa, lecz czyny będą odpowiedzią na wszelkie nieznane nam intencje. Będziemy się modlili, pracowali i czekali zmiłowania Pańskiego”. Wylękniona siostra zaczyna się uśmiechać, bodaj pierwszy raz. Przywieziono ją tutaj wprost z Grudziądza, gdzie przebywała w więzieniu od dwóch lat, skazana na 7 lat. Ma w sobie cały styl psychiki więźniarki: mówi głosem przyciszonym, ogląda się na drzwi, nawet wtedy gdy mówi rzeczy obojętne dla reżimu, używa słów „zastępczych”, jest ostrożna i „na palcach”. Ksiądz nie wiedział, dokąd jest wieziony i dlaczego. Zabran z więzienia w Rawiczu, gdzie miał odsiadywać swój wyrok na 10 lat, po dwóch latach kary, jest tym zdziwiony i zaniepokojony. Ale psychika męska łatwiej sobie radzi ze wszystkim, chociaż i na księdzu znać styl więźnia. Na wszystko, co się wokół dzieje, zwraca uwagę, wszystko mu się może przydać, wszystko ma znaczenie. Przygląda się bacznie siostrze. Bodaj, że ci oboje starają się w milczeniu badać siebie, jakby chcieli wiedzieć wszystko o sobie. Skazani jesteśmy na życie „we troje”. Nie będzie ono łatwe, gdyż stanowi Jeden świat”, otoczony przez „drugi świat”. Ten „drugi

świat" bacznie obserwuje „pierwszy świat”. Wyczucie tego badawczego wzroku, który patrzy „przez szybkę” na korytarz, wygląda wszystkimi oknami na ogród, mierzy każdy nasz krok i jest nieufny - to wszystko jeszcze bardziej zbliża naszą trójkę ku sobie. „To my” - „to oni”. Nasze „my” jest wzrastającą solidarnością, bez względu na budzące się niekiedy wątpliwości. Nie ma rady na to, byśmy zdołali być całkowicie obcy sobie. Ksiądz jest nie tylko współksiędzem, siostra - nie tylko siostrą. To wspólny los, wspólna dola, to bliskość ludzi depczących te same deski - wszystko to jest materiałem na nową więź, która zaczyna powoli dochodzić do swoich praw.

O godzinie 11.00 przychodzi komendant; pyta o zdrowie i o potrzeby. Te dwa pytania stają się ceremoniałem oficjalnym. „Zapomniałem powiedzieć - dodał dziś komendant - że miejscowość, w której jesteśmy, nazywa się Stoczek koło Lidzbarka. Przepraszam, że dotąd tego nie powiedziałem”. - A to dobrze, że Pan powiedział mi ten adres: wygląda to bardziej po ludzku. Czy mogę z tego uczynić użytek?” - „I owszem” - dodał pan komendant.

15.X.1953, czwartek.

Dziś pan komendant przyszedł w towarzystwie swego pierwszego zastępcy, który nazywany jest tu kierownikiem i przyprowadził ze sobą młodego pana, którego przedstawił jako drugiego zastępcę. Wyraziłem zdziwienie: „Jeszcze jeden? Aż tylu panów tu będzie tracić czas?” - Pierwszy zastępca kierownika ma minę „ważnego”. Rosły, prosty chłop, który widocznie niedawno nosi garnitur, blondyn, przypominający hitlerowskich nazistów. W formowaniu zdań - niezręczny, zachowanie się niezgrabne. Starannie unika wzroku, patrzy w sufit. Swoje „ceremonialne” pytanie o zdrowie i o potrzeby stawia z nutką zakłopotania. Wrażenie czyni niezbyt miłe. - Drugi zastępca, dziś przedstawiony, sprawia odmienne wrażenie. Jest to człowiek „zrobiony” na inteligenta. Starannie uprasowany i nieskazitelny garnitur; fryzura i broda - nienaganne, jak w oknie fryzjerskim. Sposób zachowania się - „higieniczny”. Człowiek ubrany w obojętność i obiektywizm urzędniczy. Bodaj że do niego należy „być reprezentantem kierunku”. Zresztą, zobaczymy.

Zapytałem, czy mogę napisać list do swego Ojca, który dotychczas nie wie o moich losach. Komendant oświadczył, że „zapytanie przedstawi swoim przełożonym”.

Ułożyłem listę książek, które rad bym otrzymać ze swej biblioteki i wręczyłem ją panu komendantowi.

17.X.1953, sobota.

Otrzymałem dziś odpowiedź pozytywną na zapytanie, czy mogę wystosować list do Ojca. Wobec tego przygotowałem krótki list i przekazałem go panu komendantowi. List brzmi:

Najdroższy mój Ojcze! Skoro tylko otrzymałem wiadomość, że mogę wysłać list do Ciebie, Najdroższy mój Ojcze, wypełniam to, co serce pilno mi nakazuje. Pragnę bowiem, by z Twej duszy zniknął niepokój o mnie, abyś nie tracił sił na smutek i wątpliwości, byś natomiast pełnił to, co jest zadaniem Twego sędziwego wieku - modlitwę za Twego syna.

Wprawdzie duch wiary, jakim żyjesz, jest i dla mnie uspokojeniem o Ciebie. Wiem, że w duchu wiary wszystko zrozumiesz, a modlitwą zgasisz smutek i rozpogodzisz ufnością serce. Ale człowiek słusznie wymaga i ludzkiej pociechy.

Kilka słów o sobie. Pragnę Cię zapewnić, Drogi Ojcze, z tą prawdą wewnętrzną, jaką zawsze we mnie widziałeś, że w obecnych warunkach swojego życia jestem w pełni spokojny i ufny. Nie mogę dziś Kościołowi i Ojczyźnie służyć pracą kapłaństwa w świątyniach, ale mogę im służyć modlitwą. I to czynię niemal przez cały dzień. Mam radość odprawiania co dzień Mszy świętej w kaplicy domowej, korzystam z towarzystwa jednego z kapłanów, który pełni obowiązki „kapelana”, i siostry zakonnej, która opiekuje się naszymi potrzebami domowymi. Czas wypełniam lekturą, modlitwą i spacerem w rozległym parku. Zdrowie mi służy w pełni. Bóg nie odmawia swoich radości i nad wyraz dobrej Opatrzności. Pragnąłbym również, by z ust moich najbliższych nikt nie słyszał ani w domu, ani poza domem najmniejszej nawet skargi. Potrzebna mi jest wasza pogoda, spokój i modlitwa. Nie traćcie ufności w dobroć Opatrzności Bożej, w potęgę, mądrość i miłosierdzie Najmilszej Matki Jasnogórskiej. Tobie, Drogi Ojcze, z wdzięcznością całuję dłonie, a całej rodzinie i domownikom z serca błogosławię.

Sobota, dnia 17. X. 1953.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

18. X. 1953, niedziela.

Otrzymałem dziś z Miodowej różne sprzęty liturgiczne, które umożliwiają nam urządzenie kaplicy i ołtarza, a więc lichtarze, krzyż, mszał liturgiczny, świece, hostie, obrusy itp. Brak nam portatyłu. Ksiądz Stanisław sporządził „tabernakulum” z futerału od kielicha. Stół w kaplicy jest zbyt niski; dostarczono nam cztery słupki, na których ustawiliśmy stół. Chociaż bardzo mały, bez predelli, czyni wrażenie

ołtarza. Nasze „tabernakulum” okryliśmy welonem od ornatu. Ksiądz wyszukał w sąsiednim pokoju wielki krzyż ścienny i obrazy Świętej Rodziny, Serca Jezusowego i Serca Maryi. To wszystko nadało małemu pokoikowi wygląd kapliczki. Siostra martwi się, że brak jej wazoników i kloszy na kwiaty; na szczęście w całym ogrodzie nie można znaleźć najmniejszego kwiatka.

20. X. 1953, wtorek.

Ponowiłem swoją prośbę o portatyl i relikwiarz. Otrzymałem zapewnienie, że prośba ta „zostanie przekazana przełożonym”.

Ustala się nasz tryb życia w Stoczku jak następuje:

- 5.00 Wstanie.
- 5.45 Modlitwy poranne i rozmyślanie.
- 6.15 Msza święta księdza Stanisława.
- 7.00 Moja Msza święta.
- 8.15 Śniadanie i spacer.
- 9.00 *Horce minores* i cząstka różańca.
- 9.30 Prace osobiste.
- 13.00 Obiad i spacer (druga cząstka różańca).
- 15.00 Nieszpory i kompletorium.
- 15.30 Prace osobiste.
- 18.00 *Matutinwn cum Laudibus*.
- 19.00 Wieczera.
- 20.00 Nabożeństwo różańcowe i modlitwy wieczorne.
- 20.45 Lektura prywatna.
- 22.00 Spoczynek.

Zaczynam układać plan pracy książkowej. Brak nam odpowiedniej pomocy. Na razie więcej czasu idzie na lekturę książek nadesłanych. Staramy się obydwaj, by czas wyznaczony na pracę osobistą spędzić samotnie. Rozmowy zostawiamy na spacer. Ksiądz uczy siostrę łaciny. Ja uprawiam lekturę włoską i francuską.

Nasze otoczenie też ustala tryb nadzoru nad nami. Stanowią swój świat, żyjący obok, z zainteresowaniem wyraźnie skierowanym na nas. Przy szklanych drzwiach, wychodzących na korytarz, za matową szybą stoi niewielki stół, na nim lampa z zielonym kloszem; przy lampie człowiek nad książką. Każde poruszenie drzwi odrywa jego uwagę od lektury. I tak jest okrągłą dobę. Zmieniają się tylko ludzie, ale „praca przy kasie” ma ten sam wymiar i wartość. Nie widać wprawdzie wśród naszych dozorców typów o wyrazie „intelektualistów”, ale książka jest jedynym środkiem opanowania nudy.

Na dole, przy drzwiach, czuwa drugi pan z książką; dystrakcją dla niego są kołatania do drzwi podwórzowych, które ma obowiązek otwierać. I tam służba trwa okrągłą dobę. Co robią inni ludzie, których kręci się po domu wielu, na razie trudno ustalić. Dom jest oświetlony całą noc; niekiedy światła pałą się i w dzień. Podobnie jest w podwórzu i od drogi. Wokół parkanów czuwają straża wojskowe, słysząc ich niecierpliwie tupanie zewsząd, w ciągu nocy. Drugie piętro jest stale oświetlone; nawet w nocy pokoje emitują światło na ogród przez okna. Zresztą panuje cisza.

25. X. 1953, niedziela.

Otrzymałem dziś pierwszy list od mego Ojca, wysłany z Zalesia Dolnego 21. X. bieżącego roku. Odpowiedź na mój list przyszła więc bardzo szybko. List ucieszył mnie bardzo, gdyż jest napisany w takim duchu, jak tego pragnąłem. Jest to wielka łaska od Boga - Ojciec obdarzony darem modlitwy. Bo ta postawa, którą Ojciec mój zajął w swoim doświadczeniu, może być tylko darem i owocem modlitwy.

Ukochany Synu!

Z całej duszy dziękuję Bogu i Tobie, Najdroższy Synu, za wiadomość o sobie, słowa pociechy i umocnienia, jakie płyną z listu. Chcę zapewnić Cię w moim i całej rodziny imieniu, że jesteśmy w naszych modlitwach i myślach z Tobą, pragnąc naszym spokojem, wiarą i wytrwałą ufnością pomóc Ci trwać tam, gdzie Cię Bóg w obecnej chwili pragnie mieć. Wierzmy gorąco, że Bóg pragnie tylko naszego wspólnego dobra i zgadzamy się z Jego Wola, starając się w miarę sił zachować spokój i pogodę. W modlitwie gorącej do Boga i Matki Najświętszej Jasnogórskiej polecamy siły nasze i Ciebie, Ukochany Synu, prosząc o zdrowie, wytrwanie i męstwo, wierząc, że Bóg i Matka Boża nie opuszczą Cię i zachowają nam, a pozwolą wkrótce zobaczyć Cię i uścisnąć.

Pragnę donieść, że jestem zdrow i siły mi dopisują, zdrowi są wszyscy Ci najmiłsi i najbliżsi, siostry Twoje i ich rodziny, Tadeusz z rodziną i domownicy Twoi. Prosimy bardzo, Ukochany Synu, byś nie martwił się o nas, gdyż u mnie i u reszty rodziny jest wszystko w porządku i nic nam nie brakuje. Prosimy tylko serdecznie o częste wiadomości, zwłaszcza o zdrowiu.

Polecamy Cię gorąco Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej, raz jeszcze zapewniając, że w gorących modlitwach wspierać Cię będziemy ze wszystkich sił. Prosimy też usilnie o pomaganie nam swoim wsta-wiennictwem u Boga.

Serdecznie Cię, mój Ukochany Synu, całuję i gorąco przyciskam do serca swojego. Gorąco Cię całują i pozdrawiają Stasia i Julcia i proszą, by Cię zapewnić, że są mężne. Józio jest od paru tygodni w Kazimierzu, dziś wraca.

Zalesie D. 21. X. 53 r.

Twój ojciec
S. Wyszyński

30. X. 1953, piątek.

Dziś otrzymałem portatyl, bez relikwii, kamień niekonsekrowany: Zastanawiam się, skąd pochodzi, bo na pewno nie z ulicy Miodowej. Zapewne moi opiekunowie, nie chcąc ujawniać, że na miejscu nie ma kaplicy, na własną rękę postarali się o kamień portatylowy. Nie próbowałem już wyjaśniać tej sprawy.

31. X. 1953, sobota

Wysłałem dziś drugi list do mego Ojca, jako odpowiedź na pierwszy list mi nadesłany, treści następującej:

Najdroższy mój Ojcze! Dziś, w 43 rocznicę śmierci mej Matki, odprawiłem Mszę świętą w Jej intencji, jako wyraz swej pamięci i wdzięczności synowskiej, chociaż od dawna jestem przekonany, że owoce świętej Ofiary spływają już raczej na innych i nie są potrzebne duszy szczęśliwej z oglądania Boga.

Bardzo się uradowałem listem Twoim, Ojcze, z dnia 21. X. br., doręczonym mi 25. X. br. Do radości z uroczystości Chrystusa Króla dołączyła się ta ludzka radość, tym większa, że list Twój, Drogi Ojcze, był napisany w takim duchu, jakiego się spodziewałem, jakiego bardzo pragnąłem od Ciebie i od całej mojej Rodziny.

Wierzyłem bardzo, że Ty, Drogi Ojcze, który przyjmowałeś z lękiem i niepokojem wiadomość o moim wyniesieniu na stolicę biskupią lubelską, a później prymasowską - zachowałeś do ostatniej chwili tę pokorę, która jest niezbędna wobec planów Bożych. Wiedzieliśmy, że niczego nie uczyniłem w życiu swoim, by do tego wyniesienia dojść. Bóg działał sam: On wybierał, On posyłał, On wymagał. Widzę to w sobie bardzo jasno. A widzenie tej prawdy jest mi dziś bardzo pomocne, by zrozumieć moją obecną sytuację. Bóg, nieskończenie miłujący dzieła swoje, wszystko czyni według swej natury. We wszystkim więc, co człowieka w życiu spotyka, trzeba dopatrzeć się śladów tej Bożej miłości. Wtedy wstępuje radość do duszy, która może całkowicie zaufać kierowniczej mądrości Bożej.

Bodaj że ta spokojna i ufna radość jest nutą dominującą w obecnym moim życiu. Ja prawdziwie się raduję. Już lękałem się, że nie dostąpię tego zaszczytu, którego doznali niemal wszyscy moi koledzy. Dziś lęk mnie opuścił. I dlatego raduję się na sposób, który Ty, Ojcze, zrozumiesz. Ojciec Niebieski jest tak bliski swoją dobrocią jak nigdy dotąd, chyba wtedy, gdy w czasie wojny spędzałem pierwszy jej rok w Twoim gościnnym domu.

Nie umiem napisać tego, czego doznaję od mojej Pani Jasnogórskiej i Matki. Każda sobota jest wielkim świętem, każdy dzień - przyjaznym wsparciem. Raduję się tym, że pod krzyżem Chrystus oddał nas swej Matce i zobowiązał Ją do macierzyństwa wobec wszystkich dzieci swoich. Chrystus w sobotę był w grobie, ale przy nowym Niemowlęciu, dopiero co narodzonym na krzyżu - przy Kościele - została Jego Matka, jak ongiś w Betlejem. W sobotę niemowlęciem Kościołem rządziła Matka Boga. Dlatego sobota jest taką niezwykłą radością.

A w dzisiejszą sobotę podwójne święto: tej Matki, która przed 43 laty odeszła, i Tej, która do dziś dnia czuwa. Właśnie dlatego piszę, Ojcze, do Ciebie dziś, w sobotę, byś i Ty się cieszył.

Modlę się za Ciebie, Drogi Ojcze, za moje siostry, za najdroższego mi przyjaciela, biskupa Baraniaka, za którego nigdy nie przestanę dziękować Bogu, jako za dar najmilszy na drodze moich pięciu lat pracy w Stolicy. Modlę się ufnie za moich księży biskupów sufraganów, za kapłanów i obie owcześnie - bo dziś tylko modlitwą mogę im pomagać.

Jeśli wolno, proszę Cię, Ojcze Najdroższy, byś czuwał nad swoim zdrowiem i wzrokiem, byś nie przemęczał się lekturą, która jest Twoją namiętnością. Niepokoję się o brata, który zapomina, że musi oględnie używać swych sił, zniszczonych w obozach i więzieniach - proszę mu to powiedzieć. Proszę szczególnie, by moje siostry nie ustawały w ufnej i spokojnej modlitwie. Proszę Boga, byście w tej postudze modlitwy nigdy się nie zachwiali i nie zwątpili. Przy najbliższej sposobności proszę pozdrowić wszystkich moich współbraci domowników i Siostry Elżbietanki.

Ręce Twoje, Drogi Ojcze, z serca całuję i wszystkim błogosławię.
Sobota, 31. X. 1953. + Stefan Kard. Wyszyński

Wręczając ten list panu komendantowi, zapytałem, czy mógłbym wstosować list do Rządu PRL z prośbą o wyjaśnienie mej sytuacji. Jestem zdania, że mam obowiązek to uczynić, gdyż milczenie moje mogłoby uchodzić za wyrzeczenie się moich praw lub za lekceważenie zarzutów mi stawianych, zwłaszcza przez tak wpływowych przedstawicieli PZPR jak generał Edward Ochab, który w artykule swoim,

ogłoszonym w „Trybunie Ludu” (26. IX. 1953 r.) po moim aresztowaniu, zarzucił mi, że sabotowałem „Porozumienie” i utrudniałem stabilizację na Ziemiach Zachodnich. - Dłuższy czas już obmyślałem formę tego listu. Zamierzałem go ująć w zwykłą formę wyliczenia faktów mej pozytywnej pracy na rzecz „Porozumienia” i stabilizacji na Ziemiach Zachodnich. Brulion takiego listu opracowałem.

Komendant oświadczył, że w tej sprawie porozumie się ze swoimi przełożonymi.

3. XI. 1953, wtorek.

Pan komendant, ponownie pytany o odpowiedź w sprawie listu mojego do Rządu, oświadczył mi, że mogę skierować list do ministra Bidy. Na to dałem odpowiedź, że z pozwolenia tego skorzystać nie mogę ze względów osobistych. Minister Bida jest jednym z głównych organizatorów nienawiści przeciwko mnie. Jego urząd zajmował się ciągle złym usposabianiem do mej osoby ludzi, którzy urząd odwiedzali. Dyrektor Siemek pozwalał sobie na formowanie różnych zarzutów pod moim adresem nawet wobec księży, którzy przychodzili z Sekretariatu Prymasowskiego do biura urzędowo. Nie mam gwarancji, że w takiej atmosferze, jaka tam panuje, moje pismo będzie potraktowane wnikliwie i poważnie. Mogę natomiast wystosować list do pana premiera Bieruta lub do pana wicemarszałka Mazura. Odpowiedź, jaką otrzymałem, brzmiała: „Sprawę przedstawię moim przełożonym”. Dodaję, że mam też obowiązek powiadomić biskupa Klepacza lub biskupa Choromańskiego o sobie. Rad bym kilka słów do nich napisać. Odpowiedź brzmiała jak wyżej.

14. XI. 1953, sobota.

Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni pytałem o odpowiedź na sprawy przeze mnie wniesione. Zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź, że „przełożeni dotychczas nie zajęli stanowiska”. Zrozumiałem, że odpowiedzi nie chcą dać, a ja mam uważać się za człowieka bez praw przysługujących zwykłym więźniom. Słowem - bez wyroku sądowego zostałem skazany na śmierć cywilną i sprowadzony do poziomu „liszeńca”. Z takim stanowiskiem, wydaje mi się, nie powinienem się tak łatwo pogodzić i muszę czynić wszystko, by doszło do wymiany poglądów. Prosiłem pana komendanta, by o tym stanowisku powiadomił przełożonych. Oświadczył, że to uczyni.

17. XI. 1953, wtorek.

Wypłynęła dziś znowu sprawa książek, o które prosiłem 15. X. br. Dotychczas ich nie otrzymałem. Pan komendant prosił o sporządzenie listy książek, gdyż lista uprzednio sporządzona „gdzieś zaginęła”. Wobec czego sporządzam odpis drugi listy z 15. X. jak następuje:

1. Newman, *Apologia pro vita sua*; 2. Święty Grzegorz, *Reguły pasterskie*-, 3. Kardynała Ledóchowskiego - 2 tomy; 4. *Pismo święte*, całość w wydaniu Ojców Jezuitów; 5. Bernardyn ze Sieny, *Opera omnia*, 2 tomy; 6. Dobraczyński, *Święty miecz*; 7. Tenże, *Wybrańcy gwiazd*; 8. Makarenko, *Poemat pedagogiczny*; 9. *Pontificale Episcoporum* (mały); 10. *Annuario Pontificio* 1953; 11. Dąbrowski, *Jezus Chrystus*; 12. *Warszawa* (dzieło najnowsze); 13. *Officium parvum BMV* (polskie, dla siostry); 14. *Brewiarz*, resztę (mam tylko część jesienną); 15. *Codex Iuris Canonici*; 16. *Rituale maius*; 17. *Ceremoniale Episcoporum*; 18. Vermeersch Creusen, *Epithome CJC*; 19. De Herve, *Summa Theologia; Dogm.* (6); 20. *Le Corps Mystique de J.Ch.* - Eklezjologia; 21. Priimmer, *Jus Canonicum*; 22. *Dottrina sociale cattolica* - Zbiór dokumentów Stolicy Apostolskiej; 23. Słowniki: włoski, francuski, angielski, rosyjski; 24. Książki R. Plusa; 25. Umiński, *Historia Kościoła*; 26. Marmion, *Chrystus życiem duszy*; 27. Tenże, *Chrystus w swoich tajemnicach*; 28. *Nowy Testament*, w opracowaniu ks. Eugeniusza Dąbrowskiego; 29. Materiały i przybory piśmienne.

29. XI. 1953, niedziela.

Ponieważ dotychczasowe pytania nie były brane pod uwagę, postanowiłem nie podejmować żadnych kroków, które miałyby na celu moją obronę. *Iacta cogitatum tuum in Dominum, et ipse te enutriet, et dabit Tibi petitiones cordis tui*. Chronić się też będę rozważań na tematy mego stanu obecnego. Jedno *Ave Maris Stella* więcej radości i swobody przynosi niż cała logika samoobrony.

Od dawna już zapadły mi w duszę słowa kardynała Merciera, tak często powtarzane przez Ojca Korniłowicza: „Nie lubię myśleć o tym, co było, ani też głupio marzyć o tym, co będzie, bo to rzecz Boga. Zadanie życia sprowadza się do chwili obecnej”. - *In Te, Domine, speravi, non confundar in aeternum*.

8. XII. 1953, wtorek.

Przez 3 tygodnie przygotowywałem duszę swoją na ten dzień. Idąc za wskazaniem błogosławionego Ludwika Marii Grignon de

Montfort, zawartymi w książce: *O doskonałym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny* - oddałem się dziś przez ręce mej Najlepszej Matki w całkowitą niewolę Chrystusowi Panu. W tym widzę łaskę dnia, że sam Bóg stworzył mi czas na dokonanie tego radosnego dzieła.

Postanowiłem sobie, że pierwszą parafię, którą będę mógł erygować, uczczę tytułem „Bożego Macierzyństwa Maryi”.

AKT OSOBISTEGO ODDANIA SIĘ MATCE NAJŚWIĘTSZEJ (ułożony w Stoczku)

Święta Maryjo, Bogurodzico Dziewico, obieram sobie dzisiaj Ciebie za Panią, Orędowniczkę, Patronkę, Opiekunkę i Matkę moją.

Postanawiam sobie mocno i przyrzekam, że Cię nigdy nie opuszczę, nie powiem i nie uczynię nic przeciwko Tobie. Nie pozwolę nigdy, aby inni cokolwiek czynili, co uwłaczałoby czci Twojej.

Błagam Cię, przyjmij mnie na zawsze za sługę i dziecko swoje. Bądź mi pomocą we wszystkich moich potrzebach duszy i ciała oraz w pracy kapłańskiej dla innych.

Oddaję się Tobie, Maryjo, całkowicie w niewolę, a jako Twój niewolnik poświęcam Ci ciało i duszę moją, dobra wewnętrzne i zewnętrzne, nawet wartość dobrych uczynków moich, zarówno przeszłych jak obecnych i przyszłych, pozostawiając Ci całkowite i zupełne prawo rozporządzania mną i wszystkim bez wyjątku, co do mnie należy, według Twego upodobania, ku większej chwale Boga, w czasie i w wieczności.

Pragnę przez Ciebie, z Tobą, w Tobie i dla Ciebie stać się niewolnikiem całkowitym Syna Twojego, któremu Ty, o Matko, oddaj mnie w niewolę, jak ja Tobie oddałem się w niewolę.

Wszystko, cokolwiek czynić będę, przez Twoje Ręce Niepokalane, Pośredniczko łask wszelkich, oddaję ku chwale Trójcy Świętej - *Soli Deo!*

Maryjo Jasnogórska, nie opuszczaj mnie w pracy codziennej i okaż swe czyste Oblicze w godzinę śmierci mojej. Amen.

Stoczek, 8 grudnia 1953.

17. XII. 1953, czwartek.

Wręczono mi dzisiaj paczkę, wysłaną z domu na święta Bożego Narodzenia. Wszystkie drobiazgi były rozpakowane i starannie prze-

rzane; ciasto i inne spożywcze materiały były też badane, gdyż noszą na sobie ślady wygniecenia i łamania. Wyjęte z pudełek słodczyce bardzo niedbale były ułożone, pokruszone i zgniecione. Zapytałem o list. Komendant odpowiedział, że „widocznie listu nie było, skoro nie został doręczony”. Wyraziłem wątpliwość: „Rodzina moja wie, że bardziej mi zależy na listach od Ojca i wiadomości o tym, co się dzieje w domu, niż na żywności”. Komendant ponowił swoje „widocznie”; mówił to jednak niepewnym głosem, starając się unikać dyskusji. Dotychczas nie otrzymałem odpowiedzi na swój list z 31. X. br. Na pewno list nie został Ojcu doręczony.

22. XII. 1953, wtorek.

Ponieważ dotąd nie otrzymałem żadnego listu od Ojca, postanowiłem dać o sobie znak życia raz jeszcze i wręczyłem dziś panu komendantowi list trzeci, treści następującej:

Najdroższy mój Ojcze!

Do ostatniej chwili odkładałem ten list świąteczny w nadziei, że otrzymam odpowiedź na mój list, napisany 31. X. br. Ponieważ 17. XII. br. otrzymałem z domu paczkę świąteczną bez listu, straciłem więc już nadzieję. Nie chciałem, Drogi Ojcze, by te święta Twoje upłynęły Ci bez widomego znaku mego synowskiego oddania i czci. I dlatego, choć w krótkich słowach, pragnę przesłać Tobie, Drogi Ojcze i całej rodzinie, domownikom, biskupowi Antoniemu i biskupowi Choromańskiemu oraz siostram, wyrazy najgłębszych uczuć, chrześcijańskich życzeń i dary modlitwy. Ufam, że pokój Boży, płynący z Narodzenia Pańskiego, będzie udziałem Waszym, a modlitwa wzajemna stanie się błogostawioną więzią, która nie osłabnie nigdy.

Jestem Ci wdzięczny, Drogi Ojcze, za przysłany opłatek gwiazdkowy oraz za te wszystkie drobiazgi świąteczne, w których jest tyle serca i dobroci, że trudno jest nie przyjąć ich bez wzruszenia. We Mszy świętej uroczystości wigilijnej w szczególny sposób pamiętać będę wszystkim, z którymi wiąże mnie i miłość rodzinna, i łaska, i obowiązek kapłański. Ręce Twoje, Drogi Ojcze, ze czcią całuję i wszystkim błogostawię.

Dnia 22. XII. 1953.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

Komendant list przyjął i oświadczył, że będzie przekazany przełożonym.

24. XII. 1953, czwartek.

Wigilia Bożego Narodzenia. W naszej rodzinie domowej - pogodnie i świątecznie. Wzmacniamy się modlitwą i staramy się o to, by nie pokazywać Ojcu Niebieskiemu i Matce Bożej smutnych twarzy. Tyle dziś radości w niebie i na ziemi; czyż można zamać tę harmonię naszą sprawą? Nasi opiekunowie są poważni, zachowują się bardzo grzecznie i cicho. Wszedł na chwilę pan komendant ze swoimi pytaniami. „Prośby”? - „Nowych nie mam, stare Pan zna”.

Ksiądz Stanisław zajął się przygotowaniem żłóbka w kaplicy. Ale cóż?! Brak mu „Dzieciątka Bożego”. Ja pracuję przy stole, jak zwykle. Około południa zjawia się pan komendant - ponownie. Jest to niezwykle w naszych stosunkach. „Przepraszam, paczuska przyszła, zdaje się od panny Okońskiej”. Wyszedł, zostawiając na stole małe pudełko, odpakowane. Wiedziałem, co jest wewnątrz. To żłóbek dla naszej kaplicy. Miałem dziwne przeczucie, że Dzieciątko Boże trafi do nas jakąś drogą. Trafiło! I radość, i wdzięczność za tę delikatną pociechę.

„Dzieciątko Boże” objawiło się dopiero przy wieczerzy wigilijnej, którą spożywalismy we troje, o godzinie 19. Jak wielka była radość z oczu księdza Stanisława, tego niezwykle rzetelnego, prawego, młodego kapłana, którego doprowadziła do więzienia gorliwość o Boga w duszach dziecięcych!

Listu od Ojca na święta nie otrzymałem, choć trudno mi to sobie wyobrazić, by paczka była wręczona bez listu. Ale tę chęć okazania mi swej przewagi wybaczam swoim opiekunom. Nie zmuszą mnie niczym do tego, bym ich nienawidził.

31. XII. 1953, czwartek.

Ostatni dzień roku. Kościół przygotował nas do spraw doczesnych modlitwą adwentową i przez Boże Narodzenie. Człowiek, który już ma Dzieciątka Boże, może wejść z Nim we wszystkie nasze codzienne sprawy.

Trzy uczucia wyrażamy: uczucie wdzięczności za miłość, za życie, za łaskę uświęcającą - w *Te Deum*; uczucie radości za Matkę - w *Magnificat*; i uczucie skruchy za niedocenione łaski - w *Miserere*. Tym potrójnym uczuciem zamykam rok pełen pracy i wysiłków, niemal przekraczających siły, do ostatniej chwili, przed aresztowaniem.

Przez trzy dni świąteczne urządzaliśmy sobie „wieczór kolęd” przy małej choince, którą wynalazł w ogrodzie ksiądz Stanisław. Przypomnieliśmy sobie przeszło 40 kolęd, śpiewając po 2-3 zwrotki, jedna za drugą. Spędzaliśmy razem całe popołudnie, szukając w śpiewie łączno-

ści z radującym się Kościołem świętym. Posiłki spożywalismy razem. Staraliśmy się urozmaicić je darami, które przyszły z domu. Zaczyna się wśród nas wytwarzać wspólnota spożywcza darów nadesłanych; nie idzie - oczywiście - o ich wartość odżywczą, ile raczej o wyraz wspólnoty z naszymi domownikami.

Ostatni dzień roku nakazuje mi uczynić choćby krótki rachunek sumienia z przewodniej cnoty - miłości. Pragnę być jasny. Mam głębokie poczucie wyrządzonej mi przez Rząd krzywdy. Szczególnie czuję się pokrzywdzony przez pana Mazura, który znał moje szczere wysiłki nad stworzeniem atmosfery spokoju w układaniu stosunku Kościoła i Rządu. Nie mam żalu do prezydenta Bieruta, chociaż uważam, że nie wypełnił swego obowiązku obrony obywatela, wbrew prawu pozbawionego wolności. - Pomimo to nie czuję uczuć nieprzyjaznych do nikogo z tych ludzi. Nie umiałbym zrobić im najmniejszej nawet przykrości. Wydaje mi się, że jestem w pełnej prawdzie, że nadal jestem w miłości, że jestem chrześcijaninem i dzieckiem mojego Kościoła, który nauczył mnie miłować ludzi, i nawet tych, którzy chcą uważać mnie za swego nieprzyjaciela, zamieniać w uczuciach na braci.

Sic volo! Z tym uczuciem mogę zamknąć ten rok, który dziś kona. Człowiek żyje nadal - w obliczu Boga, którego lata się nie liczą.

Wszystko, cokolwiek dobrego i rozumnego było dokonane w umierającym roku, składam w ręce swej Niepokalanej Paniienki Jasno-górskiej, aby oddała Trójcy Świętej - *Soli Deo*.

In vinculis Christi.

Stoczek koło Lidzbarka Warmińskiego, 31. XII. 1953 godz. 20.00;

+ Stefan Kardynał Wyszyński
Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński
i Warszawski
Prymas Polski

Anno Domini 1954

Soli Deo!

Maria duce!

1 stycznia 1954, piątek.

In vinculis Christi - pro Ecclesia. Jakkolwiek mój rok zaczął się z pierwszą niedzielą Adwentu i wszystkie moje wewnętrzne przeżycia wiążę z tą datą, to jednak - żyjąc na tej ziemi i z jej pomocą dochodząc do Boga - pragnę, by wszystko doczesne, co w tej drodze mi towarzyszy, było uświęcone, by specjalny sposób. I dlatego rozpoczynam ten rok, tak dla mnie błogosławiony, w imię Pańskie. Wszak uroczystość Nowego Roku łączy się w Kościele z nadaniem Dzieciątka Bożemu imienia Jezus.

Od rana oddaję wszystko, co mnie w tym roku spotkać może, Matce mojej, Niepokalanej Pani Jasnogórskiej. Pragnę, aby i nadal mnie prowadziła, jak to czyni od mego dzieciństwa. Pragnę, by Jej Oblicze, widniejące na tarczy mego prymasowskiego herbu, nigdy nie straciło swych radosnych świateł, by odbierało cześć należną i przez moje czyny, i przez cierpienia, i przez modlitwy. Odnawiam akt oddania się całkowitego przez Jej ręce przeczyste w niewolę Jej Synowi, którego piastuję na swoich ramionach. Mój Jezus jest jeszcze maleńki. Ale pragnę, by rósł tak, jak ja muszę się umniejszać.

Pragnę zachować *treuga Dei* ze wszystkimi. Odnawiam najlepsze swoje uczucia dla wszystkich ludzi. Dla tych, co mnie teraz otaczają najbliżej. I dla tych dalekich, którym się wydaje, że decydują o moich losach, które są całkowicie w rękach mego Ojca Niebieskiego. Do nikogo nie mam w sercu niechęci, nienawiści czy ducha odwetu. Pragnę się bronić przed tymi uczuciami całym wysiłkiem woli i pomocą łaski Bożej.

Dopiero z takim usposobieniem i z takim uczuciem mam prawo żyć. Bo tylko wtedy życie moje będzie budowało Królestwo Boże na ziemi.

Łączę najlepsze uczucia swoje z Owczarnią Gnieźnieńską i Warszawską - zleconymi mej pieczy przez Chrystusa. Nie mogę im służyć bezpośrednio i dlatego oddaję je szczególnej pieczy -Matki Bożej, by czuwała nad nimi i pozwoliła im dźwigać krzyż swego sieroctwa godnie, lepiej nawet, niż przy mojej najbliższej współpracy.

Ale mogę służyć owczarniom moim modlitwą i cierpieniem, i to chcę uczynić. Dlatego składam w ręce Maryi wszystkie modlitwy całego roku i pragnę, aby z nich jak najwięcej przypadło w udziale moim Księżom Biskupom Sufraganom, wszystkim Kapitułom, Kuriom Archidiecezjalnym, Seminarium Duchownym, całemu Duchowieństwu obydwu archidiecezji, wszystkim Wiernym - pieczy mej zleconym. Codzienna moja modlitwa - za nich.

Dziś doznaliśmy osobliwego „nawiedzenia”. Na samym skraju ogrodu, pod lipami, dotarły do nas jakieś głosy muzyki i śpiewu. Poznajemy, że to śpiew kościelny, chociaż wydawało się, że to radio. Nigdy dotąd nie dotarł do nas żaden żywy, ludzki znak życia religijnego ze świątyni, która przylega do naszego więzienia. Powoli rozróżniamy melodię kolędy: „Pójdźmy wszyscy do stajenki”. Śpiewa lud, towarzyszą organy. Przy bardzo pilnym nadsłuchiowaniu docierają do nas jedynie zrozumiałe słowa: „Coś się narodził tej nocy, byś nas wyrwał z czarta mocy”. Śpiew słaby, odległość znaczna. Nigdy dotychczas nie dotarł do nas żaden śpiew kościelny, choć nieraz słyszemy dzwonek, wzywający na Mszę świętą. Obydwaj promieniejemy. Przecież jesteśmy ludźmi Kościoła. Radością naszą jest służba Boża, modlitwa z ludem; bodaj tej wspólnej modlitwy brak nam najwięcej.

Ten znak wspólnej modlitwy, to największa radość naszego „Bożego Narodzenia”.

Rozpoczyna się rok jubileuszowy, stulecie ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Jubileusz ten już zaczęliśmy przygotowywać przed moim aresztowaniem. Gorącym moim pragnieniem jest, bym mógł się przyczynić do pogłębienia duchowego tych uroczystości przez przygotowanie swoich archidiecezji. Zamierzałem dokonać konsekracji nowej świątyni ku uczczeniu Niepokalanego Poczęcia w Niepokalanowie. Konsekracja była ustalona na 8 września br. Obym dostąpił tej wielkiej łaski!

6.I. 1954, środa.

Dziwna to jest sprawa z tymi Herodami. Gdy przesadzą w swej nienawiści, stają się apostołami sprawy, którą zwalczają. Herod pierwszy uwierzył w „Króla Żydowskiego”. Zrobił Mu potężną propagandę w całej Jerozolimie. Wysłał do Betlejem naprzód Mędrców. Zasadził do Ksiąg Prorocznych uczonych w Piśmie, aby zbadali dobrze, gdzie miał narodzić się Chrystus. Potwierdzili oni nowinę Mędrców. Świat stanął na nogi. Jeszcze Jezus „niemowlęciem”, a już świat herodiański drży. Co będzie, gdy Chrystus urośnie!

Jednak nie trzeba wyrzekać się tych apostołów nienawiści, którzy szukają Boga z nienawiścią w sercu i wszystkim głoszą swoją nienawiść. W nienawiści jest wiara, jest lęk, jest uznanie mocy, jest obawa przed wpływami. Przyjdą ludzie, którzy odrzucą nienawiść i zrozumieją nienawidzonego Boga. Prześladowcy Boga pracują dla Jego chwały.

Niewiara ma swój sens: nie tylko w tym, że ujawnia słabsze mózgi o nędznej pojemności, niezdolne ogarnąć Boga, ale przede wszystkim w tym, że jest zachętą do wysiłku myślowego, do szukania Prawdy, do wnikliwości, niepokoju.

17.I. 1954, niedziela.

Siadła wrona na czole wyniosłej jodły. Spojrzała władczo wokół i wydała okrzyk zwycięstwa. Tej wrzaskliwej zjawie wydaje się prawdziwie, że jodła zawdzięcza jej wszystko: swój byt, wysmukłą piękność, trwałą zieleń, siłę w walce z wichrami. Godny podziwu jest ten tupet wrony. Wielka dobrodziejka stojącej cicho jodły. A jodła ani drgnie; zda się nie dostrzegać wrony; pogrążona w zadumie, wyciąga gałązki

ramion swoich ku niebu. Znosi spokojnie wrzaskliwego gościa. Nic nie zmaci jej myśli, jej powagi, spokoju. Wszak tyle chmur już przeszło nad jej czołem, tyle ptaków przelotnych tu się zatrzymało. - Poszły jak ty pójdziesz. Nie twoje to miejsce, nie czujesz się pewna i dlatego krzykiem nadrabiasz brak męstwa. To ja wyrosłam z ziemi i trwam korzeniami w jej sercu. A ty, wędrowna chmuro, co rzucasz cię smutku na złociste me czoło, jesteś igraszką wicherów. Trzeba cię spokojnie wycierpieć. Wykraczesz swoją nudną, bezduszną, jakże ubogą pieśń - i odpłyniesz. Cóż zdołasz krzykiem zdziałać? Ja pozostanę, by trwać w skupieniu, by budować swoją cierpliwością, by przetrwać wichry i naloty, by spokojnie piąć się wzwyż. Słońca mi nie przysłonisz, sobą nie zachwycisz, celu mej wspinaczki nie zmienisz. Był las, nie było was - i nie będzie was, będzie las. Bajka? Nie bajka!

18.1. 1954, poniedziałek.

„By nikt nie myślał...” żeś Ojciec surowy, żeś pochopny do wydawania wyroków, by nikt Ciebie, Ojcze, nie krzywdził zarzutami z mego powodu - oświadczam Ci, że wszystko, cokolwiek uczynił, sprawiedliwym sądem uczyniłeś. Któż lepiej to wiedzieć może, jeśli nie Ty i ja? - Komuż trudniej przyznać słuszność, jak nie doświadczonemu cierpieniem? Jak bardzo usprawiedliwiał się Hiob z zarzutów mu stawianych przez przyjaciół! A jednak dobrowolnie, świadomie przyznać Ci muszę, że wszystkie drogi Twoje - miłosierdzie i prawda! Cierpienie rozpływa się w doznanej miłości. Kara przestaje być odwetem, bo jest lekarstwem, podanym z ojcowską delikatnością. Smutek dręczący duszę jest orką na ugorze, pod nowy zasiew. Samotność jest oglądaniem z bliska Ciebie. Złośliwość ludzka jest szkołą milczenia i pokory. Oddalenie od pracy jest wzrostem gorliwości i oddaniem serca. Więzienna cela jest prawdą, że nie mamy tu mieszkania stałego... By więc nikt nie myślał źle o Tobie, Ojcze, by nikt nie śmiał Cię ukrzywdzić zarzutem surowości - boś dobry, bo na wieki miłosierdzie Twoje.

19.1. 1954, wtorek.

W ciągu ostatnich tygodni stosunek mój do moich opiekunów wyczerpywał się w zwięzłych słowach: zdrowie bez zmian; życzenia bez zmian. Dziś w rozmowie z panem komendantem padły te same

zwięzłe słowa. - Listu od Ojca nie mam od trzech miesięcy; na drugi i trzeci mój list nie otrzymałem odpowiedzi. Postanowiłem dziś nawiązać do tej sprawy. Komendant raz jeszcze zasłonił się przełożonymi: „Nie mam odpowiedzi”. - „Słyszałem to już tyle razy od Pana. Proszę Pana, czytałem w tych dniach «Kronikę Thietmara». Zastanowił mnie wypadek z Ottonem II, który zetknął się ze spiskowcem na swoje życie. Darowano mu występki na jedną prośbę. To był feudał, z których panowie tak się gorszycie. A ja nie jestem spiskowcem, ale nie mogę uzyskać od was jednego - odpowiedzi na moje pytania. To ma być postęp? Po tysiącu lat? I wy macie odwagę natrząsać się z feudałów?! Chcecie przekonywać do demokracji pastwieniem się nad ludźmi?! Zresztą, jeśli wam to potrzebne, to macie mnie. Ale czemu się pastwicie nad moim Ojcem, staruszkiem? Cóż wam winien? To jest nieludzkie, to nie jest postęp. I to czynią ludzie, którzy sami tyle nasiedzieli się w więzieniach i niczego się nie nauczyli. Gdy się to poznało, trzeba inaczej Polskę urządzić. To nie przekonywuje”. - Komendant zaczął się cofać do drzwi, powtarzając: „Jeszcze raz zwrócę się do przełożonych”. - Pożegnaliśmy się jak zwykle. Notuję tę rozmowę na świadectwo, gdyby chciano inaczej ją oceniać.

25.1. 1954, poniedziałek.

Gdy czytam słowa świętego Pawła: „Wybrał Bóg to, co u świata głupie, aby zawstydić, co mądre” (1 Kor 1,27), wydaje mi się, że życie Apostoła zaprzeczyło im. Ale gdy pomyślę o sobie, przyznaję mu słuszność. Bóg ma prawo posługiwać się lichymi narzędziami, by okazała się moc prawdy i łaski Bożej. Chcę przyznać rację wszystkim, którzy uważają mnie za człowieka nieudolnego i ograniczonego, gdyż nie chcę przeczyć Bogu. Przecież ci, co tak myślą o mnie, też przyznają rację Duchowi Świętemu, który natchnął Pawłowe słowa. A więc dają świadectwo Prawdzie. A przecież o to idzie: byleby Chrystus był przepowiadany.

26.1. 1954, wtorek.

Quae utilitas... Jedną przynajmniej można łatwo dostrzec korzyść, jeden grzech mniej. Ci wszyscy, którzy zazdrościli mi tzw. „kariery”, już nie zazdroszczą, gdyż „kariery” zazwyczaj chodzą hiobowymi serpentynami. Bo na pewno dziś nie chcą siedzieć „po prawicy i po

lewicy mojej", chociaż pokoje są wolne. Kariera w Kościele wymaga gotowości, by pójść z Chrystusem i na krzyż, i do więzienia. A choćby to się nie udało, jak Piotrowi, jednak przez to doświadczenie przejść trzeba... Odpada więc wielka liczba zazdrosnych. Wprawdzie nie wszyscy, gdyż w Kościele nigdy nie brakło ludzi gotowych na cierpienie. I ci nie przestali mi zazdrościć, ale ich zazdrość nie jest grzechem.

A jest i ta wielka korzyść, że Oblubienice moje - Gnieźnieńska i Warszawska - odpoczną sobie od tak niefortunnego oblubieńca, który bardziej siebie miłował, niż zaślubione przez Kościół. Ileż udręki można sprawić Kościołowi, gdy człowiek dopiero uczy się „rządzenia i służenia”, gdy już dawno powinien był tę sztukę posiadać. Ale któż zna drogi Boże? Kto z nas wie, kiedy mu powiedzą: „Oto ja posyłam ciebie...” Gdy przyjdzie czas, wszystko nie jest gotowe. „A przecież Ojcu świętemu się nie odmawia”. Idzie więc biedny skazaniec do winnicy Pańskiej, licząc jedynie na pomoc łaski stanu. Gdyby przynajmniej nie zawiodła pamięć, że trzeba zawsze pokornie oglądać się na Boga. Niestety, tak łatwo jest zapomnieć, „skąd człowiek wypadł”. Niech więc odpocznie sobie *Sponsa Gnesnensis et Sponsa Varsaviensis*, tak fatalnie zaślubione słudze nieużytecznemu.

2. II. 1954, wtorek.

Upłynęło dziś pięć lat, gdy wczesnym dniem wyruszyłem z Trze meszna „szlakiem świętego Wojciecha”, by objąć w posiadanie stolicę prymasowską w Gnieźnie. Był dzień mroźny i śnieżysty - jak dziś. Pod miastem rozpromieniało słońce. Wspomnienie tych pięciu lat pracy każe mi podziękować Bogu za niezwykle zaszczyt, jakiego doznałem od Dawcy wszelkiej pracy i posłannictwa. Byłem pełen lęku wtedy, jak dziś jestem pełen zawstydzienia, że tak niegodnie i nieudolnie pracowałem. Gorliwość i ogrom pracy niekiedy padały swym ciężarem na wartość tej pracy. O ile od strony gorliwości nie mam sobie wiele do wyrzucenia, to jednak ciężar gatunkowy tej pracy bardzo nie dopisał. Pomimo poczucia winy, czegoś niepełnego, myślę o tym, co już minęło, z ulgą. Bo jednak to było niesłychanie ciężkie. Bodaj dopiero teraz, w swoim obozie izolacyjnym, mam chwilę oddechu, który tak trudno było schwytać w ciągu tych pięciu lat. Ponieważ kończę je w więzieniu, ufam, że Miłosierny Bóg policzy mi te miesiące jako zadośćuczynienie za winy, którymi zawiodłem Jego plany. Nie przestaję ufać, że Najwyższy Pasterz dusz ludzkich pozwoli mi lepiej służyć Mu, „gdy ustanie nieprawość”. I dlatego dzień ten spędzam w modlitwie „za Gniezno”, za stolicę Wojciechowa, za stolicę „Bogurodzicy Dziewicy, Bogiem sławionej Maryi”. Jej oddaję całą troskę swoją

i proszę: *dignare me laudare Te, Virgo sacrata*. Pozwól mi budować Kościół Syna Twego, pozwól przygotować diecezję Twoją i Bazylikę na wielki jubileusz Narodu - na tysiąclecie łaski Chrztu świętego.

Dziś też dotarło do nas posłannictwo z pobliskiego kościółka, jakiego nie mieliśmy od 1 stycznia. Widocznie święcono dzień odpustem, bo wczoraj był dzwonek - jakby na nieszpory, a dziś - kilkakrotnie. Dotarły do nas końcowe słowa pieśni: „Zdrowaś, Zdrowaś Maryjo” - i nic więcej. Jak to wiele dla więźniów. Ileż radości...

7. II. 1954, niedziela.

Pytał ongiś Piotr: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą; cóż nam tedy będzie?” Jezus zapowiedział: „Stokroć tyle weźmiecie...” (Mt 19). Potem Piotr był i w więzieniu, i na arenie cyrkowej, i na krzyżu... To już był początek wypłaty. - Michał Anioł na freskach Kaplicy Paulińskiej przedstawił swym pędzlem - jakby pisał testament swego życia - jak Piotr był szczęśliwy z tej zaliczki Bożej na wypłatę „w odrodzeniu”. - Skoro Bóg już dziś wypłaca mi zaliczkę, to dowód, że chce widzieć mnie „w odrodzeniu”. Nie pytam więc: cóż mi tedy będzie? Już „mi” jest. Nie umiem radować się tak, jak Piotr na krzyżu, ale zaliczkę przyjmuję - reszta przyjdzie prędzej, skoro już Bóg zaczął wypłacać.

22. II. 1954, poniedziałek.

Ósmy „sakrament” z życia Kościoła - to męczeństwo. Chrystus sam go uświęcił, gdy nazwał błogosławionymi tych, których prześladować będą. - A śmierć męczeńska Chrystusa, którego teologowie nazywają „Wielkim Sakramentem”, czyż nie jest zbawczym momentem pierwszego udzielenia tego Sakramentu? Ósmy? Czy raczej nie pierwszy?

4. III. 1954, czwartek.

Wynikła znowu sprawa książek, o które prosiłem w październiku ub. roku. Dotąd mi ich nie doręczono. Pytałem, czy nie posiadają mojego brewiarza, gdyż potrzebna mi jest część wiosenna. Komendant

oświadczył, że wszystko, co otrzymują, jest mi przekazywane, nie więcej nie posiadają. Zresztą, „może tam gdzieś co leży” - dodał komendant. Wkrótce zgłosił się do księdza tzw. kierownik i poprosił o sporządzenie spisu książek posiadanych i tych, o które prosiłem w październiku. Ksiądz wyjaśnił, że już raz był wręczony odpis spisu - w listopadzie. Kierownik wyraził przypuszczenie, że widocznie to gdzieś zaginęło. Wobec tego sporządziliśmy trzeci odpis książek, o które prosiłem 15. X. 1953 r., jak również spis książek doręczonych. Widocznie ci panowie magazynują moje rzeczy, a dziś pomieszało się im wszystko, co otrzymali i co pozostało. A ponieważ nie zdradzają biegłości orientacyjnej „w drukach”, więc wolą mieć czarno na białym.

Ksiądz Stanisław doręczył obie listy kierownikowi. Jakoż kierownik zjawił się wkrótce ponownie u księdza Stanisława i przyniósł mu wiosenną część mojego brewiarza, w czerwonej oprawie, z obrazkami, które tam były. Wielka to radość znowu mieć własny brewiarz.

Idę przez swoje życie kapłańskie pełen nędzy, słabości i ran, otrzymanych po drodze. Prawdziwie - „robak a nie człowiek”. Wszyscy mają prawo podziwiać całą nieudolność moją. A jednak idąc, sprawuję swoje posłannictwo kapłańskie. Nędza moja nie przeszkadza mi - dla Bożego miłosierdzia - usłużyć ludziom dobrami, które świat ma najcenniejsze. Tak szedł Chrystus, wzgarda pospólstwa - aż po dzień dzisiejszy. Obszarpany, pobity, ubrudzony w błocie ulicznym, oplwany. A jednak to On zbawiał świat... I zbawił go, choć świat narząsał się ze swego Zbawcy. Jak te dwie drogi idą blisko siebie. Nieudolność moją dźwiga łaska sakramentalna; nieudolność Jezusa dźwiga Bóstwo Jego... Niech się świat śmieje, byle dzieło zbawienia było wykonane.

10. III. 1954, środa.

Człowiek, na szczęście, nie ma takiej władzy, by położyć kres bezwzględny i nieprzekraczalny najbardziej istotnemu przymiotowi Boga - miłości. Gdybyż mógł związać łańcuchami miłość i przebaczenie Wszechmocnego! Na szczęście, Bóg w sprawowaniu swego miłosierdzia zależy tylko od siebie samego. Jego prawo łaski jest prawem królewskim i bez odwołania. Przebacza, gdyż chce - dla chwały swojej, powodowany swoją dobrocią.

18. HI 1954, czwartek.

Otrzymałem dziś część książek, podanych na liście z 4. III. br., oraz sutannę, o którą nie prosiłem. Święty Józef, ku czci którego dziś ukończyliśmy nowennę, wsparł nas swoją dobrocią. Książki bardzo się przyczynią do rozwinięcia możliwości pracy naukowej, w granicach bardzo skromnych naszego bytowania.

19. III 1954, piątek.

Idziemy za natchnieniem brewiarza. Responsorium po pierwszej lekcji Matutinum głosi: *Fuit Dominus cum Joseph, et dedit eigratiam in conspectu principis carceris: Qui tradidit in manu illius universos vinctos (Gen 39,21)*. Nie bez przyczyny Józef egipski jest wspaniałym tłem, na którym wyraziście występuje Józef nazaretański. Wprawdzie święty Cieśla nigdy nie siedział w więzieniu, ale ochronił od udręk Herodowych Syna Bożego. Był Mu opiekunem w Egipcie, jak święty Patriarcha - Więzień - niósł pomoc swoim współwięźniom: „Cokolwiek się działo (w więzieniu), pod nim było” - mówi natchniony dziejopis *Genezy*. Gdy wczytujemy się w te słowa, wstępuje otucha w serca - z Ducha Świętego. Napełniła ona serca braci kapłańskiej w Dachau; wołali do świętego Józefa i przyszedł im z pomocą, właśnie w okresie uroczystości Opieki świętego Józefa. Pośpieszyli więc do Kolegiaty Kaliskiej, by dziękować za cudowne ocalenie i wyzwolenie. Jak skuteczna jest pomoc świętego Józefa w walce z więzami duszy, w wyzwaniu z niewoli grzechu, wiedzą o tym wszyscy prowadzący pracę duszpasterską, misyjną, rekolekcyjną. Opiekun Kościoła świętego, walczącego „kluczem Dawidowym” (*O, Clavis David... qui aperis et nemo claudit... veni et educ vinctum de domo carceris - 20 grudnia*), jest opiekunem każdej duszy, która czeka na zbawczy ruch tego klucza.

24. III. 1954, środa.

Spotkanie Serc... Przełomowe to zdarzenie miało miejsce w Nazarecie, gdy Maryja wyrzekła: „Oto Ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego”. Serce Wieczyste spoczęło pod Sercem Niepokalanym, przeczystym. Bóg przyniósł swoje Serce, Bóg doznał serca. Serce Boże ogarnęło serce człowieka, człowiek otworzył serce swoje i przyjął Boga. Serce serc jest głębiną nawet dla serca Łaski pełnej. Współżycie dwojga Serc- Stwórcy i stworzenia. Bóg -

szczepem, człowiek - latoroślą. Ale jest tu stosunek szczególny: Serce Jezusa, czerpiące z Serca Słowa, przekazuje bezpośrednio głębie miłości, wzięte z Istoty Bóstwa - człowiekowi. Ale to Serce Boga Człowieka, związane z życiem Maryi, odżywia się Jej krwią. Serce Maryi pracuje dla Serca Jezusa. To Serce Maryi, tak niezwykle ubogacone, przynosi Sercu Jezusa to wszystko, co Niepokalana Matka może wziąć z miłości najczystszej, by dać swemu Dziecięciu. Jak podobiznę matki najwierniej spostrzegamy w obliczu dziecka, tak w Jezusie widzimy właściwości duchowe Serca Jego Matki. Jakże Maryja była zawsze gotowa i rychła do każdej posługi: odpowiedź dana aniołowi, nawiedzenie Elżbiety, Kana, Kalwaria - wszystko to zadziwia szybkością decyzji i pośpiechem w niesieniu pomocy i służby. Tak mówi Chrystus: „Ja przyjdę i uzdrowię go”. Młodzieniec z Naim, Łazarz, Zacheusz, świekra Piotrowa, córka Jaira, ślepiec z Jerycho, człowiek z uschlą ręką - to rysy gotowości Chrystusowej na posługę ludzką. Serce Maryi odbiło się w Sercu Jezusa. Odtąd te dwa Serca, ze sobą zespolone, będą na służbie człowieka, „co wpadł między zbójców”.

25. III. 1954, czwartek.

Benigne fac Domine - pw voluntate Tua (Ps 50). Znam Twoje dłonie ojcowskie: wszak ręce Twoje ukształtowały mnie. Odciski palców Twoich czuję na sobie. Spłynęło z nich na mnie samo tylko dobro. A jednak „Palec Boży” mnie niepokoi, chociaż dotykasz nim zwyczaj przez miłość. Korzę się przed Twoim palcem i lękam się, bym nie spłonął od „ognia pożerającego”, którym jesteś. Zbyt wiele jeszcze we mnie materiału do spalenia. O, gdybym już był duchem! Twój ogień oczyszczający nie strawiłby go, jak trawi wszystko inne. *Benigne fac* - patrz, jak jestem słaby, bezsilny, jak boję się podmuchów Twego Wichry. Gdy przechodzisz, „ziemia drży”. Cóż dziwnego, że ziemia mego ciała pełna lęku. *Benigne fac* - jak ojciec, który z lękiem bierze niemowlę po raz pierwszy w swoje ręce. Czyż wtedy matka nie lęka się 0 dziecię, gdy jest w twardych rękach ojca? Przynajmniej Ty, Matko Najlepsza Jedyne Syna Bożego, czuwaj nad dłońmi Ojca Niebieskiego, gdy bierze mnie „w swoje obroty”. Czuwaj i osłaniaj. *Benigne fac* - kruchym jestem naczyniem, a Tyś Mocarz, który miota konstelacjami gwiazd jak kręglami. Prawda, że dla Twej dłoni pyłek i planeta tyleż znaczą; jesteś Stwórcą i jednego, i drugiego. Wszystko w dłoniach swoich zważyłeś. Czemu jeszcze się lękam?

Benigne fac - ufam, ale proszę o Twoją delikatną dłoń. A najlepiej, oddaj mnie Matce mojej, jak oddałeś Jej własnego Jednorodzonego Syna. Wszak cała Jej dobroć - z Twojej!

S. IV. 1954, czwartek.

Dziś pan komendant wszczął rozmowę na temat stanu mego zdrowia. Wyjaśniłem, że objawy, które mnie niepokoją w ciągu całej zimy, nie ustąpiły całkowicie. Widocznie zaziębiłem nerki w ciągu drogi z Rywałdu do Stoczka, a później doziębiłem się w mieszkaniu, które od podłogi mocno ciągnie wilgocią parteru. Pan komendant stanął na stanowisku, że powinna być komisja lekarska. Zapytałem, czy mogę wiedzieć, kto **będzie** należeć do komisji, gdyż na komisję anonimową nie mogę się zgodzić. Pan komendant w tej chwili nie może mi dać odpowiedzi, ale porozumie się ze swoimi przełożonymi. Przy czym poruszył sprawę odpowiedzialności za zdrowie; zdaniem pana komendanta odpowiedzialność za stan ponoszę całkowicie ja. Przeciwko takiemu ujmowaniu sprawy zaprotestowałem: gdybym żył w warunkach wolności i dysponowania swoimi środkami - to tak, ale gdy jestem niewolnikiem, pozbawionym wszelkich praw, to odpowiedzialność za stan mego zdrowia ponosi Rząd. Oświadczam przy tym, że wcale mi nie zależy na tym, aby społeczeństwo przerzuciło odpowiedzialność za moją katastrofę „na was”. Pan komendant nie podzielał tego stanowiska; mówił, że w XX wieku człowiek ma prawa. „Ubolewam - odpowiadam - że w XX wieku może mieć miejsce takie bezprawie, jakiego jestem ofiarą. Jest to rzecz niesłychana, żeby obejść się z obywatelem tak, jak Władze obeszły się ze mną, wyrzucając mnie w nocy niemal z łóżka i pozbawiając wszelkich praw. Bo właściwie, jakie ja mam prawa”?

Pan komendant oświadcza, że mam „prawo do leczenia się”. A o innych sprawach gotów jest mówić później, tym bardziej że już mówił, że mogę pisać do ministra Bidy i przedłożyć swoje stanowisko. Przypominam, że Jestem pozbawiony prawa pisania listów, nawet do Ojca. A mówiłem i o tym, że chcę napisać do biskupa Klepacza i biskupa Choromańskiego. Na dwa listy wysłane do Ojca nie mam odpowiedzi. Do archiwum nie mam zamiaru pisać. Postępowanie Rządu uważam za pogwałcenie praw”. Pan komendant oświadczył, że Rząd nie czyni tajemnicy przed społeczeństwem z tego, co się ze mną dzieje, że „cały Naród wie, iż jestem w klasztorze”.

Raz jeszcze daję wyraz swemu ubolewaniu z powodu postępowania Rządu. Wiadomo jest Rządowi, a zwłaszcza księżom biskupom i panu Mazurowi, ile wysiłku włożyłem w to, aby doszło do „Porozumienia” między Rządem a Kościołem, i to od pierwszej chwili objęcia stolicy gnieźnieńskiej i warszawskiej. Po tylu wysiłkach - nie zasłużyłem sobie na takie potraktowanie mnie. Pan komendant nawiązuje znów do odpowiedzialności mojej za zdrowie: „Ksiądz jest doktorem i człowiekiem wykształconym, to wie...” - „Mój doktorat dotyczy innej specjalności”. Wyrażam zgodę na komisję lekarską;

„Proszę przedstawić mi nazwiska, a ja zdecyduję, czy poprzestaną na niej, czy też poproszę o dołączenie mojego lekarza”.

Pan komendant nawiązuje jeszcze do drugiej sprawy - mego pisma do Rządu. Przedłożył tę sprawę swoim przełożonym i gotów jest na ten temat przeprowadzić później rozmowę. Oświadczam, że przed ewentualnym listem do Rządu musiałbym otrzymać odpis decyzji Rządu z września ub. roku, gdyż dotychczas mi nie doręczono odpisu. Jeszcze jest sprawa stosunku nas dwóch: „Zmuszony jestem patrzeć na Pana jako na przedstawiciela krzywdzącego mnie Rządu. Nic dziwnego, że mój stosunek do Pana nie może być przyjemny, chociaż nie chcę, by Pan uważał go za osobiście wrogi. Muszę walczyć o swe prawa, a Pan zaśłania mi kontakt z Rządem”. - Pan komendant jest zdania, że „słusznie”.

9. IV. 1954, piątek.

Kilka uwag dotyczących naszego bytowania. Zima w Stoczku dała się nam porządnie we znaki. Naprzód wichry, które biły w nasze okienka, gwałtowne i niemal ciągłe, dają nam zrozumieć, dlaczego tak okazały dom wybudowano z tak małymi oknami. Zamiecie śnieżne niosły całe zaspy śniegu pod dom; bardzo często rankiem nie mogliśmy wydobyć się na ogród. Weszło już w zwyczaj, że musieliśmy odgarniać śnieg ze schodów werandy i ze ścieżki podokiennej. Tego przykładu naszego nikt nie naśladował. Raz tylko jeden z dozorców przejechał się szuflą po ścieżce. Jeden z nich starał się odmiatać schody od czasu do czasu. Inny przygotował łopatę z drzewa tak ciężkiego, że nie można było nią operować. Wobec tego poprzestaliśmy na naszych narzędziach: starej gracy ogrodowej i zwykłej desce, które służyły nam za szufle do odgarniania śniegu. Udało nam się utrzymać porządek w ogrodzie, gdyż wszystkie uliczki stały się dostępne dla przechadzek. Jednak praca ta była bardzo ciężka. Zauważyłem, że ksiądz męczył się szybciej niż ja. Może dlatego, że nie miał wprawy do takiej pracy. Dla nas obydwo była to pożądana rozrywka, o znaczeniu zdrowotnym.

Gorzej przedstawiała się sytuacja w domu. Stary budynek posiadał system ogrzewania bardzo zastarzały. Piece były zrujnowane i wypalone; kanary położone poziomo. Opalenie węglem doprowadzało do tego, że kanały bardzo szybko zapychały się sadzami. Dość często nasi dozorczy musieli bawić się w zdunów. W tej dziedzinie okazywali więcej gorliwości. Zwłaszcza tzw. „Mo”, starszy pan, zdejmował swój mundur i zanurzał ręce po ramiona w kanały, by wygarniać z nich sterty sadzy. Działo się to kilka razy w ciągu zimy. Piece dymiły z zasady; u siostry nie można było wcale palić, przesiedziało niemal całą zimę w pokoju nieogrzewanym. Podobnie piec księ-

dza był nie do użytku. Piece w moim pokoju były najlepsze, ale nie wystarczały na ogrzanie. Trzeba było palić dwa razy. Pomimo to mieszkanie było tak zimne, że praca przy stole była niemalże niemożliwa. Niesamowicie marzły ręce i nogi. Nie pomogło nawet owijanie się pledem. Podobne kłopoty były w łazience, gdzie stary piec nie dawał się rozpalić; dymił na cały dom, pomimo wielokrotnego czyszczenia. Przez długi czas trzeba się było myć w zimnej łazience. Dokuczał nam również brak wody; stary motor ciągnący wodę często odmawiał posłuszeństwa. Byliśmy dość często bez wody, którą trzeba było przynosić z dołu. W końcu cały ten system zamarzył na kość. Podziwialiśmy sterty lodu, które wyrąbano z pokojów pod nami. Mieszkaliśmy nad lodowniami. Pokoje na dole nie były ogrzewane, natomiast były fantastycznie zagrzybione. Nikt nie dbał o to, by je ogrzać. Wszystkie korytarze pokryte były na ścianach białym szronem i zamrozem. Biedni dozorczy siedzieli w kozuchach i ciężkich butach. Męczyli się jeszcze bardziej niż my. Miny im posępniały.

W takich warunkach zacząłem odczuwać różne dolegliwości. Nóg nie mogłem rozgrzać nawet w ciągu nocy. Ręce mi popuchły. Podobnie oczy mi zapuchły. Odczuwałem wielki ból w okolicy nerek i w całej jamie brzusznej. Każdego dnia przechodziłem bóle głowy. Siostra była stale zakatarzona, błada i wynędzniała. Ksiądz cierpiał bodaj najwięcej. Dostawał dość często ataków wątrobianych i innych przypadłości. Lekarze oceniali to jako chorobę trzustki. Kilka dni przeleżał w łóżku, mocno zaziębiony. Najodporniejsza z nas była siostra, pomimo ciężkiej pracy, która na nią spadała. Musiała palić co dzień w łazience i w pięciu piecach, w których bardzo trudno było rozpalić. Nadto spadał na nią obowiązek przyniesienia sobie węgla z dołu i wyniesienia popiołu. Najgorzej dokuczało jej pranie, które musiało być częste, gdyż moi towarzysze nie mieli bielizny. Nie było jej gdzie suszyć. Kobięca pedanteria skłaniała siostrę do częstego froterowania długiego korytarza, schodów itp. Udało mi się nieraz powstrzymać ją od froterowania mego pokoju; siostra jednak zawsze zdołała upatrzeć taki moment, gdy byłem w ogrodzie, i wtedy dawała folę potrzebie swego serca. Utrzymanie porządku nie było łatwe, gdyż stare deski podłóg były w ruchu, wydając mnóstwo kurzu. Trudno jest jednak przekonać kobietę, by posłuchała. Takich kłopotów, zrodzonych ze „świętego uporu” naszej siostry, było bardzo wiele. Mogła nie jeść, nie spać, nie modlić się - ale froterować musiała. Może w tej pracy znajdowała ucieczkę przed rozmyślaniami.

12. IV. 1954, poniedziałek.

Po wyrażeniu zgody na komisję lekarską, pan komendant zgłosił dziś, że z ramienia Rządu przybędzie lekarz, dr Wesołowski z Warszawy. Wobec czego zgłosiłem dwóch swoich - do wyboru: doktora

Zero lub doktora Wąsowicza z Warszawy, według adresu udzielonego na Miodowej. Pan komendant oświadczył, że moje życzenie przekaże do wiadomości przełożonych.

13 - 14. IV. 1954, wtorek - środa.

W naszej kapliczce odprawiliśmy sobie we troje małe rekolekcje przed uroczystością wielkanocną. Rozważania były osnute na tle Tomasza a Kempis *O naśladowaniu*. Myślą przewodnią była ascetyka więzienia jako nadzwyczajnego środka stosowanego przez Opatrzność do uświęcenia ludzi od początków chrześcijaństwa. Chrześcijanie zaczęli „karierę” więźniów bardzo wcześnie, bo od czasów pierwszych kazań świętego Piotra Apostoła w Jerozolimie. Opatrzność Boża dopuściła nawet szczególnie okres w dziejach Kościoła - trzywiekowy okres więzień, katakumb i publicznych egzekucji. Ten okres jest do dziś natchnieniem dla wszystkich, których Bóg zaszczycił cierpieniem dla Imienia swego.

75. IV. 1954, Wielki Czwartek.

Wielki Czwartek w naszej kaplicy spędziliśmy z prawdziwie bazylikowym przepychem. Śpiewałem po raz pierwszy Mszę świętą przy *schola cantorum*, złożonej z księdza i siostry. Pomyłki Bóg wybaczy. Sercem i myślą jestem w Archikatedrze, wśród duchowieństwa i wiernych. Modlę się o to, by mój zastępca przy ołtarzu, przy konsekracji olejów i przy *mandatum*, czynił to lepiej niż ja; by obdzierał kapłanów Ciałem Chrystusa, wszczepiając w nich ducha jedności diecezjalnej; by tak całował nogi ubogich, jak to czyniłem, z całkowitym oddaniem się tej czynności, tak wspaniałej a tak trudnej do wykonania jej po chrześcijańsku. Bo całować ma serce, a nie usta.

Otrzymałem dziś dalszą część książek z domu według listy z 4. III. br. Wśród nich była zimowa część brewiarza. Brak mi dotąd letniej.

Tylko Bóg jeden ocenia w całej prawdzie wszystko, co ludzi na ziemi spotyka. Niedole ludzkie są często oceniane przez przyzmat „przyjaciół Hioba”. Widzą w nich albo niezaradność i nieudolność, albo wymierzoną karę, jakże zazwyczaj sprawiedliwą, albo nakaz społeczny, dobro publiczne, lub też chwałę Bożą. Cała ta ludzka galeria widzów zazwyczaj jest w błędzie, bo widzi jednostronnie. Bóg i Jego Hiob

porozumiewają się najprędzej i w całej prawdzie. Bo każdy Hiob, wcześniej czy później, uznaje swoją winę wobec Boga, często w tym, co „galeria” uważa za cnotę Hioba. „Któż z nas jest bez grzechu?” - „któż zdoła wyrozumieć winy?” - Ale na tym odcinku porozumienie przychodzi między Bogiem a Hiobem bardzo szybko, choćby wypadło Hiobowi długo pracować nad pokonaniem skutków swoich win. Cierpienie osobiste nigdy jednak nie zamyka się w sercu i życiu Hioba. Bo cierpienie to, widziane oczyma „galerii”, jest często świadectwem Bogu i Jego zamiarem. Gdy „galeria” nie zna przyczyny cierpienia, odpowiada: „Bóg tak chce” - „dla chwały Bożej”. Tak ocenia się cierpienia ludzi świętych, prześladowanych dla sprawiedliwości, idealistów, bohaterów Kościoła i jego męczenników.

To pewne, że w każdym doświadczeniu, które spotyka człowieka, jest cały splot przyczyn. Bóg oczyszcza swego sługę, zaprasza go, by posiadał się wyżej; czyni zeń narzędzie ostrzeżenia dla innych; wymierza sprawiedliwość prześladowcom; ukazuje wierność sługi swego Bogu, nawet w przeciwnościach; przymnaża chwałę Kościołowi; pomnaża swoje błogosławieństwa. Tylko Bóg może załatwić wiele spraw w jednym akcie cierpienia. To, co w oczach ludzkich jest tylko winą, w oczach Bożych jest chwałą. Tylko Bóg w swej dobroci zdoła tak wymierzać swoją karę, by dotknięty pozyskał chwałę *coram hominibus*. Wielkość miłosierdzia Bożego jest nieogarniona.

17. IV 1954, Wielka Sobota.

Po rannej Mszy świętej zapanował u nas stan świąteczny. Przygotowaliśmy się wczoraj, spędzając większość czasu na modlitwie w kaplicy. Dziś o godzinie 18.00 przyszedł komendant i przyniósł dwie wielkie paczki nadesłane z Miodowej oraz list od Ojca. List nosi datę 3. IV. 1954 r. i jest w 3 miejscach powycinany i posklejany. Zapytałem pana komendanta, co to ma znaczyć. Odpowiedział: „Wycięte nie jest dozwolone wiedzieć”. Wygląda to, jak gdyby ktoś żywcem wyciął z człowieka to, co najcenniejsze, co najbardziej upragnione. Resztki listu brzmią:

Synu mój Ukochany! [Wycięte]. Myślami jesteście zawsze z Tobą, a modlitwy nasze płyną ustawicznie do stóp Pana za Ciebie i o Ciebie. Koją one nasz smutek i serca, lecz w miarę upływu czasu niepokój narasta i coraz trudniej go zwalczać. Ufamy jednak gorąco Bogu, że ma Cię w swej najlepszej opiece, że darzy Cię zdrowiem i spokojem, a w dzień Zmartwychwstania Chrystusa Pana życzymy Ci z serca całego, byś wrócił. [Wycięte]. U nas wszystko dobrze, jesteśmy zdrowi

i żyjemy spokojnie. Przesyłamy Ci najserdeczniejsze pozdrowienia, polecamy Cię opiece Matki Najświętszej. [Wycięte]. Oddany Ci sercem całym ojciec.

Zalesie, dnia 3. IV. 1954 r.

S. Wyszyński.

Do paczek dołączone były m.in. lekarstwa, które zostały skonfiskowane: nieco jodyny, plaster do ran, aspiryna, penicylina w tabletkach, coramina, cibalgina, bandaż, wata, wazelina. Nieraz już odczuwaliśmy wielki brak tych prostych środków lekarskich. Odrobina leków, które przysłano mi zaraz na początku, kończyła się. Nasi dozorczy nie posiadali nic. Trudno było uprosić kroplę jodyny; trwało to zazwyczaj całe dni, zanim nam dostarczono jaki proszek od bólu głowy. Pomimo to, choć znali swoją niezaradność, nie pozwolili na posiadanie tej odrobiny środków. Widocznie chcieli mieć kontrolę nad każdą, najdrobniejszą dolegliwością. Pozostawało więc milczeć. Tym więcej, że ujawnianie cierpień nie zawsze robiło należyte wrażenie. Zwłaszcza drugi zastępca, zwany przez nas „Eskulapem”, gdyż podejrzewaliśmy, że ma coś wspólnego z medycyną, tworzył nieraz wesołe sytuacje. Ten doskonale obojętny człowiek na wszelkie ludzkie uczucia, gdy usłyszał nieraz od księdza skargę na bóle wątroby lub tym podobne, kończył swój wywiad protokółarnym: „no to dobrze” - i zęgnął chorego bez wrażenia. Zdawało się, że nic nań nie robi wrażenia poza jego własnym wyglądem, jakże starannie pielęgnowanym. Odczuwało się nieraz przykry kontrast, gdy ta urzędnicza lala, w swoim starannie zaprasowanym garniturze, wygolona, wystrzyżona i pachnąca, stawała wobec bladego człowieka w wytartej sutannie i ze zziębniętymi rękami. Ilekroć opuszczał mój pokój, zawsze doznawałem głębokiej ulgi, jakby coś bardzo brudnego i duszącego - pomimo tej polityry fryzjerskiej - odchodziło. Pragnąłem się przezwyciężyć, by nie umyć odruchowo rąk. Rzecz znamienna, chociaż komendant, typowy stary lis, był wybitnie fałszywą figurą, nie budził tak przykrego wrażenia jak ten „model z wystawy modnego krawca”. Człowiek przynosi ze sobą to wszystko, czym jest i co ma; nie sposób, by to nie działało.

19. IV. 1954, poniedziałek.

Włóczęc się po ogrodzie znaleźliśmy dziś wśród zgniłych liści list z Sekretariatu Stanu M. Watykańskiego, za L. 172634, skierowany do J. Gfoellnera, biskupa Linzu (Johanni Gfoellner, Episcopo Linciensis),

zawierający podziękowanie za nadesłany zeszyt „*Linzer Prakt. Quartalschrift*”. List jest podpisany przez E. card. Pacelli. Data listu opiewa na 23. XI. 1938. Głowimy się w domysłach, skąd tego rodzaju list mógł się dostać do śmieci w Stoczku. Jedna jest tylko możliwość: widocznie adresat był tu przywieziony i zabrał ze sobą najcenniejsze swoje dokumenty. Podpis kardynała Pacelli był tak dokładny i czytelny, że nie budził żadnych wątpliwości. Przypomina mi się, że prasa francuska wskazywała na Warmię jako na miejsce deportacji wielu kapłanów austriackich, po *Anschlussie*.

Wzięliśmy się do robienia porządków w ogrodzie; zaczęliśmy obydwać grabić liście, których jest mnóstwo, kryjące całe kolonie myszy. Wielkie sterty liści paliliśmy całymi tygodniami w ogrodzie, by oczyścić teren z robactwa. Nasi dozorczy przyglądali się temu obojętnie, bez zamiaru naśladowania. W końcu alei grabowej, w grupie lip, w większości podpiłowanych i odrutowanych, wzniesiliśmy krzyż, złożony z dwóch kijów, przewiązanych drutem kolczastym. Powstała w ten sposób „kalwaria”, jako cel naszych wędrowek, ogrodzona kamieniami i cegłami. Pracę naszą utrudniał brak narzędzi, zwłaszcza grabi. Chociaż widziano nasze trudności, nikt nie zaoferował nam grabi. Owszem, często wypożyczano sobie nasze sprzęty, które z wielkim trudem sporządziliśmy z różnych gratów znajdujących w ogrodzie. Ta obojętność naszego otoczenia na porządek sprawiała nam nieraz ucięższe wrażenie, że to raczej my jesteśmy materialistami, a oni idealistami, gardzącymi wszystkim, co wymaga wysiłku i utrzymania ładu. Nikt nigdy nie robił nic z własnej inicjatywy; ilekroć brali „narzędzia” z naszego POMu, nigdy nie odnieśli ich na to miejsce, z którego wzięli. Zazwyczaj porzucano je gdzieś w ogrodzie, by potem szukać, gdy zaszła potrzeba. Lenistwo i nieróbstwo tych ludzi nas zdumiewało. Jedynym człowiekiem, który sobie wyszukiwał pracę, był „M o”; ten starał się coś dłubać, majstrował jakieś zabawki, czasami coś czytał, chociaż nieraz poddawał się smutkowi i wtedy otępiąły stał na korytarzu, albo też przesiadywał całymi godzinami bezczynnie.

Patrząc na nich, można było przesądzać o przyszłości ustroju; jeżeli wśród tej „reprezentacyjnej ekipy” do zadań specjalnych znalazło się tylu leniów i nierobów, to jakże muszą wyglądać inni ludzie? To są przecież poszukiwacze łatwych dróg i wygodnego życia. Któż z nich zna dobrze doktrynę marksizmu? A kto w nią wierzy? Bodaj czy nie ja jeden w tym domu przestudiowałem *Kapitał trzy razy*, zaczynając jeszcze w Seminarium! A przecież bez wiedzy i wiary trudno przebudować ustrój. Co więcej, Kościół wymaga od nas miłości dzieła, któremu się służy! Czyż można tu pomyśleć nawet o jakiejś miłości dzieła, któremu się służy z rozkazu, powłóczęc nogami? Wszyscy nasi dozorczy, chociaż są oficerami, chodzą po korytarzu włóczęc nogami. W języku, którym się posługują, zwłaszcza młodzi, najczęstszym słowem jest „cholera”. O nas mówią-, „tamci”.

20. IV. 1954, wtorek.

Nie znajduję w sobie ani jednego grzechu, z którego byłbym dziś zadowolony; wolałbym, aby nie istniały. Złudzeniem jest więc grzech, skoro pociąga tylko przed swoim istnieniem, a zaraz po tym przestaje radować. Nie masz ani jednej złudnej radości, której bym dziś pragnął; każda jest kłamstwem. Niechęć do dawnych grzechów czyż nie jest najlepszym ostrzeżeniem przed nowymi?

Cóż w tym dziwnego, skoro nawet w czynach moich, które uchodzą za dobre, nie znajduję zadowolenia. Każdemu z nich mam tak wiele do zarzucenia. Każdy z nich wykonałbym dziś inaczej. Najdoskonalszy z moich czynów pełen jest niedoskonałości. Muszę bronić ich przedmiotowej wartości przed samym sobą.

Tylko Boże czyny są doskonałe. Może dlatego tak wiele mam do zarzucenia moim czynom, że widzę je w świetle Bożych czynów.

Co bym dał za to, gdybym mógł dokonane czyny poprawić, dobre uczynić lepszymi, najlepszym dodać więcej miłości! Ale nie jestem panem przeszłości. Mam natomiast ostrzeżenie, by do każdego czynu przystępować pamiętając o doświadczeniach zebranych w przeszłości.

Czyn ma miejsce raz i już się nie odmienia, pozostanie taki na wieczność. Ale ocena czynu zmienia się w każdym dziesiątku lat. I to jest straszne! Jak bardzo doskonały musi być czyn, by wyszedł zwycięsko z tych opresji zmiennej w swych upodobaniach historii. Ta wielka Turystka wspina się nieustannie na skaliste szczyty wieków i z ich wyżyn spogląda na nędzne szalasy czynów. Znikają niemal z oczu. A jednak trwają. Nie byłoby dziejów, gdyby nie było czynów, choćby nieudolnych.

26. IV. 1954, poniedziałek.

Biskup pełni swój obowiązek nie tylko na ambonie i przy ołtarzu, ale i w więzieniu - *in vinculis Christi*. Dać świadectwo Chrystusowi w okowach - jest takim samym obowiązkiem jak na ambonie. Nie jest więc stratą czasu przebywanie w więzieniu „dla Imienia Chrystusowego”. I dlatego Bóg zezwalał, że tylu sług Kościoła przebywało w więzieniach nawet wtedy, gdy pola bieleły ku zniwom. Święty Paweł wśród najgorętszej pracy misyjnej był odrywany do więzień i siedział w Jeruzalem, w Cezarei i w Rzymie. Historia Kościoła - to walny przyczynek do dziejów więziennictwa.

30. IV. 1954, piątek.

Pan komendant pyta o zdrowie. Prócz dolegliwości nerkowych nie odczuwam innych zmian. Czekam na lekarza; komendant wyraża nadzieję że „po tych świątach lekarz się zjawi”, jako że ja nie chciałem lekarza w okresie świąt. Przy tej okazji przypominam sprawę listu do Ojca. Gotów jestem wręczyć list do Ojca, ale pod warunkiem, że otrzymam potwierdzenie, iż poprzednie listy zostały doręczone memu Ojcu. Pan komendant wyraża opinię, że skoro Ojciec pisał, to musiał otrzymać listy. Wyrażam zdanie, że to jest tylko opinia pana komendanta, a ja nie mam pewności, do której mam prawo. Trudno bowiem jest mi pisać „w nieznane”. Wręczam panu komendantowi list do Ojca, w którym jest na wstępie (który odczytałem) wyrażone zastrzeżenie co do moich poprzednich listów.

Nawiązuję do drugiej sprawy, poruszonej dnia 8. IV. br. - odpisu dekretu, odczytanego mi przez przedstawicieli UB na Miodowej 17 w dniu 25. IX. ub.r. Pan komendant oświadczył, że ma odpowiedź, iż obecnie nie mogę otrzymać odpisu, gdyż „to byłoby polemiką”. Odpowiadam: Nie mam zamiaru polemizować, tylko muszę mieć przed sobą dekret, który jest dla mnie wyrokiem, bo zmienia mój stan prawny. Zresztą, wszyscy więźniowie otrzymują odpis wyroków, czemu więc ja nie mogę dostać? Pan komendant jest zdania, że sytuacja wygląda inaczej, gdyż ja nie jestem po wyroku, tylko jestem „tymczasowo izolowany”. Gdy skończy się izolacja, wtedy będę mógł otrzymać odpis dekretu. Wyjaśniam swój punkt widzenia: jest przyjętą praktyką, że dokumenty adresowane do obywateli są ich własnością. I dekret rządowy jest moją własnością. Pan komendant uważa, że to jest „oświadczenie”, które zostało odczytane. Zresztą, „Ksiądz może pisać list do Rządu”. - „Chcąc pisać list do Rządu - odpowiadam - muszę znać treść dekretu mi odczytanego, a dziś go nie pamiętam”. - „Ale Ksiądz zna zarzuty mu postawione, było ich trzy”. - „Nie - odpowiadam - w dekrecie był jeden zarzut, dotyczący moich kazań. Inne zarzuty były formułowane w prasie, głównie przez gen. Ochaba, a więc, 1. że utrudniałem wykonywanie «Porozumienia» i 2. że nie wypełniałem wszystkiego, co należało, na rzecz Ziemi Zachodnich. Nie pamiętając dekretu, trudno mi pisać list, gdyż mogą być potem nieścisłości”. - Pan komendant wyraża gotowość podać do wiadomości Rządu, że nie pamiętam treści odczytanego mi dekretu. Kończę rozmowę: 1. oczekuję wyjaśnienia sprawy doręczonych listów; 2. oczekuję wyjaśnienia w sprawie „odpisu oświadczenia rządowego”.

Wręczam panu komendantowi list do Ojca, treści następującej:

Najdroższy mój Ojcie!

List Twój z dnia 3. IV. br. otrzymałem w świętą Sobotę, wieczorem. Czekałem nań jak na widoczny znak Twego, Ojcie Najmilszy,

samopoczucia i zdrowia. Ponieważ nie miałem potwierdzenia odbioru listów moich z 31. X. i 22. XII. ub.r., zmuszony byłem sam odmówić sobie tej radości, by pisać do Rodziny na Wielkanoc. Ale dziś, choć list otrzymany jest tak krótki, niemniej jest wielką radością, otwierając mi drogi do Was.

Dziękuję Ci, Ojczy, Rodzinie i wszystkim Domownikom za dary modlitwy: pomagają one i mnie, i Wam, bo nic tak nie doprowadza myśli i uczuć do porządku jak modlitwa. Na szczęście, mam na to wiele czasu w naszej skromnej kapliczce, gdzie - w bezpośrednim sąsiedztwie - przebywa Ten, któremu od 30 lat służę. Pamiętam, Ojczy, o Tobie w każdej Mszy świętej i w Twojej intencji odmawiam co dzień Tercję brewiarzową. Wiem, że i Tobie potrzeba modlitwy, by myśli Twoje nie przestały być ufne i - pomimo wszystko - nie pozbawione chrześcijańskich uczuć wobec wszystkich ludzi, bez wyjątku. Przecież o wartości życia rozstrzygają nie wielkie czyny, ale miłość; trzeba więc to najcenniejsze dobro ratować i dla siebie, i dla bliźnich, którzy zawsze mają prawo do naszego serca.

Smutku i niepokoju też szybko się wyzbywaj, Drogi Ojczy, bo to są uczucia przeciwne chrześcijańskiej nadziei, cnotcie najbardziej zdobywczej, otwierającej wszystkie drzwi. W Wielkim Tygodniu Kościół pokazał nam znaczenie swych cnót teologicznych. Wierze poświęcił Wielki Czwartek, dzień ustanowienia Eucharystii, dzień pierwszej Komunii świętej Apostołów i pierwszej Mszy świętej, dzień pierwszych święceń kapłańskich i służby Chrystusa na kolanach ludziom, którym nogi umywał. Wielki Piątek - to dzień Miłości, aż na szczyt krzyża, dzień ustępstwa Boga na rzecz ludzkich uczuć, a więc dzień smutku; ale taki dzień jest tylko jeden w roku kościelnym. Zaraz z krzyża rodzi się Nadzieja i ona włada Wielką Sobotą, dniem Nadziei, blaskiem nowego Światła - *Lumen Christi* - i tego zdobywczego optymizmu, który nawet grzech Adama nazywa „szczęśliwą winą” - *felix culpa* - gdyż grzech sprowadził na świat nie tylko śmierć, ale i Zwycięzcę śmierci - Wodza Życia. (Czytaj w Mszale: *Victimae paschalis laudes*). Gdy więc odnowiła się w nas i Wiara, i Nadzieja, i Miłość - użyjmy tych mocy, by mieć wiarę na co dzień, jak ziarno gorczyczne, by ufać - wbrew nadziei i by nikomu nie odmawiać serca.

Drogi mój Ojczy - tak często powtarza nam Kościół, że miłującym Boga wszystko pomaga do dobrego. Tak też jest i ze mną. Wiem, że Bóg nie odsunął się ode mnie, jest mi bliższy dziś niż kiedykolwiek; czuję to aż nadto wyraźnie. A mój Bóg wcale nie jest groźny, tylko pogodny, łagodny i niezwykle subtelny. Od dawna już pragnąłem zdobyć nieco czasu na zaniedbaną lekturę; odkładałem sterty nie czytanych książek - na później. Dziś mogę więcej czytać - to jest jakaś zdobycz. Przeczytałem już wiele. Nie mogę wprawdzie pracować piórem, gdyż brak mi mego warsztatu pracy naukowej, ale nie żałuję tego, jak niczego, co przeżywam obecnie.

Interesuje Cię, Drogi Ojczy, stan mego zdrowia. Mogę to tak określić: nie jest gorzej, niż bywało zazwyczaj. Zdrowie miałem zawsze liche, ale przyzwyczajony byłem do wysiłku i pracy. Nie stwierdzam, by która z moich dolegliwości, tak dobrze znanych Domownikom, brała górę nad innymi. Ufam, że na tym poziomie zdołam się utrzymać. Systematyczną kurację nerek uważam za rzecz niezbędną i pilną.

Pragnę Ci przypomnieć, Najlepszy Ojczy, że 3 sierpnia br. upływa 30 lat od moich święceń kapłańskich w Katedrze Włocławskiej; dnia 12 maja upływa 8 lat od mojej konsekracji biskupiej na Jasnej Górze. Obydwa te dni są tak mi drogie, jak dzień urodzin. I dlatego Twojej Ojczyńskiej modlitwie już dziś polecam się na te dni.

Pamiętam też o dniu Twojego Patrona i modłę się w Twojej, Drogi Ojczy, intencji do Pasterza Krakowskiego. Proszę, przyjm moje najlepsze życzenia imienninowe, które uzupełnię Mszą świętą w Twojej intencji. Przez Twoją dobroć przesyłam też życzenia Stasi, Stachowi i małemu Stasiowi oraz Ks. Infulatowi. Pamiętałem o Naści w dniu jej imiennin. Przed Bogiem pamiętam zawsze o Waszych potrzebach i proszę Boga, by Wam nie zabrakło ufności do Boga i miłości ku ludziom.

Tak hojnie zostaliśmy zaopatrzeni na święta przez dobroć serc Waszych! Stanowczo hojniej niż nam potrzeba, gdyż wszystko, co konieczne do życia, posiadamy. Ale takie dary są przez nas ocenione lepiej sercem niż ustami. I dlatego są drogie jako świadectwo Waszej tak upragnionej pamięci, miłości i znaku łączności.

Drogi Ojczy, ręce Twoje ze czcią, wdzięcznością i oddaniem całuję, prosząc, byś się nie smucił, byś zachował pogodę i spokój i byś ufał, że we wszystkim, przez co Bóg człowieka prowadzi, jest więcej Bożej mądrości i dobroci, niż się można spodziewać.

Całej Rodzinie i wszystkim Domownikom moim przesyłam słowa oddania, najlepszych uczuć i swoje błogosławieństwo.

29. IV. 1954 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

30. IV. 1954, piątek.

Gdybym ujrzał naraz skutki jednego tylko grzechu, choćby najbardziej nieudanego, w jego dziejach życia całego, odwróciłbym się odeń zwycięsko. Gdybym pomyślał, jak grzech odpuszczony umie być jeszcze dokuczliwy, jak umie odżyć we wspomnieniach, jak umie udręczyć wyobraźnię, jak ciągle jeszcze upomina się o swoje miejsce w czasie, w myślach, w walce... Gdybym przewidział „frontalny atak” wszystkich odpuszczonych już grzechów na pozycje zda się nie do zdobycia... Jeśli jeden grzech umie zaniepokoić, to cóż dopiero cały dorobek grzesznego życia...

Wniosek: strzeż się grzechu, gdyż może on wzmocnić atak frontalny.

3. V. 1954, poniedziałek.

Rodzę w duszy kamienie tak ciężkie, że nie zdołam utrzymać tego owocu żywota mego. Zrzucam je więc do stóp Twoich, Matko, może po drodze z tych głazów zdołasz doprowadzić mnie do Syna - Drogi. Nie chciał Syn Twój zamienić kamieni w chleb. Bo łatwiej dojść do Syna po skalistej drodze, niż po drodze wymoszczonej bochnami. Może więc i owoc żywota mego, Matko, będzie błogosławiony. Uśmiechnij się do moich kamieni. To wszystko, na co mnie stać. Reszta do Ciebie należy. I ja też nie chcę, by wszystkie stały się chlebem. Ale pozwól, by chociaż jeden z tych kamyków pożywił mi głodną duszę. Wszak *petra autem erat Christus* (1 Kor 10,4).

5. V. 1954, środa.

Słowa nieuważne są jak puste pudełka z nieczytelnymi napisami. Modlitwa rozproszona to stos pustych pudełek. Cóż wart magazyn z pustymi pudełkami? Kto się tu pożywi?

Byłaś w Wieczerniku Zielonych Świąt wśród Apostołów, jak byłaś w Betlejem wśród pasterzy. Bo w Wieczerniku rodził się Kościół - Chrystus, jak w Betlejem rodził się Chrystus - Człowiek. Niemowlęciu Kościołowi tak potrzebna była Matka, zdolna go wypielęgnować. I dlatego byłaś w Wieczerniku Zielonych Świątek, w tym Betlejem Kościoła Powszechnego. Jak wielką łaską dla Kościoła było Twoje macierzyństwo, od początków narodzenia Kościoła! Jak Bóg jest delikatny, że ani na chwilę nie pozostawia nas bez Matki...

12. V. 1954, środa.

Wizyta lekarska zaczęła się od typowej przygody. Byliśmy na porannym spacerze, gdy z daleka zauważyliśmy kołyszącą się postać kierownika. „Jacyś dwaj panowie chcą się widzieć z księdzem”. „Jacyś?” - wygląda to na szeroką ulicę normalnego życia. „Pan nie

wie, kto?” - „Pewno lekarze” - odpowiada kierownik. - „A więc nie «jacyś»!” - Wróciłem do domu.

Po półgodzinnym oczekiwaniu weszło do pokoju dwóch mężczyzn. Jeden stary, otyły, tęgi, ciężki człowiek, z typową miną lekarza domowego, z profesorskim wyrazem. Drugi młody, niski, szczupły, w czerwonym krawacie, podobny raczej do funkcjonariusza UB niż do lekarza. Nazwisk nie podali, ani też nie określili charakteru swej wizyty. Wobec czego zapytałem, czego sobie życzą. Wyjaśnili, że są lekarzami i są skierowani, by mnie zbadać. Oświadczyłem, że było ustalone z komendantem domu, że przybędzie ze strony władz dr Wesołowski, a z mojej strony - dr Zero lub dr Wąsowicz. Młodszy pan stwierdził, że jest drem Wesołowskim. To, z czym się dziś spotykam, jest dla mnie niespodzianką i jest dowodem nielojalności władz wobec uzgodnionej umowy. Przecież sprawa lekarza to przede wszystkim sprawa zaufania. „Ja panów nie znam, jakież mogę mieć dowody, że panowie są lekarzami?” Starszy pan, wyrażając zakłopotanie z powodu sytuacji, zaczął mówić do mnie przez „pan”. Wyjaśniłem, że jestem kardynałem i że w najskromniejszym wymiarze mam prawo być nazywany „księdzem”. W dalszej rozmowie starszy pan posługiwał się tytułem „ksiądz”. Młodszy unikał wszelkiego tytułu i pozostał cały czas chmurny i oficjalny. Wobec nowej sytuacji oświadczyłem, że poddam się oględzinom lekarskim jedynie z uwagi na starszego pana, który nie bez wielkiego trudu zdołał tu przybyć. Badania przeprowadził starszy lekarz bardzo starannie i sumiennie; już tylko formalnie i zdawkowo - uczynił to młodszy. Po badaniach obydwaj odbyli konsultację, po czym oświadczyli mi wyniki swych badań. Stwierdzili możliwość nadkwasoty w wysokim stopniu, powiększenie wątroby, drobne zmiany kostne i bóle mięśniowe, pewne objawy sklerozy, właściwe wiekowi, choć nieco w większym stopniu. Nie podzielali obaw o stan nerek. Bóle głowy wiązały ze zmianami kostnymi i mięśniowymi.

Po konsultacji zwróciłem uwagę panów na warunki mieszkaniowe, w jakich żyjemy. Uważałem za obowiązek uświadomić odpowiedzialność tych badań wobec opinii społeczeństwa, któremu nie jestem obojętny. Jestem zdania, że dla samego Rządu byłoby wygodniejsze, gdybym w tej chwili miał swego lekarza. Dla panów - również. Uważałem nadto za konieczne zaznaczyć swoje stanowisko zasadnicze, wychodząc z założenia, że panowie są nie tylko lekarzami, ale i członkami społeczeństwa polskiego. Ponieważ są tu skierowani „urzędowo”, mają wiedzieć nie tylko to, co im powiedziano, ale i to, co ja myślę, by nie byli w błędzie. Niech więc wiedzą, że na stan mego zdrowia wpływają i warunki psychiczne, tu stworzone. Niech wiedzą, że sposób potraktowania mnie uważam za krzywdę mi wyrządzoną i zniewagę nie tylko osobistą, ale i dla Kościoła. Stwierdzenie faktu, że w Polsce istnieją zamaskowane obozy koncentracyjne, w 10 lat po

odzyskaniu wolności, bardziej boli niż rany i choroby ciała. Nie mam możliwości kontaktować się ze społeczeństwem, gdyż jestem odeń odgródzony kordonami. „Kimkolwiek panowie jesteście, jeśli jesteście Polakami, macie prawo wiedzieć, jak myśli jeden z Polaków, którego prawa pogwałcono w sposób brutalny. Co bowiem było możliwe wobec jednego z Polaków, może stać się wobec każdego z 25 milionów ludzi”. Lekarze przyjęli to oświadczenie w milczeniu.

Starszy lekarz zeszedł jeszcze do ogrodu i oglądał dom od zewnątrz, przyległą sadzawkę i najbliższe otoczenie.

W ciągu całej konsultacji nie pokazał się pan komendant, z którym były ustalone warunki konsultacji, ani też żaden z członków ekipy dozorczej. Co więcej, na czas obecności lekarzy zniknęli obydwa dozorczy - i ten „z kasy” na naszym korytarzu, i ten z parteru. Chciano robić wrażenie panującej tu atmosfery wolności.

15. V. 1954, sobota.

Dopiero dzisiaj zjawił się komendant, który od tygodnia nie dał się oglądać. Zapytałem go wręcz, dlaczego nie przybył na konsultację żaden z moich lekarzy, jak było ustalone - ani dr Żero, ani dr Wąsowicz. Komendant oświadczył, że tego nie wie, że „widocznie tak zdecydowali przełożeni, a może ci lekarze nie mogli przybyć”. - „To są tylko domysły Pana .- odparłem - a tu idzie o fakt naruszenia przez Pana ustalonych warunków konsultacji”. Pan komendant był odmiennego zdania: „Istotne jest, by lekarstwa pomogły”. - „Być może, dla wielu ludzi to jest istotne, ale nie dla mnie. Bo istotne jest uszanowanie praw człowieka do wolności wyboru w tak doniosłej i delikatnej sprawie, jak powierzenie swego zdrowia pod opiekę ludzi, którzy chcą przyjąć odpowiedzialność. Tutaj takie warunki nie istnieją. Tylko niewolnik może sprawę stawiać tak jak Pan. Nie jestem człowiekiem o psychice niewolnika. I dlatego proszę przyjąć mój protest przeciwko temu, co zaszło 12 maja”.

20. V. 1954, czwartek.

Pierwszym Dziełem naprawionego porządku, z woli Trójcy Świętej jesteś Ty, Maryjo. Ojciec - Rodziciel przyzywa Cię na Matkę Synowi Jednorodzonemu. Syn wybiera sobie mieszkanie w Przybytku

Twoim Duch Święty ogarnia Cię, Oblubienico, miłością swoją. Cała Trójca Święta jest nad Tobą i w Tobie. Jesteś najdoskonalszym Dziełem Trójcy Świętej w porządku natury i łaski. - Czyż nie jest słuszną rzeczą, by to dzieło odtwarzało się w pracy Kościoła? Czyż nie Ty stoisz na progu każdej duszy? Ku Tobie więc obrócić się mają oczy przyjaciół Oblubieńca, którzy zapraszają dusze na Gody. Czyż nie jesteś Wzorem i Patronką duszpasterzy? W Twojej szkole mamy uczyć się wzorowego duszpasterstwa.

/ . VI. 1954, wtorek.

Największa nieznana człowieka: serce. Tak wspaniałe, że Bóg nie zabiega. Tak potężne, że może oprzeć się miłości Wszechmocnego. Tak mdłe, że chwytają je w sieci niejedna słabość. Tak szalone, że może zburzyć wszystko szczęście i wszelki ład. Tak wierne, że nie zdoła go zrazić nawet przewrotna niewierność. Tak naiwne, że idzie na lep każdej słodyczy. Tak pojemne, że pomieści w sobie wszystkie sprzeczności. I to - niemal - w każdym człowieku, i to - niemal w jednym drgnięciu oka... Ale człowiek stokroć wspanialszy, bo zdoła nim rządzić.

A Bóg? On jeden zna drogi do najbardziej tajemniczego serca. I dlatego na krzyżu człowiek otworzył Serce Boga, aby poznać Jego „zamysły” - *cogitationes*.

4. VI. 1954, piątek.

Verbum Caro.

Od chwili, gdy Słowo w łonie Dziewicy Ciałem się stało, aby się „Człowiek na świat narodził”, Bóg tak upodobał sobie w tym sposobie, że wraca do wnętrza ludzkiego, jakby ziarno pszeniczne, w każdej Komunii świętej, by przez to ponowne wcielenie mógł się z Boga rodzić każdy człowiek. Odtąd Chrystus ukrywa się starannie w łonie ludzkim, aby się w każdym powtarzało Boże Narodzenie. Eucharystyczny Bóg szuka nieustannie swego Betlejem, swego żłóbka. Często brak dlań miejsca w gospodzie; ale kto Go przyjmie, stajnia jego zmienia się w świątynię, a człowiek jest ubóstwiony.

Eucharystia rodzi nowy rodzaj ludzki. Jest kolebką nowej ludzkości - ciężarnej Bogiem; ludzkości rodzącej Boga światu, roznoszącej Boże Ciało do wszystkich zakątków życia, wnoszącej Boże życie do wszystkich grobów. Dlatego Eucharystia jest Zmartwychwstaniem, bo ona nieustannie kiełkuje w duszach ludzkich nowym życiem, które

odwała i rozsada zmurszałe kamienie zamierającego świata. To jest „Uroda życia”, to jest „Przedwiośnie”, to jest „Bunt młodych”, „Rewolucja niemowląt i ssących”, „Zmartwychwstanie i żywot”.

5. VI. 1954, sobota.

Ave verum Corpus, natum de Maria. - Nie umiem, Matko, tak uczcić Gościa mej duszy, jak by należało. Pozwól, że wyręczę się Twoimi słowami. Wszak Ty jedna umiałś rozmawiać z Synem Twoim... Pozdrawiam Go całą Twoją dziewiczą niepokalanością, całą Twoją pokorną uległością, całą żywą wiarą, gorącą miłością, szczególną troskliwością, całym Twoim współdziałaniem i współcierpieniem, całą Twoją nieodstępną bliskością, całą świętością Twojej duszy, każdym drgnieniem Twego serca, każdym aktem Twej myśli, każdym ruchem Twoich dłoni, każdym krokiem Twoich dziewiczych stóp, każdym momentem Twego wyjątkowego życia, całym dokonaniem Twej służby Panu...

•

Gdy czuję obecność Twoją w mej duszy, spraw, Chryste, bym zupełnie zapomniał o sobie. Bym przestał myśleć o sobie i mówić Ci o sobie. To tak nieciekawo i taki ubogi temat! Pragnę myśleć o Tobie, mówić o Tobie i uwielbiać Ciebie. Pragnę Ci dziękować, że jesteś, żeś jest Słowem, żeś jest Synem Ojca, żeś chciał przyjąć ciało z Dziewicy, żeś chciał spocząć w żłobie betlejemskim, żeś chciał okazać się Pastorzom i Mędrcom, żeś chciał chodzić po ziemi, żeś chciał być i w świątyni, i w Kanie, i nad Tyberiadą, i w Gerazie, i w Betanii, i w Jerycho, i przed Piłatem, i na Kalwarii, i na Górze Oliwnej... Pragnę oglądać Ciebie, idąc ślad w ślad za Tobą. Cóż to może być za cudowna rozmowa - o Tobie! Czuwaj nade mną, bym myślał tylko o Tobie, gdy Ty wstąpisz w dom mój.

12. VI. 1954, sobota.

Dzisiaj otrzymałem list od Ojca, noszący datę 8. VI. 54.; nie zawiera on potwierdzenia odbioru mego listu z dnia 29. IV. 54. Jednocześnie wręczono mi pakiet z bielizną i część letnią brewiarza, o którą prosiłem przed dwoma dniami. Odpowiedziano wtedy, że tej części nie posiadają. Dziś się znalazła. Przy tej okazji wypłynęła znów sprawa książek, o które prosiłem w październiku ub.r. Poproszono o sprawdzenie, których książek mi brak, i o sporządzenie odpisu listy książek

otrzymanych i brakujących. Wobec tego ksiądz Stanisław zasiadł do sporządzenia czwartego z kolei odpisu książek, o które prosiłem w październiku ub. roku.

Ukochany Synu mój!

Pragnę wyrazić Ci choć w ten sposób słowa najgorętszego przywiązania i miłości mojej i wszystkich Ci najbliższych. Myślą jestem ciągle z Tobą, a moje pełne ufności modlitwy, które ustawicznie kieruję do Boga i Matki Najświętszej w Twojej intencji, niech Ci będą tarczą obronną i dopomagają mężnie znosić to, co Bóg zsyła. Wierzę, że moc Boża jest ponad wszystko, a miłość Jego kieruje losami ludzi, obracając chwilowe zło na naszą korzyść i chwałę swoją.

Jesteśmy wszyscy zdrowi i nic wśród najbliższych nie zaszło ani się nie zmieniło. Dzieci są zdrowe, Staś niedługo zacznie swoje pierwsze wakacje, rozwija się bardzo i usamodzielnia. Stefcio robi nieco lepsze postępy od Zosi, w tym roku oboje idą nieźle. Zocha wyrosła i zmężniała. Siostry Twoje, Tadeusz i Zenia pracują i są zdrowi, a mała Ania ładnie i zdrowo się chowa. U Naci wszyscy zdrowi. Wszyscy Cię zapewniają, że modlą się w Twojej intencji o zdrowie i siły dla Ciebie.

Pragnąłbym bardzo, mój Synu, jak najprędzej Cię zobaczyć, a jeżeli to jest możliwe, przynajmniej otrzymać słów parę, z których chcielibyśmy dowiedzieć się szczegółów, zwłaszcza o stanie zdrowia, które nas niepokoi, gdyż znamy pewne Twoje niedomagania.

Proszę Cię, mój Synu, o modlitwę w mojej i całej Rodziny intencji oraz wszystkich najbliższych.

Kończę słowami nadziei, wierząc, że Dobry Bóg pozwoli doczekać nam chwili radosnej, kiedy Cię będziemy mogli powitać i uściskać.

Przesyłamy wszyscy najserdeczniejsze pozdrowienia, słowa czci, głębokiego przywiązania i miłości, z prośbą o błogosławieństwo.

Zalesie, 8. VI. 1954.

ojciec S. Wszyński

14. VI. 1954, poniedziałek.

„One miłosierne oczy Twoje obróć”... pozwól dziecku skorzystać z praw swoich i pozwól spojrzeć w oczy Twoje... Wszak Matka oczu nie chowa przed dziećmi... Choćby przez łyżę dojrzeje... Niech Cię to nie zraża, że tylko oczyma mogę się posłużyć, bo wolno mi patrzeć tylko w górę i w głąb... Zamknięto mi usta na **kłode** milczenia... związane mi ręce i nogi festonami drutów. *Clausus sum neque egredi possum.* Ale nic to, Matko! Masz oczy i dostrzeżesz wszystką niedolę dziecka Twego. Rwie się dusza moja do ołtarzy Pańskich, do wspólnej modlitwy, do woni kadzideł, do światła ołtarzowych, do śpiewu ludu...

Usta chcą wyznawać przed ludźmi Syna Twojego... już dłużej trudno utrzymać „Słowo, które Ciałem się stało”. Ono się chce urodzić... choć brak miejsca w gospodzie... Ty znasz, Matko, ten ból brzemienia Słowa, którego nie ma gdzie złożyć. Masz duszę kapłańską i wiesz, co znaczy „biada” ewangelistów. One miłosierne oczy obróć - niech macierzyńskie Serce Twoje odczuje w nas „Matkę Chrystusową” (Mt 12,48-50). Daj urodzić „Słowo”!

16. VI. 1954, środa.

Chrystus mówił o pobielanych grobach. Dziw, jak człowiek lubi zamazać każdy brud: przecież ściana pobielona nie przestaje być od wewnątrz brudna. Czy może dlatego ludzie malują twarze, że już spostrzegli w nich grobową zgniliznę? Czy może dlatego sięgają po wody pachnące, że są świadomi tego, że „coś” w nich się psuje? Czy może dlatego coraz staranniej się ubierają, że coraz nędzniej od wewnątrz wyglądają? Czyż chcą handlować starym towarem w nowych opakowaniach? Egipcjanie malowali mumie, wiedząc, że już życia w nich nie ma! Czyżby historia się i tu miała powtarzać? - A więc należało głośno krzyknąć: Wody! - Ale „Wody Żywej”, nie tej, po którą przychodziła Samarytanka do studni Jakubbwej. Trzeba tej wody, z którą powróciła do miasta. Wody Chrystusa! Bo ta Woda dociera *usque ad artimam meam*.

20. VI. 1954, niedziela.

Miłość jest wrogiem prawa przestąpienia. Tylko Bóg, Władca wszelkich praw, zdołał przekroczyć to prawo, gdy się stał Pokarmem i przeniknął do serca ludzkiego. A teraz spokojnie czeka, aż człowiek - wspierany łaską - zdoła przeniknąć do Serca Boga. Wtedy dokona się zniszczenie ostatniej zapory-. „Ja w nich, a oni w Nas...”

Wierna przyjaźń jest murem, który łączy i który dzieli zarazem. Da się utrzymać wtedy, gdy obie strony wytrwale wspinają się na mur.

24. VI. 1954, czwartek.

Pan komendant zgłosił się ze zwykłymi zapytaniem: o zdrowie i potrzeby. Odpowiedziałem, że zdrowie nie wykazuje większych zmian na lepsze. „Może w takim razie ponowną komisję lekarską?” - Wyrażam obawę, że niewiele to da, gdy będzie w takich warunkach jak poprzednio. Byłem zaskoczony składem tej komisji, chociaż mówili-

śmy ° moim lekarzu. W dodatku pana komendanta nie było i nie mogłem pytać, dlaczego tak się stało. Jeżeli miałyby być nowa komisja, to jeden z moich lekarzy musiałby brać w niej udział. Pan komendant tłumaczy, że to nie była złośliwość, „tylko nie wszystko dało się ułożyć”.

„Ja istotnie odbieram wrażenie, że panowie lubicie się mną bawić. Przykład - z książkami, a zwłaszcza z brewiarzami. Przecież żaden z panów tego brewiarza nie odmawiał. Po co więc było trzymać u siebie? To samo książki. Idą od października”. Pan komendant mówi, że w wielkiej bibliotece trudno znaleźć. Odpowiadam: „Jest tam bibliotekarz, który wszystko sam katalogował; zresztą, leżały na wierzchu, [dzie o 4 - 5 książek. Pan wie od dawna. Wolałbym, aby nasz stosunek nie układał się jak stosunek kota do myszy. Nie mam zamiaru być przedmiotem złośliwości i dlatego nie zgłaszam nowych próśb - bo po co pobudzać was do złośliwości?” Pan komendant uważa, że złośliwości tu nie było, a tylko były trudności, nie dające się rozplatać.

„Ja mam jeszcze do księdza list”. Wręcza mi list od Ojca. Jest to list z 14. VI. br. jako odpowiedź na list z 29. IV. Rzucam okiem na ten list. W związku z tym listem pan komendant zgłasza życzenie Rządu, by listy wyraźnie pisały o stanie zdrowia, gdyż ostatni list narobił wiele niepokoju i interwencji u Rządu. Odczytuję urywek ze swego listu o stanie zdrowia, wyjaśniając, że nie mogłem napisać nic szczegółowego dla braku komisji lekarskiej, na którą czekałem. Gdyby w komisji był mój lekarz, byłoby to teraz i dla panów wygodniejsze. Druga prośba Rządu, by w listach nie było „materiału duszpasterskiego”, gdy to też robi trudności, które mogą doprowadzić do zakazu pisanie listów. Odpowiadam, że jest to mój zwykły sposób pisanie do Ojca z zakresu spraw religijnych. Ponieważ wyczułem z listu Ojca, że jest w stanie duchowego niepokoju o mnie, więc chciałem mu dodać nieco otuchy. Zresztą, te rzeczy, o których pisałem do Ojca, nie mogą być niebezpieczne dla Państwa.

Gdy idzie o moją postawę, nadal uważam, że stosunek Rządu do mnie robi na mnie wrażenie zabawy z mną. Najlepszy dowód w braku odpowiedzi na ostatnie moje wyjaśnienie, że nie mogę wystosować pisma do Rządu, gdyż nie pamiętam dekretu.

„Miał Pan donieść Rządowi, że nie pamiętam treści dekretu. Brak mi na to odpowiedzi. Zresztą, już kilka razy przekonałem się, że Pan odpowiedzi mi nie komunikuje, chociaż je ma. Czekam Pan, aż raz jeszcze się pokłonię do klamki. Mówię otwarcie, co myślę o takiej metodzie obchodzenia się z człowiekiem, chociaż prawda może kosztować. Wolę ten stosunek bezpośredni”. Pan komendant wyjaśnia, że może się tak zdarzyć, że czegoś nie powie, bo jeszcze dokładnie nie wie. „I teraz chcę oficjalnie od Rządu oświadczyć, że może ksiądz wystosować list do Rządu i wyłożyć cały swój punkt widzenia na zarzuty czy też oskarżenia działalności antyrządowej”.

Odpowiedziałem: „Będzie mi to trudno uczynić, gdyż brak mi dokumentacji. Prowadziłem wiele rozmów z przedstawicielami Rządu, wysyłałem dziesiątki memoriałów i listów. Nie pamiętam nawet ich dat, niezbędnych do takiego pisma. A przecież muszę odpowiedzieć na zarzuty mi stawiane. Prowadziłem dwa razy rozmowę z panem prezydentem Bierutem i muszę stwierdzić, że były to rozmowy na poziomie, w granicach lojalności. Długi szereg moich rozmów z panem marszałkiem Mazurem również utrzymywał się na tym poziomie. Ci panowie nie wysuwali mi swoich zarzutów. Ale były wysunięte inne zarzuty po moim aresztowaniu, czy też - jak pan mówi - izolowaniu w klasztorze. Człowiek w mundurze wojskowym obrzucił mnie w *Trybunie Ludu* zarzutami, chociaż wiedział, że bronić się nie mogę. Nazywam to niebывалым naruszeniem honoru żołnierskiego, bo żołnierz nie napada na bezbronnych, jak to uczynił generał Ochab. W normalnych warunkach byłbym mu odpowiedział listem, bo tego wymagają zasady demokracji. Tak czyniłem wobec tych, co na mnie napadali, nawet wobec Jacka Wołowskiego, który odmówił mi w prasie «miłości Ojczyzny». Dałem mu odpowiedź. Ale obecnie, bez dokumentacji, trudno mi będzie to uczynić, chociaż byłem tego zdania od chwili osadzenia mnie w Rywałdzie. Przedstawiciel Rządu, który mnie tam przywiózł, usłyszał ode mnie, że jestem gotów wysłuchać stawianych mi zarzutów. Wyjaśnił wtedy, że za 4 dni zgłosi się do mnie przedstawiciel Rządu. Po czterech dniach zapytany, odpowiedział, że warunki się zmieniły i teraz nie jest upoważniony do udzielania mi informacji. Gdy przyjechał, by mnie przewieźć do Stoczka, zapytałem go ponownie o to; odpowiedział, że nic nie pamięta, by zapowiadał rozmowę. - «Być może, że Pan nie pamięta, gdyż to Pana nie dotyczy, aleja bardzo dobrze pamiętam». - A więc od początku byłem zdania, że jakieś wyjaśnienia muszą być dane. I teraz jestem gotów obiektywnie przedstawić swój punkt widzenia, chociaż bez dokumentacji to będzie trudne”.

Pan komendant wyraża stanowisko Rządu: „Jestem upoważniony do oświadczenia, że ksiądz może wystosować list do Rządu, w którym określi swój pogląd na sprawę. Czynię to teraz wyraźniej niż dawniej, chociaż już o tym mówiłem, bo teraz mam wyraźne upoważnienie. Ksiądz może udzielić odpowiedzi na zarzuty mu stawiane, według swego rozumienia i poglądu. Proszę wszystko to wyłożyć”.

Odchodząc pan komendant zapowiedział, że zechce jeszcze ze mną porozmawiać, gdyż czytał kilka moich książek, jeszcze z Włocławka. Również o Jacku Wołowskim miałby coś do powiedzenia.

Ustalamy:

1. Gdy idzie o lekarza - jeszcze chwilowo poczekam, aż wykończę lekarstwa; wtedy ja zgłoszę swoją petycję.
2. Nad listem do Rządu będę myślał.

3. List do Ojca napiszę w najbliższym czasie, choć te ograniczenia sprawiają mi trudność.

4. Co do rozmowy z Panem - chętnie służę.

Ukochany Synu mój!

Serdecznie Ci dziękuję za list Twój z dnia 29 kwietnia br., który został mi odczytany w dniu 9 czerwca br. Ucieszyliśmy się bardzo wiadomościami o Twoim życiu, jakkolwiek nie były one już nowe. Zasmuciła nas i zaniepokoiła wzmianka o zdrowiu; piszesz, że nerki wymagają pilnej kuracji, to znaczy, że stan ich jest zły. Zawsze trzymałeś się mocno i nigdy nie skarżyłeś się na nic, jednakże zdrowie Twoje wymagało opieki lekarskiej i ciągłego troskliwego czuwania, toteż w obecnej sytuacji lękaliśmy się o nie ciągle. Krótco piszesz o swych dolegliwościach, a ja pragnąłbym wiedzieć o wszystkim ze szczegółami. Jednocześnie z tym listem wysyłam do Prezydium Rządu zawiadomienie o Twym zdrowiu z prośbą o pomoc specjalisty lekarza, jeśli to możliwe, i porozumienie się z lekarzem, który znał Twoje niedomagania. Może moglibyśmy też po takim zbadaniu wystarać się o potrzebne lekarstwa, chcielibyśmy jak najprędzej Ci pomóc, a tymczasem modłę się wytrwale wraz z innymi w Twojej intencji i proszę, pełen ufności w Boga Najwyższego i Matkę Najświętszą, o zdrowie, opiekę dla Ciebie i rychły powrót do nas.

O rocznicach pamiętamy i w kornej modlitwie przed Bogiem będziemy się modlić. Za modlitwy w intencji mojej i życzenia imienninowe, serdecznie dziękuję. Również Stasia prosi, by podziękować Ci za pamięć o niej i zapewnić o jej gorącym, siostrzanym przywiązaniu i pamięci w modlitwach w Twojej intencji.

Wszyscy, jak już pisałem w ostatnim liście, są zdrowi, tylko Tadek i Zenia mają ciężkie zmartwienie, bo mała Hania zachorowała w zeszłym tygodniu na Heine Medina i została wzięta do szpitala na przeszło 40 dni; dziecko musi być odosobnione i do tego jest wielki lęk przed następstwami choroby. Stan nie jest groźny i lekarze pocieszają, że przypadek jest raczej łagodny i choroba powinna minąć bez śladu, rodzice jednakże są pełni obaw. Proszę Cię gorąco o modlitwę w ich intencji. Pozdrawiamy Cię z całego serca i Matce Bożej Jasnogórskiej polecamy, a zwłaszcza Twoje zdrowie, prosząc o pomoc. Siostry Twoje, Tadeusz i Zenia i bliscy przesyłają serdeczne pozdrowienia.

Wszyscy prosimy o modlitwę, błogosławieństwo i prędką odpowiedź.

Zalesie, 14. VI. 1954 r.

S. Wyszyński

27. VI. 1954, niedziela.

Wręczyłem dziś panu komendantowi swój piąty list do Ojca, jako odpowiedź na listy z 8. VI. i 14. VI. br. List jest treści następującej:

Najdroższy mój Ojcie! Śpieszę z uczuciem wdzięczności potwierdzić odbiór listu z 8.VI. br. i z 14.VI. br. Raduję się wielce, że Dobry Bóg ma całą Rodzinę w swej opiece i chroni Was od większych przykrości i chorób. Doświadczenie, jakie spadło na Tadzia i Żenię, bardzo mnie zaniepokoiło. Polecam w modlitwach macierzyńskiej trosce Maryi małą Anię i ufam, że ją obroni. Proszę zapewnić jej Rodziców, że nie przestaję modlić się o rychły powrót maleńkiej do zdrowia. Pragnę serdecznie przeprosić Cię, Drogi Ojcie, za niepokój, wywołany wzmianką o stanie mego zdrowia. Oczekiwałem wtedy na lekarzy, a nie chcąc odkładać listu wspomniałem krótko o tym, co według doznawanych objawów najbardziej mnie niepokoiło. Posądzałem się o jakieś schorzenia nerkowe. Dwaj lekarze, którzy badali mnie 12.V. br. orzekli, że stan nerek nie jest zły. Odczuwane bóle przypisują oni „drobnym zmianom kostnym i mięśniowym”. Natomiast posądzają mnie o nadkwasotę i stwierdzają nieznaczne powiększenie wątroby. Podałem diagnozę dosłownie, by Cię, Drogi Ojcie, uspokoić. Przyjmuję zapisane mi leki i mam nadzieję, że moje samopoczucie się poprawi. Wszystkie potrzebne mi lekarstwa mam, więc proszę o mnie się nie troszczyć. Razem z listem z 8.VI. br. otrzymałem paczkę z bielizną i drobiazgami spożywczymi. Proszę podziękować Siostrze Maksencji za czujną pamięć o moich potrzebach. W dniach imienin Janki i Julci modliłem się za nie. Wszystkim moim Siostram, Bratu i Domownikom przesyłam, przez Twoją dobroć, Drogi Ojcie, słowa oddania. Zapewniając o swej wytrwałej za Was wszystkich modlitwie, ręce Twoje ze złości całuję, błogosławiąc wszystkich.

26. VI. 1954 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

29. VI. 1954, wtorek.

Napełniłeś duszę moją, Panie, miłością ku Twemu Kościołowi, ku świątyniom Twoim, ku służbie ołtarza, ku chwale Domu Twego; wszczepiłeś mi bodziec gorliwości apostołskiej, potrzebę wyznawania Cię przed ludźmi, wypełniłeś dom mój tymi mocami odśrodkowymi, które jak pszczoły z ula szukają wyjścia na świat. A gdy wszystkie tłoczy się w gardle, sprawiają mękę człowieka duszonego z nadmiaru dóbr, których rozdać nie może. Jak trudno jest uspokoić te pszczoły pracowite, które rwą się po miód dla Twych ołtarzy. Podnieś, Panie,

zaworę i wypuść sługi Twoje na świat Boży, aby szły i owoc Ci przyniosły. Wszakże nie jako ja chcę, ale jako Ty... Gospodarz zamkniętego ula.

/ . VII. 1954, czwartek.

Codzienny dowód Chrystusowej prawdy widzę w słowach: „Jeśli Mnie prześladowali, i was prześladować będą...” Chrystus ukazywał proroczo przyszłość Kościoła. To proroctwo ma swoje dzieje, poczynając od krzyża, łańcuchów Piotrowych, aren cyrkowych, aż do dnia dzisiejszego. Wszyscy niemal czujemy, jak spełnia się w nas. Czyż nie jest to pociecha, że na sobie potwierdzamy prawdę słów Chrystusowych? Czyż nie należy cieszyć się z ujawnienia tej prawdy, choćby bardzo... bolało? I ta prawda wyswobadza, choć w tak dotkliwy sposób. Chrystus niczego nie mówił bez pokrycia dziejowego. Dwadzieścia wieków Ewangelii jest dodatkowym dowodem jej prawdziwości.

2. VII. 1954, piątek.

Wystosowałem pismo do Prezydium Rządu PRL w sprawie stawianych mi zarzutów.

2. VII. 1954, piątek.

Non horruisti Virginis uterum - i nie tylko. Okazałeś większą jeszcze odwagę. Wszak łono Niepokalanej Dziewicy przygotowały Ci dłonie Najczystsze Ojca - *Ens Purum* - byś mógł w nim zachować swoją Boską Czystość.

Tyś nie uląkł się łona serca mego... zaledwie osłaniającego „brud stajenny” lichą powłoką żalu i zawstydzenia. Wybrałeś stajnię i zamieszkałeś w niej, by w błocie stajennym wyrósł Chleb, rodzący dziewice. To jest dopiero wszechmocna Odwaga!

Maryjo, czuwał nad tym, by Twój Syn, ilekroć zapragnie narodzić się w stajni mego serca, zawsze zastał tam Twoje niepokalane ramiona: niech osłonią go i zabezpieczą przed brudem mej duszy. Czekając w Betlejem na przyjęcie Boga, oczekuj i w mojej duszy, aby nigdy Boże Narodzenie nie dopełniało się we mnie bez Ciebie.

10. VII. 1954, sobota.

Jeżeli grzech jest nienawiścią ku Bogu, a grzesznik nieprzyjacielem Twoim, to nie chcę czekać, aż Ojciec „położy mnie podnóżkiem nóg Twoich”. Sam składam nieprzyjacielską głowę swoją pod nogi Twoje i chcę być zdeptany przez Ciebie. Na szczęście, tylko nieprzyjaciel ma szansę zostać niewolnikiem. Gdy nie umiem zostać nim przez miłość, niech będę z nieprzyjaciela niewolnikiem. A już Twoją rzeczą będzie, Chryste, pozyskać mnie dla miłości.

O wiele łatwiejszą rzeczą jest zostać więźniem Kościoła, w obronie jego praw, niż więźniem Chrystusa, w obronie Jego prawa do mojej duszy.

12. VII. 1954, poniedziałek.

Dnia uprzedniego zapytałem pierwszego zastępcę pana komendanta, kiedy wróci pan komendant. Odpowiedział mi, że w tym miesiącu nie wróci. Może wróci na początku sierpnia. „Wobec tego - powiedziałem - jestem w trudnym położeniu, bo pan komendant oświadczył mi stanowisko Rządu, że mogę skierować swoje wyjaśnienia. Przygotowałem je i czekają od 2 lipca. Nie wiedziałem, że pan komendant wyjedzie na tak długo”. Zastępca oświadczył, że co wie komendant, to wie i pierwszy, i drugi zastępca i mogę pismo wręczyć albo pierwszemu, albo drugiemu zastępcy. Odpowiedziałem, że nie znam kompetencji panów, ale wydało mi się, że skoro pan komendant komunikował mi tę sprawę, to dalszy jej bieg jest w jego ręku. Pierwszy zastępca wyjaśnił, że nie ma tu różnic.

Dziś przygotowałem pismo do wręczenia. Przyszedł pierwszy zastępca i wyraziłem gotowość wręczenia pisma. Była kwestia daty napisania i wręczenia; zastępca uważa, że to jest rzecz drobna. Ale wzięwszy rękopis zwraca uwagę, że jest źle zaadresowany, gdyż pismo miało być skierowane do ministra Bidy. Wyjaśniam, że nic mi o tym pan komendant tym razem nie mówił. - „Jeżeli nie mówił, to miał to na myśli” - odpowiada zastępca. „Ongiś była o tym mowa - dodaje - ale wyjaśniłem wówczas, że nie mogę skierować pisma do ministra Bidy, dla powodów znanych panu komendantowi”. „To jest droga urzędowa” - oświadcza pan zastępca. - „Dla mnie - odpowiadam - drogą urzędową jest pan prezydent lub pan wicemarszałek Mazur, bo z tymi panami rozmawiałem i oni znają te sprawy. A z panem Bidą nigdy o tych sprawach nie rozmawiałem. Zresztą od pana Bidy doznałem tyle krzywd, że nie mogę uważać go za kompetentnego”. -

Minister Bida - dodaje zastępca - przekaże do Rady Ministrów”. - To nie jest dla mnie droga - odpowiadam. Choćbym miał tu siedzieć ^Q lat, nie uczynię tego, gdyż to jest wbrew memu sumieniu. Sądzę, że dla Rządu jest lepiej, gdy wie, iż są takie rzeczy, których ja uczynić nie mogę, niżby miał uważać mnie za zdolnego do wszystkiego. Ja wbrew sumieniu działać nie mogę”. - „Wobec tego - oświadcza zastępca - ja nie mogę przyjąć tego listu, gdyż pan komendant mi powiedział, że list ma być zaadresowany do pana Bidy”. - „A więc panowie rozmawiali na ten temat ze sobą? Nie odniosłem tego wrażenia z rozmowy z panem komendantem, który przedtem mówił o ministrze Bidzie, a tym razem nic o nim nie wspomniał, tylko złożył mi «wyraźne oświadczenie Rządu», że mogę swoje wyjaśnienia przedłożyć. Wobec tego list mój będzie czekał na pana komendanta”. - „Przedstawię to swoim przełożonym” - odpowiada zastępca.

30. VII. 1954, piątek.

Otrzymałem dziś list od Ojca, z datą 27. VII., potwierdzający odczytanie mego listu Ojcu w dniu 8. VII. br. Wraz z listem wręczono mi paczkę imieninową. Widzę, że tym razem list został bardzo szybko przekazany. Natomiast przesyłka była w stanie opłakanym. Zwłaszcza sucharki były w brudnych torbach, pokruszone i zmielone. Wszystko razem czyniło przykre wrażenie, które siostra określiła porównaniem-. „Jak psu z gardła”. Widocznie tego wymagała rewizja wiktuałów.

Ukochany mój Synu!

W moim i najbliższych imieniu przesyłam Ci, Najdroższy mój Synu, na zbliżający się dzień Twego Patrona i 30-lecie święceń kapłańskich, najserdeczniejsze życzenia wszelkich łask Bożych i spełnienia pragnień, a zwłaszcza, by Dobry Bóg nie szczędził Ci sił, zdrowia i wytrwałości.

Ciągle się o to modlimy i wierzymy, że wysłuchani będziemy. Nasze najgorętsze pragnienia, które zapewne są i Twoimi, Bogu i Matce Najświętszej zawsze polecamy, a w szczególności uczynimy to w dzień Twego Święta. Myślą i sercem ciągle jesteśmy z Tobą, a zwłaszcza w dniach, w których wszystko się mocniej przeżywa i dolegliwości bardziej odczuwa.

Serdecznie dziękuję za list, który odczytany mi został 8. VII. br. - Wiadomości o zdrowiu są dla nas niezmiernie ważne i bardzo prosimy o szczegóły przy każdej sposobności. Obie dolegliwości, o których wspominasz, wymagają nie tylko lekarstw, ale i dobrych warunków leczenia i dlatego troska o Twoje zdrowie nie ustaje.

Skłonności do nadkwasoty, jak zasięgnęliśmy informacji u lekarzy, wymagają nie tyle diety, ile starannej i troskliwej opieki, zwłaszcza gdy chodzi o odżywianie. Jeść trzeba niedużo, ale często. Pragnęlibyśmy więcej wiedzieć o Twoim życiu i potrzebach. Może moglibyśmy przesłać jakąś rzecz konieczną albo książki? Przekazałem Siostrze Przełożonej słowa do niej skierowane, ucieszyła się bardzo, serdecznie dziękuje za pamięć.

Mała Hania już powróciła ze szpitala, nie jest jeszcze zdrowa, po tej chorobie pozostają przeważnie ślady, które wymagają dłuższej kuracji, ale mamy nadzieję, że dziecko wyleczy się zupełnie. Tadeuszowie dziękują serdecznie za słowa pociechy i modlitwę. Janka i Julia prosily, by podziękować za pamięć w modlitwach.

Wszyscy inni są zdrowi. Tak bardzo czekam na ten dzień radosny, w którym będę Cię mógł, Drogi Synu, powitać i uścisnąć. Wszyscy Cię z serca pozdrawiamy, prosimy o modlitwę i błogosławieństwo.

Zalesie, 27. VII. 1954 r.

S. Wyszyński

/./ VIII. 1954, niedziela.

Zgłosił się pan komendant, po miesiącu nieobecności. Pytał o sprawę; powiedziałem, że nowych nie ma, prócz wiszącej sprawy listu do pana prezesa Rządu. Zastępca nie mógł przyjąć, gdyż uważał, że list był źle zaadresowany. Wobec tego list czekał na Pana. Pan komendant wyjaśnił, że nie wyraził się może jasno, ale list może przyjąć tak, jak jest zaadresowany. Zwracam uwagę na to, że w liście są poruszone takie sprawy, które są znane tylko panu prezydentowi Bierutowi i dla mnie jest kwestią sumienia, czy może je czytać znacznie szersze grono. Pan komendant uważa, że może list przyjąć i wziąć go ze sobą, chociaż był zaadresowany do Prezydium Rządu. Tak więc sprawa, która ciągnęła się od początku października ub. roku, dziś uczyniła krok naprzód. Chociaż nie oczekuję z tego obrotu rzeczy nic pomyślnego dla siebie, to jednak sumienie moje znacznie się uspokoiło, gdy mogłem powiedzieć Rządowi to, czego wymaga prawda i dobro Kościoła. Gdybym milczał, zawsze mógłbym spotkać się z zarzutem, że niedostatecznie broniłem prawdy, a może przez ta narażałem Kościół.

W tej potrzebie „mówienia” jest niewątpliwie i odbicie przekonania, że powiedziana prawda musi mieć swoje znaczenie. Nie zawsze bierzemy tu pod uwagę, że mentalność drugiej strony jest tak radykalnie odmienna-jeśli chcą znać prawdę, to nie zawsze dlatego, by iść za nią, tylko by „przeciwnika do końca rozpracować”. Katolicy mówiący „prawdę” w sądach, tzw. „całą prawdę” - nieraz też ulegają temu wrażeniu, że „prawda ich wyswobodzi”. W normalnych

warunkach tak być powinno. Dlaczego tak nie jest w naszych warunkach, to już jest zagadnienie skomplikowane „dialektyki bez dialektyki”.

/./ VIII. 1954, niedziela.

Arma lucis.

Jesteśmy - mimo woli - pokoleniem bohaterów. W ciągu półwiecza wieku XX spędziliśmy wśród szczęku broni dziesiątki lat. Patrzyliśmy na ludzi uzbrojonych po zęby, jak zalegali okopy; muzyką naszą są armaty, bomby i karabiny maszynowe. Widzieliśmy tysiące poległych żołnierzy, przeżyliśmy śmierć olbrzymów, dyktatorów, autokratów, jednowładców. Rządy zmieniały się w oczach naszych, jak liście na drzewach... Czyż może nam coś imponować? Przestaliśmy się bać luf karabinów i armat. Człowiek uzbrojony nie budzi w nas ani lęku, ani... szacunku. Co więcej, bardziej bohaterski wydaje się nam być człowiek bezbronny niż uzbrojony. Śmiesznie wygląda „żołnierz z bronią”, gdyż człowiek, którego zawodową cnotą ma być męstwo, powinien wystąpić do walki z gołymi rękoma, jak Dawid...

Czekamy teraz na mocarzy myśli, woli, serca, cnoty... Tylko tych zdolni jesteśmy szanować. Tylko ci są godni stanąć w szranki walki - o lepsze... *Abiciamini opera tenebrarum et induamini arma lucis.*

6. VIII. 1954, piątek.

Miarą dla miłosierdzia Bożego jest nie tyle świętość i chwała Jego przyjaciół, ile zbawienie największych łotrów. Dopiero widok zbawionych zbrodniarzy, których cały świat znienawidził, a których Bóg jeszcze uratował, otworzy nam oczy na potęgę miłosierdzia Bożego. Ale to może stać się dopiero w życiu przyszłym, gdyż obecnie nie jesteśmy zdolni tego pojąć. Musimy naprzód sami dobrze poznać nędzę własną na Sądzie Ostatecznym, by zrozumieć, dlaczego Bóg nie rezygnuje z łotrów.

26. VIII. 1954, czwartek.

„Ja miłuję tych, którzy mnie miłują” - mówi Maryja do swych sług, słowami Księgi Przysłów (Prz 8,17). Z lękiem walczę o tę miłość. Wydaje mi się, że miłuję: wszak nie umiem jednego dnia spędzić bez

Ciebie, bez Twego Imienia, bez „Zdrowaś Maryjo”, bez różańca, bez aktu oddania się Tobie. Czym byłoby życie moje, gdybym o Tobie zapomniał? Nie mogę - nawet, gdybym okazał się jeszcze słabszy niż jestem, nawet gdyby sumienie moje zarosło lasem grzechów, nawet gdybym ogłuchł z męki i bólu opuszczenia. Ale i wtedy, na tym łez padole, jeszcze bym wołał: „Witaj...” - A więc miłuję Ciebie! - Radosny wniosek, gdyż on to mówi mi: „Ja miłuję tych, którzy mnie miłują”. Mam odpowiedź! Zresztą nie wątpię, że Ty miłujesz. Bo w Tobie jest miłość z Ojca, który pierwszy umiłował. Ojciec rodzi miłość. A Matka Go naśladuje. Miłujesz, bo Ojciec umiłował. Miłujesz pierwej, niż ktokolwiek Ciebie umiłował. A że ja Ciebie miłuję, to dlatego, żeś przyniosła mi miłość z Ojca.

15. IX. 1954, środa.

Nie mogę sobie przypomnieć dokładnie, kiedy na terenie Stoczka pojawił się nowy „kierownik”; ukazał się w ogrodzie któregoś sierpniowego dnia, zatrzymał się pod każdym drzewem, starannie oglądał okna, parkany, druty na drzewach. Te spacery powtarzały się co kilka dni. Nie wiedzieliśmy, w jakim występuje charakterze. Później zaczął się interesować kuchnią i tam pytał o potrzeby. Wiadomości „kuchenne” docierały do nas z rzadka przez siostrę, która była zawsze bardzo wstrzemięźliwa w dzieleniu się swoimi spostrzeżeniami. Gdy „Nazi” poinformował księdza, że wyjeżdża na nowe stanowisko, jednocześnie odsłonił mu wieść, że będzie nowy zastępca. Do mnie dotąd nie przychodził, natomiast księdza odwiedzał. Dość wcześniej zauważyliśmy, że nowy kierownik lubi chodzić w nocnych pantoflach po naszym korytarzu i zatrzymywać się pod drzwiami. Raz został wyraźnie schwyty „na gorącym posterunku”. - „Nazi” zapowiadając zmianę, namawiał księdza, by wniósł podanie o zwolnienie: „Ksiądz nie myśli o sobie; chciałby wyprawić Księdza Prymasa do domu, a sam co...?” - „Czy warto?” - „Wątpił ksiądz. - „Zawsze warto - brzmiała odpowiedź - 'przecież ksiądz ma chorą matkę, chce się ksiądz uczyć. Proszę pisać”. - Ksiądz wypowiedział mi swoje wątpliwości. Uważałem, że powinien jednak pisać, choćby zachęta „Nazi” była tylko rekonesansem. Ksiądz istotnie napisał list i wręczył „Naziemu”. Wtedy to „Nazi” zweeksłował: „Co, już? To nie pójdzie tak prędko”. Wkrótce potem wyjechał, wzięwszy ze sobą list.

Nowy „kierownik” nadal zachowywał rezerwę i nie pokazywał się u mnie. Jednego dnia przyszedł, jak zwykle, lekarz-zastępca: „Uwagi? Prośby?” - „Zadnych nie zgłaszam. Pan się tak trzuci co dzień? Może już wystarczy i «na jutro» ta moja odpowiedź?”

Uśmiech pokwitował „rozmowę”. Jakoż, następnego dnia nie przyszedł- Natomiast zjawił się w mieszkaniu nowy „kierownik”. Początkowo sytuacja była niejasna, wisząca na nitce niewypowiedzianego pytania: kto zacz? Wyjaśnienia nie było. Przybysz nie wyjaśnił, w jakim charakterze przychodzi do mnie. Patrzyliśmy na siebie chwilę bez słów. Zastępca trzymał ręce na plecach. Kogoś mi przypominał. Bodajże wysokiego, szczupłego funkcjonariusza, którego ugryzł Baca na Miodowej. Obrzędowe: „Życzenia? Uwagi”? i „kierownik” opuścił pokój. Powtórzyło się to kilka razy w ciągu następnych dni.

Wreszcie, któregoś dnia zainteresował się mieszkaniem, warunkami ogrzewania, książkami: „Może jakie są potrzebne? Gotowi jesteśmy dostarczyć wszystkie książki, jakich by tylko ksiądz sobie życzył”. - „Skąd je weźmiecie?” - „Przywieziemy z bibliotek”. - „Namyślę się”. - „My się chyba znamy” - dodaje „kierownik”. - „Nie przypominam sobie pana”. - „A szkoda! Należałoby sobie przypomnieć. Widywaliś się często. Siadywaliś razem przy stole podczas wizytacji”. - „Nic sobie nie przypominam, co jest zrozumiałe. Tyle ludzi siadywało ze mną przy stole podczas wizytacji, niemal co dzień inni, przez długie lata”. - „A jednak, my się bliżej znamy! Rozmawialiśmy ze sobą często!” - „Nie pamiętam nic!” - „A szkoda! Należałoby sobie przypomnieć”. - „Nie lubię zagadek! Zresztą, proszę Pana, jest rzeczą ustaloną przez kodeks towarzyski, że człowiek podaje swoje nazwisko i wtedy nie trzeba zgadywać, «z kim mam przyjemność»”. - Rozmówca nie skorzystał z zachęty. Nadal chciał pozostać anonimem. Rozmowa się urywała. „My się jednak dobrze znamy” - dodawał kilka razy. Starał się być grzeczny i troskliwy. Obejrzał starannie okna, podłogę skrzypiącą, ubolewał nad chłodem w mieszkaniu. Wyraźnie czekał na coś. Odbierałem wrażenie, że nowy „kierownik” przynosi ze sobą nowy styl urzędowania. Wyraźnie nie spieszył się z wyjściem.

Poruszył raz jeszcze sprawę książek; wyjaśniłem, że nie mam chęci prosić o nowe, skoro tych, o które już dawno prosiłem, dotąd nie otrzymałem. Dopytywał, jakich mi brak. Sięgnąłem do spisów. „Kierownik” z wprawą indyka wyciągnął szyję, aby zajrzeć przez ramię do moich notatek. Poznałem „specę” od śledztwa. Trzeba być zwięzłym. Pożegnaliśmy się szybko.

Wracał odtąd co dzień, zawsze skłonny do rozmowy, zawsze uprzejmy i wyczekujący na sprawy, przedłożenia, życzenia, prośby. Obydwa z księdzem doszliśmy do wniosku, że trzeba być zwięzłym. Natomiast siostra była wyraźnie zachwycona nowym „kierownikiem”, jego uprzejmością i troskliwością. Ruchliwy był niezwykle; widywało się go wszędzie, o każdej porze dnia. Kursował po korytarzu, po schodach, po ogrodzie; często słyszałem jego kroki na drugim piętrze, nad moim mieszkaniem. Był wyraźnym zwrotem od urzędowości do jakiejś „ludzkości”.

26. IX. 1954, niedziela.

Odwiedza mnie komendant, po długiej nieobecności. Poruszam sprawę książek, której dotknął - pod nieobecność komendanta - jego zastępcą, wyrażający gotowość dostarczenia książek. Nie dostarczono mi wtedy czterech książek: 1. *Annuario Pontificio*; 2. *Coeremoniale Episcoporum*; 3. *Dottrina sociale cattolica*, zbiór dokumentów; 4. *Księga Henrykowska*. Dziś komendant oświadczył: „Przełożeni kazali powiedzieć, że książki te ze względów technicznych nie będą dostarczone”. - Wyraziłem uwagę, że książki te są w mojej bibliotece i nie widzę trudności, by je dostarczyć. Komendant powtórzył: „No, jednak przełożeni kazali mi powiedzieć, że ze względów technicznych nie mogą być dostarczone. Inne, nowe książki, mogą być dostarczone”. Odpowiadam, że po jakimś czasie sporządzą nową listę książek.

Co mam rozumieć przez „względy techniczne”, trudno mi dociec. Przecież nie trudno odszukać książek, ani też ich przywiezienia. Na pewno te książki były w mojej bibliotece, i to w widocznym miejscu. Czyżby próbowano oddziaływać na kierunek mej lektury? Zresztą, w jakim celu? Przecież nie mogą spodziewać się, bym przestawiał „swoją światopogląd”?

5. X. 1954, wtorek.

Po dłuższej nieobecności, podczas której odwiedzał nas nowy zastępca dotychczasowego pierwszego zastępcy, przyszedł dziś lekarz, drugi zastępca komendanta, którego nie widzimy od tygodnia. Po zdawkowych pytaniach o zdrowie i o potrzeby usłyszał odpowiedź: „Wszystko bez zmian, życzeń nie zgłaszam”.

Lekarz: W takim razie my mamy przedłożenie. Ponieważ klimat tutejszy i stan domu nie służy księdzu, dlatego Rząd postanowił zmienić warunki klimatyczne. Należy w ciągu dnia dzisiejszego zebrać swoje rzeczy, kapelan pomoże, a jutro o godzinie 10.00 rano wyjedziemy samolotem na nowe miejsce pobytu. Pojedzie kapelan, siostra i my wszyscy; pojedziemy razem. Podróż samolotem będzie trwała dwie godziny.

Prymas: Jestem zaskoczony tą decyzją o moich losach. Rad bym przynajmniej wiedzieć, czy to daleko stąd i czy w wyborze miejsca pobytu bierze się pod uwagę stan moich płuc.

Lekarz: Jest to bardzo daleko, na drugim krańcu Polski i dlatego podróż odbędzie się samolotem, by zaoszczędzić zmęczenia. Warunki klimatyczne będą lepsze i dom będzie zdrowszy. Pojedziemy razem.

Prymas: Będę gotów jutro na godzinę 10.00 rano. Jednak dla mnie jest to sprawa bardzo zasadnicza: spodziewałem się raczej, że będę

zwolniony po roku pobytu w Stoczku i że będę miał możliwość wrócić do swej pracy.

Lekarz: To już ode mnie nie zależy, tylko od władz wyższych.

Prymas: Wiem o tym, ale ja nie mam możliwości dotarcia do władz wyższych, które nie odpowiadają na moje dezyderaty, muszę więc mówić temu, kogo widzę przed sobą. Ostatnio wystosowałem list do Prezydium Rządu, stosownie zresztą do upoważnienia Władz; pozostał bez odpowiedzi, nawet takiej, jaką się daje dla potwierdzenia odbioru.

Lekarz: Skoro list został wręczony, na pewno został przekazany.

Prymas: Niemniej obywatel ma prawo do potwierdzenia odbioru listu. Przecież list był wystosowany na wyraźne życzenie Władz rządowych. Miałem prawo spodziewać się, że Rząd weźmie pod uwagę moje wyjaśnienia. Zmuszony jestem określić stanowisko wyraźnie: czuję się pokrzywdzony przez Rząd nie tylko w swych prawach biskupa trzech milionów katolików, ale i w swych prawach obywatelskich. Jestem skazany na byt więźnia zaocznie, bez aktu oskarżenia, bez dania mi możliwości udzielenia wyjaśnień, wbrew zasadzie *audiatur et altera pars*. I tak sprawa trwa rok. Stosowany jest do mnie system obozu koncentracyjnego, wbrew temu, że sumienie wszystkich narodów potępiło ten system obchodzenia się z obywatelami. Trzymany byłem w domu, którego zgnilizna niszczyła mi zdrowie i siły. Umieszczono mnie w miejscu, którego hitlerowcy używali do więzienia biskupów austriackich po *Anschlussie*. I to się dzieje na oczach całej Europy, która przecież śledzi starannie losy człowieka, który nosi - wbrew swym zasługom - godność, nieobojętą dla świata kulturalnego, a zwłaszcza katolickiego. Czy istotnie takie robienie ze mnie męczennika sprzyja Rządowi i czy dobrze usposabia doń społeczeństwo? Ostatecznie, nie brak ludzi w Polsce, dla których Prymas Polski znaczy wiele. Trudno działać wbrew opinii publicznej, bo nie można rządzić państwem przeciwko obywatelom. Ostatecznie państwo istnieje dla obywateli, a nie na odwrót.

Lekarz: Ksiądz bierze sprawę zbyt osobiście, podczas gdy tu wchodzi w grę państwowa racja stanu.

Prymas: Czy istotnie biorę sprawę osobiście? Wszak idzie o obronę zasadniczych praw moich do wolności! W liście swoim z 2. VII. br. do Prezydium Rządu nie dotknąłem spraw osobistych wcale. A gdy idzie o pojęcie „racja stanu”, jest mi dobrze wiadomo, co składa się na to pojęcie. Jeżeli istnieje inne, to proszę mi to wyjaśnić. Pracowałem tyle lat nad uzgodnieniem współistnienia Kościoła i Państwa w Polsce i znam zasadnicze postulaty Rządu. Jeżeli dziś Rząd ma nowe, czyż nie było prostsza rzeczą, zamiast urządzać awanturę o rozgłosie europejskim, wyrazić gotowość rozmowy na te tematy, które Rząd obchodzą. Mogliśmy prowadzić tyle rozmów, czyż nie można było jeszcze tej jednej przeprowadzić? To jest sprawa donioślejsza niż klimat taki czy inny. Zresztą, jeśli zmieni się klimat przez nowe miejsce

mego pobytu, a ta sprawa nie zostanie rozstrzygnięta, klimat pozostanie ten sam. Podstawową rzeczą dla wszystkich racji stanu jest sprawiedliwość dla obywateli. Bez uszanowania prawa obywateli nie można rządzić państwem, bo państwo bez obywateli istnieć nie może. Jakakolwiek ma być „racja stanu”, fundamentem jej musi być sprawiedliwość wobec obywateli. Czy to jest osobiste podejście?

Lekarz: Przedstawię tę rozmowę władzom wyższym. A więc jutro o godzinie 10.00. Czy może są jakie życzenia w związku z drogą?

Prymas: Będę gotów na godzinę 10.00. Czy mój towarzysz jest już poinformowany?

Lekarz: Zaraz się dowie.

Wkrótce przyszedł ksiądz. Biedacek był zdruzgotany tą wiadomością. Ale wkrótce się opanował i wytłumaczył sobie nowe doświadczenie bardzo po Bożemu. Spodziewał się raczej uwolnienia i powrotu do chorych rodziców.

Po obiedzie zaczęliśmy zbierać swoje ubogie gospodarstwo. Książki i cięższe rzeczy miały być wystawione na korytarz do godziny 22.00, gdyż samochód zabierał je w drogę na noc.

W czasie dłuższego spaceru zegnaliśmy nasz ogród i obliczaliśmy nasze *pro* i *contra* w Stoczku. Nacierpieliśmy się tutaj wskutek ciężkiej zimy, wilgotnego domu, stęchlizny całego parteru, która docierała na górę, uporczywych wiatrów od morza, które trwały kilka miesięcy letnich, niemal bez przerwy, zimnicy i lichych pieców, dymiących potwornie; obydwaj byliśmy w stanie półchorobowym cały rok. Siostra nabawiła się chronicznego kataru, ksiądz ischiasu, a ja reumatyzmu nóg, które miałem zmarznięte, nawet latem, od podłogi. To była strona sanitarno-zdrowotna naszego bytowania w Stoczku.

Strona duchowa przedstawiała się znacznie lepiej. Nasza kapliczka żyła. Pan Jezus mieszkał w futerale na kielich; odprawialiśmy Mszę świętą bez portatylu. Rozśpiewaliśmy się. Okres Bożego Narodzenia spędziliśmy na kolędach, które w święta zajmowały nam kilka godzin wieczornych. Odprawialiśmy dość często Msze śpiewane. Krzepiliśmy ducha swojego nowennami: do świętego Józefa, do Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, do Opieki świętego Józefa, do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, do Maryi Pośredniczki Łask, do świętego Piotra w Okowach, do Przemienienia Pańskiego, do Wniebowzięcia Maryi, do Matki Bożej Jasnogórskiej, do Narodzenia Maryi, do Imienia Maryi, do Maryi od Wykupu Niewolników. Przenosiny zastały nas w czasie nowenny do Macierzyństwa Maryi. Słowem, żyliśmy w ciągłej modlitwie, która pokonywała wszystkie nasze bóle, smutki i zawody. Ale te smutki przechodziły dziwnie szybko. Chociaż nadzieje nasze na rychłe wyzwolenie się odwlekały, to jednak po każdej ukończonej nowennie zespół nasz był dziwnie pogodny, spokojny i rozradowany. Trzeba raczej przyjąć, że dominowała pogoda i wesołość. Ciężkich smutków nie przeżywaliśmy tragicznie; szybko konały, choćby i przy-

szły. Chociaż usposobienia nasze są tak różne, to jednak wspólna modlitwa, wspólne ranne rozmyślenia, które prowadziłem na głos według mszału benedyktyńskiego, wieczorny różaniec - te siły jednoczyły i zespały. Modliliśmy się wiele za naszych opiekunów, których nie uważaliśmy za naszych nieprzyjaciół.

Jedna uwaga dotycząca naszych opiekunów. Zachowanie ich było bez zarzutu. Wszyscy byli grzeczni, poza jednym, który wyczekiwał pozdrowienia. Ale wszyscy byli zwięźli, zasadniczy, bez żadnych kontaktów prócz urzędowych. Cierpieli razem z nami zimno i wilgoć zgniłego domu. Wypełniali sami wszystkie roboty. Najcięższe sprawy mieli z piecami, które w zimie dymiły i pękały; trzeba było czyścić kanały, co z budującym poświęceniem czynił starszy pan, zwany przez nas „dziadkiem”. Było nam serdecznie żal tych ludzi, gdy spędzali całe noce na wartowaniu „przy kasie”. Gdyby mogli nam zaufać, poszliby spokojnie spać. Ale „nie mogli” pomimo mego oświadczenia, złożonego komendantowi, że domu tego nie opuszczę bez pozwolenia wyraźnego, choćby wszystkie drzwi stały otworem. Niszczyli więc czas i zdrowie na tym bezrozumnym wysiadaniu na korytarzach, pilnując ludzi, którzy nie mieli wcale zamiaru uciekać. Widok ten i smucił, i bawił. Podobnie jak bawiły nas festony drutów i kabli, którymi spowite były słupy wysokiego parkanu. Nieraz myślałem: albo jestem tak groźny, albo tak wielki przestępca, że tego nie rozumiem, albo też - strach ma wielkie oczy.

Ogród był naszą wielką pociechą. Całą zimę byliśmy obydwaj „brygadą” walczącą z zaśmieceniem uliczek. Praca ta pochłaniała wiele naszej energii. Karmiliśmy ptactwo „w stołówkach” na tujach i na dachu ganku. Wiosna była rozkoszna: pierwiosnki (przebiśniegi) zadziwiały swą siłą, przebijającą twardą skorupę lodowych gór; przylaszczki, barwinki ukwieciły z kolei łąkę, która na jesieni wyglądała jak śmietnik. Gdy zakwitły żółte mlecze i drzewa owocowe, był to obraz niezapomniany. Rozkochaliśmy się w szpakach, których troski macierzyńskie i pedagogika społeczna, a zwłaszcza obżarstwo młodego pokolenia - zdumiewały nas. Tyle zapału spożywczego, tyle wymownej prośby w rozwartych dziobkach, tyle wysiłku zaopatrzeniowego może posłużyć za temat do rozważań na długie godziny. - Ile można zobaczyć na zamkniętym odcinku ziemi, gdy człowiek zmuszony jest patrzeć tylko na „krótką” metę, przekonałem się dopiero w Stoczku. Jeśli taki małeńki skrawek ziemi jest tak bogaty w życie, cóż mówić o globie?

Wieczorem odwiedził nas nowy drugi zastępca, by upewnić się, czy rzeczy są gotowe do nocnego transportu. Zabierano niemal wszystko, co było w domu, nie wyłączając dywanów i zasłon okiennych. Nieco dziwiliśmy się, po co tyle trudu: „Choćby kilka tygodni mieszkać po ludzku - odpowiedział zastępca - i to coś warto”. Przez cały czas tej likwidacji nie pokazał się wcale komendant, tak że cały trud likwidacji

przyjął na siebie nowy zastępcę. Był bardzo troskliwy i ruchliwy. Wieczorem podziękowaliśmy w naszej kapliczce Matce Najświętszej i Jej Synowi za wszystkie łaski tu doznane, których było tak wiele.

•
*•

Największym brakiem apostoła jest lęk. Bo on budzi nieufność do potęgi Mistrza, ściska serce i kurczy gardło. Apostoła już nie wyznaje. Czyż jest jeszcze apostołem? Uczniowie, którzy opuścili Mistrza, już Go nie wyznawali. Dodali odwagi oprawcom. Każdy, kto milknie wobec nieprzyjaciół sprawy, rozzuchwala ich. Lęk apostoła jest pierwszym sprzymierzeńcem nieprzyjaciół sprawy. „Zmusić do milczenia przez lęk” - to pierwsze zadanie strategii bezbożniczej. Terror, stosowany przez wszystkie dyktatury, obliczony jest na lękliwość apostołów. Milczenie tylko wtedy ma swoją apostołską wymowę, gdy nie odwracam oblicza swego od bijących. Tak czynił milczący Chrystus. Ale w tym znaku okazał swoje męstwo. Chrystus nie dał się sterroryzować ludziom. Gdy wyszedł na spotkanie hałastry, odważnie powiedział: „Jam jest”.

6. X. 1954, środa.

Stoczek Warmiński - Prudnik Śląski. Ostatnia Msza święta była ku uczczeniu Matki Bożej Jasnogórskiej. Ksiądz odprowadził do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Prowizoryczny ołtarzyk pozostał bez *Sanctissimum*. Taka likwidacja jest zawsze bolesna. Śniadanie, ostatni spacer po ogrodzie, po oddaniu naszych rzeczy, które o godzinie 10.00 odwieziono na samolot. O godzinie 12.15 wyruszyliśmy w kierunku na Bartoszyce, Kętrzyn. Samolot stał pod Kętrzynem, na polu przyległym do lasów, w których mieściła się kwatera Hitlera. Samolot startował o godzinie 13.00; stały kierunek lotu - południowo-zachodni. Lecieliśmy w nieznaną. Rozpoznaliśmy Jeziora mazurskie, przelot przez Wisłę. Później wznieśliśmy się ponad pułap chmur i już nic nie widzieliśmy, aż - Odrę. O godzinie 15.00 lądowaliśmy na polach, w pobliżu miasta, którego nie mogłem rozpoznać. Wiedziałem, że jesteśmy gdzieś na Opolszczyźnie. Później okazało się, że lądowaliśmy koło Nysy, skąd przez Głuchołazy dojechaliliśmy samochodami do Prudnika Śląskiego. Trzeba było jednak czekać w smolocie do godziny 18.00. Dopiero w ciemnościach wyszliśmy z samolotu i zajęliśmy miejsca w samochodach. Droga trwała około trzech kwadransów. Zatrzymaliśmy się przy domu, położonym w lesie, który był przeznaczony na nowe miejsce pobytu. Był to klasztor Franciszkanów pod Prudnikiem, zamieniony na nowy „obóz izolacyjny”.

IV

PRUDNIK ŚLĄSKI

7. X. 1954, czwartek.

Ciągle jeszcze rzut oka wstecz „na Stoczek”. Z tego, co przeminęło, najważniejsze wrażenie dotyczy zawsze ludzi. Spotkaliśmy się z ludźmi, o których mieliśmy prawo myśleć: to są komuniści, materialści, ateści, ludzie wybrani i dobrani, zapewne reprezentacyjni, może jakaś swoista elita, mająca na celu nie tylko dobrze nas strzec, ale zapewne „budować”, dawać nowy wzór życia „postępowego”. Może to są jacyś wyjątkowi idealści komunistyczni, a więc ludzie zasługujący na uwagę i wyrozumienie, a może to są tylko zwykli ludzie zastraszeni i ulegli dla wygody życiowej - chociaż wątpliwe, czy tacy ludzie, o sztucznym entuzjazmie, zdołaliby się tu dostać. A może to są różne „wtyczki”, prowokatorzy, pracujący albo na rzecz władzy, albo na rzecz obcego wywiadu, wewnętrznej dywersji, której jest tak wiele w szeregach administracji „państwa w rewolucji”. Może, może... Sto domysłów, sto przypuszczeń... Z tym wszystkim - baczną uwagę na wszystko. Ja nie mam wprawy, pozostaję w świecie swoich myśli, które nie pozwalają mi zbyt interesować się najbliższym otoczeniem.

Ksiądz ma w sobie psychikę i postawę doświadczonego więźnia: umie patrzeć na wszystko oczyma więźnia, wszystko widzi, wszystko ma dlań ważne znaczenie. Taki talent można nabyć tylko powoli, za cenę wielu przykrych doświadczeń. Ja wiele rzeczy nie dostrzegam: ksiądz widzi, pod którym drzewem stał „x”, które okno się otworzyło, gdyśmy wychodzili, o której godzinie w nocy skrzypiały deski korytarza, przy których drzwiach zatrzymały się kocie kroki, tłumione chodnikiem, jaki skrawek papieru leżał w łazience, co zniknęło z korytarza, jakie odgłosy dochodziły z II piętra. Szczegółowe uwagi na ten temat zawsze mnie nieco dziwiły, zwłaszcza w początkach, później i ja zacząłem się nieco interesować tymi odgłosami życia „z drugiej strony”. Ale nigdy nie wkładałem w to żywszego zainteresowania. Ciągle jeszcze jestem człowiekiem „życia otwartego”, dla którego jest ważne to, co robi się otwarcie i jawnie. Bardzo trudno jest zdobyć się na to „drugie życie”.

Zapewne, odcinek obserwacyjny dla drugiej strony jest bardzo wąski. Mamy możliwość widzieć kogoś z panów przez półtorej minuty, w czasie „wizyty”. Krótka, stylem telegraficznym dokonana wymiana słów zdawkowych, która mnie nudzi. Mamy możliwość zobaczyć „pół człowieka” przy „kasie” i plecy drugiego na parterze, schodząc do ogrodu. Bardzo rzadko można kogoś zobaczyć w ogrodzie; dzieje się to sezonowo, raz na tydzień, dwa – po czym ucina się „zjawisko” radykalnie. Było na przykład „zjawisko opalania się”, które zostało ucięte nagle i radykalnie. Było inne – niedzielnych rannych wycieczek ekipy nadzorczej na ogród, blokowanie ławek przez nas nie zajmowanych. I to urwało się nagle. Było zjawisko „porządkowe” košby, eksploatacji owoców (to najdłuższe); wszystkie przychodziły nagle i urywały się tajemniczo, radykalnie. Było zjawisko „nieznajomego”, co pojawiał się w ogrodzie, chodził od drzewa do drzewa, przystawał, spoglądał na prawo, na lewo, oglądał ptasie stołówki i... znikał. Było zjawisko nocnego pogotowia, z biegami wokół parkanów – i to urwało się.

To są wąskie możliwości obserwacji „nowego człowieka” – człowieka przyszłości, postępowego, z którym, mimo woli, porównywaliśmy się, zastanawiając się, co Polsce przyniesie i jak ją ukształtuje. Oczywiście, to nie daje prawa do wyciągania wniosków i do czynienia sądów. Ale też nie jest to materiał bez wartości.

Skład ekipy? Wszystko bezimienne, trudne do określenia. Skąd ci ludzie się rekrutują, co przedtem robili, dlaczego zajęli się pracą, która tak mało przynosi satysfakcji normalnemu człowiekowi o jakiejś ambicji? Bo wysiadywać całymi godzinami na korytarzu, dzień i noc, przez całe miesiące, to – każdy przyzna – nie jest zajęcie dla człowieka o jakichś ambicjach „materialistyczno-idealnych”. Służba sprawie? Byłby to chyba jedyny argument godny uwagi!

Komendant zwany jest w kołach tajemniczych „pułkownikiem”: w Stoczku nie widziałem go nigdy w mundurze, chociaż wiem, że mundurem wojskowym się posługiwał. Człowiek o bezmyślnej twarzy, niezdolny do wypowiedzania dłuższych zdań poprawnie. Średniego wzrostu, krępy, z silną skłonnością do tycia, co wszyscy dostrzegamy. Posługuje się nieumiejętnie zasłyszanymi sloganami propagandowymi. Czy umiałby grać, przeprowadzić „zadanie”? – Raczej nie! W momentach, które wymagały „akcji”, zawsze znikał. Wtedy wysuwał się na czoło jego zastępca. Można by uważać komendanta za „grzecznego”. Jego właściwością było „kłamanie”, chociaż czynił to na rachunek „przełożonych”, do których z zasady się odwoływał. Krótki, zwięzły, unikający rozmów. Gdy wynikały, czuł się wyraźnie zaniepokojony i pośpiesznie cofał się do drzwi. Odnosiło się wrażenie, że woli mniej słyszeć, mniej wiedzieć. To zapewne było kłopotliwe – usłyszenie czegoś, co wymagało potem sprawozdań. Starał się robić „życzliwe” wrażenie; z czasem nauczył się uśmiechać. Umiał być

nawet niegrzeczny, chociaż na sobie tego nie doznałem. Ogarniały go niekiedy „zrywy pracy społecznej”. Wtedy brał grabie i wraz z innymi pracował w ogrodzie; trwało to jednak bardzo krótko. Raczej wystawał beczynnie przy innych gdy z rzadka coś robili. Zresztą, robił wrażenie inwalidy, człowieka, który wadliwie chodzi; miał może rupturę albo jakieś przebyte złamanie nóg. Przychodził zawsze starannie ogolony, „ucywilizowany”, czyli w ubraniu cywilnym, wyprasowanym, mocno pachnący, pozostawiając za sobą ślady długotrwałych woni. – Jest to taki człowiek, o którym można powiedzieć: „nie wie, co czyni”; można też mu wiele wybaczyć.

Drugi – „pan kierownik” – człowiek o prostaczej twarzy i manierach parobka, świeżo ubranego w garnitur; pozbawiony wszelkiej inteligencji, w rozmowach – niedołączny i niezgrabny, podobnie – w całym zachowaniu się. Dano do zrozumienia, że „on tu najważniejszy i od niego wszystko zależy”. Był „aktywny”, ruchliwy, ciągle kursujący po gmachu, gaszący rozmowy, ilekroć zbliżał się do gromadki, wyraźnie zenujący swoją obecnością (!) – jak to sam określił. Pochodził gdzieś z Małopolski centralnej, był przywiązany do gór i chętnie o nich mówił. Znał strony, w których i ksiądz się orientował. Tego człowieka woleliśmy nie widzieć. Gdy doszła wiadomość, że wyjechał, doznaliśmy ulgi. Od razu odczuło się swobodę w całym domu; członkowie ekipy też odżyli, stali się pogodniejsi i uprzejmiejsi. Zajmował się gospodarstwem, kuchnią, siostrą; uważał się za człowieka, któremu podlega ksiądz w specjalny sposób. Do mnie przychodził bardzo rzadko i zazwyczaj nie wdawał się w żadne rozmowy. Ilekroć ksiądz jechał do lekarza lub na widzenie się z ojcem do Barczewa, *magna pars fuit* kierownik. Zazwyczaj, w czasie podobnych wyjazdów stwarzał sposobność rozmowy z księdzem, do jakiegoś nacisku lub wypowiedzania swoich uwag, niezadowolonych, gróźb i poszlak – o czym później. Ten pan nigdy się nie uśmiechał. Był zawsze mocno zakłopotany, gdy przychodził do mnie; oczy miał na suficie, nie wiedział, co robić z rękami, których nie próbował podawać. Gdy dowiedzieliśmy się, że opuszcza nas z początkiem bodaj września, wszyscy doznaliśmy ulgi. „Przeszedł” na inne stanowisko, ku zadowoleniu swoich kolegów i komendanta. Po wyjeździe tego pana sam komendant poczuł się bardziej w „siodle” i łatwo było odczuć, że jest nareszcie sam, z jakimś znaczeniem. „Kierownika” nazywaliśmy „Nazi”, gdyż zarówno wyglądem jak i manierami przypominał podoficera gestapowskiego; bardzo się o to gniewał i nie mógł odmówić sobie sposobności, by to księdzu wspomnieć, w swoim i kolegów imieniu.

Trzeci z „zarządu domu” – zastępca kierownika, młody człowiek, szczupły, starannie ubrany, uczesany i ogolony. Przedstawiony mi był w obecności kierownika, przez komendanta. Wyraziłem wtedy zdziwienie: „Jeszcze jeden zastępca?” Przyjął to spokojnie. Zresztą

zachował martwy spokój do ostatniej chwili. Był to bodaj produkt najbardziej zbliżony do ideału człowieka postępowego, „nowego stylu”. Twarz bez wyrazu, zatrzymana, obca, daleka, zda się obecna tutaj tylko fizycznie. Zdawało się, że człowieka tego nic nie zdoła wzruszyć, nic zainteresować. Przychodził zawsze reprezentacyjnie, bez skazy na ubraniu czy obuwiu, wyprasowany, jak gdyby zstąpił z witryny magazynu mód, oczywiście przedwojennego. Ten pan podawał rękę. Niekiedy raczył się uśmiechnąć umiarkowanie, gdy się do niego przemówiło po urlopie: „Ładnie się pan opalił”. Zresztą starał się być opalony. Było to dla niego o wiele ważniejsze niż rozmowa z człowiekiem. Uważaliśmy go za lekarza i nazywaliśmy go „Eskulapem”, chociaż nigdy nie przejawiał żywszego zainteresowania chorym księdzem, choćby go zastał w łóżku, ani też nigdy nie zdradził głębszej fachowości lekarskiej. Człowiek na wskroś tajemniczy. Zdaje się, że pokazywał się w domu tylko na moment wizyty, która przypadała mu co sześć dni. Widziano go w szpitalu wojskowym, w wyjątkowych okolicznościach, o których lepiej milczeć. Raz widziałem go w mundurze wojskowym, z czego nie był zadowolony. Ten pan nikim się nie zajmował; ani księdzem, ani siostrą. Robił inteligentniejsze wrażenie od komendanta; raz tylko wspomniął o „poglądach”, na co usłyszał zwięzłą odpowiedź. Poza tym pozostał wielką zagadką.

Z reszty ludzi, występujących na widowni Stoczka, godny uwagi jest „starszy pan”, o rysach i manierach semickich, o akcencie mowy również wybitnie semickim, chociaż podobno Żydem nie był, a miał pochodzić ze Skierniewic, jako stary kolejarz. Tak przynajmniej wyjaśnił księdzu kierownik, gdy z oburzeniem gorszył się z tego, jakobyśmy nazywali go „Moszek von Schwinau” (od komtura krzyżackiego, o którym pisze Grabski w *200 miastach*). Może ten pan i nie był Żydem; gdyby nim był, mógłby przynieść zaszczyt swej narodowości. Można bowiem powiedzieć o nim, że był to typ przejawiający w sobie najwięcej człowieczeństwa i jakichś wartości na „nowego człowieka”. Zdaje się, że był uświadomionym komunistą. Tylko w jego rękę widziałem raz *Kapitał* Marksa, opasły tom, który przez kilka dni leżał na reprezentacyjnym stole „pensjonatu”. Tylko ten pan również czasami coś pisał, coś uważniej czytał, starał się być czymś zajęty podczas dyżurowania. Początkowo zajmował wobec nas stanowisko „plecami”, gdy schodziliśmy do ogrodu, z czego wnioskowaliśmy, że jest „uświadomionym”, walczącym z „wrogami ludu”. Dziś można rozumieć, że w ten sposób reprezentował i wyrażał linię partii, jako że nie czas było jeszcze na „współistnienie”. Później dostrzegaliśmy nas na 3/4; a wreszcie pokazał w pełni swoje oblicze. Był to jednak człowiek godzien szacunku: on jeden coś robił, wynajdywał sobie pracę - strugał patyki, rzeźbił, malował, czytał... Słowem, „nie dawał się” pochłonać głupiej egzystencji Steczkowskiej, bez zajęcia. On jeden umiał naprawić elektryczność, wyremontować kuchnię, piec w łazience, czy też

własnymi rękoma wygarnąć sadze z kanałów. Ubrudził się przy tym okropnie. Powoli stawał się uprzejmiejszy i zdolny pokazać „ludzkie oko”. Tego pana zaczęliśmy nawet lubić, jako przedstawiciela „normalnych ludzi”.

Zbliżona do tej kategorii ludzi była gospodyni, stały element w ekipie. Jechała ze mną zaraz do Rywałdu z Warszawy; widziałem ją w drugim samochodzie, gdy podczas przystanku pod Grudziądem starannie kryła się za kierownicą. Ona pierwsza zaczęła wydawać „głosy z zaświata”, jeszcze w Rywałdzie, gdy przynosiła mi posiłek do celi. Te głosy były bardzo określone w tematyce: „Trzeba jeść - mówiła - bo to najważniejsze”. Starsza, 60-letnia kobieta, tęga, schorowana. Nazywała mnie zawsze „Ojcem”. Była utrapieniem naszej ekipy, gdyż niekiedy urządzała awantury, dochodzące aż do nas. Myła wtedy głowę całemu „zarządowi” i wszystkim członkom ekipy. O co szło, nigdy nie wiedzieliśmy. Zdaje się, że głównie o dostawę produktów do kuchni, o które było bardzo trudno w Stoczku. Od jakiegoś czasu zaczęła jeździć autem na targ, a później zaczęła regularnie co miesiąc wyjeżdżać do Warszawy. Zresztą czynili to i inni. Wtedy nasza siostra szła do kuchni gotować. Pod nieobecność siostry gospodyni przynosiła nam pokarmy na górę, zatrzymywała się na minutkę w drzwiach kapliczki i spoglądała na ołtarz „z wiarą”. Wydało mi się, że można ją zaliczyć do normalnych ludzi.

O reszcie ekipy trudno mówić. Wszyscy byli ludźmi anonimowymi, wszyscy nie lubili pracować, przeważnie młodzi, zazwyczaj chorzy lub chorowici, zwykłe, proste chłopaki „w cywilu”, ukrywający starannie swoje mundury. Tylko wtedy, gdy wyjeżdżali z księdzem do Olsztyna lub do Barczewa, występowali w mundurach i z krótką bronią w kieszeniach. Prowadzili tryb życia rozlazły, wólczyli się po korytarzu leniwym krokiem, całymi godzinami umieli wystawać przy oknach. Siedząc na dyżurce przeważnie spali albo drzemali. Wygląd mieli raczej smętny i znudzony, co było nieraz przedmiotem naszej wesołości: my uwięzieni, jesteśmy zadowoleni, a oni, władcy, są zgnębieni. Na ogół trzymali się z daleka. Ilekroć się spotykaliśmy, co mogło się zdarzyć dwa razy w ciągu dnia, przy zejściu na spacer, reagowali różnie. Jedni wstawali po wojskowemu od stołu, i wypowiedzieli pozdrowienie, inni nie wstawali, ale siedząc odbąkali coś na pozdrowienie. Jedni czynili to bardzo grzecznie, inni niedbale i opryskliwie. Z biegiem czasu ten styl się poprawił, zwłaszcza po roku wspólnego pobytu. Jeden z nich usiłował być wyjątkowo grzeczny i rozmowny. Było to w miesiącach maju i czerwcu. Później nagle zniknął. Nazywaliśmy go „Gaduła”. Nigdy jednak nie przekroczył ram „pogody, słońca i deszczu”. Nigdy o nic nie pytał; nigdy też nie wywiązała się żadna rozmowa między mną a nim.

Jako wspólny rys postępowania dla wszystkich: spotkani samotnie, byli grzeczniejsi, spotkani w gromadzie, byli sztywni i urzędowi.

Wszyscy starannie się perfumowali, chociaż nieraz byli ubrani gorzej. Wszyscy marnowali czas na nudzie i beczynności. Jeżeli coś czytali, to powieściadła. Wszyscy nie byli skłonni do pracy. Jeżeli niekiedy do niej wyszli, to na bardzo krótko. Większym ich wyczynem było wykoszenie traw w ogrodzie; wszyscy umieli dobrze kosić, z czego wynika, że w pierwszym pokoleniu pochodzą ze wsi. Niemal wszyscy umieli dobrze kłać. Gdy dochodziły odgłosy ich rozmów, były zawsze bardzo ordynarne.

Stosunek do pracy mieli - poza „kolejarzem ze Skierniewic” - wysoce obojętny. Mogli być świadkami niszczących się traw, nie zajęli się nimi. Gdy wreszcie skoszono trawy, nikt ich nie przewracał, aż zgniły. Gdy proces gnicia zatruwał powietrze, przyszły wozy wojskowe rankiem i wywozły zgniłe trawy; tuż za parkanem pasły się krowy na wyschłym wygonie. Resztę trawy spalono w ogrodzie, ujawniając całemu światu wysoce postępową metodę suszenia siana. Byliśmy zdumieni tak prostym pomysłem „racjonalizatorstwa” w rolnictwie; że też tak późno ludzie wpadli na ten pomysł, i to w Stoczku, na oczach ludzi zacofanych, wrogów nowego ustroju!

Można by snuć wiele myśli na temat „wychowania postępowego obywatela”. Jeśli ono daje takie rezultaty wśród „elity”, jaka nas niewątpliwie otaczała, co sądzić o innych? Ci ludzie nie są zdolni stworzyć materialnego dobrobytu w Polsce. Nieraz wypożyczano z naszego „magazynu”, w którym zgromadziliśmy trochę narzędzi ogrodowych, zebranych w parku, jakieś sprzęty do pracy; nigdy ich nie odniesiono na miejsce, porzucono tam, gdzie coś robili. Ile razy zbieraliśmy te sprzęty, przynosząc z powrotem do naszego schowka pod gankiem! Okazało się, że my - „idealiści” umieliśmy więcej szanować ten sprzęt, niż oni - „materialiści”. Mieliśmy też większą umiejętność pracy w ogrodzie, chociaż była to praca bardzo skromna (gracowanie ścieżek prowadziliśmy zawsze sami, podobnie jak odgarnianie śniegu).

Czy nie było jakichś prób penetracji w nasze współżycie? Zdaje się, że można to uważać za fakt stwierdzony, chociaż nie bezpośrednio. Kilka spostrzeżeń i uwag podam na tle wymiany różnych faktów relacjonowanych.

Przede wszystkim zagadnienie podsłuchów: jest to sprawa tak zwykła w obecnym ustroju, że trudniej byłoby uwierzyć w to, że ich nie było. Nie można stwierdzić żadnych śladów technicznych, żadnych przygotowań. A jednak jest rzeczą niewątpliwą, że wiele spraw, natury - zda się - dla naszego otoczenia obojętnej, dochodziło do jego wiedzy. Z rozmów prowadzonych z księdzem przez kierownika wynikało, że nasi panowie bardzo interesowali się naszym życiem i współżyciem, że wiedzieli o najdrobniejszych szczegółach tego współżycia, że nie uchodziło ich uwagi nawet to, co dla nas było zwykłe i bez znaczenia. Od Bożego Narodzenia zaczęliśmy spędzać dni świąteczne możliwie wspólnie: do południa - w kaplicy, po południu - w moim pokoju,

który służył nam za stołowy i „recepcyjny”. Zebrania popołudniowe bardzo interesowały naszych panów; wyraźnie dopytywali, o czym się mówi. W rzeczywistości nie było tam nic, co mogłoby ich niepokoić: urządzaliśmy sobie wykłady i pogadanki z zakresu historii Kościoła, sztuki kościelnej, liturgii, śpiewów, turystyki po krajach katolickich. Niekiedy ograniczaliśmy się do głośnej lektury jakiejś książki. Czasu na rozmowę *de quolibet* nie zostawialiśmy sobie. W okresie Bożego Narodzenia niemal cały czas zajmowały nam kolędy. Było to więc życie politycznie archyhygieniczne. To życie nie we wszystkim podobało się naszym panom; obawialiśmy się, że może zabronią nam „zebrań” bez pozwolenia „przełożonych”. Ale do tego nie doszło. Jest rzeczą niemal niewątpliwą, że kierownik skradał się pod drzwi mojego pokoju, zostawiając po sobie na podłodze froterowanej ślady odcisków swoich szerokich podeszew. Z tych rozmów, prowadzonych zazwyczaj w pogodnym i wesołym nastroju, wiele dochodziło do panów - w sposób niedokładny - a więc zapewne przez podsłuchiwanie pod drzwiami, zresztą bardzo lichymi i nieszczelnymi. Było to o tyle łatwe, że nie staraliśmy się mówić cicho. Zapewne z tych podsłuchów naszego „Obrońcy wolności” wynikały wymówki, które czynił księdzu na jednej „konferencji” w Olsztynie. Zarzucał wprost, że jesteśmy źle usposobieni do swego otoczenia, że obrzucamy je przezwiskami, epitetami i chciał usłyszeć ubolewanie.

Był okres, że dla wprawy w języku zaczęliśmy obydwa rozmawiać podczas posiłków po łacinie. Widocznie dość prędko doszło to do wiadomości kierownika, skoro na najbliższej „konferencji” z księdzem wyraził swoje niezadowolenie. Powiedział nawet, że coś ukrywamy przed siostrą, która z tego powodu czuje się rozżalona i płacze w kuchni. Nigdy nie próbowaliśmy konfrontować z siostrą takich wystąpień. Raczej mogliśmy uważać, że darzymy siostrę pełnym zaufaniem, że nic przed nią nie ukrywamy. Nigdy nie spostrzeżliśmy, by siostra czuła się wśród nas skrępowana. Była raczej rozmowna, pogodna, skłonna do żartów; sama też dobrze przyjmowała różne żarty i nigdy się o nic nie gniewała. Zapewne, w warunkach tak bliskiego współżycia, gdy byliśmy we troje skazani na siebie, niezbędną rzeczą była pewna forma dystansu i bliskości. Dystans istniał między siostrą a nami o tyle, że nie o wszystkim można było z nią mówić i należało chronić się nadmiernej familijności. Ale bliskość miała też swoje prawa - siłą faktu, gdyż siostra musiała wchodzić w nasze sprawy i potrzeby osobiste, opiekowała się wszystkimi naszymi potrzebami, na prawach familijnej dyskrekcji i zaufania. Wspólny los zbliżał nas do siebie. Musiałem niekiedy wysłuchiwać żalów i smutków swoich towarzyszy; musiałem dobierać się do nich, by je rozpędzić. Siostra była zawsze dyskretna, dobrze wychowana i zachowała do końca godność i poprawność zakonniczy, która ceni sobie swoje powołanie. Ze swej strony odnosił się do niej z całą rodzinną serdecznością i swobodą; nie

Wyłączaliśmy jej z naszego życia duchowego, odpowiadaliśmy rozmyślaniami i rekolekcjami wspólnie. Siostra umiała to docenić i uszanować. - Niemniej widocznie usiłowano wtłoczyć między nas klin nieufności, bo interwencje na rzecz siostry powtarzały się, głównie ze strony kierownika, pod adresem księdza.

Ksiądz był kilkakrotnie zapytywany o mnie: o to, jak się czuję i co myślę. Otrzymywano wtedy wskazanie, że najlepiej zwrócić się z tymi pytaniami do Prymasa. Przy tej okazji dodam, że moi wizytatorzy zawsze zwracali się do mnie przez „ksiądz”, do księdza mówili o mnie: „ksiądz Prymas”, do siostry - „Ojciec”. Ten schemat, z małymi zmianami, utrzymał się u wszystkich. Gdy zbliżał się rok od mego uwięzienia, kierownik dopytywał księdza, co myślę wobec rocznicy, czy nie mam zamiaru starać się o zwolnienie? Na to pytanie ksiądz nie mógł dać żadnej odpowiedzi, gdyż nie znał moich planów.

Jedno zdarzenie mocniej nas zainteresowało. Po jakichś badaniach lekarskich w Olsztynie, ksiądz w towarzystwie „Gaduły” czekał na lekarstwa w ogrodzie. „Gaduła” czytał ostentacyjnie gazetę, w której ksiądz zauważył oświadczenie Episkopatu w sprawie sytuacji międzynarodowej. Po powrocie z Olsztyna poinformował mnie o tej okoliczności. Wypowiedziałem wtedy mniemanie, że widocznie naszym dozorcóm zależy na tym, abym wiedział o wystąpieniu Episkopatu; byłem zdania, że nie należy więcej o tym mówić. Ale sprawa nie skończyła. Z okazji następnej wizyty u lekarza w Olsztynie, ksiądz miał „rozmowę” z kierownikiem, który w wielkim podnieceniu zarzucał księdzu, że informuje Prymasa o tym, co piszą w gazetach, i że on, kierownik, ma na to dowody. Podobno znalazł w popiele, wyjętym przez siostrę z pieca księdza, jakieś skrawki pokreślonych gazet. Na tym „materiale” osnuł swoje zarzuty. Przypomniał księdzu, że jest więźniem, że może wrócić do więzienia, że nie może opowiadać Prymasowi wszystkiego, co widzi w drodze, że taki kapelan im niepotrzebny, że postarają się o innego. Ksiądz bronił się przed tą furją tym, że jest moim spowiednikiem i że nie może mówić o Prymasie, bo to budzi niepokój w jego sumieniu. Kierownik, oczywiście, zastrzegł się, że nic nie chce wiedzieć przez spowiedź, ale nieprędko się uspokoił. Wygadał przy tym wiele rzeczy, które mogły służyć jako dobra orientacja dla taktyki naszych panów. Z bohaterską emfazą krzyczał, że nie cofną się przed niczym, że i tak wszystko wiedzą, co myślimy, że on, kierownik, gotów jest włożyć swoją rękę do dołów asenizacyjnych i szukać w nich skrawków gazet i tak dalej. Ksiądz wrócił po tej burzy mocno zdenerwowany, ale na drugi dzień kierownik był bardzo grzeczny i udawał, że nic nie wie o tym, co wczoraj było. Całe zdarzenie oceniliśmy jako próbę prowokacji, do której użyto „Gaduły”. Podobnych incydentów było wiele.

Jeszcze jeden zasługuje na uwagę. Kierownik został przeniesiony. Uważał sobie za obowiązek poinformować księdza o tym. Stał się bar-

dzo uprzejmy, namawiał go do ponowienia prośby o zwolnienie: „Ja odchodzę, ale po mnie przyjdzie inny, który też będzie wszystko wiedział, jak i ja, a przez niego i ja będę wszystko wiedział”. Czy była to pogrożka, czy usprawiedliwienie swego postępowania? W każdym razie wiadomość o odejściu „Naziego” przyjęliśmy z wielką ulgą. Ostatnie dni kierownik był bardzo grzeczny i dla księdza, i dla siostry. Ze mną się już nie widywał do swego wyjazdu. Zanim wyjechał, przybył jego następca, który przez dłuższy czas nie pokazywał się u mnie, chociaż urzędował w kuchni i w ogrodzie; dość wcześnie też zaczął „urzędować” pod drzwiami. Ponieważ chodził w nocnych pantoflach i miał w sobie coś lokajskiego, otrzymał miano „Katz”.

9. X. 1954, sobota.

Po dwudniowej przerwie przybył drugi zastępca, zwany przez nas lekarzem, ze zwykłymi pytaniami, co do zdrowia i potrzeb. Oświadczyłem, że czuję się dobrze, znacznie lepiej niż w Stoczku. W tym domu nie marznę jak w „rezydencji warmińskiej”, a nadto powietrze lepiej sprzyja moim płucóm. Co do innych potrzeb, miałbym niejedną, ale nie wiem, z czym je wiązać. Czy mam uważać swój pobyt w Prudniku za coś dłuższego, czy za prowizorium? Jeśli to ma być coś dłuższego, będę myślał o odpowiednich do pracy ksiązkach. Każdy więzień wie, jak długo ma pozostać w więzieniu. Ja tego nie wiem, chociaż za więźnia nie jestem uważany. A przecież to jest minimalne wymaganie każdego jako tako rozumnego człowieka.

Lekarz. - Ostatnia nasza rozmowa w Stoczku jest przekazana do wiadomości władz. Reszta do nich należy.

Prymas: Zapewne, ale to właśnie stwarza dla mnie sytuację bez możliwości zdobycia kontaktu. Zazwyczaj dowiaduję się tego samego, że „rozmowa została przekazana”. I na tym koniec, bo druga strona nie odpowiada. Przecież na wyraźne upoważnienie władz, podane mi do wiadomości przez pana komendanta w Stoczku, przekazałem swoje wyjaśnienia na zarzuty mi stawiane. Upłynęły 2 miesiące od chwili wręczenia listu i nie mam najdrobniejszego znaku chęci mówienia o tych sprawach. Czyż takie milczenie nie stwarza nowych trudności do rozmowy? Czyż miałbym drugi raz pisać? Jest to dla mnie trudność niemała.

Lekarz: Jeśli można zauważyć, byłbym innego zdania - że trzeba pisać raz jeszcze.

Prymas: Ale to jest sprawa tematu: przecież w poprzednim liście, z 2. VII. bieżącego roku, wręczonym 1. VIII. bieżącego roku, udzieliłem zasadniczej odpowiedzi na te zagadnienia, które mogły tworzyć trudności. Pomimo to, że odpowiedź moja była wyczerpująca, nie mam

dowodów chęci rozmawiania o tych sprawach. Jeżeli Rząd ma zastrzeżenia co do sposobów oceny spraw przeze mnie poruszonych - niech mi to będzie powiedziane. Niech mi Rząd da sposobność usłyszenia swoich zastrzeżeń i wypowiedzenia mojego sposobu rozumienia spraw. Widocznie tematyka, poruszona w liście poprzednim, nie jest wszystkim. Pan ocenił poprzednio moją rozmowę jako „zbyt osobiste ujmowanie rzeczy”, podczas gdy tu wchodzi w grę „racja stanu”. Rad bym usłyszeć, na czym polega ta „racja stanu”, bo gdy tego nie znam, z konieczności muszę sprawę omawiać od strony osobistej. A chciałbym to zrozumieć.

Lekarz: To wszystko zależy od księdza. W każdym razie poprzednia rozmowa była przekazana Rządowi i ta będzie też przekazana Rządowi. - Czy nie ma innych potrzeb?

Prymas: O potrzebach mógłbym mówić, w miarę jak zrozumieć swoją obecną sytuację: czy jest ona prowizorium i na jak długo? Zależnie od tego mógłbym zgłosić zapotrzebowanie ksiązek z domu i chciałbym wysłać list do Ojca, do którego już dawno nie pisałem.

10. X. 1954, niedziela.

Sposób przewiezienia nas ze Stoczka do Prudnika zasługuje na uwagę - jako „kawalek” policyjny, w który włożono wiele energii i ostrożności. Na kilka dni przed wyjazdem widzieliśmy jakiś samolot, upatrzący miejsce do lądowania; trwało to krótko, poczem zniknął nam z oczu za drzewami. W dniu wyjazdu najpierw wywieziono księdza i siostrę. Ja miałem jechać drugim samochodem. Wyszedłem na ogród, gdzie stał wóz ze znanym mi już szoferem. Szyby były zamazane brudną ścierką. Musiałem jeszcze wrócić na ganek. Wtedy zamknięto bramę wewnętrzną i pozwolono mi wsiadać. Przy bramie stał jeden z młodzieńców; kierownik i zastępca byli zajęci moją osobą. Komentanta nigdzie w tych dniach nie widzieliśmy. Wydało nam się, że czynnikiem dyspozycji jest zastępca, chociaż kierownik zajmował się bardzo gorliwie przygotowaniem podróży.

Nowemu kierownikowi należy się kilka wierszy. Gdy zgłosił się po raz pierwszy, nie przedstawił się, w jakim przychodzi charakterze. Zaczął od zwykłych pytań o zdrowie i prośby oraz o życzenia. Dał mi do zrozumienia, że już się znamy, że siadywaliśmy razem ze sobą podczas wizytacji w wielu plebaniach. Nie miałem zamiaru zgadywać, chociaż wydawało mi się, że spotkaliśmy się raz na pewno, na Miodowej, i to w chwili, gdy go ugryzł Baca. Nie miałem jednak chęci przypominać mu tego zdarzenia. Kierownik raz jeszcze wrócił do tego tematu, naciskając, że „należy sobie przypomnieć, gdzieśmy się wi-

dzieli”- Nie podjąłem rozmowy. Wysoki, szczupły mężczyzna, o mocno węgierskiej twarzy, z bardzo niemiłymi oczami. Okazywał wiele troskliwości o dobry przebieg transportu. Chciał zabierać ze Stoczka obrazy religijne, ale wyjaśniliśmy mu, że są „miejscowe” i bez wiedzy właścicieli nie wypada ich zabierać. Nie podzielał tego przekonania, ale obrazów nie ruszył.

Przy wyjeździe z bramy zewnętrznej na plac przedkościelny byliśmy przedmiotem zainteresowania dzieci szkolnych, które przysiadły, aby lepiej widzieć, kto jedzie w aucie. Wyczułem, że te dzieci „coś” wiedzą. Droga na lotnisko trwała około 3 kwadrans; moi konwojenci byli poddenerwowani. Z daleka zobaczyłem samolot stojący w pustym polu, a przy nim nie widać było żywej duszy. Natomiast wokół, pod lasami, widać było sylwetki ludzi, pilnujących dostępu do miejsca startu. Gdy wszedłem do samolotu, zauważyłem, że zarówno siostra jak i ksiądz byli wyraźnie zaniepokojeni; może lękali się, że nie przyjadą i że będą musieli sami podróżować. Start odbył się doskonale. Wewnątrz kabiny był kierownik i zastępca. Załogi niemal nie widzieliśmy. Dalszy bieg podróży - nieciekawo. Na lotnisku pod Nysą lądowanie i podobne zjawisko - wokół żadnego ducha. Nie wolno było wysiadać z maszyny, gdyż trzeba było poczekać „pół godziny”, aż samochód odwiezie rzeczy i powróci. W rzeczywistości czekaliśmy kilka godzin, aż się ściemniło. Zapewne szło o te ciemności, by bezpieczniej przejechać przez przydrożne wioski i miasta. Wydało nam się, że widzieliśmy z daleka komendanta na wojskowym samochodzie, jak uganiał się po lotnisku. Odjeżdżając widzieliśmy całą ekipę lotników, złożoną bodaj z 7 ludzi, którzy stali pod śmigłem. Bacznie przyglądali się budującemu zjawisku, jak gromada cywilów prowadzi do samochodu dwóch księży i siostrę. Moi towarzysze wsiadli w pierwszy wóz, a ja w następny. Podróż do Prudnika odbyła się w ciemnościach.

11. X. 1954, poniedziałek.

Najbardziej oczywiste argumenty, którymi usiłujemy pozyskać Boga dla naszej sprawy, nie przynoszą nam pokoju wewnętrznego. Czy nie dlatego, że jest w nich zbyt wiele roztropności ludzkiej, która nie wszystko widzi; nie widzi tego, co w całokształcie rzeczy widzi jedynie Bóg. Czy ten brak pokoju nie pobudza do szukania nowych argumentów? - A gdy już człowiek umęczy się tym daremnym wysiłkiem, milknie, jak znużone płaczem dziecko, gdy skryje swoją zapłakaną twarz w zwoje szat matki. Doznaje wtedy ulgi. - Gdy ja zamilknę, wypoczywa mój spracowany mózg: wraca pokój. Pozostaje

mi jedno do powiedzenia, jak Piotrowi: Panie, Ty wiesz, Ty wszystko wiesz... Pozostaje mi pokorne westchnienie: Ojczy, Ojczy... Matko, Matko... Gdy mnie opuści cała zarozumiałość mej argumentacji i przekonywania Boga, jestem już tylko dzieckiem, które nic nie rozumie, staje się uległe, ciche, pokorne. Pokora przywraca mi pokój umysłu, pokój serca i ufność... Bóg mnie przekonał... Zrzuci troskę swą na Pana... Zaufaj...

12. X. 1954, wtorek.

Nowy zastępca przyszedł dziś ze zwykłymi pytaniami. Chciał wiedzieć, czy jestem zadowolony z nowego miejsca pobytu. W czasie rozmowy nawiązał do tego, że upłynął rok mego odosobnienia i był czas zastanowić się nad stosunkiem do obecnego Rządu i do przedwojennego, nad swoją pracą przedwojenną i obecną. Odpowiedziałem, że Rząd zna mój stosunek do siebie, bo było to wyraźnie powiedziane przeze mnie osobiście w czasie tylu rozmów, a ostatnio w liście moim z dnia 2 lipca bieżącego roku, wręczonym dnia 1 sierpnia bieżącego roku. Wchodzenie zaś w moją pracę przedwojenną, choć jej się nie wstydzę, uważam za niestosowne. Nowy zastępca, niezrażony tym, wyraził przekonanie, że całe społeczeństwo katolickie i duchowieństwo jest zadowolone z tego, że jestem usunięty ze swego stanowiska, a dotąd żadne protesty do Rządu nie wpłynęły. Odpowiedziałem, że wypowiedź tę uważam za próbę znieważenia mnie. Nie jestem ze stanowiska usunięty, gdyż nikt tego nie może dokonać. Natomiast uniemożliwiono mi wypełnianie moich obowiązków, przeciwko czemu zawsze protestowałem i teraz protestuję. Osadzenie mnie w tym obozie uważam za szkodliwe nie tylko dla mnie, ale i dla Rządu, a pilnowanie mnie systemem „oboju koncentracyjnego” - za przeciwne elementarnym prawom więźnia. Rozmówca zaprzeczył, że jestem więźniem. - „To nie jest więzienie, tylko klasztor”. Wyjaśniłem rozmówcy, co należy rozumieć przez słowa „osadzenie w klasztorze”, stosowane za czasów rosyjskich wobec księży katolickich. Moja sytuacja nie może być porównywana z tamtą, gdyż tamci ludzie mieli wolność korespondencji, prasy i poruszania się w okolicy, czego ja jestem pozbawiony.

Konkretyzuję rozmowę w następujących punktach:

1. Proszę o odpis dekretu, mocą którego znajduję się w obecnej sytuacji.
2. Proszę o wyjaśnienie, dlaczego listy moje do Ojca są zatrzymywane i nie doręczane, a tylko odczytywane.

3. Pragnę wiedzieć, jak długo pozostanę w tej sytuacji nieokreślonej, gorszej niż sytuacja każdego więźnia, który wie, za co jest skazany i na jak długo.
4. Rad bym usłyszeć kogoś, kto upoważniony będzie do przekazania mi zarzutów, stawianych mi przez Władze, bym poznał je jasno skonkretyzowane.

Dotknąłem też braku odpowiedzi na list mój do Rządu z dnia 2. VII. bieżącego roku, wręczony dnia 1. VIII. bieżącego roku.

13. X. 1954, środa.

Zdołaliśmy dość prędko zorientować się w nowym układzie terenu. Jesteśmy na wzgórzu, pokrytym wokół lasem liściastym, na wysokości do 250 metrów nad poziom morza. Umieszczono nas w budynku poklasztornym, zabranym naprędce Franciszkanom Czarnym, prowincji śląskiej. Budynek przystosowano do nowych potrzeb, wygradzając starannie teren wysokim parkanem i drutami kolczastymi. Wszystkie parkany są zabezpieczone siecią drutów kolczastych. Nowe, wysokie na trzy i pół metra płoty są pomalowane na zielono; przy nich świeżo wsadzone świerki w długim, rzadkim szpalerze. Niewielki ogródek, na spadku, uniemożliwia spacer na mokrym terenie; pełno tu drzew owocowych z resztkami owoców jesiennych. Dom jest budowlą dwupiętrową, na wysokich piwnicach i parterze-, cały jest odrapany, nosi na sobie ślady wojny, wybuchów bomb i pocisków artyleryjskich. Dach w części jest prowizoryczny. Obok domu stoi niewielki kościółek, również z odbitym przez pociski tynkiem. Wszystko robi niezbyt przyjemne wrażenie.

Wewnątrz gmachu oddano nam do dyspozycji pierwsze piętro z oknami od ogrodu, ku północy. Nasi panowie zajęli drugie piętro. Parter jest dla kuchni i dozorców. Klatka schodowa wspólna, z której mamy wyjście na ogród, a eskorta - na dziedziniec zewnętrzny. Wdzielony teren cały jest otoczony wysokimi, pięknymi drzewami, spoza których nie widać zupełnie świata. Oglądamy jedynie skrawek nieba - i to wszystko. Z dala, na długim wzgórzu rozłożone jest miasto Prudnik, w odległości - w prostej linii - do dwóch i pół kilometra; dzielą nas łąki i stawy rybne, które wchodzą w park zakonny. Pełno tu najrozmaitszych urządzeń technicznych, zarówno w domu jak i w ogrodzie. Dom ma wodę - chociaż chwilowo pompy nieczynne - światło elektryczne, centralne ogrzewanie; wszystko jest w stanie wielkiego zaniedbania. Dom jest wybielony. Nasze piętro posiada długi korytarz, oddzielony od klatki schodowej przepierzeniem z desek.

Lewa strona korytarza jest przeznaczona dla nas, prawa posiada słoneczne pokoje, zamknięte na klucze i zabite gwoździami. Całość ma charakter bardziej izolowany niż w Stoczku. Stąd nie można zobaczyć żywej „normalnej” duszy; wszystko, co nas otacza, albo chodzi skrycie pod parkanami zewnętrznymi, albo też wałęsa się po korytarzach. Nasz korytarz jest „eksterytorialny”, bez wglądu do „kasy”, jak to było w Stoczku. Po prawej stronie od wejścia jest pokój stołowy i kaplica; po lewej są pokoje przeznaczone dla nas. Otrzymuję dwa pokoje - jeden na sypialnię, drugi na pracownię. Obok mieszka ksiądz, a głębiej w korytarzu - siostra. Na końcu jest łazienka. To wszystko.

W tym nowym miejscu jesteśmy jeszcze bardziej skazani na siebie, gdyż nikt tu nie zagląda, ani też nikt nie może kontrolować ruchu na korytarzu. Wszystko jest tandetnie, licho pomalowane. Wszędzie jeszcze znać ślady świeżej roboty. Tu i ówdzie leżą porzucone pędzle, stoją pudełka z farbą, sterty zardzewiałych gwoździ, piłki ręczne, młotki, o które nikt się nie troszczy. Naszym zwyczajem, pozbieraliśmy to wszystko na ogrodową werandę, skąd powoli wszystko zniknęło. Będziemy tu mieli trudną sprawę ze spacerem, gdyż chodzenie po pochyłym, oślizgłym terenie, będzie uciążliwe. Natomiast dom jest korzystniejszy, na naszym piętrze suchy, o widnych oknach, starannie posłanianych storami i firankami. Wydano polecenie, że nie należy wyglądać oknami, że przed zapaleniem światła trzeba zasłonić story. Wprawdzie wokół nic i nikogo nie widać, ale my mamy obowiązek ukrywać się przed żołnierzami, wartującymi na zewnątrz. Oczywiście, o tym obowiązku wie tylko ksiądz i siostra. Ja jestem wolny od podobnych przypomnień.

26. X. 1954, wtorek.

W nowych warunkach życie nasze się ustabilizowało. Przystąpiłem z zapałem do pracy, zaczętej już w Stoczku, do rozmyślań na temat Roku Liturgicznego. Każdego dnia prowadziłem „dla swoich wiernych” rozmyślenia ranne w kaplicy, a po śniadaniu starałem się zebrać je w krótkie punkty. Tak zaczęła narastać praca, która dziś w większej części jest wykonana, Chociaż była prowadzona w naszym gronie, to jednak w redakcji skierowywałem myśli głównie do świeckich katolików. Pisałem równocześnie dwa cykle: *Proprium de Tempore* i *Proprium Sanctorum*. Brak mi do tej pracy wszelkich pomocy: książek liturgicznych, hagiografii, historii Kościoła. Rozporządzam tylko mszałem, brewiarzem, Pismem świętym i... głową. Pracować jest więc bardzo trudno. Ale pisanina ta jest środkiem profilaktycznym przeciwko niebezpieczeństwu, które może grozić głowie, nie pobudzając do stałego wysiłku. Dzięki tej pracy dzień upływa niezwykle

szybko. Tryb naszego dnia nie uległ zmianie, z tą różnicą, że bardzo zyskał na intensywności. Zaczynamy się wszyscy „śpieszyć”. Ksiądz zaczął też pisać szkice liturgiczne dla młodzieży szkolnej. Siostrę zapędzamy do czytania historii Kościoła i książek Ropsa. Idzie jej to opornie, gdyż zbyt ruchliwy, kobiecy temperament wyciąga ją do różnych detalicznych spraw. Można rzec, że w godzinach porannych „cała kolonia” pracuje intensywnie. Po obiedzie, w przerwie do godziny 15.00, jesteśmy zazwyczaj w ogrodzie; trudno jest tu chodzić, dziwnie duszno, brak powietrza. Pokonywanie spadku terenowego na bardzo krótkim odcinku męczy w obydwie strony. Jest mokro, teren wilgotny i podmokły, pomimo spadku. Ogród jest minusem w nowym miejscu. Natomiast mieszkanie jest plusem: suche, widne, ogrzane. Można wytrzymać dłużej przy stole, gdyż nie marzną ani ręce, ani nogi, jak w Stoczku.

Dziś otrzymałem list od Ojca wraz z paczką żywnościową. Miłą niespodzianką jest list od mojej siostry, Stanisławy Jaroszowej. Jest to „rozszerzenie kontaktów”.

Naszego komendanta dotąd nie ma; albo został „przeniesiony”, albo spotkał go jakiś wypadek. Wizyty składa głównie zastępca, który przychodzi co dzień. Staje się coraz bardziej humanitarny i już nawet umie się uśmiechać dostojnie i łaskawie, lewym kącikiem ust. Ale czyni to z wielkim umiarem, zgodnie „z planem”. Może i on jeszcze zostanie „człowiekiem”.

Ukochany Synu mój!

Ostatni Twój list otrzymałem 8 lipca, na który odpowiedziałem listem 27. VII, wysyłając jednocześnie paczkę. Dotąd nie mamy odpowiedzi ani żadnej o Tobie wiadomości.

Rok upłynął od tamtej bolesnej chwili, a ja nie wiem, jaki jest Twój los i gdzie się znajdujesz, mój Synu.

Starym jestem człowiekiem i nie jestem w stanie pojąć ani czasów obecnych, ani tego, że mimo kilkakrotnych podań o widzenie się z Tobą, nie została prośba moja uwzględniona. Ojcowskim moim obowiązkiem i potrzebą serca jest szukanie sposobu, aby widzenie z Tobą uzyskać - dokąd będę mógł, będę to czynił. Prosiłeś w pierwszym liście, by z ust Twoich najbliższych nie wyszła nigdy żadna skarga - prośba Twoja jest dla nas świętością i rozkazem, ale są cierpienia, które mimo woli skargę z ust wyrwają.

Wszyscy z ufnością wołamy do Boga o pomoc i czekamy na wysłuchanie, a ja szczególnie modłę się o to, by Bóg dodał mi sił, dał pojąć to wszystko i uczynił mnie godnym współcierpienia z Tobą.

Módl się i Ty, Ukochany mój Synu, w intencji Twojego ojca. Chciałbym tak bardzo doczekać Twojego powrotu.

W rodzinie, dzięki Bogu, wszystko dobrze; zdrowi jesteśmy i staramy się być spokojni.

Dzieci uczą się. Hania czuje się lepiej, rodzice jej mają nadzieję, że dziecko będzie zdrowe i proszą o modlitwę w tej intencji.

Proszę o jak najprędszą odpowiedź i wiadomość o Tobie. Chcielibyśmy wszystko o zdrowiu; czy dolegliwości, o których wspominałeś w ostatnim liście, przeszły, czy masz warunki leczenia i czy nie brak Ci czego?

Z listem tym wysyłamy paczkę.

Polecam Cię, Drogi Synu, Matce Bożej Jasnogórskiej. Twoi najbliżsi proszą, by Cię zapewnić, że myślą i uczuciami są z Tobą i gorąco modlą się do Boga i Jego Matki o opiekę, zdrowie i siły dla Ciebie. Serdecznie Cię pozdrawiam i całuję, Ukochany Synu, prosząc raz jeszcze o modlitwę i błogosławieństwo.

Zalesie, dnia 18 października 1954.

Stanisław Wyszyński

Najdroższy Bracie!

Do słów Ojca dołączam od siebie trochę wiadomości - mam nadzieję, że je otrzymasz i ucieszysz się nimi. Prosiłabym, abyś był zupełnie spokojny o rodzinę. Ojciec nasz trzyma się nadspodziewanie dobrze i mimo późnego wieku, daje nam przykład wielkiej wytrzymałości.

Myślą i sercem jestem z Tobą niemalże w każdej godzinie dnia. Bogu Cię polecam w moich modlitwach i wierzę, że nasze cierpienia mają sens i pożytek przyniosą. Czekamy z utęsknieniem na dzień, w którym będziemy mogli Cię, Ukochany i Najlepszy nasz Bracie, powitać i uścisnąć.

Ja trzymam się dobrze, pracuję i sił mi dotąd wystarcza na wszystko. Józef maluje, jak i dawniej, najczęściej nad rzeką, choć czasami wymknie się gdzieś dalej. Był teraz w Szczepieszynie za Lublinem i namalował młyn, który mi przypomina podobny z lat dziecięcych w pobliżu Zuzeli. Dziwnie mi tamten w pamięci utkwiał. Józef dobrze wygląda, choć z ciśnieniem różnie bywa; przed miesiącem musiał głodówką obniżyć, bo przekroczyło 260. Już lękałam się, by się źle nie skończyło. On, jak zwykle, niewiele się tym przejął.

Często myślę o Twoim zdrowiu i lękam się bardzo o nie. Bardzo gorąco Cię proszę, abyś się oszczędzał i leczył, gdy zajdzie potrzeba. Przy zmianach artretycznych trzeba się chronić przed zaziębieniem, bo czasami z głupstwa wytwarzają się komplikacje, które trudno wyleczyć.

Czekamy na wiadomości od Ciebie; proszę o dokładne opisanie Twego życia. Wszystko dla nas jest ważne i cieszymy się każdym zdaniem.

Serdecznie pozdrawiam Cię, Drogi Bracie. Matce Bożej powierzam wszystkie Twoje sprawy i proszę o pamięć w modlitwach. Włodek prosi o modlitwę i błogosławieństwo. Praca w roku zeszyłym

poszła mu z dobrym wynikiem i dalej zmierza do wytkniętego przez siebie celu. Załączam też pozdrowienia i słowa pamięci od Siostry Przełożonej.

Sercem Ci oddana siostra

Dnia 18. X. 1954.

Stanisława Jaroszowa

29. X. 1954, piątek.

Przygotowałem wczoraj dwa listy: do Ojca i do siostry, które dziś wręczyłem zastępcy, z prośbą o doręczenie adresatom. „Listy będą przekazane adresatom”, odpowiedział pan kierownik. Do listów dołączyłem spis książek, w dwóch odpisach, o których przesłanie proszę. Kierownik zapewnił, że wszystkie książki będą doręczone.

Najlepszy i Najdroższy mój Ojczy!

Pragnę najgoręcej przeprosić, że dotąd nie podziękowałem za ostatni list, z dnia 27. VII bieżącego roku i nadesłaną mi przesyłkę. Wy-czułem, że zachodzą jakieś trudności, wskutek których mój list po odczytaniu był zatrzymany. Nie chciałem być przyczyną nowych i dlatego zwlekałem. Listy z 18. X., które wręczono mi 26. tego miesiąca, pełne tak żywego niepokoju o moje losy, zmuszają mnie do serdecznej podziękii za obydwie listy i za te miłe drobiazgi, które znalazłem w doręczonej mi jednocześnie przesyłce.

List mój - proszę to wybaczyć - nie da odpowiedzi na wszystkie pytania. Moja sytuacja prawna nie uległa żadnej zmianie, jakkolwiek kilkakrotnie prosiłem ustnie o jej wyjaśnienie. W dniu 1. VIII. skierowałem obszernie pismo do Prezydium Rządu, na które dotąd nie mam odpowiedzi. Bardzo mi jest przykro, Drogi Ojczy, że Twoje starania o możliwość widzenia się z mną naraziły Cię na tyle cierpienia. Jakkolwiek masz ojcowskie prawo do tego, to jednak ważniejszy dla mnie jest Twój spokój, oszczędzanie nerwów i zdrowia.

Od kilku tygodni jestem w nowym miejscu pobytu, w warunkach mieszkaniowo i klimatycznie korzystniejszych dla mego zdrowia. W ciągu ubiegłej zimy nabawiłem się różnych dolegliwości, które dotąd nie opuściły mnie całkowicie. Piszę o tym tylko dlatego, że chcesz, Drogi Ojczy, wszystko wiedzieć. Obecny stan mego zdrowia jest taki: poza trwającymi kłopotami z nadkwasotą, systematycznymi bólami głowy, dolnej części jamy brzusznej i nóg, poza wzrastającym uwrażliwieniem wątroby i ogólnym osłabieniem, nic nowego mi nie dokucza. Stan płuc jest zadowolający. Bardzo jestem wdzięczny za rady; staram się do nich stosować, w miarę możliwości. Proszę Cię

bardzo, Drogi Ojczy, byś nie poddawał się niepokojom o moje zdrowie. Ufam, że mi Dobry Bóg opieki swej nie odmówi i pozwoli przetrwać. Całe życie bowiem byłem słabego zdrowia, co dziś jest okolicznością sprzyjającą.

Wyraziłeś, Drogi Ojczy, gotowość nadesłania mi nowych książek i potrzebnych rzeczy. Do tego listu dołączam, w dwóch egzemplarzach, spis tych książek, które przydałyby się do dalszej pracy. Jedne z nich są w mojej bibliotece prywatnej lub leżą na stołach w moim mieszkaniu; inne są w bibliotece domowej na II piętrze. Niemal wszystkie są skatalogowane, tak że bez trudu można je odszukać. Bardzo mi brak lektury włoskiej; rad bym prosić Księdza Biskupa, by mi użyczył kilka książek ze swojej biblioteki (prawo, literatura piękna: Papini, Dante, Ferrari - co jest pod ręką).

Przez rok odprawiałem Mszę świętą bez portatyli, na ołtarzu prowizorycznym. Przysłano mi przed rokiem kamień, ale nie konsekrowany. Gdyby więc który z księży wziął portatyli z Kurii i dobrze zapakowany dołączył do książek, byłbym bardzo wdzięczny.

Przez cały rok również nie posiadałem Rubricelli archidiecezjalnej. Jest mi bardzo potrzebna, gdyż mam obowiązek stosować się do kalendarza liturgicznego gnieźnieńskiego lub warszawskiego. Proszę więc o uzyskanie dla mnie Rubricelli od Księdza Biskupa.

Z drobiazgów gospodarczych przydałyby się nam: 1. dwie koloratki ze spinkami, których nam brak, grzebień i lusterko; 2. na nadchodzącą zimę - kilka par ciepłych, długich skarpet wełnianych; 3. kilka sztuk ciepłej bielizny dolnej, które Siostra Przełożona łatwo znajdzie w moich szafach; 4. zawsze chętnie widzimy miód, cytryny, kawę, tabliczki zwykłej czekolady deserowej i suchary domowe, które mi są bardzo pomocne. Natomiast papierosów i herbaty proszę nie przysyłać.

Drogi mój Ojczy! Całuję z synowską czcią Twoje spracowane dłonie, gorąco proszę o jedno: byś nie tracił ufności w mądrość, miłość i dobroć wspólnego Ojca naszego, który jest w niebie. Wypraszam u Boga dla Ciebie taki spokój i ufność, taką miłość i cierpliwość, które wszystko łagodzą i czynią zrozumiałymi nawet rzeczy przykre i niejasne. W każdej Mszy świętej, którą odprawiam co dzień o godzinie 7.30, masz swoją cząstkę, podobnie jak moja Rodzina i moi najbliżsi. Wiem, że przedłużająca się nieobecność moja jest dla wielu ciężką próbą. Ale Bóg ma prawo wymagać od nas wszystkiego i trzeba to dać z miłością i spokojem. Nasze cierpienie nie może nas uczynić gorszymi i pozbawić miłości do ludzi, bo to byłaby przegrana.

Dziś są imieniny Tadeusza. Proszę mu powiedzieć, że modlę się za jego rodzinę i za małą Anię. Siostram moim przekazuję najlepsze braterskie uczucia, a ich rodzinom - oddanie. Wszystkim dziękuję za modlitwy i proszę, by szczególnie polecali mnie Matce Bożej Jasnogór-

skiej. O rocznicy śmierci Mamusi pamiętam. Domowników moich wdzięcznie wspominam i wszystkich z serca błogosławię.

Ręce Twoje, Drogi Ojczy, z wdzięcznością całuję i z pełni mego kapłaństwa błogosławię.

28. X. 1954.

Stefan Wyszyński

Załącznik: 1. spis książek,

2. list do siostry Stanisławy Jaroszowej.

Najlepsza moja Siostro!

Dołączony do listu Ojca list Twój otrzymałem; bardzo Ci jestem wdzięczny za Twą dobroć, gdyż słowa Twoje pozwalają mi lepiej zrozumieć sytuację Rodziny. Z ostatniego listu Ojca wyczułem, że jest już zmęczony moją nieobecnością i pełen niepokojem o mnie. Nie umiem tak pisać, bym osłonił prawdę, której się domaga. Zwłaszcza wiadomości o moim zdrowiu mogą go niepokoić. Nieudane zabiegi o widzenie się ze mną wywołują w duszy Ojca żal. Pragnąłbym się odwołać do Twojej, Droga Stachno, roztropności i doświadczenia i prosić, byś wpłynęła na Ojca uspokajająco. Wiem, że doświadczenie, przez które przechodzi, jest zbyt ciężkie dla sędziwego wieku Ojca, ale Ty możesz wpłynąć na Ojca, by w pełni zaufał mądrości Bożej. Jestem sługą Kościoła i w mojej sprawie jest więcej dróg i planów Bożych niż woli ludzkiej. Nie trzeba na nikogo się skarżyć, ani też do nikogo mieć żalu, tylko cierpliwie i spokojnie się modlić o to, by Bóg pozwolił wypełnić zadanie chwili obecnej.

Reszty dowiesz się z listu do Ojca; ufam, że dojdzie do rąk Waszych. Niepokoiłem się o to, jak Janka radzi sobie z dziećmi, zwłaszcza ze Stefankiem. Wiadomość o Włodziu bardzo mnie ucieszyła, z serca mu błogosławię; niech go Bóg prowadzi. Pozdrawiaj Naście, Jankę, ich rodziny i Józia. Sama też czuwaj nad sobą, gdyż lubisz swoje siły wyczerpać do końca. Siostrze Przełożonej powiedz wiele serdecznych słów ode mnie. Sercem i duszą jestem z Tobą, Najlepsza moja Siostro - z braterskim uczuciem Ci błogosławię

28. X. 1954 r.

+ Stefan Kardynał

30. X. 1954, sobota.

Nawiązując do rozmowy naszej z 9. X. bieżącego roku przygotowałem list do Prezydium Rządu, który gotów jestem wręczyć Panu z prośbą o przekazanie. - Rozmówca wyraził gotowość przyjęcia listu, wyrażając zdanie, że dalsze jego losy należy pozostawić Rządowi. List nosił datę 26. X. bieżącego roku.

23. X. 1954, wtorek.

Prosiłem o komisję lekarzy; ponieważ przejawy, które powstały w Stoczku, nadal mnie niepokoją, postanowiłem poddać się oględzinom lekarskim. Prośba została przyjęta bardzo skwapliwie, jak gdyby nań czekali. Ponieważ uprzednio nie doczekałem się swojego lekarza, pomimo wyrażonej przez komendanta zgody, tym razem nie podnosiłem tej sprawy. Nie chciałem być przedmiotem nowych szykan, za jakie musiałem uznać zachowanie się komendanta w maju bieżącego roku.

24. X. 1954, środa.

Czy będę kiedykolwiek w życiu w szczęśliwszym niż teraz położeniu? Jedną myśl o tym, ilu ludzi modli się obecnie za mnie, podnosi na duchu. A przecież stokroć donioślejsza jest sama przedmiotowa wartość modlitwy niż to odczucie. Czy modlili by się tak wiele, gdybym siedział w domu? A wszyscy kapłani, którzy mają obowiązek modlić się *pro Antistite*, jak często nawet nie dostrzegają imienia swego biskupa w Kanonie Mszy świętej! Dziś zbliża nas do siebie wspólne cierpienie i ono czyni poważniejszymi. Gdy wrócę z więzienia do domu, na pewno utracę te owoce wzmożonej czujności braterskiej. Prawdziwie, bardziej błogosławionych w owoce duchowe, w pomoc modlitwy, nie zaznam dni. A czegoż więcej do szczęścia potrzeba?

25. XI. 1954, czwartek.

Wyjątkowo szybko, bo już dzisiaj przybyli lekarze, ci sami, którzy badali mnie w Stoczku. Badania prowadził starszy lekarz, podczas gdy młodszy wyglądał sobie oknem. Ogólny stan zdrowia, zdaniem lekarzy, nie pogorszył się w porównaniu ze stanem sprzed pół roku. Znać jednak duże wyczerpanie i osłabienie. „Ogólnym stanem zachwyceni nie jesteśmy” - oświadczył starszy lekarz. Niepokojące stany muszą być wyjaśnione na drodze dodatkowych badań klinicznych, które powinny być w najbliższym czasie przeprowadzone. Prosiłem, by lekarze zbadali księdza, który jest bardziej chory niż ja. Ociągali się nieco, tłumacząc się tym, że spieszą się na pociąg, ale ostatecznie poszli do księdza i pośpiesznie go zbadali. Widocznie „kawałkiem” biurowym miałem być tylko ja.

26. XI. 1954, piątek.

Otrzymałem list od Ojca z dopiskiem od siostry Stanisławy Jaroszowej oraz przesyłkę żywnościową. Ojciec czuje się dobrze; list o wiele spokojniejszy od poprzedniego. Domownicy moi nabierają coraz lepszej orientacji w moim życiu, o którym tak niewiele mogę napisać. Widzę to po składzie przesyłek mi doręczanych.

30. XI. 1954, wtorek.

Radość sprawiedliwości. Bóg pozwoli odczuć wielką radość sprawiedliwości: że jest sprawiedliwy, gdy nas dotyka, gdy daje poznać swoją moc i swoją obecność. W doznanym wymiarze sprawiedliwości odczuwam obecność Boga sprawiedliwego. I ta obecność raduje, choćby sprawiedliwość była wymiarem kary. Radość z istnienia sprawiedliwości przesłania dotkliwość kary. Owszem, w dotkliwości kary tym więcej widzimy sprawiedliwości: któż zdoła wypłacić się Bogu za popełnione winy? - To ja uznaję się winnym, gdyż Bóg, obecny w tym akcie, dał mi łaskę widzenia mej winy. Tylko Bóg i ja - dobrze widzimy moją winę. A raduję się i tym, że ci wszyscy, którzy umieli wyliczać moje winy, ułomności, nieumiejętność, niezręczność, nieudolność, też widzą sprawiedliwość Boga, który przyszedł na pomoc ludziom, by ich ratować przed moją słabością. To jest pociecha dla nich, ludzi łaknących sprawiedliwości, choćby widzieli ją inaczej niż Bóg i ja. Ostatecznie, wymiar Bożej sprawiedliwości, którego doznaję na sobie z radością, przynosi korzyść wszystkim, nawet oskarżycielom, gdy Bóg z kolei im da odczuć swoją sprawiedliwość... A że w wymiarze swej sprawiedliwości Bóg jest aż tak bardzo delikatny i miłosierny, to znowu tajemnica Boga i moja... Moi oskarżyciele, uznając sprawiedliwość Bożą nade mną, tym samym uznają ją i nad sobą.

3. XII. 1954, piątek.

Otrzymałem dzisiaj dalszą część książek z tych, o które prosiłem 28. X. br., oraz lekarstwa. Wszystko było przejrane, ale ułożone staranniej niż dawniej. Ślady przeglądu możliwie zatarte.

5. XII. 1954, niedziela.

Quia non iustificabitur apud Te omnis vivens... Powoli wypada nam z rąk każde uzbrojone słowo: tracimy argumenty, gdy łaska

naświetla wnętrze duszy. Cóż mogę zarzucić Bogu? - Najczystszy człowiek w Jego światłach wygląda jak pył w promieniu słonecznym. A coś dopiero, gdy widzę, jak grzech mój zawsze jest przeciwko mnie. Może będę oskarżał Boga, że musi być sprawiedliwy? Przecież to ja zmuszam Boga do tego, że musi karać sprawiedliwie; to ja zadaję Bogu gwałt, a Bóg broni się przede mną miłosierdziem swoim. Widzę to miłosierdzie! nawet w wymiarze sprawiedliwości! - Czyż będę oskarżał braci moich, że modlitwy ich mało skuteczne? Czyż nie świadczy to raczej o wielkości mej winy, że modły tak dobrych ludzi nie zdołają wynagrodzić Bogu za mnie? - Czyż raczej nie ja powinienem ich przepraszać, że dla wielkości win moich Bóg musi im odmawiać, musi odwrócić oblicze swoje od ich modlitwy? Czyż nie ja mam prosić Boga, aby - dla wielkości win moich - oszczędzał przykrości i cierpień tym, którzy są zasmuceni moimi cierpieniami, którym nie mogę służyć, zgodnie z obowiązkiem moim?! - Ja to jestem winien, że cierpią Oblubienice moje, pozbawione pasterza. To ja powinienem je przepraszać, że dla moich win pozostały bez kierownictwa i opieki. - Czyż obwiniać będę narzędzie Bożej sprawiedliwości? Wszak to tylko narzędzie, twarde, bezwolne, działające mechanicznie, niemądre. Takim narzędziem był Judasz, którego Chrystus nazwał „przyjacielem”; takim narzędziem był Piłat, któremu Jezus tłumaczył: „Żadnej władzy nie miałbyś nade Mną, gdyby ci z góry nie była dana”. Narzędzie dziś działa, a jutro leży pod ławą: taka jest jego dola. O wiele podrzędniejszy młot niż sztaba rozpalonego do białości żelaza. W tej chwili idzie o to żelazo. To raczej ja mam ich przepraszać, że zbierają winy, gdy ja się omywam. Któż zdoła usprawiedliwić się w Twoich oczach. Panie?!

6. XII. 1954, poniedziałek.

Tracę argumenty, wymowa kona z braku słów. Prosić o łaskę? - Czyż pierwszą łaską Boga nie jest sama myśl o prośbie? Prosić o to, by wysłuchał? - Przecież nie przestaje mnie słuchać, nawet wtedy gdy milczę! Prosić, by okazał miłosierdzie? - Wszak żyje każda chwila z miłosierdzia Bożego! Prosić, by przebaczył? - Pierwej to uczynił, aniżeli doznał obrazy! Słowo milknie, myśl ustaje, jak w duszy Piotrowej: „Panie, Ty wiesz! Ty wszystko wiesz! Ty wiesz, że...”

Mój towarzysz utyka na nogę. Proszę, by nie męczył się, sam sobie poradę przy Mszy świętej. Ale mój towarzysz nie ustępuje: widzę, jak męczy się. Czyż nie lepiej jest usłuchać aniżeli usłużyć? Jego usłużna męka staje się moją męką i... dystrakcją. Cóż bardziej delikatnego: usłuchać czy - wbrew prośbie - usłużyć? A może szczytem delikatności jest milczeć i dać sobie usłużyć, nawet kosztem cierpienia? Wtedy moja dystrakcją staje się walką o skupienie, a jego cierpienie - zasługą!

8. XII. 1954, środa.

Jakich pochwał użyję? Pochwałę Cię słowem? Matko Słowa Wcielonego, coś znaczy zeschnięte zeschniętych liści mego słowa? - Każde obciążone grzechem pierworodnym, każde nieociosane, niezgrabne, każde twarde, szorstkie, ostre, jak grad na płatkach róży! Moje słowa ranią Twoją nieskalaną świeżość, kaleczą idealną piękność pełni i harmonii, są plamą na obrazie. Pochwałę Cię uczuciem serca? - Skalane serce samym spojrzeniem duszy przesłania Niewiastę w słońce przybraną! Najlepsze uczucia są nikłym cieniem wobec promiennej czystości barw bez zmayı. - Pochwałę Cię myślą? - Ten zuchwały ptak zbyt szybko się męczy, zwija skrzydła i obniża loty. - Pochwałę Cię łzami... Bodaj to jedno, co mam w sobie najczystsze i bez... zmayı!

..

Nie śmiem nawet spojrzeć na Ciebie, Niepokalana, by mój wzrok nie zniekształcił tego obrazu piękna, którym promieniejesz. Wielki mistrz barw i mistyk wypatrzył Ciebie na niebie i ukazał światu w swym arcydziele Niepokalanej. Murillo widział Ciebie podobnie jak mała Bernadetta Soubirous. A jednak wolę oglądać Cię bez pomocy pędzla i dłuta. Gdy Cię tak ujrzę, już niczego widzieć nie pragnę, wszystko milknie.

O Purissima...

O Integra...

9. XII. 1954, czwartek.

Niepokalana - *Immaculata, Immacolata, Immaculee, Umblefleckte, Siinderbare* - wszystkie te wyrazy mają znaczenie pomniejszające. Mieszczą w sobie przymiotniki ujemne, jak robaka w róży. Cóż pomoże przeczenie, to beztreściowe „nie”. Jesteśmy tak skalani, że nie możemy zdobyć się na słowo czyste, przezyste, jaśniejące, które odśłoniłoby to, czego dokonał Bóg w Poczętej Istocie, przygotowanej na Matkę Boga Człowieka.

Trzeba więc szukać słów czystych, pojemnych, przezroczytych i promiennych, które obejmą prawdę niewypowiedzianą i nie przyćmią Jej sobą.

14. XII. 1954, wtorek.

Na Boże Narodzenie wysłałem do Ojca list treści następującej:

Najdroższy i Najlepszy mój Ojcze!

Ostatni list (bez daty) otrzymałem 26. XI. 54. wraz z przesyłką, w której znalazłem wszystkie wymienione w liście rzeczy, a nadto sutannę. Bardzo jestem wdzięczny za wszystko, co mi zostało przysłane. Czuję się głęboko zawstydzony okazaną mi dobrocią, pamięcią i pomocą, których doznaję, nie mając możliwości niczym wywdziękzyć się. Żyję prawdziwie „z łaski”, która mogłaby być nawet upokarzająca, gdyby nie było w otrzymanych darach tyle troski. Wszystko przyjmuję jako dowody tak niezasłużonej miłości i pragnę odwdziękzyć się uczuciem i modlitwą.

Z książek, o które prosiłem 20. X. 54., dotychczas otrzymałem: 1. D. Ropsa; 2. A. Brucknera, 4 tomy; 3. J. Kitowicza; 4. trzy podręczniki włoskie; 5. *Vaiican*; 6. Sienkiewicza *Potop, bez I tomu i Krzyżacy*, 2 tomy; 7. Gołubiewa - całość; 8. S. Thomae, *Summa theologica*, tomy III i IV. - Trudno mi jest wypowiedzieć swoją wdzięczność za przesłane mi dwie fotografie: obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej i odbitki fotografii mej śp. Matki. Tak bardzo pragnąłem je mieć i myślałem prosić o nie. Dobroć odgaduje życzenia.

Dnia 25. XI. br. byłem ponownie badany przez dwóch lekarzy; wprawdzie do pełnej diagnozy brak dotąd koniecznych analiz, ale lekarze nie stwierdzili pogorszenia w objawach schorzeń, stwierdzonych przed pół rokiem. Lekarze widzą znaczne osłabienie organizmu, zalecają mi więcej ruchu, wzmocnienie się, intensywniejsze odżywianie się, w granicach wskazanych przez dietę. Otrzymałem lekarstwa, które stosuję. Pomimo tych dolegliwości, nie poddaję się złym nastrojom, usposobiony jestem pogodnie; unikam za wszelką cenę łóżka. Bodaj najlepszym moim lekarstwem jest to, że nie myślę wcale o tym, co było, ani o tym, co będzie. Któż z nas jest panem przeszłości albo przyszłości? Tak układam czas, by wypełnić go całkowicie lekturą, która - poza modlitwą - jest nadal jedynym moim zajęciem. Pomimo przymusowej bezczynności, jestem prawdziwie zajęty cały dzień i nie mam czasu, nawet tutaj.

Drogi Ojcze! Już drugie święta Bożego Narodzenia spędzisz bez mojego opłatka. Aie nie myśl, że będziesz pokrzywdzony. Obydwa spotkamy się w modlitwach przed Sercem Najlepszego Ojca. Bardzo wiele modlę się za Ciebie, więcej niż kiedykolwiek dotąd w życiu. Wracasz mi nieustannie na myśl, a każdy taki nawrót kończy się modlitwą o to, byś - jak tego pragniesz - umiał cierpieć po katolicku. Współcierpieć ze mną nie jest łatwo, gdyż Bóg musi mi stawiać takie wymagania, jakie odpowiadają memu powołaniu kapłańskiemu. Ale gdy będziesz poddawał swoje doświadczenia tej myśli, jaką chce przeprowadzić Bóg - zgodnie z tym, co jest Mu potrzebne - bądź spokojny o wartość Twego cierpienia.

Już teraz modlimy się wspólnie z moim towarzyszem doli za rodziców, by wyprosić im na święta Bożego Narodzenia, jako dar,

całkowitą pogodę i ufność serca. Ogarniam Ciebie, Drogi Ojcze, moje całe Rodzeństwo i moich Najbliższych najlepszym sercem i pragnę Was zapewnić o najgorętszej modlitwie w Waszej intencji, by osłodzić te smutki, których jestem mimowolną przyczyną. Chociaż bez opłatka, dzielę się ze wszystkimi sercem. W noc Bożego Narodzenia, podczas Mszy świętej w naszej maleńkiej kapliczce, będę Was wszystkich polecał Najwyższemu Ojcu i Świętej Bożej Rodzicielce. Całując Twe drogie ręce, Ojcze Najlepszy, błogosławię całą moją kapłańską władzą Ciebie, Rodzeństwo i Najbliższych moich w Chrystusie.

14. XII. 54.

+ St. W.

P.S. Stachnie dziękuję za miły dopisek, za fotografie śp. Mamusi, a Tobie, Stachno, i Juleczce polecam w szczególności sposób Ojca, by w zdrowiu mógł spokojnie przetrwać wszystko.

15. XII. 1954, środa.

Przez cały tydzień oktawy Niepokalanego Poczęcia myśli i słowa staniają się wokół „Najczystsze”. Czyż nie są one cieniami na Słońcu? - Cóż nam pozostaje? Wołać splamionymi ustami można tylko jedno: Ucieczko grzesznych... Ale święty Kościół Powszechny grzeszników jest odważny: woli, gdy cienie naszych myśli padają na Niepokalaną, niż by miały być ogarnione ciemnościami i cieniem śmierci. Słońce przecież -oświeciło stajnię i kałużę. Lud, który w ciemności siedział, ujrzał Światłość wielką. Kradnę więc, pod osłoną cieniów swych myśli i słów, promienie z „Obleczonej w słońce”. Ta „kradzież” nie wymaga restytucji... Może to *occulta compensatio* dla upadłej, lecz odbudowanej natury?

18. XII. 1954, sobota.

Za kilka dni Polska rozpocznie niezwykle Rok Jubileuszowy: 300 lat obrony Jasnej Góry. Gdy w listopadzie 1655 roku fale „potopu” dosięgły wałów Jasnej Góry, Ojciec Augustyn Kordecki tak mówił na wstępnej naradzie do zakonników i szlachty: „Szydź z nas i pogardza nami nieprzyjacieli, pytając, co nam z dawnych cnót pozostało. A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowana być może...” (Henryk Sienkiewicz, *Potop*).

Jubileusz zacznie się w sobotę: w dzień Maryi, gdyż w tym roku Maryja „porodziła” Syna swego w sobotę i wszystko dzieć się będzie pod znakiem Jej dnia.

Warto myśleć o „obronie Jasnej Góry” roku 1955. - Jest to obrona duszy, rodziny, Narodu, Kościoła - przed zalewem nowych „czarów”. Moja „Jasna Góra” ściśniona zewsząd wałem udręki; wałą pociskami „zabobonu” i „wstecznicstwa” - w „Kurnik”. Przed 300 laty „Kurnik” ocalał i trwa do dziś dnia.

„Obrona Jasnej Góry” dziś - to obrona chrześcijańskiego ducha Narodu, to obrona kultury rodzimej, obrona jedności serc ludzkich - w Bożym Sercu, to obrona swobodnego oddechu człowieka, który chce wierzyć bardziej Bogu niż ludziom, a ludziom - po Bożemu.

21-22. XII. 1954, wtorek-środa.

W ciągu tych 2 dni przeprowadzane były dodatkowe badania lekarskie: prześwietlenie klatki piersiowej, jamy brzusznej, badnie krwi i leczenie zębów. Wszystko odbywało się w Opolu, w WUBP, dokąd byłem zawożony w godzinach wieczornych (od 18 do 21). Dziś podano mi wynik tych badań: stan krwi bardzo dobry, krew zdrowa, „ku zdziwieniu lekarki, która przeprowadzała badania”. Płuca czyste, w jamie brzusznej nic nie znaleziono. Ogólny wynik: „człowiek zupełnie zdrowy”. Wynik ten nie pokrywa się z badaniem lekarzy, którzy zarządzili te dodatkowe badania. Wypada zbyt optymistycznie. Dotąd nigdy takiej opinii lekarzy o sobie nie słyszałem. - Dokonano fotografii szczęk; wprawiono mi dwie plombi nowe i wstawiono trzecią, która wypadła. Lekarka oświadczyła, że powinno to wystarczyć na kilka lat. Ogólna uwaga o lekarzach: bardzo grzeczni, pracujący z wielką wprawą, delikatnie i umiejętnie. Brak im jednego, co dla pacjenta ma ogromne znaczenie: są bardziej urzędnikami niż pomocnikami człowieka chorego. Lekarz musi być przyjacielem pacjenta, a nie siłą trzeciej, od której zdradza zależność.

22. XII. 1954, środa.

Przez dwa dni byłem w ręku „klinik” lekarskich w Opolu. Mówię „klinik”, a nie lekarzy, bo lekarze działali, jak automaty: sprawnie, fachowo, niemal niezawodnie, ale bez duszy lekarskiej. Ci ludzie nie mają dla „nieszczęsnego pacjenta” - twarzy ludzkiej, której szuka się w lekarzu więcej niż recepty. Działa urzędnik, dla którego ważniejszą rzeczą jest propaganda niż medycyna. Jego sumiennosc, uprzejmosc, wysilek nie jest dla pacjenta, tylko dla „kogoś trzeciego”, który każe zrobić dobre wrażenie, być grzecznym i sumiennym. Tak mocno czuje się tego „trzeciego”, że schodzi się do rzędu „przedmiotu”, biurokratycznego „kawałka” do załatwienia na specjalne zlecenie.

Biedni ludzie, z przetrąconym kośćcem sumienia! Oni też czują tego „trzeciego”. Im też zależy, by na „trzecim” zrobić dobre wrażenie. „Pacjent” skorzysta na tym nie dlatego, że potrzebuje pomocy, ale dlatego, że jest w ręku „trzeciego”, który ma w ręku i pacjenta, i lekarza. - Czy jeszcze istnieje etyka lekarska? Czy istnieje „tajemnica służbowa” i dyskrecja? - To ten „trzeci” dowiaduje się „wszystkiego” od lekarza. Pacjent dowiaduje się dopiero od tego „trzeciego”. Ale i temu „trzeciemu” bardziej zależy na tym, czy lekarze byli grzeczni, jakie zrobili wrażenie, niż na wszystkim innym; więcej propagandy niż medycyny. Można tu „wyzdrowieć” i „umrzeć” - na zamówienie tego „trzeciego”. - A wszyscy muszą trochę kłamać: lekarz musi stwierdzić taki stan, jaki rad by widzieć ten „trzeci”. Pacjent nie chce szkodzić lekarzowi, więc milczy. A ten „trzeci” wydaje werdykt: „całkowicie zdrowy człowiek” - „nad podziw”. Strzeż się teraz „człowiecze” - byś nie śmiał chorować.

23. XII. 1954, czwartek.

Wręczono mi dziś list od Ojca i siostry oraz od brata. Przesłano mi duży karton świątecznych darów z domu i opłatki wigilijne.

24. XII. 1954, piątek.

Kilka myśli i spostrzeżeń na temat ostatnich zabiegów lekarskich. Jedno trzeba podkreślić: wielki pośpiech, z jakim sprowadzono tym razem lekarzy. W związku z całym przebiegiem sprawy badań klinicznych muszę zauważyć wzrastającą uprzejmosc mego otoczenia, jak również personelu lekarskiego. Aparat Urzędu Bezpieczeństwa działa jednak z całą precyzyjną ostrożnością. Świadczy o tym sam sposób, w jaki byłem dowożony do Opola. Zawsze wyjazd zapowiadał się wcześniej, zawsze miał miejsce wtedy, gdy już porządnie się ściemniło. W drodze zachowywano wszelką ostrożność. Wjeżdżając w bramę Urzędu Wojewódzkiego, gdzie mieściły się kliniki, zawsze widzieliśmy wszystko przygotowane: brama szeroko otwarta (do Urzędu Bezpieczeństwa, o tej porze!), na dziedzińcu żywego ducha, nawet psów policyjnych nie było w wielkich klatkach, które stały puste. Samochód zatrzymywał się tuż przy bocznym wejściu. Naprzd jeden z panów upewniał się, czy na korytarzu wszystko w porządku. Po czym wychodziliśmy z auta i pustymi schodami i korytarzami wchodziliśmy na pierwsze piętro. Wszędzie pusto, jak w zaklętym gmachu, chociaż wszędzie były ślady życia. Wyglądało to tak, jak gdyby ludzie uciekli przed morowym powietrzem. W gabinecie już czekał lekarz przy

aparacie rentgenowskim i dentystka. Pomagali sobie wzajemnie. Lekarz - kaleka w wielkim stopniu; poruszał się z trudem. Wszystko odbywało się w całkowitym milczeniu. Stałym towarzyszem badań był kierownik. „Starszy pan”, który towarzyszył nam do Opoia, siedział na korytarzu, tuż pod drzwiami. Laborantka, która pobierała krew, była wyjątkowo niezręczna; umazała sobie całe ręce we krwi, jak gdyby jej to sprawiało przyjemność. Była milcząca, chociaż pełna kobiecej pretensji. Natomiast dentystka pracowała niezwykle sprawnie, szybko i delikatnie. Wyjazd odbywał się z tym samym aparatem ostrożności. Przodem szedł po pustych schodach „starszy pan”; korytarze cały czas były puste, podobnie klatka schodowa i podwórze. Panowała tu absolutna cisza, jak gdyby dokonywało się jakieś szczególne misterium. Można śmiało powiedzieć, że nikt mnie tu nie widział. Ja na pewno nikogo nie widziałem, prócz ludzi upoważnionych do oglądania ich...

Podobna „uroczystość” powtórzyła się dnia następnego, z zachowaniem wszelkiej dyskrecji dnia poprzedniego. W drodze też panowała milczenie, z wyjątkiem oświadczenia, które złożył kierownik na temat mego zdrowia: „Lekarze dziwią się, bo tak zdrowego człowieka jeszcze nie widzieli”. - Pierwszy raz w swoim życiu usłyszałem o sobie podobną opinię.

Dzisiaj dostałem dalszy ciąg książek, o które prosiłem 29. X. br., a więc: Pisma Ojców Kościoła, Dzieła świętego Jana od Krzyża, Norwida (*Krakus*) i Sienkiewicza (*Potop III, Pan Wołodyjowski, Quo vadis*).

Wieczór wigilijny ma ten sam charakter, co w roku ubiegłym. Jednakże w tym roku dostaliśmy drzewko, które ksiądz ubrał własnymi środkami i sposobami. Wieczera wigilijna też jest bardziej zbliżona do tradycyjnych, domowych zwyczajów. Panuje w domu doskonała cisza. Posyłamy opłatek gospodyni. Nie mamy odwagi „prowokować uczuć świątopoglądowych” naszych dozorców opłatkami. Może to małoduszność. Raczej jednak myślę, że nie umieliby tego docenić. Wszyscy są smutni i bardzo poważni. U nas na górze panuje spokój, pogoda i radość. Po wieczery spędzamy dłuższy czas przy stole, na rozmowach. O godzinie 23 rozpoczynamy śpiewać Jutrznę w kapliczce. Siostra śledzi z tekstem w ręku. O godzinie 24 rozpoczynam odprawiać Mszę świętą. Pierwsza jest śpiewana, dwie następne - ciche; moi wierni śpiewają kolędy. Jest nam bardzo dobrze w tej ubożuchnej kapliczce, bez jednego kwiatka, z dymiącymi, lichymi świecami, wobec Chrystusa, który chciał być z nami w tym dniu, „w gospodzie za miastem”. Postanowiliśmy sobie, że obydwa dni świąteczne spędzimy razem, od wczesnego ranka do wieczora. Nikt nie może czuć się samotny. Zwalczamy w sobie wzajemnie nostalgię, każde zamyślenie, każdy „unik” towarzyski. Bóg nas skazał na siebie i musimy sobie wzajemnie pomagać. Dajemy też sobie zobowiązanie: że będziemy się modlić wzajemnie za naszych rodziców i rodzeństwo, aby

rozpedzić chmury smutku, które mogłyby ich ogarnąć. Zawieszamy jutro wszystkie zwykłe prace, nie bierzemy do ręki pióra ani naszych książek; wolno też wszystkim mówić wszystko, bez cenzury słowa, choćby to było bardzo niemądre. Całkowita swoboda dla dzieci Bożych.

Msze święte trwały do godziny 2 w nocy; jeszcze dłuższy czas modliliśmy się za Kościół Chrystusowy, za Ojca świętego, za biskupów polskich, za rodziny zakonne, za nasze diecezje, za nasze rodziny domowe. Wydaje nam się, że dzięki modlitwie doszliśmy do takiego usposobienia wewnętrznego, iż Dobry Bóg nie musiał się smucić, patrząc na nas. Ostatnia modlitwa - za naszych dozorców, zwłaszcza za tych, co teraz siedzą na korytarzach, i za żołnierzy, stojących wokół w śniegu, wśród lasu, na posterunkach. Wiemy, że tym ludziom musi być najboleśniej i najciężej.

O godzinie 2.30 piętro nasze pograżyło się w ciemnościach. Był to sen pełen radości. Ufamy, że Bóg nie żałuje, iż nas zatrzymał na święta w więzieniu. I my też nie żałujemy, że chciał dla nas więzienia i na te święta, które światu przynoszą „Klucz Dawidowy”.

•
**

Najkrótszą drogą, która prowadzi do wewnętrznego pojednania z naszymi krzywdzicielami, jest wspomnienie na pytanie zadane przez Chrystusa Judaszowi: „Przyjacielu, na coś przyszedł?” - Jednakże: „Przyjacielu”! - Chrystus zawsze posługiwał się takim słowem, które odsłaniało istotę sprawy. Zdrajca „przyjacielem” Zbawcy! Bo Zbawiciel pragnie zbawienia świata, a Judasz Mu pomaga zdradą swoją, jest mimowolnym narzędziem planów Chrystusa, współdziała z Nim. „Współpracownik Odkupienia”. - Wszyscy nasi przeciwnicy, pomimo swej woli, współdziałają z nami, przyczyniają się do dzieła wyzwolenia w nas Bożych sił. Może i nie przypuszczają, jak wielką przysługę okazują człowiekowi, który umie korzystać z łaski Bożej, który chce korzystać z łaski cierpienia. Cóż to znaczy, że chcą mi być „wrogami”, kiedy ja widzę w nich przyjaciół i współpracowników w dziele mojego odkupienia?

A najskuteczniejszą drogą do zwalczania w sobie smutku jest wspomnienie na mądrość, dobroć, miłość i doskonałość Boga, którego wszystkie dzieła są doskonałe. - A więc i te, które mnie dotyczą. W każdym czynie Boga jest tylko mądrość, tylko dobroć, tylko miłość. Może nie rozumiem ich do końca, może myślę zaledwie promykami światła. Ale pełna światłość objawia się, gdy rozumiem sens działania Bożego.

•

Nie można uwolnić się od myśli, co zrobiłby święty Paweł dziś, gdyby chodził po moim korytarzu? Może wzięłby opłatek i poszedł na dół, by powiedzieć dozorczy: „Bracie!” Czy pytałby o światopogląd? Czy lękałby się przekroczenia „regulaminu”? - A tak by człowiek pragnął mieć tyle wolności, by przynajmniej każdemu mógł powiedzieć: „Bracie mój!” Chyba nie byłaby to „niedozwolona propaganda”.

*

Pierwsze dzieło uszczęśliwienia człowieka zaczął Bóg od mężczyzny, z którego boku wyprowadził niewiastę. Wszystko zostało zburzone przez grzech.

Drugi raz zaczął od Niewiasty, z której wywiódł nowego Adama. Tym razem poszło dobrze. Pierwszy Adam przegrał przez niewiastę; drugi Adam zwyciężył przez Niewiastę: Ewa i Maryja...

25. XII. 1954, sobota.

Od wczesnego ranka do późnego wieczora panuje tu *gaudium magnum*. Ksiądz Stanisław celebrował rankiem trzy Msze święte; śpiewamy kolędy i modlimy się za wszystkich, którzy o nas myślą: za Kościół - Mistyczne Ciało - którym jesteśmy ogarnięci, za najbliższych, z którymi wiąże nas krew, za tych, z którymi związani jesteśmy węzłami przyjaźni, miłości i pracy. - Śniadanie, obiad i wieczerza są pełne zdrowej pogody i humoru; na szczęście nikt nie choruje. Po obiedzie czytamy sobie opisy dnia świętego Szczepana w *Potopie* - to ostatni dzień oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów. Po czym śpiewamy do samego wieczora kolędy. Ksiądz Stanisław broni się dzielnie, chociaż chora matka przychodzi mu często na myśl. Po wieczornych modlitwach umyślnie pozostajemy dłużej razem, ażeby ksiądz Stanisław nie miał czasu na rozważania o „wyglądającej oknem matce”. Zdaje się, że wyszedł z tych pokus zwycięsko.

W domu panowała wzorowa cisza; naszych panów niemal nie widzieliśmy. Widocznie to należy do dobrego tonu więziennego, by dozorczy nie pokazywali się na oczy. A może, biedni, myślą, że nie umielibyśmy spojrzeć na nich po bratersku? Może uważają, że święta religijne są zarazem wzrostem napięcia antybezbóżniczego? A myśmy modlili się o ich pogodę i o miłość, która się rodzi w stajni, dla ludzi tajni i obór. Oby mogli zrozumieć, jak bardzo Chrystus jest właśnie dla nich.

Z przyzwolenia Ojca Niebieskiego nie mogę dziś stanąć przy ołtarzu katedralnym, by wielbić rodzinne święto Trójcy Świętej: Ojca - Rodzica i Syna Narodzonego, i Ducha Oblubieńca. Nie mogę uczcić służbą pontyfikalną Ciebie, Bogurodzico Dziewico. - O jedno proszę: Ty, Maryjo, bądź obecna przy tej służbie i spraw, by ci, którzy mnie wyręczają, godnie i chwalebnie czcili Trójcę Świętą, by lepiej służyli niż ja, by Ojciec wziął pełną cześć od Kościoła świętego. Zbierz, Maryjo, chwałę Bożą ze wszystkich świątyń obydwu archidiecezji, z ust wszystkich kapłanów, wielbiących dziś Ojca i wyznających przed ludźmi Chrystusa, Syna Boga Żywego - oczyść z niedoskonałości ludzkiej i złóż w darze Rodzinie Trójcy Świętej.

27. XII. 1954, poniedziałek.

„Co było od początku, cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszymi, cośmy oglądali i czego ręce nasze dotykały o Słowie Żywota; (bo Żywot się objawił i widzieliśmy, i świadczymy, i opowiadamy wam Żywot wieczny, który był u Ojca i zjawił się nam). Cośmy widzieli i słyszeli, to wam opowiadamy, abyście i wy towarzystwo mieli z nami, a towarzystwo nasze było z Ojcem i z Synem Jego, Jezusem Chrystusem. A to wam piszemy, abyście się radowali, żeby radość wasza była pełna” (1 J 1,1-4). Uczeń Chrystusowy, który czerpał z piersi Mistrza potoki ożywcze Ewangelii, sam od początku wszystkiego dotknął rękoma swymi, zanim opowiedział. Może dlatego tak blisko żłóbka, w cyklu liturgicznym, stoi ten wytrwały uczeń, który nie poprzestał na wspólnocie stołu z Mistrzem, ale zapragnął przyjaznej poufałości z Nim. Chrystus nie odmówił - pozwolił mu spocząć na swojej piersi.

Czy nie dlatego Jezus chciał być w żłobie betlejemskim, by zachęcić nas do poufałości doświadczenia religijnego? - Czyż nie dlatego jest Dzieciąciem, by mógł być brany w ramiona? - Czy nie dlatego jest w żłobie, by widziano w nim pokarm przyswajany sobie? - Czy nie dlatego przyjął ciało, żeby Janowie mogli znaleźć oparcie, ilekroć dusza tego zapagnie? Przecież Jan to nie tyle abstrakcja Logosu, to doświadczenie miłujących, wiernych dłoni! Ta wielka miłość rozsada po prostu schemat rozumowania filozoficznego. Betlejem ułatwia nam zbliżenie do Słowa - Dzieciącia. A gdy to zbliżenie nastąpi, już to Dziecię jest objawionym Żywotem!

Gdy Kościół ukazuje nam Słowo Wcielone, pragnie, byśmy - za przykładem Jana - spoczęli ufnie i dziecięco na tej Bożej Piersi i z niej czerpali potoki Ewangelii i świątliwości. Jak wielki sens ma Jan przy żłóbku, Jan, którego zobaczymy w Wieczniku, na Kalwarii, przy Grobie i przy Matce Słowa Wcielonego! - Jan, to droga do Drogi...

28. XII. 1954, wtorek.

Ex ore infantium... - Wielka tajemnica świata: dzieci i Herod. Herodowie ciągle organizują świat przeciwko Bogu, a Bóg daje im odpowiedź przez dzieci. Człowiekowi zawsze wydaje się, że ma nieco więcej racji niż Bóg, że - właśnie w tej sprawie - postąpiłby inaczej, roztropiej, nieco „mądrzej”. Budują więc Herodowie całe konstrukcje argumentów, by przekonać Boga. - A Bóg odpowiada po dziecięcemu. Gdy świat uniósł się w swej pysze na szczyty roztropności i potęgi ludzkiej, Bóg przysłał syna swego na świat jako Dziecię. Potędze Babilonu, Cyrusa, Aleksandra, Faraonów, Hellady i Romy - ma dać odpowiedź Dziecię. Gdy świat umilknie pod nogami Augusta, odezwie się w Betlejem Dziecię... - Gdy Sanhedryn milczy - *pueri Hebraeorum* wołać będą: „Hosanna Synowi Dawidowemu...” A gdyby zamknęto im usta, „kamienie wołać będą”. - Gdy się zwali Niniwa i Babilon, i Akropol, i Palatyn - porosną na gruzach dzikie róże. A w każdym pączku więcej nadziei, niż w tym rdzewiejącym rumowisku żelastwa, w zamarłych ustach mędrców tego świata. Wymowne jest to pobjowisko, gdy ruń Boża przerasta technikę.

Buduję w swej duszy pracowicie całą konstrukcję myślową; chcę przekonać Boga. Może mi to imponować, jak mało imponuje „Dom Kultury”. Ale tylko dlatego, że nie widzieli pół tysiąca stупiętrowców, stłoczonych na jednej wysepce Manhattan! - Jak naiwnie musi wyglądać ta akrobatyka myślowa w oczach Mądrości, która jest Miłością! - Gdy wałą się moje wieżowce, jedna łąza przywraca mi nadzieję: to łąza dziecka. Skoro umiem płakać... jestem jako dziecię. Droga do Królestwa otwarta. Boga „przekonać” zdołam tylko łąza... I siebie też; bo łąza przywraca mi spokój...

29. XII. 1954, środa.

Narzekał Henryk II (+ 1189), król angielski, że w państwie swoim nie może mieć spokoju przez jednego kapłana. Był to święty Tomasz Becket, arcybiskup Canterbury i prymas Anglii. Milczał jednak król o przyczynie niepokoju - o artykułach z Claremdon, które uderzały w prawa Kościoła. Ci panowie rozumieją często przez spokój milczenie ludzi zduszonych butem gwałtu. Zapominają, że nawet noga zbyt długo ucisku nie wytrzyma. By rządzić więc państwem, należy zaniechać gwałtu, a wtedy wróci spokój. Rzecz znamienita, jak mało ludzie współcześni uczą się z historii. Przecież potężne imperia upadały tym szybciej, im większy zadawały gwałt. Można sięgnąć do starych przykładów: nieraz słabiej zorganizowane państwa dłużej się utrzymy-

wały, niż państwa o niewolniczej tyranii. Można sięgnąć do najnowszych przykładów (hitlerowskie państwo). Władca szuka spokoju i obywatele też. Niech władca da obywatelom „święty spokój”, a wtedy i sam dozna spokoju, i będzie mógł zachować w pokoju wszystko, co posiada. Strach władcy jest odwetem za gwałt. Państwa policyjne, to państwa gwałcone. Wobec nich tylko kapłan musi zdobyć się na obronę obywateli. Obrona ta nie godzi we władcę.

31. XII. 1954, piątek.

Rok, który za kilka minut skończy się, oddaję Tobie, Panienko Jasnogórska, by przez Twoje niepokalane dłonie był złożony ku chwale Boga - *Soli Deo*. Oddaję całkowicie bez żalu, bez smutku, bez zastrzeżeń, choć spędziłem go w tym zamaskowanym więzieniu. Wszak Ty patrzysz na moje życie i wiesz, co daje mi to więzienie. A ja ufam kierowniczej łasce Bożej i wiem, ile przez nią zyskuję. Nie pytam: za co i dlaczego, bo ufam. Wystarczy mi mądrość, dobroć i miłość Boga jako sprawdziany wszystkiego, co mnie spotyka. Zresztą, czemu mam wszystko wiedzieć i rozumieć? Gdzież wtedy byłoby miejsce na ufność?

Rok ten tak bardzo przekonał mnie o pełnej miłości mądrości Bożej, że niemal nie ma już miejsca na najdrobniejszy odruch oporu przeciwko woli Bożej. Rozum ufa, wola jest poddana. A serce, jeśli się odezwie tęsknotą za ołtarzem, za amboną, za wspólną modlitwą z ludem, to bardzo szybko wraca do równowagi. Jest to bodaj najcięższe doświadczenie, gdy nie można wyznawać Chrystusa przed ludźmi, największa strata, gdyż Syn wyznaje przed Ojcem wyznawców swoich przed ludźmi. Ale można wyznawać słowem i cierpieniem. Może Chrystus przyzna się do mnie przed Ojcem, gdy daje łaskę cierpienia dla Imienia swego.

./ ./ 1955, sobota.

Soli Deo - przez Maryję Jasnogórską. W porze nocnego czuwania na modlitwie rozpoczęliśmy Nowy Rok z imieniem Maryi Jasnogórskiej na ustach. Wszak w Ojczyźnie naszej, to szczególnie Rok Jubileuszowy, rok trzechsetny od chwili, gdy Jasna Góra stała się siłą odrodzenia Narodu. Podobało się Bogu wyrwać Polskę „z potopu” przez Maryję Jasnogórską: uwielbił Pan Matkę Syna swego wielkimi cudami i znakami. Odtąd Jasna Góra została „twierdzą warowną ducha Narodu”. I taka była w najcięższych chwilach dziejowych. Dziś

mówimy o Stolicy Łaski, podnosząc ufne oczy na Jasną Górę, w każdym ucisku naszym. Widoczny znak łaski w postaci zbrojnego zwycięstwa jest dla nas tylko argumentem, gdy wołamy do Boga, do Maryi, do sumień ludzkich. Ale oczekujemy stokroć więcej: „obrona Jasnej Góry” dziś, to obrona duszy chrześcijańskiej Narodu. To stokroć donioślejszy cud, który wymaga większego jeszcze bohaterstwa do walki z wrogiem, który jest w nas. Jak łatwo godzić we wroga zewnętrznego. Jak trudno ugodzić w samego siebie. Tym większej trzeba pomocy Matki Zwycięskiej, Pośredniczki Łask Wszelkich. Dziś „obrona Jasnej Góry” - to zwycięstwo nad sobą, nad tym wrogiem, którym sam jestem.

Rok Jubileuszowy „obrony Jasnej Góry” (1655 - 1955) będzie więc rokiem modlitwy do Królowej Polski, której Obraz dany jest przez Opatrzność *ad defensionem populi Polonici* (Kolekta), aby pomogła wszystkim dzieciom Narodu zwyciężyć siebie, a w sobie - wroga Boga, wroga bliźniego i wroga wewnętrznego duszy. Niech ten historyczny dowód mocy Bożej będzie argumentem dla słabych i maluczkich. Już dziś oddaję wszystkie swoje modlitwy i więzienne cierpienia ku uczczeniu Pani Jasnogórskiej - za Naród Chrystusowy, by wytrwał w łasce i miłości.

5.1. 1955, środa.

Gniew ojca zawsze jest łaską, bo jest dowodem opieki, zainteresowania, bliskości, woli poddania sobie odpornej istoty. O ileż szczęśliwsze jest położenie człowieka, który odczuwa na sobie gniew Boży, jak Hiob czy Dawid, niż takiego, który nie czuje przy sobie żadnego śladu obecności Boga. Gdy Bóg się gniewa, łatwo znajdę słuszną przyczynę Jego gniewu w sobie. A wtedy lepiej jest mi być wdeptanym w ziemię, choćby butem wroga, bo owoc wyrasta z ziarna obumarłego w ziemi. Jak łatwo jest wtedy uznać sprawiedliwość Boga, choćby winy moje odmierzały się przez szkło powiększające. Jak przyjemnie wtedy doznać prześladowania, które jest różgą, biorącą należność. Jak uczynni są wtedy moi dręczyciele, którzy nawet nie wiedzą tego, że przez ich posługiwanie ja dochodzę do pojednania z Bogiem. Jak bardzo muszę ich kochać, skoro Bóg okazał mi swoje zainteresowanie z ich pomocą. „Miłość nieprzyjaciół” przestaje być kwiatem retorycznym, staje się ciałem.

6.1. 1955, czwartek.

I dziś nie mogę spełnić swej powinności: nie mogę złożyć Ci hołdu imieniem Oblubienicy mojej - Kościoła gnieźnieńskiego i drugiej -

Kościół warszawskiego. Przeprosić tylko Cię mogę, zem przez to pomniejszył chwałę Twoją. Musiałeś rzec do mnie: Nie mam chęci do ciebie i ofiary twojej nie przyjmę... - Proszę, niech przynajmniej miłe Ci będzie posługiwanie tych, co dziś zbiorą się w Katedrze: Kapituł, młodzieży duchownej, kleru i ludzi. Oni są godni stanąć przed Oblubienicą Twoim. Z ich rąk przyjmiesz ofiarę. - Pozwól, Ojcze, że Twój „ekskomunikowany” - wyłączony ze wspólnoty świętych, chociaż sercem przytuli się do murów swej Oblubienicy - Katedry. I prosić będzie pokornie: *ut Tibi digne et laudabiliter serviatur*. Prosić będę, aby wszyscy słudzy Twoi, którzy teraz we wszystkich świątyniach obydwu archidiecezji podnoszą Ciało Syna Twego, budzili miłość ku Tobie i wiarę. Prosić będę, aby wszyscy kapłani, którzy teraz w tyłu świątyniach wyznają Cię przed ludźmi, wyznawali Cię i słowem, i życiem.

Boś Ty sam Święty, boś Ty sam Pan, boś Ty sam Najwyższy... Bo tylko ja grzeszny, bo tylko ja niewolnik, bo tylko ja najniższy. Wszystko, co czynisz, jest świętością, jest wypełnione sprawiedliwością i miłosierdziem. Któż lepiej zna moc Twego miłosierdzia, jeśli nie Ty sam, którego miłosierdzie powściąga nawet sprawiedliwość? Któż lepiej zna moc sprawiedliwości Twojej, jeśli nie ja, który dobrowolnie ją uznaje, w pełni przekonany o Twej słuszności tak, że nie czuję się godny miłosierdzia? - Trzeba nowego cudu łaski, by to uznać.

7.1. 1955, piątek.

Pierwszy piątek miesiąca. Za krzyżem kryje się Serce Boże. Sphywająca Krew na ziemię czyni ją świętą; wrzusza twarde skały, które pękają z bólu. Błoto pod krzyżem, nasycone Krwią, staje się skarbem. Wszystko się odmienia. Jedno serce moje nadal jest twarde, a ziemia ciała jest grzesznym błotem.

Modłę się za kapłanów archidiecezji, a zwłaszcza Stolicy. Bóg najbardziej ich doświadczył; pozwolił zburzyć ich świątynie, a dziś każe im podwójnie się męczyć - przez budowanie domu duchowego i wśród podnoszonych z gruzów ścian świątyń. Oby zrozumieli ten zaszczyt! Jak bardzo Bóg im zaufał, jak wielkiej wymaga ofiary! Oby poznali błogosławiony czas nawiedzenia swego. Przecież wymowa zburzonej Stolicy może poruszyć najbardziej bezmyślne serca. Te gruzy muszą przemówić do kapłanów, jak do Jeremiasza wołały gruzy zburzonej

Jerozolimy. Oby nie zamykali oczu na prawdę: Bóg wymaga od pasterzy i od owiec - oczyszczenia serc. Tak lękam się, by ten czas nawiedzenia nie minął. Odbudowa zabliznia rany; miałyby pod nimi ukryć się dawne choroby? - Jak trudno przyznać się do tego, że nie jesteśmy bez grzechu, uznać, że Święty świętych ma prawo gniewać się nawet za drobne uchybienia. Chętnie drapujemy się w togi ofiar ludzkiej nieprawości, ale za ujmę sobie poczytujemy być ukarani przez Boga. Ile trzeba pokornej modlitwy, by to uznać.

Coraz więcej lękam się wolności niż więzienia. Bo wolność oznaczałaby powołanie niegodnego do pracy; oznaczałaby przywileje, użycie narzędzia niesposobnego, a więc lichego, nie nadającego się do niczego. Poznałem to już dobrze. Więzienie natomiast jest stanem naturalnym, jest lamusem Bożym, jest wyrazem Bożej sprawiedliwości i prawdy. W tym stanie więziennym jest jednak coś uspokajającego. Choćby moi dozorczy popełniali nadużycia, to Bóg zamienia je na swoją sprawiedliwość.

16.1. 1955, niedziela.

Otrzymałem dziś list od siostry mojej, Stanisławy, i przesyłkę z owocami.

17.1. 1955, poniedziałek.

Upływa lat dziesięć od chwili, gdy ostatni żołnierz hitlerowski opuścił gruzowisko stolicy. *Dominus dissipat consilium nationum; irritas facit cogitationes populorum* (Ps 32).

Neque enim ab Oriente, neque ab Occidente, neque a deserto, neque a montibus: Sed Deus est iudex: hunc deprimit, et illum extollit. Nam in manu domini calix est (Ps 74).

23.1. 1955, niedziela.

W trzecią niedzielę po Objawieniu czyta Kościół swym dzieciom urywek z Listu Pawłowego do Rzymian: „Nikommu złem za złe nie oddawajcie: a co dobre, starajcie się czynić nie tylko przed Bogiem, ale i przed wszystkimi ludźmi... Sami sobie, najmilsi, sprawiedliwości nie wymierzajcie, ale pozostawcie to gniewowi Bożemu, bo napisane jest:

«Moja pomsta, Ja oddam, mówi Pan». Raczej, jeśli nieprzyjaciel twój łaknie, nakarm go, jeśli pragnie, napój go: bo tak czyniąc, nagarniesz żaru na głowę jego. Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj" (Rz 12,17-21).

Jak szczytem prawdy chrześcijańskiej jest nauka o Trójcy Świętej, tak szczytem moralności chrześcijańskiej jest nauka o miłości nieprzyjaciół. „Zło dobrem zwyciężaj” - a więc wydobądź z siebie wszystkie możliwości rozumnej istoty; a gdy ci ich brak, zapożycz się w mocach łaski. Tylko to rodzi postęp moralny, duchowy, społeczny, kulturalny, polityczny. To właśnie świadczy o wielkości człowieka. A jak właściwe jest zdrowej naturze ludzkiej, to niech zaświadczy odczucie, które nawiedza nawet wtedy, gdy musimy dać folę gniewowi sprawiedliwemu. Człowiek sprawujący władzę, ilekorać ukarze lub skarci podwładnego, jeszcze w sumieniu się oblicza: czy nie można było inaczej sprawy pokierować, innych słów użyć? Głos sumienia jest głosem wielkości człowieka. By go stłumić, trzeba dopiero sztucznie „wychowywać” uczucie nienawiści. Przed trzema laty czytaliśmy w prasie uchwałę zjazdową: „Musimy wychować się w nienawiści: musimy bardziej nienawidzieć”. Duch polski, wypielegnowany przez Ewangelię, dąży ku miłości. Trzeba dopiero „uchwał”, by go odmienić. Polacy nie umieją nienawidzić: dzięki Bogu i Jego Ewangeli!

/. //. 1955, środa.

Fru mentum Christi sum: dentibus bestiarum molar, ut panis mundus inveniar - słowa wkładane w usta świętego Ignacego Męczennika, biskupa antiocheńskiego, są głosem heroicznego apostołstwa. Zapewne też są wyrazem wewnętrznej potrzeby ducha człowieka, który zrozumiał nieubłagane następstwa pierwszego kroku kapłańskiego. Właściwie kapłan nigdy nie może się cofać, nawet gdyby posłannictwo jego wiodło pod zęby zwierząt. Bóg ma prawo wszystkiego żądać. Może z lękiem, może z trwogą i przerażeniem - a jednak jest to położenie bez wyjścia. I cała praca nasza ma iść nie w tym kierunku, by uniknąć tych ostatecznych następstw, ale - by dojść do nich z usposobieniem ufności, pogody i pełnego zrozumienia, że tak musi być, bo tego wymaga „Boża racja stanu”. Pszenica i chleb - to kapłańskie narzędzie pracy ofiarniczej. Gdy już ich zabraknie na ołtarzu, pozostaje sam ofiarnik, jak ongiś Chrystus, który po rozmnożeniu chleba - sam się stał Chlebem i ofiarował się „zębom bestii”. Bestie odżywiają się Bogiem - mogą się ubóstwić. Prześladowcy ścierający moją pszenicę na chleb - mogą się nawrócić. Czy można ich pozbawić tej ostatniej szansy ratunku?

Bóg *zaządał* od kapłanów wieku XX, by wydali ciała swoje jako hostię zastępczą; w tyłu obozach koncentracyjnych ostatniej wojny dokonała się ofiara, istna hekatomba Kościoła świętego.

2. II. 1955, środa.

Wręczyłem dzisiaj komendantowi listy do Ojca i do siostry Stanisławy Jaroszowej, treści następującej:

Najdroższy mój i Najlepszy Ojcze!

Proszę mi wybaczyć, że dopiero teraz dziękuję za list z 18. XII. 54 r. i za dary świąteczne, które doszły tu w całości 23. XII. br. Życzenia przyszły w porę, były więc niemałą radością w samotnym życiu. Bardzo serdecznie dziękuję za tyle troskliwej dobroci i wyczuwania moich potrzeb.

Z każdego listu staram się wyczytać między wierszami, Drogi Ojcze, jaki jest stan Twego zdrowia i samopoczucia. Wolałbym, żebyś się już nie zaziębiał i więcej uważał na swoje oczy, by starczyły jak najdłużej. Tak bardzo mi zależy na tym, byśmy Najlepszem Ojcu naszemu w niebie okazywali zawsze pogodne i ufne twarze, by Dobry Bóg nie musiał żałować, że nas doświadcza daremnie. Cierpienie jest wielką łaską, a że to nie jest tylko „złota myśl”, ale radosne doznanie, więc też i jest za co być wdzięcznym. Modlitwa, w której wiąże się z Tobą, Drogi Ojcze, ma wyprosić u Boga, byśmy obydwaj stali się godni Jego zaufania, które nam okazał. Każdego dnia to powtarzam podczas Mszy świętej, w brewiarzu i przy różańcu, gdy Bogu mówię o Tobie.

Pytasz, Ojcze, o moje zdrowie? Przed samymi świętami były uzupełniające badania krwi i prześwietlenia; wynik jest dobry. Przyjmowałem różne lekarstwa na wzmocnienie sił. Dolegliwości z ubiegłej zimy teraz nie odzywają się, może i dlatego, że obecny dom jest suchy i starannie ogrzany. Zresztą, warunki klimatyczne są w tej części Polski znacznie korzystniejsze od poprzednich, co wpływa dodatnio na poprawę zdrowia. Stare dolegliwości, znane moim najbliższym, wymagają, oczywiście, dłuższej kuracji.

Po otrzymaniu bielizny, sutanny i obuwia jestem dostatnio zaopatrzony we wszystko i proszę mi na razie nie przysyłać nic z garderoby. Nadesłane kamasze są zupełnie dobre. Pieniądze są mi niepotrzebne, gdyż nie pokrywam tu żadnych wydatków; zapewne dlatego zwrócono Ci, Ojcze, złożone pieniądze.

O moim sposobie życia nie da się wiele napisać, gdyż jest bardzo skromny. Wstaję o 5.00, idę na spoczynek o 22.00. Obiad o 13.00, wieczerza o 19.00. Co dzień odprowadzam Mszę świętą o godzinie 7.30. Po spacerze pracuję nad książką; to samo po południu. Czas wypełniłem

sobie tak szczelnie, by nie pozostawała ani jedna chwila na bezcelowe rozmyślanie. Właśnie dlatego upływa mi niezwykle szybko; nie dostrzegam niemal odchodzących tygodni i miesięcy.

Drugą serię książek, z tych, o które prosiłem 29. X. 54., otrzymałem 24. XII. br. Dotąd brak mi z tej listy kilku tytułów, które tu powtarzam: 1. Journet, *L'Eglise du Verbe Incarne*, 2. Bp Radoński, *Hagiografia*; 3. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus, *Dzieje duszy* - mała droga; 4. Dobraczyński *Gwałtownicy*; 5. Merton - mała książeczka szara, tytułu nie pamiętam; 6. *Konstytucja PRL*; 7. Pisma Norwida; 8. Pisma Oaudela; 9. Nieco włoskiej lektury; 10. Maślińska, *Moralność komunistyczna*.

W liście z 28. X. 54. prosiłem również o Rubrycelę na nowy rok kościelny. Bardzo mi jest potrzebna, gdyż trudno jest odmawiać brewiarz bez kalendarza, zwłaszcza w okresie Wielkiego Postu i Wielkanocy. Dotąd nie otrzymałem - ponawiam prośbę.

Natomiast bardzo jestem wdzięczny za nową albę, za którą proszę podziękować moim Siostram, jak również za piękną bursę z Matką Bożą i za palkę na kielich - które mnie bardzo rozradowały. Chętnie przyjąłbym świece ołtarzowe; wino i hostie do Mszy świętej mamy.

Najdroższy Ojcze, garnę się dziecięcym sercem do Twoich dłoni i całuję je z wdzięcznością za wszystko dobro, które dla mnie uczyniły kiedykolwiek w życiu. Wiedz, że najlepsze światła w mojej duszy łączy się z Twoją dla mnie dobrocią; nigdy o tym nie zapominam. Dziękuję Ci, Ojcze, za modlitwy, za troskę i serce, za ojcowskie błogosławieństwo. Przyjm też i moje uczucia synowskie, i moje błogosławieństwo pasterskie.

2. II. 55 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

List, wystosowany do siostry, Stanisławy Jaroszowej, tegoż dnia, jest treści następującej:

Droga moja Siostro!

Jestem Ci winien podziękowanie za obydwie listy: z 18. XII. 54 r. i drugi (bez daty), który otrzymałem 16. I. 55 r. Bardzo się ucieszyłem wiadomością, że list mój dotarł do Was przed świętami i że był wyrazem mojej pamięci, życzeń i łączności serc w dniu wigilijnym. Z ostatniego daru, który mi przysłałaś, widzę, że włożono na Ciebie obowiązek zaopatrywania mnie w dobre rzeczy; obawiam się, że możesz nadszarpać Twoją skromną kieszeń, zwłaszcza nadsyłając mi kosztowne owoce. Dziękuję za wszystko, ale proszę, byś więcej liczyła się ze swoimi skromnymi możliwościami, zwłaszcza że ja mam to, co jest konieczne do życia.

O stanie mego zdrowia podałem wiadomości w liście do Ojca. Proszę, byście się nie niepokoili. Żyję w sposób rozważny i mam na-

dzieję, że zachowam siły, a gdy Bóg pozwoli, to wezmę się kiedyś do gruntownej kuracji.

Nieco zaniepokoiłem się stanem zdrowia Józia; myślę jednak, że taki abnegat łatwo podda się kuracji. Bardzo go o to proszę, by pamiętał, że człowiek, który otrzymał talenty od Boga, ma obowiązek żyć długo.

Podziękuj Tadziewi za jego miły list; tak dobrze jest widzieć pismo autentyczne, gdyż w nim się wyczytuje zazwyczaj więcej niż litery głosz. Nie wiem dlaczego, ale ciągle lękam się o jego zdrowie, o którym on tak zwięźle pisze. Anię polecam nieustannie Matce Najświętszej i ufam, że dziecina wyrośnie, przy starannej kuracji, z następstw choroby. Najmilej pozdrów całą czwórkę. Cieszę się z wiadomości od Stachów, których zawsze w sercu moim noszę. Nigdy dotąd nie słyszałem nic o Julci; niechby chociaż podpisała swoje imię na którym liście Ojca.

Najmilej pozdrawiam wszystkie moje Siostry i ich Rodziny; proszę powiedzieć kilka dobrych słów Siostrze Przełożonej. Niech się wszyscy modlą bardzo za mnie i niech będą spokojni. Całuję Cię całym sercem i z braterskim uczuciem błogosławię.

2. II. 1955 r.

+ Stefan Kardynał

2. II. 1955, środa.

Rubum, quem viderat Moyses... - „W Krzewie, który oglądał Mojżesz, nie spalonym, widzimy zachowaną Twoją chwalebna dziewczęcość: Boża Rodzicielko, przyczyn się za nami... Od tego Krzewu Dziewiczego, płonącego wieczyście niepokalaną czystością, rozpałił Kościół wszystkie ognie, płonące dziś w świątyniach całego świata katolickiego. Istna rzeka ognia, w której płomyk nasz nabiera siły i jasności. Płynie ta rzeka światła, jako woda „ze świątyni z prawej strony” (*Vidi aquam*), potężnie przez wieki, gdy nowe pokolenia dołączają swe strumienie. Płynie ta rzeka światła przez ciemności świata, które nie zdołają jej ogarnąć. Płynie, ogarniając sobą wszystko, co jest na tej ziemi ze światłości, aby - *Lumen de lumine* - wróciła na łono Ojca, z którego wszelka światłość. Raduję się, że Ojciec pozwolił mi dołączyć się do rzeki światłości. Że mogę iść przez życie i wołać: *Lumen Christi!* Że mogę uwielbiać Światłość prawdziwą, którą Ojciec dał światu z krzewu nie spalonego.

3. II. 1955, czwartek.

Ksiądz Stanisław wyjechał dziś do Rawicza na widzenie się ze swoim ojcem, który przyjeżdża z Tarnowa. Te widzenia są całą

skomplikowaną machiną. W Stoczku wożono księdza do Barczewa. Musiał udawać wobec ojca więźnia, ale w sutannie; zapewne trudno było ojcu zrozumieć, co to znaczy. Dziś wożą księdza z Prudnika aż do Rawicza, aby tam udawał więźnia rawickiego, chociaż występuje w sutannie, co nie jest dozwolone więźniom. Ksiądz widzi się z ojcem nie przy kracie więziennej, ale w specjalnym biurze. Bardzo wesoło wygląda cały transport księdza, który w drodze musi ukrywać swoją sutannę; natomiast na miejscu musi okazywać swoją sutannę, i to ostentacyjnie, żeby ojciec wiedział, że ksiądz chodzi w sutannie i że mu jest dobrze, bo nie jest więźniem, chociaż widzenia są w więzieniu. Co biedny ojciec może myśleć na temat: dlaczego dawniej były widzenia w Rawiczu i w stroju więziennym, a później w Barczewie i w sutannie, a teraz znów w Rawiczu, i to w sutannie - to już jest tajemnicą psychiki człowieka żyjącego w stroju kolektywnym. Okazuje się, jak jedno kłamstwo zdolne jest skomplikować stosunki ludzkie i jak wiele nowych kłamstw wymaga dla swej obsługi. *Abyssus abyssum invocat...* Ksiądz zawsze lęka się „widzenia”, gdyż przy tej sposobności urządzone są inne spotkania z różnymi panami, którzy przyjeżdżają na rozmowy z księdzem, z Warszawy. Te rozmowy nie są przyjemne.

4. II. 1955, piątek.

Wrócił ksiądz Stanisław z widzenia się ze swoim ojcem i przywiózł *Directorium* na 1955 rok. Ja nie mogę doprosić się o warszawską Rubrycellę, chociaż ponawiałem prośbę kilkakrotnie. Z *Directorium* dowiadujemy się przynajmniej tyle, że Ojciec święty żyje, że KUL nadal działa, skoro są ogłoszone tacki, i że „drukarnia Loretańska” nadal przyjmuje prace kościelne do wykonania. - Nadto, z rozmowy ojca z księdzem, toczonej wobec „zastępcy”, wynika, że wielu księży zostało znów usuniętych ze szkół „dla braku kwalifikacji”. A więc mniażdzący wał posuwa się dalej i powoli, nieznacznie niszczy życie religijne w Polsce. Młodzież przychodzi na naukę religii do świątyni. Siostry zakonne tu i ówdzie jeszcze się utrzymały w szpitalach, ale to są resztki. Translokaty duchowieństwa są bardzo utrudnione wskutek „Dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych”.

Słowem, nadzieja na to, że moje uwięzienie powstrzyma wyniszczenie Kościoła, zaczyna błędną. Dotychczas było to dla mnie wielką pociechą, że uwięzienie moje może na jakiś czas odwrócić uwagę od Kościoła. Wszak ja miałem być główną przeszkodą do ułożenia pomyślnie stosunków Episkopatu i Rządu. Być może, że przez jakiś czas walka przycichła. Ale żelazna logika doktryny nie pozwoli na to długo. Taktyka ustępuje przed zasadą... Po moim uwięzieniu zapowie-

dziano, że postulaty Episkopatu „będą wysłuchane”. Może i wysłuchano, ale walka idzie naprzód. - Cóż mi pozostaje? Tracić nadzieję w sens mojej ofiary? Raczej przeciwnie: bardziej świadomie oddawać swoje cierpienia Kościołowi, by przez ofiarę wyjednać u Boga miłosierdzie i odrobinę odpocznienia dla utrudzonych ludzi. *Sic volol*

6. II. 1955, sobota.

Pan komendant, który po dłuższej nieobecności pojawił się na horyzoncie Prudnika, odwiedził mnie dziś i przyniósł mi dwie książeczki: *Konstytucje PRL* i Maślińskiej *Moralność komunistyczna*. O te książki prosiłem już dawno, bo jeszcze 29. X. 54. Wręczone mi zeszyty nie są jednak z mojej biblioteki, gdyż moje były pokreślone, z adnotacjami. Zaznaczam, że innych książek, o które wtedy prosiłem, dotąd nie doręczono. Widocznie te dwie książki są uprzywilejowane.

Z książek, na których mi bardzo zależało, a o które prosiłem jeszcze w Stoczku, nie otrzymałem dotąd: 1. *Annuario Pontificio*; 2. *Cceremoniale episcoporum*; 3. *Dottrina sociale cattolica* - zbiór dokumentów; 4. *Księga Henrykowska*; 5. *Rubricella*.

17.11. 1955, czwartek.

Wręczono mi dzisiaj książkę biskupa Radońskiego, o którą prosiłem 29. X. 54. Widocznie moi panowie mają więcej moich książek, a doręczają mi je *data occasione*, albo też w wyniku jakiejś misternej polityki świadczeń.

Po jakimś czasie doręczono mi listy: siostry mojej Stanisławy, brata Tadeusza i siostry Julii - donoszące o chorobie Ojca mojego. Jednocześnie doręczono mi przesyłkę z wiktuałami i inne książki.

Ukochany Bracie!

Postanowiłam donieść Ci o chorobie naszego Ojca, który wprawdzie w tej chwili czuje się prawie dobrze, ale w tak podeszłym wieku taki wypadek może budzić pewne słuszne obawy. Dwa tygodnie temu Ojciec przyjechał do Warszawy na Miodową; następnego dnia po przyjeździe rano doznał jakby paraliżu narządów mowy, nie utracił przytomności ani władzy w innych organach. Wezwany lekarz stwierdził mały paraliż na tle drobnego wylewu na mózg, zalecił dłuższe leżenie i zupełny spokój, uznał przypadek za łagodny i nie straszył. Mowa powoli powróciła, pozostało jeszcze duże osłabienie. Opiekę lekarską i warunki leczenia ma Ojciec jak najlepsze; mamy nadzieję, że

wkrótce podniesie się i będzie wracał do normalnego stanu. Siostra Maksencja jest główną opiekunką i bardzo jesteście jej wdzięczni za troskę i serce, jakie Ojcu okazuje. Tak się złożyło, że wypadek stał się na Miodowej, bo właściwie chodzenie koło chorego Ojca do nas należy. Proszę Cię, Ukochany Bracie, o zupełny spokój o Ojca; piszę całą prawdę, bo uważam, że tak lepiej będzie, mimo iż rozumiem, jak może Ci być przykre z oddalenia myśleć o Ojcu. Z powodu choroby Ojca wysłałam podanie do Premiera Rządu z prośbą o pozwolenie na widzenie się Ojca z Tobą. Mam nadzieję, że prośba będzie uwzględniona.

Czekamy niecierpliwie na wiadomości od Ciebie. Listu nie mieliśmy już blisko dwa miesiące, chcielibyśmy mieć obszernie wiadomości o zdrowiu i jak upłynął czas od ostatniego listu.

Przesyłam dużo serdecznych słów pamięci i oddania od nas wszystkich. Modlimy się ciągle w Twojej intencji o zdrowie, siły i wytrwanie. Może Bóg Dobry sprawi, że niedługo się zobaczymy. Żyjemy tą nadzieją i czekamy.

Bogu i Matce Najświętszej polecając, prosimy o błogosławieństwo i modlitwy; szczególnie serdeczne ucałowania i zapewnienia ojcowskiej miłości przesyła Ojciec.

10. II. 1955 r.

Sercem oddana siostra
St. Jaroszowa

18. II. 1955, piątek.

W związku z otrzymanymi wczoraj wiadomościami o ciężkiej chorobie mego Ojca, wyraziłem gotowość wręczenia listu do Rady Ministrów, z prośbą o umożliwienie mi widzenia Ojca. W liście napisałem, że Ojciec zwracał się pięć razy do Rady Ministrów z prośbą o widzenie mnie; nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W czasie choroby wyraził wolę widzenia mnie. Nie mogę się z tą wolą nie policzyć. Pan komendant usłyszał treść listu i wziął go.

Prymas: - Mam jeszcze dwa listy: do Ojca i do mej siostry, która opiekuje się Ojcem z ramienia rodziny. Mam jednak prośbę, by list nie był Ojcu zabierany, jak się to stało poprzednio. Ten sposób jest wysoce niehumanitarny, zwłaszcza gdy idzie o człowieka, który stoi nad grobem. Musi Pan przyznać, że ta metoda, którą trudno zrozumieć nawet zdrowym, musi być wyjątkowo bolesna dla człowieka chorego. Pokazać list i odejść, zabrawszy go ze sobą - to bardzo drastyczne.

Pan komendant wyjaśnia, że ostatni list był czytany w obecności siostry mojej, pani Jaroszowej, i w obecności jeszcze jednego pana. Na życzenie niektóre urywki były czytane ponownie.

Wyjaśniam, że nawet człowiek zdrowy niewiele ma pożytku z tego sposobu, a coś dopiero człowiek chory, który ma pociechę, że

widzi list pisany ręką jego dziecka. Zresztą, skąd mogę wiedzieć, co jest odczytane i jak ja wyglądam w tych przedstawieniach.

Komendant: - Wszystko jest odczytane, co dotyczy księdza rodziny, a nie innych rzeczy. Niektóre są opuszczone.

Prymas: - Ponieważ ja nie piszę manifestów ani do swych diecezji, ani do duchowieństwa, cóż więc mogą znaczyć te opuszczenia? - I z jakiego powodu są zatrzymywane listy, które są własnością moją i mojego Ojca? Przecież to jest właściwie konfiskata. List pisany przeze mnie jest moją własnością albo Ojca, gdy doń dojdzie. A przecież ani moje mienie, choćbym miał tylko brewiarz, ani mienie mojego Ojca, nie jest skonfiskowane. Na jakiej więc podstawie prawnej jest zatrzymywany list?

Komendant: - Nie umiem tego wyjaśnić; odpowiedzi udzielę za kilka dni. Muszą być jakieś zarządzenia, na podstawie których tak się postępuje.

Prymas: - Pan powinien je znać, gdyż Pan jest w moich oczach wykonawcą (nieznanych mi) krzywdzących mnie zarządzeń. Każde zarządzenie musi się opierać o Konstytucję i ustawę. Inaczej, jest to zwykła samowola, która daje pole do nieograniczonych nadużyć. Wszystko, co robicie ze mną, jest nadużyciem, gdyż jest stekiem wyjątkowych zarządzeń. Proszę mi wskazać, na podstawie którego artykułu Konstytucji, na podstawie jakiej ustawy, na podstawie jakiego rozporządzenia - konfiskowane są listy, będące moją i mojego Ojca własnością. Zresztą, idzie mi i o sam sposób załatwiania sprawy. Co ja Wam zrobiłem, byście w ten sposób ze mną postępowali. Co np. Panu zrobiłem?

Komendant: - My odnosimy się do księdza grzecznie, a gdy idzie o listy, to przecież lepiej, że są odczytywane, niż gdyby ich wcale nie było.

Prymas: - Nie chcę wchodzić w zagadnienie tego, co Pan nazywa „grzecznie”, bo mi nie idzie o formy towarzyskie. Można największą krzywdę wyrządzić „grzecznie”. Ja doznaję od Was wszelkich krzywd od blisko półtora roku. - A druga sprawa, czytanie listów też dla mnie wygląda inaczej. Celowo piszę rzadko, gdyż nie chcę narażać swego Ojca na tak przykrą formę, jak „odczytywanie” tego, co się podoba i zabieranie listu. Dla mnie nie jest to jedno i to samo. Wołę Ojcu oszczędzać takich afrontów. Zresztą, czym się da usprawiedliwić tak niezwykle wynalazek, którego nie stosuje się wobec rodziny żadnego z więźniów?

Komendant: - Musiało coś zająć na początku; zdaje mi się, że coś takiego było ze strony rodziny, że wstrzymano doręczanie listów.

Prymas: - Nie przypuszczam, gdyż moja rodzina jest zbyt skromna, by sobie pozwalała na cośkolwiek, co wyglądałoby na akcję. Zresztą, znali moją wolę, bo w pierwszym liście ze Stoczka napisałem Ojcu, że ze strony mojej rodziny nie może wyjść żadna skarga, nie mają

okazywać nikomu swego smutku i na te tematy z nikim nie mają rozmawiać. A wiem, że tego przestrzegano, gdyż Ojciec przypominał mi to w jednym z ostatnich swoich listów. Wyście natomiast zorganizowali bojkot mnie, wskutek czego od października 1953 do kwietnia 1954 roku nie dostałem żadnego listu. Nawet na Boże Narodzenie 1953 roku nie doręczono mi listu od rodziny. Czyż to nie jest nadużywanie siły? Jeśli uważacie się za dojrzałych do rządzenia Narodem, to musicie pamiętać, że siłą nic się nie da zrobić. Trzeba odwołać się do innych środków, trzeba okazać serce ludziom, od których oczekuje się serca. Ale takie metody do niczego dobrego nie doprowadzą.

Komendant: - My do siły się nie odwołujemy. Zresztą, w tym roku ksiądz dostał listy na Boże Narodzenie.

Prymas: - Niech Pan zobaczy list, który dostałem w kwietniu 1954, pierwszy od pół roku. Powycinany, posklejany. Czy to poważnie wygląda? Boicie się, by wiadomości ode mnie nie rozchodziły się od rodziny. A czegoż boicie się, gdy mnie wręczacie list? Komu ja tu będę przekazywał wiadomości? Przecież to okaz osobliwy. Żeby poważni mężczyźni bawili się w coś podobnego!

Komendant: - Choroba Ojca, to niewątpliwie bardzo przykra rzecz. Wszak rodzice to najważniejsza rzecz, jaką mamy. Ja to rozumiem.

Wręczyłem dziś panu komendantowi trzy listy: do Ojca, do siostry mej, Stanisławy Jaroszowej i do Rady Ministrów. Odpis listów:

Najdroższy i Najlepszy mój Ojcze!

Nie wiem, jak Ci podziękować, żeś ostatni list Stasi, który otrzymałem dziś, poświęcił Twoim podpisem. Zapewne Ci trudno w łóżku pisać, ale tym droższy mi jest Twój ojcowski wysiłek. W ciągu bieżącego tygodnia odprawiam ciągle Msze święte w intencji Rodziny; okazało się dziś, jak bardzo to było potrzebne. Nie umiem Cię przeprosić za to, że nie ma mnie przy Tobie w chwili Twego cierpienia i słabości. Przecież do mnie to należy przed wszystkimi, okazać Ci jak najwięcej serca, byś nie czuł się opuszczony. Ale skoro Bóg tak chciał, wypełniam to, co mogę uczynić, i podwajam swoje modlitwy o powrót Twój do zdrowia i sił. Modlę się do mej Matki, która na pewno już jest w niebie, aby mi wyjednała u Matki Boga łaskę ujrzenia Ciebie. Jeżeli Ojciec Niebieski chce mieć zawsze Syna swego przy sobie, to chyba będzie wyrozumiały i dla naszych rodzinnych uczuć, które sam uświecił. Pragnę jak najgoręcej spełnić Twoje, Drogi Ojcze, życzenie i dlatego wystosowałem pismo do Rady Ministrów, by mi pozwolono ucałować Twoje ojcowskie ręce. Zanim się to stanie, już teraz pragnieniem

i sercem to czynię. Proszę przy tym, byś zachował całkowity chrześcijański spokój i ufność, które tak bardzo pomagają do pokonania skutków tego rodzaju choroby. Wiedz, Drogi Ojczy, że jestem przy Tobie każdą modlitwą, że proszę Ojca Niebieskiego o wszystkie łaski które są potrzebne w chorobie. Jesteś w najlepszych dłoniach Ojca Światłości przez całe Twoje życie. Bóg Ci pozwolił spędzić życie na służbie swojej, nie rozstawałeś się niemal ze świątynią, służyłeś jej całą gorącą duszą, nie dla chleba. Cóż może niepokoić nas, którzy zaufaliśmy do końca Najwierniejszemu Bogu? - Nie przestanę się modlić do Jasnogórskiej Lekarki, by Ci, Ojczy, towarzyszyła w cierpieniu i przyniosła ulgę i zdrowie, a nas wszystkich pocieszyła. Chylę się ze czcią do Twoich drogich dłoni, które cauję z oddaniem, prosząc o Twoje ojcowskie modlitwy i błogosławieństwo. Z pełni mego kapłaństwa udzielam Ci, Najlepszy Ojczy, błogosławieństwa biskupiego i prymasowskiego.

17. II. 1955 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

Najdroższa moja Siostrzo!

To, czego tak bardzo się lękałem, przyszło. Przewidywałem, że niezwykle wrażliwe serce naszego Ojca długo nie poradzi sobie z cierpieniami, które w tak późnym wieku nań spadły. Prawdziwa łaska Boża, że stało się to w mieście, gdzie o pomoc było łatwiej niż u Was. Wiem, że Ojciec był zawsze przygotowany na spotkanie się z Bogiem, ale za dowód miłości Bożej musimy poczytać wszyscy, że wypadek nie był śmiertelny. Jestem Ci tak bardzo wdzięczny, Droga Stachno, że zachowałeś Twoją przytomność umysłu i nadal czuwasz nad Ojcem, chociaż sama - jak widzę z tego, o zdrowiu. Józia - nie jesteś wolna od udęk. Chciałbym też bardzo podziękować Siostrze Przełożonej, że swoją dobroć i swoje doświadczenie lecznicze chciała poświęcić Ojcu. - Piszę kilka słów do Ojca, nie za wiele, by Go nie męczyć. Ale Tobie chciałbym napisać coś więcej. Idzie mi o to, by Ojciec był usposobiony jak najlepiej wobec wszystkich przeciwności, które go dręczą, i by do końca zachował w sercu miłość do wszystkich ludzi. Najważniejszą zdobyczą, którą wynosimy z tego świata, jest jednak miłość; wszystko inne, choćby największe zasługi, pozostawiamy na progu nowego życia. Tyle jest radości w niebie i chwały, ile było miłości na ziemi. Szkoda dla chwilowych przeciwności pomniejszać w sobie ten Boży zadatek szczęścia. Pragnę też, by Ojciec żył w tym przekonaniu, że tylko jeden Bóg ma rację, zawsze i we wszystkim, a człowiek na tyle, na ile jest bliski Boga. To jest źródło niewyczerpane naszej ufności i spokoju. Bądź dlań dobrym duchem. Ojciec nasz był zawsze tak rodzinny i teraz może odczuwać swoje osamotnienie więcej niż kiedykolwiek.

140

List mój z 2. II. br. dał Ci odpowiedź na pytania, które mi stawiasz, co do mego zdrowia. Utrzymuje się ono w równowadze, z małymi odchyleniami. Wdzięczny Ci jestem za wiadomości rodzinne. Zdaje się, że Józio wymaga jeszcze większej Twojej energii. W tych dniach odprawiłem Mszę świętą o jego zdrowie. Pamiętam o Was wszystkich. Dziś molestowałem Matkę Najświętszą o Julcię, we Mszy świętej w jej intencji i dostałem jej autograf, z którego bardzo się cieszę.

Wdzięczny Ci jestem za książki o ptakach; ułatwią mi one współżycie ze skrzydlatą czeredą, która nawiedza chętnie moje okno. Dostałem dziś też 7 książek włoskich, które mi bardzo przydadzą się do lektury. Za nowe dary spożywcze bardzo dziękuję. Nie odczuwam na razie żadnych nowych potrzeb.

Pozostaje mi tylko wielka troska o Ojca. Czyńcie wszystko, co w granicach ludzkich możliwości leży, aby utrzymać go przy życiu. Tak bym gorąco pragnął go widzieć. Bóg chce od nas wszystkich modlitwy i dlatego utrzymuje nas w takiej sytuacji, która pozostawia jako jedyną nadzieję - modlitwę.

Najmilej ucałuj ode mnie ręce Ojca. Siostrze podziękuj za jej dobroć, zwłaszcza Juli i Tadziovi dziękuję za listy. Wszystkich mi drogich Matce Najświętszej oddaję. Nie zapominam o Was co dzień we Mszy świętej o godzinie 7.30 rano. Braterskim uczuciem Was ogarniam, z serca wszystkim błogosławię.

17. II. 1955 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

Do Rady Ministrów PRL
w Warszawie

Dnia 17. II. br. otrzymałem wiadomość od Rodziny, że Ojciec mój, Stanisław Wyszyński, bardzo ciężko i niebezpiecznie zapadł na zdrowiu. Jest mi wiadomo z listów, że Ojciec mój zwracał się pięć razy do Prezydium Rządu z prośbą o zezwolenie na widzenie się ze mną i dotąd nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W czasie swej choroby Ojciec mój wyraził gorące pragnienie zobaczenia mnie. Ponieważ Ojciec mój jest w podeszłym wieku, a choroba jego - częściowy paraliż na tle wylewu na mózg - jest wysoce niebezpieczna dla jego życia, muszę liczyć się poważnie w sumieniu z życzeniem swego Ojca. Nie chciałbym, by nieobecność moja zaciążyła na dalszym rozwoju choroby i przyspieszyła kres życia mego Ojca. - I dlatego proszę Radę Ministrów o umożliwienie mi widzenia mego Ojca, gdyż chciałbym uczynić zadość jego prośbie, potrzebie mego serca oraz obowiązkom, jakie ma syn wobec Ojca.

18. II. 1955 r.

+ Stefan Kardynał Wyszyński

141

18. II. 1955, piątek.

Czemu raczej wracasz myślą do ludzi, którzy cię zdręczają, a nie do Mnie, która jestem twoją Matką Niepokalaną, Ucieczką, Poczycielką i Obroną? - A nie do Syna mego Jedyne, który cię odkupi! Krwią, wziętą z mego Serca? A nie do Ojca Miłosierdzia, który tak cię umiłował, że Syna mego dał za ciebie? - Czyż mękę twoją ukoi rozmyślanie o nieprawości nieprzyjaciół? - Czyż lekarstwem jedynym nie jest miłość, przyniesiona na ziemię przez mego Syna, a pośredniczona przez moją służbę tobie? - Odwróć się od myśli twoich, a nawróć się do myśli moich. Zrzuć troskę twoją na moje dłonie. Udźwigałam w nich Mękę Zbawiciela świata, udźwigam i twoją. Szkoda poświęcać myśli nieprawym. Oddaj je tym, co gotowi są cię zrozumieć, wysłuchać i pocieszyć. Nie odwracaj porządku świata.- Bóg jest Zbawicielem twoim, a nie ludzie. Wszak jesteś po to* byś ty mówił ludziom o Zbawicielu, a nie po to, byś oglądał się na ich pomoc. To do ciebie należy prowadzić ich do Jedyne Zbawcy. Jakże możesz w tych złudnych cieniach upatrywać zbawienia i mieć nadzieję w bezsilu? Gdy ciężko ci znosić nienawiść ludzi, pomyśl, że nie wszyscy cię nienawidzą. A gdyby wszyscy nawet uważali się za twoich wrogów, to na pewno Ja zawsze jestem dla ciebie Matką Piękną Miłości, to na pewno Syn mój miłuje cię do końca, to na pewno Ojciec jest zawsze miłością.

24. II. 1955, czwartek.

Przypomniałem panu komendantowi moją prośbę do Rady Ministrów w sprawie widzenia chorego Ojca. Tydzień upływa, kiedyż dostanę odpowiedź? - Pan komendant odpowiedział, że nie wie; taka sprawa nie da się od razu załatwić. Na to trzeba kilka dni. - „Śmierć nie czeka - odpowiadam. - Dostanę odpowiedź po wszystkim. Przecież to taka ludzka sprawa”. - „Przypuszczam, że w tej sprawie dostanie ksiądz odpowiedź, bo to jest taka sprawa, że będzie odpowiedź” - dodał komendant. - „Ale kiedy?” - nastaje. - „Nie wiem, myślę, że niedługo. Jeszcze zawiadomię o trosce księdza”.

25. II. 1955, piątek.

Komendant przyniósł mi oświadczenie następujące: Jestem upoważniony przez moje władze do oświadczenia, że Ojciec księdza czuje się lepiej i że już wychodzi.

Prymas: - Czy to oświadczenie jest wszystkim? Dziękuję za

wiadomość, która mnie w części uspokaja. Ale nie uspokaja ona człowieka chorego, który ma poczucie, że jego prośba nie została spełniona. Pisał przecież 5 razy do Rady Ministrów i nie dostał żadnej odpowiedzi. Gdyby szło o człowieka zdrowego, mógłby to sobie wytłumaczyć. Ale tego rodzaju choroba może w swym rozwoju być uzależniona od warunków zewnętrznych. Dotąd nie mogłem spełnić prośby Ojca i to nadal jest między nami. Uważam sobie za obowiązek zwrócić uwagę Pana na to, że w rodzinie naszej już był taki wypadek: brat mój siedział w więzieniu dwa i pół roku, jak się później okazało, niesłusznie, gdyż go zwolniono bez podania przyczyn. Ale to zabiło jego matkę, która się zagryzła na śmierć męką; brat nie był na pogrzebie. Ten fakt pozostał w rodzinie jako poczucie wyrządzonej nam krzywdy. Teraz są okoliczności podobne.

Komendant: - Nie jestem upoważniony do mówienia czegoś więcej, ale na razie oświadczam to, co mi władze poleciły donieść księdzu, by się ksiądz nie martwił.

Prymas: - Dziękuję, ale kto sprawi, by mój Ojciec się nie martwił? Przecież pisał 5 razy. Gdyby szło o państwo absolutne, o państwo satrapów - można by o tym nie mówić. Ale w państwie demokratycznym, którego Konstytucja w każdym artykule mówi o prawach obywateli, to wygląda niezrozumiale. Ja sam pisałem trzy razy i nie dostałem żadnej odpowiedzi, znowu wbrew Konstytucji, która piętnuje biurokrację (Art. 73).

Komendant: - Nie jestem upoważniony do dawania wyjaśnień w tej sprawie (nieco podniecony). Ksiądz jest zdenerwowany.

Prymas. - Nie jestem zdenerwowany, ale oświadczam Panu wyraźnie, że tego rodzaju postępowanie może doprowadzić do rozstroju psychicznego. Mam poczucie wielkiej krzywdy mi wyrządzonej: i mnie, i mojej rodzinie, i moim wiernym, którzy mają prawo do swego pastora. Zadaliście mi śmierć cywilną, przerwaliście mi pracę, niszczyście moje życie osobiste. To, że jestem spokojny, niczego nie dowodzi. Chodzę z poczuciem wyrządzonej mi ciężkiej krzywdy. W dodatku odmawiacie mi prawa bronięcia się, zbywając milczeniem wszystkie moje petycje.

Komendant: - Proszę bardzo przyjąć zapewnienie, że ksiądz odpowiedź dostanie. Proszę być dobrej myśli.

Prymas. - Dziękuję.

8. III. 1955, wtorek.

Jan Boży, dopiero gdy znalazł się w więzieniu dla wariatów, zrozumiał swoje posłannictwo życiowe. Oddał się całkowicie na służbę swoich współwięźniów. Wtedy dozorca więzienni zrozumiał, że Jan

nie jest wariatem. Ale Jan chciał już zostać „wariatem dla wariatów” na całe życie, aby móc im służyć. Gdy zwolniono go z więzienia, zajął się losem biedaków, których ciężką dolę poznał dopiero w więzieniu. Czy Panu Bogu nie wolno prowadzić sług swoich taką drogą, by im otworzyć oczy na potrzeby ludzkie?

///.///. 1955, piątek.

Widziałeś z Twego krzyża oraczy Winnicy, o których mówiłeś do rzesz żydowskich i do książąt kapłanów (Mt 21,33-46). Nie przynosili Ci tyle owocu, byś mógł Winnicę pozostawić w ich ręku. Widziałeś też Twój Kościół, któremu i kolei przekazałeś Winnicę swoją. Czy dość owocu zbierasz? W swej wielkiej pokorze modli się Kościół bez przerwy o to, „by sprawiedliwość nasza obfitowała więcej...” Modlitwa ta nie schodzi i z naszych ust. A łączy się z lękiem, by obecne życie nasze, na które patrzą ludzie, którzy Ciebie nie znają, nie zniszczyło resztki „Bożego” w ich sercach. Modlimy się za nich, byś wzbudził w tych myślach sumienie wrażliwe na Ciebie. Może to ostatnia sposobność! A może to śmiertelny kamień obrazy? Bo jeśli poznają moje słabości i wady, cóż pomyślą o Kościele Bożym, który tak niegodnych ma ludzi? Ludzie, którzy nie znają miłości, tak łatwo przecież gorszą się ze sług Miłości. Zbyt wiele cierpią z głodu, by nie widzieć w chlebie całego szczęścia. Oby nie myśleli, że słaby człowiek jest całym Chlebem Żywota. Oby chcieli wyrozumieć, że tylko Ty masz doskonałą miłość, żeś jest miłością. Oby przynajmniej chcieli jej dostrzec tyle, ile widzi dziecko w kwiecie: skoro jest kwiat, musi gdzieś być drzewo, co kwiaty wydaje. - Straszny lęk ogarnia duszę - o tę ostateczną łaskę miłości dla ludzi, którzy od 18 miesięcy patrzą na nas, zamknięci wspólnie z tak nieudolnym przedstawicielem ładu miłości. - Jak wielkie to szczęście, że cały Kościół modli się o to samo!

12. III. 1955, sobota.

Oremus pro Pontijlce Papa nostro Pio... Błagam Cię, Ojcze Życia, o długie lata dla Sługi Twego Piusa i o wielką świętość. Okaż, że Ty jesteś Panem Życia, tym wszystkim, którzy czyhają na życie Sługi Twego. Daj mu siły do pracy, by mógł pisać, by mógł przemawiać i wyznawać Ciebie przed ludźmi, by mógł błogosławić, pouczać, by mógł sprawować pontyfikalną służbę. O tę łaskę zebrze Ciebie Twój uległy więzień, który nie może do swych owiec przemawiać, nie może ich pouczać i błogosławić im. Któż lepiej rozumie łaskę wyznawania

Cię przed ludźmi, jak nie Twój więzień, który tej łaski nie ma, chociaż ma obowiązek? Wysłuchaj Twego więźnia, który jest Tobie uległy, gdy zebrze za Sługą Twoim Piusem. Daj mu wszystkie dary Ducha Świętego; daj mu wielką świętość, aby ten, który ogłosił światu chwałę Wniebowzięcia Matki Twego Syna, i sam doznał wielkiej chwały świętości.

13. III. 1955, niedziela.

Czytając Ewangelię... Zdumiewająca rzecz, ilu szatanów wyznało swą wiarę w Bóstwo Chrystusa (Łk 4,33-41). Chrystus kazał im milczeć, lecz oni nie mogli milczeć: musieli głośno „Świętego Bożego”. To siła wiary otwiera myśli i kształtuje je w potężny głos. To oczywistość, której nie tylko nie można zaprzeczyć, ale nie można jej w sobie utrzymać. Ilu ludziom oczywistość wiary tłoczy do ust wyznanie. Ale z człowiekiem bywa nieraz gorzej, niż z szatanem. Bo konwenans, pycha, przesąd - mogą zamknąć usta wyznaniu. Ilu szatanów, podniecając nienawiść w sercach ludzkich do Boga, nauczyło ludzi wierzyć w Boga! Ile krwawych prześladowań Kościoła otwierało oczy ludziom na potęgę Kościoła! Uznali to zwłaszcza pisarze, którzy całe życie strawili na pisaniu bluźnierstw. Gorzej było z szatanami w mundurach, bo tu spotyka się najwięcej ludzi głupich, a tych nawet szatan rozumu nie może nauczyć. Głupota jest najwierniejszym sprzymierzeńcem niewiary. Ale prawdziwy szatan, to mądry duch, który wie, że Jezus jest Chrystusem (Łk 4,41), Synem Bożym.

16. III. 1955, środa.

Kierownik wręczył mi list od Ojca, siostry i małego Stasia, oraz paczkę książek (6 tomów pism Norwida i *Dzieje duszy* świętej Teresy). Rzuciłem okiem na list i stwierdziłem, że list mój odczytano Ojcu, a nie doręczono; podobnie siostrze. Wobec powyższego zapytałem, na jakiej podstawie prawnej jest to uczynione. Konstytucja PRL w artykule 74 „ochronia tajemnicę korespondencji”. Listy, które wysyłam, są własnością Ojca i nie mogą być zatrzymane.

Ukochany Synu mój!

Ostatni list z 17. II. przeczytano mi 21. II. na Miodowej, gdzie jeszcze pozostawałem w łóżku.

Dziękuję Ci, mój Synu, za słowa serdecznej, synowskiej miłości i pociechy, dziękuję z wdzięcznością za modlitwy w mojej intencji. My

też modlimy się z ufnością do Pocieszycielki strapiionych, Najświętszej Maryi Jasnogórskiej. Już sześć tygodni siedzę w pokoju, lekarze zalecili mało ruchu i spokój, cztery tygodnie miałem osłabienie, jako że leżałem w łóżku, dziś czuję się znacznie lepiej, mam nadzieję, że jeszcze wrócę do Zalesia. Siostrze Maksencji jestem wdzięczny za trudy jej około mnie. Nie mogę jeszcze dobrze pisać, tak mi brak władzy w ręku, ale to wróci, bo było gorzej. Serdecznie dziękuję za pasterskie błogosławieństwo, życzę zdrowia i siły ducha oraz rychłego powrotu, którego czekamy wszyscy z tęsknotą. Załączam pozdrowienia i ucałowania od wszystkich najbliższych i załączam ojcowskie błogosławieństwo.

Warszawa, 8. III. 1955 r.

S. Wyszyński

Kochany Stryjaszku!

Chcę bardzo do Ciebie napisać, ale nie wiem, co i jak? O pomoc poprosiłem Mamusię i Tatusia i piszę.

Tak dawno, Stryjaszku, Cię nie widziałem, a tak bardzo chciałbym, byś już wrócił do nas. Co dzień rano i wieczorem modłę się do Mateńki Bożej o Twój powrót i zdrowie.

Chodzę już drugi rok do szkoły i uczę się dużo. Uczę się katechizmu, gdyż w maju mam przystąpić do pierwszej Komunii świętej. Może do tego czasu już wrócisz, to mi Jej udzielisz. Jestem ministrantem.

W domu pomagam Mamusi, chodzę po zakupy i bawię się z Anią. Kocham bardzo Anię, bo taka jest milutka. Znowu nam trochę chorowała, ale teraz jest zdrowa i wesoła.

Proszę, Kochany Stryjaszku, napisz do mnie długi list, to Ci na niego Odpiszę.

Przesyłam dużo pozdrowień i całuszków od siebie, Ani i Rodziców, przepraszam za błędy, proszę o pamięć i modlitwę. Będę się modlił gorąco o Twój powrót, a tego pana, co mi Twój list przywiezie, poproszę, by mi go zostawił.

Twój Staś

Mój adres:

Warszawa, ul. Grójecka 43 m.1 1

19. III. 1955, sobota.

Z Łukaszem w ręku... „Gdy wyprawiasz obiad albo wieszczę, nie zapraszaj przyjaciół twoich ani braci twoich, ani krewnych, ani sąsiadów bogatych... ale zwołaj ubogich, ułomnych, chromych

i ślepych: a będziesz błogosławiony...” (Łk 14,12-24). To jest Chrystusowy „Manifest” dla ustroju społecznego przyszłości, może niedalekiej. Dotychczas tylko z kart Ewangelii żywiono nędzarzy... Dotychczas tylko chrześcijanie wystawiali takie uczy... Wszyscy inni mieli zawsze nadzieję wzajemności: czapką, papką i solą... A jednak prawdziwą kulturę społeczną znać dopiero w tych słowach Chrystusowych. Wspaniały to obraz takiej uczy... Zda się trudny do pojęcia. Tak mało jeszcze jesteśmy chrześcijanami... Tak mało w nas zmysłu społecznego... Tak mało wiary w zdecydowany postęp... Tak mało śmiałości inicjatywy społecznej... Tak mało odwagi do pokazania, że tego Jednego” potrzeba... Bezinteresowność w służbie potrzebie ludzkiej! Nie pytam, kim jesteś: wiem, żeś ubogi i ułomny, i chromy, i ślepy - to jest twoja legitymacja społeczna. - „A będziesz błogosławiony, że nie mogą ci się odpłacić”... Wszystkie programy społeczne, najbardziej radykalne, są niemowlęcym szczebiotem w porównaniu z tą odwagą Słowa Przedwiecznego, Stwórcy nieba i ziemi... A więc jesteśmy dopiero na progu przemian duchowych świata... Przyjdzie Królestwo Twoje... Nie w koronie i z berłem... ale w służbie i miłości... Daleka droga?! Być może: ale nie wolno oglądać się wstecz... Dopiero wtedy świat będzie gotów na Sąd Boży, gdzie płacić będą za kęs chleba, za kubek wody, za okrycie - Królestwem Niebieskim. Jak małymi jesteśmy jeszcze dziećmi! Jak wspaniały jest program „ojca przyszłego wieku”!

22. III. 1955, wtorek.

Czytał nam dziś Kościół święty w lekcji wtorkowej po czwartej Niedzieli Wielkiego Postu, jak Mojżesz zdołał ubłagać gniew Twój, Ojczy, którym zapłonął przeciw Narodowi Wybranemu na puszcy (Wj 32,7-14). „Niech ucichnie gniew Twój, a bądź litościwy nad złością ludu Twego”. - Wielki był Mojżesz, Ojczy, ale czym był wobec Syna Twego? Zaledwie proroczym widzeniem. Przed Tobą dziś - Wcielona Rzeczywistość, wiecznie Żyjąca, by wstawiać się za nami. Błaga Syn Twój, pobudzony przez Matkę Królową, abyś się już ulitował. A my ufamy tej modlitwie, gdyż Syn Twój powiedział nam grzesznikom, by słońce nie zachodziło na zagniewanie nasze, byśmy przebaczeni naszym winowajcom nie siedem, ale siedemdziesiątkroć siedem razy. Jeśli biedni grzesznicy mają tak rychło przebaczać, to czyż nie rychlej możemy oczekiwać Twego przebaczenia? Wszak nauka Syna Twego nie jest Jego, ale Twoja, któryś Go posłał. Czekamy więc ufnie; choć już nie raz słońce zaszło na zagniewanie Twoje; choć już obfitymi potokami spłynęła krew synów ziemi naszej; choć już wygasły piece krematoriów; choć już spopielał żar rozpalonego tygla Stolicy

powstańczej; choć już omdlały tysiące skrwawionych dłoni, błagalnie ku niebu wyciągniętych! Wołamy nadal: *Miserere, Domine, populo tuo, et continuis tribulationibus laborantem, propitius respirare concede* (Wtorek po czwartej Niedzieli Wielkiego Postu). Tak straszny jest nasz udział we współcierpieniu Syna Twego: *et sustinui, qui simul mecum contristaretur...* Byliśmy z Tobą, współcierpiący, Chryste; okupiliśmy winy nasze tysiącami męczenników kapłańskich w obozach, setkami tysięcy więźniów, jękami torturowanych na śledztwach, łunami płonących wsi i miast, poniewierką i pogardą doznawaną... Czymże są Salomonowe hekatombysy wobec tego całopalenia Narodu?... *Veni, iam noli tardare...*

25. III. 1955, piątek.

Wysłałem listy do Ojca i siostry, treści następującej:

Najdroższy i Najlepszy mój Ojcze!

Jestem głęboko wdzięczny za ostatni list z 8.3.55, doręczony mi 16.3. t.r. Widzę w nim dowód, że zdrowie powoli się poprawia, skoro pozwala na taki wysiłek. Wnikliwie przyglądam się każdej literze pisma, by widzieć w nich Ciebie, Ojcze, jak w zwierciadle. Chociaż choroba zakłóca zwyczajne życie, trzeba jednak to spokojnie wytrzymać, jak kaprysy dziecka, bo wtedy prędzej przestanie płakać. Proszę więc, Ojcze, byś nie rwał się zbyt do ruchu, skoro lekarze zalecają spokój, ani też nie wyczerpywał się lekturą, korzystając z zebranego dotąd dorobku myślowego. Na szczęście lekarze nie zabronili Ci modlić się, więc jest pociecha dla serca i pokarm dla myśli. Wspieram Cię, Ojcze Drogi, swoją modlitwą w tym wysiłku - każdego dnia, gdy odprowadzam Mszę świętą i odmawiam brewiarz. Ponieważ modlisz się do Matki Jasnogórskiej, obydwaj spotykamy się modlitwą przed Jej ołtarzem. Przyniesie nam to najwięcej pociechy we wszystkich przeciwnościach; a jest najmądrzejszą sprawą, jakiej możemy się oddać. Pragnąłbym tak gorąco, Drogi Ojcze, byś zwłaszcza w dniach zbliżających się świąt Zmartwychwstania Chrystusa poddał się całkowicie tej radości, jaką budzi Żywy Bóg we wszystkich, których Krwią własną sobie pozyskał. Chrystus pragnie od nas tej radości, gdyż pracował nad tym, by nam jej udzielić. Chce widzieć naszą radość z Jego trudu. Najgoręcej Ci życzę, Drogi mój Ojcze, tej radości i będę się o nią dla Ciebie modlił. I Tobie, i dobrej Siostrze Przełożonej, i innym Siostronom, i moim najbliższym ślę słowa pokoju Bożego na Wielkanoc. Inne wiadomości podaję w liście do Stasi. - Błogosławię Ci, Drogi Ojcze, z całej duszy, jak również tym, którzy Cię otaczają swoją opieką i dobrocią. Matce Jasnogórskiej oddaję wszystkich.

25.111.55.

St. W.

Najlepsza moja Siostro!

Bardzo jestem Ci wdzięczny za list z 11.3.55. doręczony mi 16.3. t.r. Wiadomości o poprawie stanu zdrowia Ojca bardzo mnie pocieszyły. Widzę z listu, że i ręce ojca były obezwładnione, co zresztą widać po zmienionym charakterze pisma. Ruchliwe usposobienie Ojca będzie go teraz dręczyć, ale czuwajcie nad tym, by nie przemęczał się. Te samotne podróże Ojca, które mnie zawsze niepokoiły, będą musiały ustać, przy najpomyślniejszym stanie zdrowia. Chociaż powietrze Zalesia może być korzystne dla samopoczucia chorego, lepiej jednak zbyt nie spieszyć się z powrotem do domu. Idzie mi o doświadczoną opiekę Siostry Przełożonej. Starasz się wpłynąć, Stachno, na mój spokój o zdrowie Ojca; pracuję nad tym, by swoje niepokoje oddawać Bogu i dobrze mi to czyni.

Dziękuję za przysłane mi 6 tomów Norwida, którego jestem wielbicielem; niestety, najciekawszych dla mnie rzeczy w tych tomach nie ma. Otrzymałem też *Dzieje duszy* świętej Teresy. Natomiast książki Mertona *Posiew kontemplacji* dotąd nie otrzymałem, chociaż była wysłana, jak piszesz, w lipcu ub. roku. Na przyszłość podawajcie spis wysyłanych książek wprost w liście.

Ogromnie uradowałem się listem dzielnego Stasia; rad bym mu odpisać, ale uczynię to później. Podziękuj mu i powiedz, że wszystko, co o sobie napisał, raduje mnie bardzo. Były imienniny Zeni i Józia - modliłem się za nich przy ołtarzu. Zbliżają się teraz imienniny Naści, 0 której będę pamiętał we Mszy świętej. Pragnąłbym, byście wszyscy w Rodzinie mieli jak najpogodniejsze serca w dniu Zmartwychwstania, byście doznali radości z łaski Bożej i byście żyli ufnością ku Najlepszemu Ojcu, który z miłości dał światu Syna swego, aby nas napełnił pokojem i miłością. Całej Rodzinie, przez Twoją dobroć, ślę moje braterskie oddanie i najmiłszą pamięć. Nie przestaję modlić się za Was. Bądźcie wszyscy spokojni o mnie. - tylko się módlcie cierpliwie i pogodnie, a będzie to dla mnie najważniejsza pomoc.

Jeszcze, na zakończenie, słowo odpowiedzi o ptakach, które przychodzą się pożywiać do mojego okna. Jest to „pan dzięcioł”, który budził we mnie nieufność, gdyż jest zbyt strojny; ale jest przy tym bardzo dobrze wychowany; choć największy, zawsze spokojnie czeka na jabłoni, aż „stołówka” będzie wolna. Przychodzą żarłoczne kowaliki, objadające się białym serem z entuzjazmem „przedowników spożycia”. Są sikorki, mięsożerne bogatki i najmiłsze modraki, skromniusia i ufne, zjadaczki chleba. Wróble nie chcą objadać mej stołówki, chociaż zaglądną przez szybę, co robię. Czynie mnóstwo sprostowań, które dla ornitologów są bez wartości, ale mnie dostarczają wiele radości. Najciekawsze były jednak szpaki, których teraz nie ma; o nich muszę Ci kiedyś zrobić cały wykład.

Dziękuję Ci, Stachno, za troskliwe serce, które mi okazujesz w każdym liście. Tak bym pragnął, byście byli spokojni o mnie, jak

o to prosiłem w pierwszym liście moim. Bóg nad nami, a gdy doświadczają - i w nas, bo nagradza zawsze każde cierpienie wzrostem miłości. Błogosławię całą Rodzinę i Matce Jasnogórskiej Was oddaję.

25. III. 55.

St. W.

25. III. 1955, piątek.

Upływa dziś półtora roku od mej „cywilnej śmierci” w tym zamaskowanym obozie koncentracyjnym, odgradzonym wstydliwie od świata festonami drutów, kabli, zasieków kolczastych, murów, posturków itd. Nie mam przy sobie nic, co nie nosiłoby na sobie śladów cenzury nad moim mózgiem, czynami, życiem... Jest to niezwykle ciężka świadomość dla człowieka stworzonego do wolności... Ale każde cierpienie ma swój głęboki sens, który powoli odślania się, jak upływają dni i przepływają bóle. To jest sens Boży, nie ludzki...

Cierpienie kapłana ma zawsze Boży sens, gdyż jest on „postawiony na znak”... Jeśli więc to jest Tobie, Chryste, i Twemu Kościołowi potrzebne - nie odmawiam Ci niczego, choć wiem, jak trudno jest dać z siebie nawet niewiele. Piszę to z lękiem, czy podołałbym, gdybyś chciał korzystać z mego przyzwolenia. Ale nie mogę odmówić Ci, gdyż Bogu Ojcu, Miłości, Zbawcy, Kościołowi, Ojcu świętemu, Duszą odkupioną, Owczarni mojej - niczego odmówić nie mogę. Może liche życie moje potrzebne jest właśnie dlatego, bym stał się argumentem Prawdy! Może to będzie najlepszy czyn całego życia?! Gdybyś miał być przez nie wsławiony, nie mogę ci odmówić całkowitego prawa do mnie i do wszystkiego, co „moje”. - *Benedic anima mea Domino, et omnia, quae intra me sunt Nomini Sancto eius - Soli Deo!* Za Maryją, Służebnicą Pańską.

29. III. 1955, wtorek.

Święty Jan Chryzostom pisze ze swego wygnania do biskupów, kapłanów i wiernych słowa następujące: „W więzieniu się znajdujecie i łańcuchem związani jesteście. Cóż nad to lepszego mieć możecie? Bo cóż takiego ma złota korona na głowie, co ma łańcuch rękę skuwający dla Boga? Cóż może mieć majątek, co ma więzienie, pełne ciemności, brudu, cierpienia? Cieszcie się tedy i wdziękajcie wieniec, bo cierpienia zgotują wam wielkie szczęście. One są ziarnem, zapowiadającym obfity plon, walka, która przyniesie zwycięstwo i palmy” (List 118).

31. III. 1955, czwartek.

Wrócił ksiądz Stanisław Skorodecki z obserwacji klinicznej we Wrocławiu, gdzie był izolowany przez dwa tygodnie, zamknięty wraz z jednym z młodszych dozorców na oddziale. Ksiądz czuje się dobrze, chociaż zamknięcie izolacyjne bardzo go wymęczyło. Zateęsknił „do domu” i do Mszy świętej, której przez cały ten czas nie odprawiał. Izolacja księdza była tak całkowita, że nie mógł nic widzieć ani nic słyszeć, poza tym, co dozorca, zresztą bardzo uprzejmy, mu powiedział. A mówić miał skłonność; tylko ksiądz, nauczony doświadczeniem, nie miał skłonności być wzajemnym. W każdym razie, półsłowa pozwoliły nam wyczuć jakąś zmianę w atmosferze, która nieco wyjaśniała wzrastającą uprzejmość naszego otoczenia. W więzieniu wszystko jest ważne. A „protokół dyplomatyczny” naszych dozorców przywiązuje wagę do najdrobniejszej rzeczy, z pedanterią godną dworaków Ludwika XIV.

Dotychczas nie otrzymałem odpowiedzi na prośbę o widzenie się z Ojcem. Dzieje się to, pomimo zapewnienia komendanta i kierownika, że w tej sprawie odpowiedź otrzymam. Do serii kłamstw, którymi mnie częstowano od początku, przybyło jeszcze jedno, i to w tak delikatnej sytuacji.

Postanowiłem, wobec takiego obrotu rzeczy, nie podejmować więcej żadnych spraw, nie zgłaszać żadnych postulatów, ani też nie wysuwać prośb.

3. IV. 1955, niedziela.

Niedziela Palmowa - *Gloria, laus et honor Tibisit, Rex Christe...* Serce i myśl wyrwywają się do Archikatedry Świętego Jana, by stanąć na progu i doznać radości wspólnej modlitwy. - Trzeba jednak powstrzymać serce i myśl. Niech będą tu, gdzie Bóg pozwala więzić ciało. Nie chcę, Ojczy, nawet przez to dążenie najlepszych uczuć, być przeciwny woli Twojej. Pozwoliłeś zamknąć mnie wśród tych drutów, pozwoliłeś, by moja Katedra pozostała i dziś bez mojej służby. - *Fiat voluntas Tua.* Serce, wróć i nie przekraczaj granic murów, pozostań wierne Bogu, jak ciało jest uległe i spogląda tylko ku niebu, gdyż ono nie jest odrutowane.

4. IV. 1955, poniedziałek.

„I napełnił się dom wonnością olejku”. - Czyn Marii w Betanii, przypominany przez Kościół w Wielki Poniedziałek, jest głęboki

w swej perspektywie dziejowej. Maria z wdzięczności za życie brata, namaściła nogi Chrystusa i otarła je własnymi włosami. Wonność spłynęła nie tyle z alabastrowej urny, ile z duszy. Dom Betański - to obraz Kościoła. A wonność - to chwała Pańska, która wypełnia cały Dom Boży, cały Kościół. Woń serc wdzięcznych, oddanych Bogu, jest największą radością Boga. Broni Chrystus Marii przed Judaszem, tak jak Kościół bronić będzie sługi swoje przed gorszącymi się z życia oddanego Bogu. Oddać Mu wszystko, nie tylko wonność życia, ale całą urodę życia, pochylić się do stóp Mistrza, niczego Mu nie żałować - to wonność napełniająca dom cały. To owoc wiekowej pracy Kościoła. Ta wonność do dziś dnia zadziwia wszystkich, którzy spokojnie patrzą na Kościół. Największą Jego chwałą jest to, że budzi dusze, rozsiewając wokół siebie wonność świętości i chwały Bożej. Świat płaci swoją powinność Bogu. Otwórzmy Martyrologium, Mszał, Brewiarz, Historię Kościoła, roczniki hagiografii, pisma ascetyczne i mistyczne - odczujemy tę wonność. Czy można wobec niej pytać: Na cóż ta strata?

7. IV. 1955, czwartek.

Wielki Czwartek - dzień Ostatniej Wieczerzy, dzień ustanowienia Eucharystii, pierwszej Mszy świętej, pierwszej Komunii świętej i pierwszych święceń kapłańskich - najbardziej kapłański dzień, całą duszę kapłańską bierze w swoje ramiona i upomina się o czyny, do których jestem powołany. Chrystus chciał być dziś z uczniami swoimi: pożądaniem wielkim pożądał tej Paschy. Z tego pożądania Chrystusowego tak wiele pozostało w każdej duszy, która swoje kapłaństwo bierze z Chrystusa. Jak wielką męką dla biskupa jest być z dala od swoich kapłanów, od swej katedry i diecezji. Żaden z tych dni niewoli nie udreży tak, jak ten dzień. Jak wielkiego wysiłku pokory i uległości potrzeba, by przeżyć ten dzień w duchu, jakiego Ojciec ode mnie ma prawo oczekiwać. Jak bardzo niegodny się czuję tej łaski ołtarza, do którego tak śmiało przystępowałem... Dziś to czuję.

Mój „Wielki Czwartek”. - „Jakże ksiądz się czuje dzisiaj - dobrze czy źle? Tak się ksiądz wziął do roboty w ogrodzie?” - pyta komendant obozu. - „Nie pozwalacie mi ani spowiadać, ani nauczać, więc robię, co mogę!” - „To dobrze, będzie się ksiądz lepiej czuł”. „Każdy się czuje najlepiej w tym, do czego jest powołany” - odpowiadam. „To prawda” - przyświadcza uśmiechnięty wizytator.

Mandatum novum do... - Najdroższy Nauczycielu i Wodzu, gdy nie mogę spełnić powinności mojej, gdy nie mogę Cię naśladować, by na kłęczkach omywać nogi tych dzieci moich, które mi dałeś, przyjm moje najgorętsze pragnienia ucałowania nóg wszystkich, których powierzyłeś mej biskupiej pieczy... *Całuję* ze czcią te nogi braci, dla

których Ojciec ciało Ci przysposobił. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których powiedziałeś Ojcu: „Oto idę, abym czynił, Boże, wolę Twoją”. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których nie wzgardziłeś łonem Dziewicy. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których sam pragnałeś ludzkimi posługiwać się nogami. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których sam przebiegałeś Ziemię Świętą. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których nie cofnąłeś się przed męką biczowania. - *Całuję* ze czcią te nogi, przed którymi sam uklęknąłeś w Wieczerniku. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których pozwoliłeś przybić do krzyża Twoje święte Nogi. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których wysłałeś na cały świat *speciosi pedes evangelizantium pacem...* - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których zbawienia ustanowiłeś Głową Widzialną i pozwalasz nam, biskupom, w jego osobie ucałować Twoje święte Nogi. - *Całuję* ze czcią te nogi, dla których ustanowiłeś mnie Pasterzem owiec i kazałeś im służyć w miłości. - *Całuję* ze czcią nogi wszystkich owiec moich; wszystkich, którzy Cię kochają i którzy Cię nienawidzą, wszystkich, którzy są w łasce i którzy są w grzechu, wszystkich, którzy chodzą Twoimi drogami i którzy zbaczają na złe drogi; wszystkich, którzy z nienawiści ku Tobie stali się moimi nieprzyjaciółmi; wszystkich, którym każesz okazać miłość, by ratować ich dusze... Wszystkich - bez wyjątku. Pozwól mi przejść na kolanach przez Krakowskie Przedmieście, a uczynię to bez zwłoki.

8. IV. 1955, piątek.

Wielki Piątek. - „W boleściach rodzić będziesz”... Ominęły Cię, Matko, bóle, gdyś rodziła Najczystsze Syna swego Pierworodnego w Betlejem. Ale jak bardzo rozmnożyły się, gdyś na Kalwarii zostawała Matką całego grzesznego, choć odkupionego, rodzaju ludzkiego. Zrodziłaś nas w boleściach - patrz na nas z tą miłością, jaką matka każda żywi do owocu męki swojej. Matko Bolesna - jakże jesteś dla nas Matką Radosną.

Miałbyś pełne prawo, Nauczycielu i Wodzu, użyć przeciwko mnie wszystkich ludzi, najgorszych nawet, by stało się zadość chwale Ojca. Wszak Ojciec - Miłość użył przeciwko Tobie Judasza, Annasza i Kajfasza, Piłata, Heroda, kohorty żołnierzy, sług i służebnic, motłochu ulicznego, fałszywych świadków - by się wypełniły Pisma. A Tyś to przyjął z uległością, z zaufaniem. Za wszystko zapłaciłeś milczącą miłością. Ty „Święty, Niewinny, Niezmaryniony, oddzielony od grzeszników”. - Cóż miałbym do powiedzenia w mojej sprawie? Gdybyś mnie wydał policzkującym mnie, płwającym i bijącym, kopiącym i oczerniającym - musiałbym uznać, że masz do tego prawo. Czyż mógłbym bronić się przeciwko Tobie? Musiałbym uznać we wszyst-

kim znaki Twojej woli. A w nich - powolne narzędzie, które mam uczeć, jak całuje się krzyż Twój i gwoździe.

Proprio Filio suo non pepercit. - Gdy Abrahamowi przebaczył, licząc się z uczuciem wiernego serca „Ojca wiary”, własnemu Synowi nie przebaczył, gdyż z uczuciem własnego Serca nie liczył się. Bóg ma prawo zażądać od Najwyższego Kapłana całkowitej ze siebie ofiary za lud, nawet ofiary z życia. Stało się to na Kalwarii, podczas pierwszej Ofiary Nowego Zakonu. Dziś Chrystus przyzywał na pomoc sobie sługi Ołtarza, których wyposażył we władzę ofiarowania. Ukazując nas Ojcu mówi: *sacerdos alter Christus*. Czego zażądał Bóg od Najwyższego Kapłana, ma prawo oczekiwać i od Jego ministrów. Własnemu Synowi nie przebaczył i nam ma prawo nie przebaczyć, żądać ofiary z życia, gdy tego potrzeba dla dobra ludzi. Wypadnie nam przyjąć na siebie winy powierzonego nam ludu, wypadnie go osłonić, wypadnie ofiarować za lud wszystko - nawet własne życie. Takie jest prawo dziedziczenia kapłaństwa z Chrystusa, któremu Bóg nie przebaczył. Nie możemy wymagać dla siebie więcej względów ód Ojca, niż miał ich dla własnego Syna.

9. IV. 1955, sobota.

W Wielkim Tygodniu ukończyliśmy trzydniowe rekolekcje, które pozwoliły nam spędzić cały czas w kaplicy naszego więzienia. Musiałem przemawiać jednocześnie do siebie, do siostry i do księdza. Auditorium „dobre”, lecz bardzo zróżnicowane. Trzeba tak ustawić tematy, by uniknąć wrażenia mówienia *ad personam*, chociaż rekolekcje pozbawione osobistego kontaktu nie mają większego znaczenia. Moi słuchacze byli bardzo cierpliwi i wyrozumiali. Wielkie dni Tygodnia spędziliśmy w kaplicy, starając się o to, by możliwie zbliżyć się do przeżyć Kościoła świętego. W Wielki Czwartek była uroczysta Msza święta z Komunią świętą „Ludu”; każdego dnia śpiewamy Ciemną Jutrznię. W Wielki Piątek, prócz Ciemnej Jutrzni, odprawiliśmy „naszą” Drogę Krzyżową, która była daleka od wszelkich bólów i narzekań, natomiast pełna była wspólnoty z Chrystusem w Jego drodze. To była droga Chrystusa, a nie nasza. W Wielką Sobotę pozwoliłem sobie na Mszę świętą w nadziei, że Kościół by na to pozwolił, w tak wyjątkowych warunkach, w jakich się znajdujemy.

Mieliśmy poważne trudności z ubraniem naszej kaplicy na Święta. Znaleźliśmy w ogrodzie jakieś „górskie” kwiateczki, które zaledwie zdołały się wychylić z ziemi. Przesadzone do małych doniczek, uczyniły wszystko, aby dekorować pusty ołtarz.

O godzinie 12.00 pan kierownik przyniósł mi listy i przesyłki świąteczne. Wobec czego odbyliśmy wielkie posiedzenie „komisji

trzech”, która przejmowała dary. Ilość otrzymanych listów jest też przejawem jakiejś rozluźniającej się powoli sieci izolacyjnej. Tym razem mam w ręku listy: od Ojca i siostry Stanisławy, od brata i siostry Janki. Jest to lektura bardzo wyjątkowo obfita.

10. IV. 1955, niedziela.

Valde mane odprawiliśmy rezurekcyjną w naszej kapliczce: bez procesji, natomiast z Jutrznią śpiewaną i *Te Deum*. I te święta spędziliśmy wspólnie: i w kaplicy, i przy stole, i w czasie popołudniowych „posiedzeń”. Było wiele śpiewu i radości na piętrze, głęboka cisza i powaga na parterze i na drugim piętrze. Ludzie, których pozbawiono radości religijnych, siedzą jak ptaki z podwiązanyimi skrzydłami. Żal nam tych ludzi. Zaryzykowałem powiedzieć dziś zastępcy, który mnie odwiedził: „Życzę Panu wiele pogody i radości”. - Odpowiedział szeptem: „Dziękuję”. Na dole, schodząc na ogród, powiedziałem „starszemu panu”: „Daj Boże, zdrowie”. - Usłyszałem też odpowiedź: „Dziękuję”. Zatrzymaliśmy się nieco przy stoliku dyżurnego. Zachęcałiśmy go, aby bronił się przed smutkiem, bo nie wypada zwycięzcom, aby mieli takie miny pogrzebowe. Zresztą, na świecie wszystko zmartwychwstaje. Trzeba zachować wolę życia. Uśmiechnął się z aptekarską ostrożnością.

Moi towarzysze doli są pełni pogody i wesela. Słyszę ich śpiewne głosy. Siostra kręci się po korytarzu i nuci sobie, *O Filii et jilias, Rex ccelestis, Rex glorige, ex morte resurrexit hodie, Alleluja*. - A ksiądz zadowolony, że już jest „w domu”, a nie w klinice, podejmuje coraz to nową pieśń Zmartwychwstania. Gdy Chrystus zmartwychwstał, objawił tyle możliwości przed ludźmi, że już jest nam wszystko jedno, w jakiej obecnie jesteśmy sytuacji. Wiemy, że są przed nami wszystkie możliwości. A kto „wszystko może w Tym, który umacnia”, nie pamięta o tym, co jest dziś.

11. IV. 1955, poniedziałek.

Surrexit Dominus vere et apparuit Simoni. Alleluja. To prawdziwa radość Piotra, gdyż było to dowodem przebaczenia. Wystarczyło, że Chrystus spojrział na Piotra; była to absolucja, udzielona Głowie wi- działnej Kościoła przez Chrystusa. Jest to i nasza radość, bo wiąże się z nadzieją. Chrystus przebaczył Piotrowi; wzrasta nadzieja, że i nam przebaczy. Ten, który kazał modlić się za nieprzyjaciół i sam to czyni wie, że nie jesteśmy Jego nieprzyjaciółmi. Tym więcej liczyć możemy na miłosierne spojrzenie Chrystusowe.

Alleluja, gauisi sunt discipuli, viso Domino. Radość to znamienna pieśń czasu Zmartwychwstania. Bo już „wykonało się”. Bo wyrok który wisiał nad ludźmi, został zniszczony. Bo Chrystus na śmierć skazany, już więcej nie umiera. Bo to, co od założenia świata groziło Synowi Bożemu, już Mu więcej nie grozi. Bo gniew Ojca nad Synem ustał. Bo straszne wizje męki, które Syn miał przed oczyma, od czasu rajskiej zapowiedzi, już się rozwiały. Bo ciosy i policzki więcej nie spadną na Boga Człowieka. Bo to okropieństwo całe już minęło... Alleluja, Alleluja!

12. IV. 1955, wtorek.

Ucieczko grzesznych - powiedz dziś Barankowi i Jego Ojcu, że sprawiedliwe są wyroki Boże. Jeszcze tak niedawno mogłem się dziwić, dlaczego tak dotkliwie doświadczają mnie. A dziś już nie dziwię się: łaska Boża objawiła mi, jak bardzo szkodziłem Kościołowi i jego członkom. Jedna tylko z tych win daje prawo Sędziemu sprawiedliwemu odsunąć mnie na wieki od łaski. A jeśli Bóg tego nie czyni, to w tym widzę miarę Jego miłosierdzia. Jak dalekie są wszystkie cierpienia ziemi od kary wiecznej, tak wielkie jest miłosierdzie Boże nade mną. I dlatego - powiedz, Matko, że wielbię sprawiedliwość Bożą nad sobą. Uznaję pełne prawo Boga do kary nade mną. - Proszę też o jedno: brońmy wspólnie syna Twego i Ojca Najlepszego przed ludźmi, by nie dopuszczali w sobie żadnej myśli przeciwko Bożej sprawiedliwości, ilekroć myślą o mnie lub modlą się za mnie. Ty możesz to uczynić, by - przez wewnętrzne natchnienia - przekonać moich najbliższych, że Bóg sprawiedliwie umie karać. Daj im, Matko, doskonałe widzenie wszystkich win moich. Niech poznają nędzę moją tak, by też chwalili, wraz ze mną, sprawiedliwość Bożą. Nie broń mnie przed sądami ludzkimi, ale broń Boga, moim kosztem. Raczej niech ja będę osądzony najsurowiej przez ludzi, aniżeli miałaby się zrodzić choćby najmniejsza myśl przeciwko sprawiedliwości Ojca i Syna. Ty możesz to uczynić... Nie będę się modlił: *Ne respicias peccata mea*. Ale będę się modlił: Patrz na grzechy moje, abys, Ojczy, utrwał się w przekonaniu, jak sprawiedliwe są kary, którymi mnie dotykasz.

18. IV 1955, poniedziałek.

Nie wiem dlaczego, ale muszę to zapisać, choć tak bardzo się lękam. Ty mi nakazujesz, sam nie jestem zdolny. Nakazujesz mi chcieć i nakazujesz mi napisać, choć opieram się i jednemu, i drugiemu

Twemu chceniu. A więc, prawdziwie: jeśli Ci, Ojczy, jest potrzeba coś więcej, niż dotychczas się dzieje ze mną, to czyn. Jeśli Ci jest potrzebne moje więzienie, piwnica dla mnie, udręki śledcze, procesy, widowisko z Twego sługi, oszczerstwa i pośmiewisko, wzgarda pospólstwa i wszystko, czego tylko zapragniesz... Owom ja! - Napisałem i... spadł mi ciężar z serca.

19. IV. 1955, wtorek.

Nihil projicimus - dzień cały zamieć śnieżna, jedna fala za drugą, przegrodzona pasmem słońca. I znów - ciemności ogarniają ziemię. A gdy nowe płaty spadają na zieloną murawę, zdają się mówić, miotane siłą wiatrów: nic nie działaliśmy. Kwietniowa ziemia ogrzała zimne płaty i wyciężyła je. O, bo daremnie śnieg pada w kwietniu, gdy czas zimnie minął, a wszystko stęsknione do ciepła, do światła, do zieleni, do kwiecica. Nie poradzą najgwałtowniejsze huragany. Jest czas zimy i jest czas wiosny... Nic już nie poradzicie zimne kwiaty, gdy ziemia spragniona ciepłych! Na nic się zda wasz gniewny trud, wasza zawziętość i złośliwość. O, gdybyście wiedziały, jak ziemia pragnie słońca, ciepła, miłości i pokoju... Już nic nie zdoła zawrócić czasów, cofnąć wieków, wyzwolić z objęć dobra, z nałogów serca... Przez dwa tysiące lat „Słońce sprawiedliwości” całowało ziemię pieścizotą ust miłosnych. Rozmiłowaliśmy się w tej pieścizocie: wargi nasze, oczy nasze, myśli nasze, słowa nasze, czyny nasze rodzą z miłości. Cały świat ogląda się za dobrym sercem, za dobrym spojrzeniem, za dobrym słowem... To już weszło w krew świata... Nie pora więc na burze śniegowe dziś... Ogrzejcie świat promieniem serca, choćby kwietniowego. Może on słaby: ale po kwietniu maj przychodzi, a nie marzec. Wzmocni się słońce, okrzepnie miłość... Naprzód, ku słońcu, ku ciepłu, ku dobroci! dość już zimnie, dość twardych słów, dość wichrów mroźnych! Otwieramy drzwi Ojczyzny - ciepłu i kwiatom... „Boć już zima minęła, deszcz przeszedł i ustał. Ukazały się kwiaty na ziemi naszej...” (Pnp 2,11-12). Nie cofać się! - Ku światłu! Nie zawróćcie biegu tęsknot ludzkich... *Nihil projicimus* - i skonała biel mroźna w objęciach szmaragdowej oziminy...

25. IV. 1955, poniedziałek.

Odpisałem dziś na listy świąteczne z dnia 9. IV. 55. na razie Ojcu i siostrze Stanisławie. Muszę pozostawić bez odpowiedzi list małego Stasia, siostry Anastazji i Janiny. Domyślając się, jak wygląda proceder

„odczytywania” moich listów, nie chcę narażać innych członków rodziny na tę brutalną operację, jaką jest pokazanie listu i schowanie go do kieszeni policjanta. Zwłaszcza, rad bym uchronić przed tym szokiem małego Stasia. Jeszcze jest zbyt młody, by już miał zaślugać na takie drastyczne ograniczenia swych praw obywatelskich.

Najdroższy mój i Najlepszy Ojcze!

Za kilka dni jest uroczystość Twojego Patrona, świętego Stanisława; pragnę zczasu zapewnić, że w tym dniu będę w szczególny sposób zjednoczony modlitwą i najlepszymi uczuciami synowskimi z Tobą. Mszę świętą w Twojej, Ojcze, intencji odprawię 9 maja, gdyż w niedzielę mam obowiązek ofiarować za swoich diecezjan. Będę też pamiętał o wszystkich imiennikach z całej Rodziny.

W dniu Twego Patrona, Drogi Ojcze, będę dziękował Bogu za to, że pozwolił Ci powrócić do zdrowia, a mnie dał łaskę, że mogę nadal liczyć na Twoje modlitwy, jedyną pomoc, której od Ciebie oczekuję. Będę prosił Najlepszego Ojca, aby i nadal wlewał w Twoją duszę żywą wiarę, która o nic nie pyta, tylko ufa, jak Abraham; która niczego nie chce, a wszystko oddaje, która nie dopuszcza do serca żadnego lęku, bo wie, że doświadczenia tego życia niczym są wobec radości, którą Bóg daje sługom swoim. Wspierajmy się obydwa tą nadzieją, pewni, że chociaż dzieli nas odległość, to jednak łączy nas wspólny Ojciec Niebieski, który jest Panem przestrzeni i umie ją pokonywać jednym drgnięciem najlepszego Serca swego.

Wszyscy członkowie Rodziny i moi Najbliżsi okazali mi tyle dobroci i pamięci z okazji Wielkanocy, że aż czuję się tym zawstydzony. Odwdzięczam się najlepszymi uczuciami i modlitwą, zwłaszcza podczas Mszy świętej. Wobec moich Najbliższych zachowuję ich wdzięcznie w sercu i wspieram modlitwą przed Bogiem, o każdym z osobna pamiętając; wszystkich nieustannie polecam Maryi Jasnogórskiej, Wspomożycielce wiernych, gdyż ta Najlepsza Pani - *Virgo Auxiliatrix* - nie zapomina o dzieciach, które ufnie się Jej oddały.

Widzę, że zaciągam wielki dług wdzięczności wobec Siostry naszej, która Cię wspiera, Drogi Ojcze, w kuracji i towarzyszy do szpitala. Wobec takiej opieki, jestem w pełni spokojny o Ciebie, Ojcze, gdyż wiem, że w dobrych i doświadczonych jesteś rękach. Ale też i serce moje pełne jest dla niej wdzięczności, jak i dla wszystkich, którzy Ci pomagają. Proszę o jedno, byś zbyt wcześnie- nie porywał się do żadnych wysiłków i prac; życie i tak było pracowite, więc wypoczynek obecny jest całkowicie zasłużony.

O mnie bądź, Drogi Ojcze, zupełnie spokojny; prowadzę życie pracowite, w pełni znaczenia tego słowa. Nie pozostawiam sobie ani chwili wolnej - wszystko czynię z zegarkiem w ręku, poczynając od rannego wstania, aż do wieczornego spoczynku. Bodaj że życie kartuza

jest najbardziej zbliżone do mojego; w stanie zdrowia nie widzę nic nowego, o czym warto by mówić.

Przyjm, Drogi mój Ojcze, najmiłsze pozdrowienia, słowa uczuć serdecznych, synowskiej czci i oddania. Ręce Twoje z miłością i wdzięcznością całuję, śląc Tobie i moim Najbliższym błogosławieństwo. Matce Najświętszej Jasnogórskiej i Wspomożycielce wiernych oddaję Was wszystkich.

25. IV. 1955.

SW.

Najdroższa moja Siostrzo!

Obarczę Cię znowu mnóstwem obowiązków pośrednictwa, ale pocieszam się, że wina leży po stronie Twojej dobroci. Pragnę wywdzięczyć się życzeniami, które na dzień świętego Stanisława, Patrona Twego, Ci przesyłam. Przez Twoje usta chcę przekazać życzenia dla Stacha i małego Stasia. W najbliższych dniach będę odprawiał w Waszej intencji Msze święte: w intencji Ojca - 9.V; w intencji Twojej - 11.V; w intencji Stacha i jego Rodziny - 13.V; w intencji Stasia i Ani oraz ich Rodziców - 18.V. Wszystko, czego pragnę dla Was, powiem Ojcu Niebieskiemu przy ołtarzu, ufając, że to więcej znaczy, niż ludzkie uczucia. Skoro piszę o Mszy świętej, prosiłbym, byś powiedziała Siostrze Przełożonej, że w jej intencji odprawię Mszę świętą 20.V. W intencji Julci - 2.VI, a w intencji Tosi i całej Rodziny - 13.VI. Nie wiem, czy będę miał sposobność pisać wcześniej, więc chciałbym, byś przekazała moje życzenia Julci, Jance i Czesiowi; wesprę ich modlitwami w dniu Imienin, w czasie Mszy świętej.

Tak bardzo uradowałem się wszystkimi listami, które otrzymałem na święta od Rodziny. Rad bym im odpisać, ale nie chcę im przyczynić kłopotów. Naści powiedz, że bardzo się cieszę ze zdecydowanej woli jej najmłodszej pociechy, modlę się, by wytrwał; sama niech dba o swoje zdrowie, by mogła czuwać jak najdłużej nad Rodziną, którą Bóg powierzył. Ucieszyły mnie autografy Rodziny Janki. Widzę, że Stefanek pisze czytelniej, niż ja w jego wieku. Zosi jestem bardzo wdzięczny za obrazek, który stale mam na stoliku. Tadziowi podziękuj za miłe fotografie Stasia i Ani; istotnie, dzieci są nieco poważne, ale wyglądają zdrowo. Nie mogę zdobyć się na to, by odpisać Stasiowi na list, który jest taką moją pociechą. Ale nie mam serca narażać na odczytywanie listu dziecku, które już samo ma ambicję czytać. Może Bóg pozwoli, że mu kiedyś odpiszę. Rad bym wiedzieć, którego dnia będzie przystępował do I Komunii świętej, a wtedy odprawię w jego intencji Mszę świętą. Za V tom *Chrobrego* bardzo dziękuję; książka ta w literaturze polskiej jest naprawdę zdarzeniem. To wielki talent. Ponieważ Tadzio widuje się z Romkami, niech więc im powie, że o swej małej chrześniaczce pamiętam i modlę się w ich intencji.

Wręczone mi w Wielką Sobotę dwie paczki świąteczne, w których znalazłem wszystko, co wymieniasz w liście, budzą we mnie różne uczucia. Oczywiście, naprzód uczucie wdzięczności i radości; ale nadto - uczucie obawy, że zacznę żyć zbyt wystawnie. Każdy nowy przedmiot, zjawiający się w moim skromnym polu widzenia, wzbogaca świat moich spostrzeżeń. A więc dopiero teraz zauważyłem, jak miłe są w swej świeżości pomidory, choć to taki praktyczny owoc. Zachwyciły mnie trzy piękne pisanki, tak starannie wypracowane, że nadają się na wystawę.

Nie bierz za złe, gdy milczę o swoim zdrowiu, to znaczy, że nic nie ma godnego uwagi. Czuję się znacznie lepiej niż w ubiegłym roku. Pozostają tylko różne objawy, wymagające kuracji systematycznej, o czym wiesz. Z zębami nie mam kłopotu. - Powstrzymuj Ojca, by się nie rwał do pracy, której już miał dość w życiu. Jak wypadła obserwacja Julci w szpitalu? Podziękuj najmłodszym Dzieciom za piękny obrazek i za ich dobre serca. Wszystkim członkom Rodziny i Najbliższym przesyłam słowa oddania braterskiego. Oddaję Was Jasnogórskiej Wspomożycielce wiernych i z serca błogosławię.

S.W

/ . V. 1955, niedziela.

Confiteor... Beatce Marice semper Virgini. - Kościół każe mi spowiadać się przed Maryją. Daje Jej prawo do wglądania w moją duszę, do samooskarżenia, do otwartego odsłaniania wszystkiego, co jest we mnie. „Ucieczko grzesznych”, jak przykrą rzeczą jest być spowiednikiem; bardzo Ci współczuję, gdy musisz mnie wysłuchać. Ale jakże wielką pociechą jest dla grzesznika, gdy znajdzie dobrego spowiednika. A cóż dopiero, gdy mojej spowiedzi masz Ty wysłuchać! Twoje miłosierdzie wyjedna mi przebaczenie, a sercu przyniesie ulgę.

3. V. 1955, wtorek.

Najbliższa Towarzystwo Trójcy Świętej, Bogurodzico Dziewico i Królowo Polski - dziś pragniemy, przez Twoje macierzyńskie ręce złożyć hołd wdzięczności Trójcy Świętej za to, że jesteś Matką naszą, że jesteś Królową Polski i że okazujesz Serce Miłosierne Boga w tylu łaskach, rozdzielanych na Jasnej Górze. Dziękując za wszystko, prosimy o łaskę wierności Trójcy Świętej, o łaskę wierności Sercu Syna Twego i Niepokalanemu Sercu Twojemu, o łaskę wierności Kościołowi. Wspomnij, Matko, że pełni ufności, oddaliśmy Naród polski i Ko-

ściół Niepokalanemu Sercu Twemu, skoro tylko przeszła nieprawość okupantów. A wkrótce potem oddaliśmy Naród Sercu Syna Twego, przez Twoje niepokalane dłonie. Pragniemy wyjednać sobie odrobinę odpocznienia, byśmy mogli wypełnić śluby nasze. Przyjm, Matko, to wołanie i niech królewskie Serce Twoje okaże macierzyńską wyrozumiałość dla udęczonej dzieci swoich.

Przynoszę Ci, Matko, swój cały ciężar i zrzucam z bark moich do Twoich stóp. Spójrz nań tak, jak patrzy Pani na robotnika, który dźwiga wielkie ciężary. Oto przyniosłem, zrzuciłem i patrzę na ręce Twoje... Nie umiem nic lepszego czynić, więc dźwigam ciężary. Nie tylko swoje - to są ciężary i Twoje, i Twojego Syna. Gdy je zrzucę przed Tobą, ulży mi nieco. Czy otrzymam zapłatę robotnika...?

12. V 1955, czwartek.

W dziewiątą rocznicę konsekracji biskupiej, otrzymanej na Jasnej Górze, przed Tronem Matki Najświętszej, składam przez ręce mej Pani i Opiekunki podziękowanie Trójcy Świętej za łaskę sakry i pełnię kapłaństwa. Odnowiam z Pontyfikatem w ręku swój egzamin biskupi, powtarzając z głębi serca: *Volo - Credo*. Dopełniam rachunku sumienia i uznaję z pokorą, że nie wszystko we mnie zostało przez te 9 lat dokonane. Pytanie: *Vis mores tuos ab omni malo temperare, et quantum poteris, Domino adiuvente, ad omne bonum commutare?* - przypomina, jak mi jeszcze daleko do tej wymiany zła na dobro, pomimo że biskupstwo jest tak wielką pomocą do własnego uświęcenia. Jak słabe narzędzie wybrał sobie Bóg, skoro najpotężniejsze środki pomocy zawodzą. - A prefacja konsekracyjna jest w każdym słowie wymówką dla służby niewiernego, który przez 9 lat nie zdołał tego programu w życie wprowadzić. Brak mi jeszcze tej *puritas dilectionis*. Życie upływało *in persuasibilibus humane sapientie verbis*. Czyż nie zasłużyłem na zarzut ostrzegawczy: *ut utatur, non gloriatur potestate?* - Czym był *fidelis servus et prudens?*... Oby spełniło się na mnie życzenie Kościoła: *Multiplifica super eum benedictionem et gratiam tuam: ut ad exorandam semper misericordiam tuam tuo munere idoneus et tua gratia possit esse devotus* (P.R.). - Wracam do prefacji, by posłużyła mi za program pracy wewnętrznej...

Wielką pociechą dla mej nędzy jest to, że urodziłem się do biskupstwa na Jasnej Górze, że *origine* jestem *claromontanus*, że więc mogę oglądać się ku swej Ojczyźnie, w której władza Najlepsza Matka: nie odmówi swej pomocy dziecieniu, które boryka się w walce o wierność.

19. V. 1955, czwartek.

Wniebowstąpienie Pańskie - otwarte bramy Niebios pozwalają „patrzeć w niebo” wszystkim wędrowcom, z przenikliwością wiary, oczyma nadziei. Gdy Niebo otwarte, życie całe wydaje się być jak łaża, spływająca po twarzyczce noworodka. Rychło osuszy ją Słońce Życia i ogarnie promieniami swej gorącej miłości. A miłość jest bez kresu.

A więc oczyść - jak oczyściłeś Samarytanę, Marię z Magdali, Jawnogrzesznicę; a więc podaj rękę - jak podałeś Piotrowi na falach morskich; a więc otwórz oczy - jak otworzyłeś ślepcowi z Jerycha i ślepo narodzonemu; a więc wyprowadź z grobu - jak Łazarza; a więc pozwól dotknąć boku swego - jak Tomaszowi; a więc przymnóż wiary i naucz modlić się - jak Apostołom; a więc daj miłość - jak Marii, bym wiele umiłował. - Wszak miłość jest główną cnotą Niebian.

Już niechaj tak będzie, jak o to się upominasz: „Myśl o Mnie, a Ja już będę myślał o tobie”. - „Uwolnisz się od zbędnego niepokoju, daremnych rozważań, zbędnych myśli. Ile natomiast zyskasz czasu, który możesz poświęcić wyłącznie dla Mnie i dla mojego Kościoła. Chcesz mieć więcej czasu? Myśl tylko o Mnie, a przekonasz się, ile przybędzie ci czasu”. - Niechaj się stanie jako Ty chcesz, Najlepszy Nauczycielu!

29. V. 1955, niedziela.

Dni upływają nam w wielkim ładzie: obydwaj pracujemy bardzo gorliwie, z wielkim zapałem. Ksiądz rozmiłował się w pracy książkowej i w pisaniu; trochę mu przeszkadza siostra, która się wymyka od książki do zajęć domowych, których sobie wynajduje całe mnóstwo. Ja zdołałem ukończyć „Rozmyślenia na tle Roku Liturgicznego” i przystąpiłem do opracowywania „Listu do wyświęconych przeze mnie kapłanów”. Jest to praca duża, ujęta w 4 częściach, z których każda uwydatnia kolejno więź nadprzyrodzoną, istniejącą między kapłanem a Trójcą Świętą, Kościołem, biskupem, parafią. Pracę tę przeznaczam dla tych kapłanów, którym udzielałem święceń kapłańskich. Piszę bardzo powoli i z niemałym trudem; brak jest warunków, sprzyjających tego rodzaju pracy. Ksiądz pracuje w dalszym ciągu nad rozważaniami dla młodzieży szkolnej. Obmyśla mały przewodnik dla ministrantów. Obydwaj wzięliśmy się mocno do konwersacji włoskiej; wszystkie posiłki i spacerzy wypełnione są ćwiczeniami w mowie włoskiej. Ksiądz czyni szybkie postępy.

Stosunki nasze oficjalne tak się ułożyły, że mamy sobie coraz mniej do powiedzenia podczas wizyt oficjalnych. Natomiast spotkania

z „panem starszym”, gdy schodzimy na spacer, są coraz to bardziej naturalne. Mówimy „o zdrowiu”, „o pogodzie” i „o ptakach” - ale coś mówimy. „Eskulap” zrobił się mechaniczny do krańca; zdaje się, że nawet nie zauważa nas, gdy pyta: „zdrowie”? - „życzenia”? i wychodzi nie czekając na odpowiedź. Pan komendant robi się „coraz bardziej ludzki”. Nawet raz użył tego zwrotu: „tak po ludzku”. Podobnie z kierownikiem nie zachodzą żadne rozmowy, chyba o muchołówkach, które uwiły sobie gniazdko w mojej framudze okiennej i wysiadują młode pokolenie. - Dziś wręczono mi list od Ojca i od mej siostry Stanisławy.

Ukochany Synu mój!

List z 25. IV. przeczytano mi 3. V. br. Dziękuję bardzo za list, za odprawienie Mszy świętej w mojej intencji i za życzenia imienninowe. Do Zalesia wróciłem 4. V. w towarzystwie Księdza Franciszka i Księdza Hieronima. Tu, w domu, przychodzę do zdrowia. Widocznie powietrze wiosenne wywiera swój wpływ dodatnio, brak tylko ciepła.

Siostra Maksencja zachorowała i wyjechała do Poznania, gdzie po zbadaniu przez lekarzy, stwierdzono chorobę wewnętrzną, podlegającą operacji. Po przygotowaniu w przeciągu dwóch tygodni, dokonano operacji, która się udała. Tadeuszowie dziękują za Mszę świętą w ich intencji, są zdrowi i mała Ania przychodzi do zdrowia. Staś wczoraj miał uroczystość pierwszej Komunii świętej.

Ksiądz Padacz prosił, żeby się zapytać, czy w roku zeszłym na 3. VIII. doręczono Ci list od niego, który wysłany był jednocześnie z naszymi listami. Stasia napisze obszerniej. Jeszcze raz dziękuję za modlitwę i błogosławieństwo pasterskie i zaznaczam, że modlimy się w Twojej intencji i mamy ufność, że Bóg Dobry nas wysłucha. Całuję Cię, mój Drogi Synu, życzę zdrowia i wytrwania, polecając opiece Matki Bożej Jasnogórskiej.

Zalesie, 23. V. 1955 r.

S. Wyszyński

Ukochany mój Bracie!

Listy Twoje z dnia 25. IV. zostały nam odczytane dnia 3 maja. Przesyłam serdeczne podziękowanie moje i reszty solenizantów za intencje mszalne i tyle okazanej nam dobroci. Wszyscy w dni wymienione połączyliśmy się myślą przed Bogiem z Tobą, a Twoje przed nami orędzie, to najcenniejszy dla nas dar imienninowy. Na dzień 8 maja w tym roku pojechałam na Jasną Górę, była to druga niedziela - przed dziewięćmi laty niedziela Twojej konsekracji. Odprawiły się w tym dniu w naszej wspólnej intencji dwie Msze święte przed Obrazem Matki Bożej, o godzinie 10.00 i wieczorem wraz z majowym nabożeństwem. Zamówiłam też intencję na 12.V. - w rocznicę konsekracji. Przesyłam Ci w paczce hostie z barankiem wraz ze znany Ci zdaniem

z dnia konsekracji: *Volo in caelo et in terra*. - Dołączam prośbę, jeżeli możliwe, by z tą hostią odprawiona była Msza święta w dniu 31 maja, w dniu święta *Regalitatis Marice*. Bardzo bym się ucieszyła ze spełnienia tej prośby i, jeśli tak się stanie, wzmianki o tym w liście. [Wyjątek].

29. V. 1955 r.

29. V. 1955, niedziela.

Drobiazgi dla maluczkich więcej nieraz znaczą, niż wielkie objawienia dla mocarzy ducha. Drobiazgiem może być to, że dotąd nie dostałem listu od najbliższych, chociaż zazwyczaj na święta otrzymywałem już w przeddzień. Ale Bóg dał łaskę ofiarować to pozbawienie z pogodą: wszystko przyjmuję z zaufaniem, co z Twej dłoni przychodzi. Powtarzam sobie od rana bez przerwy: wszystko jest łaską, jesteś Dobrocią i Mądrością, która jest we wszystkim. Wyrzekam się tej pociechy, masz prawo żądać wszystkiego. Czyż miałbym Ci odmówić tego, co jest potrzebą ludzkiego serca? Gdybym był bez winy, jeszcze miałbyś prawo do zsyłania udręki. Zresztą Ty umiesz pocieszać swoimi sposobami... Całkowicie uspokojony zająłem się swoimi towarzyszami, którzy byli smutni. Wkrótce też doznaliśmy wszyscy pociechy: przyszedł list pełen najlepszych wiadomości. Modlono się za nas 8.V. na Jasnej Górze, w kaplicy Matki Bożej; przed Cudownym Obrazem odprawiono za nas dwie Msze święte: jedną o 10.00, drugą podczas wieczornego majowego nabożeństwa. Matka Najświętsza zgodziła się na to, by modlono się za Jej niewolnika, przed Jej Królewskim Tronem. Na tej Mszy świętej była moja siostra Stanisława, jak ongiś podczas mej Mszy prymicyjnej, którą odprawiałem przed Cudownym Obrazem (1924), pozbawiony wszelkich sił, jak Łazarz. - Przysłano nam wiele drobniaków, które dzieciom dobrze czynią. Siostra otrzymała list od Matełki Getter. Była więc radość wielka. Pociecha dla dzieci, którym dano łaskę zaufania. Uwięziony Ksiądz Prymas nie wiedział, że na Jasnej Górze dzień i noc odbywały się czuwania w Jego intencji, że odprawiano za Niego setki Mszy świętych.

Nieraz myślę, że mógłbyś się zatrzymać przy naszym więzieniu i powiedzieć już: „Łazarzu, wyniđź z grobu”. Mamy związane ręce i nogi, druty kolczaste widzę z okna każdej chwili. Siostry moje też posyłają do Ciebie modlitwy i prośby. Zwlekasz do „czwartego dnia”. Ale gdyby ta zwłoka przyniosła Ci chwałę - poczekam w mym grobie.

30. V. 1955, poniedziałek.

„Tak Bóg umiłował świat...” Gdy Kościół w drugim dniu Zesłania Ducha Świętego przypomina to małe słowo „tak” - zda się oczekiwać naszej odpowiedzi. Chrystus nie znalazł lepszego wyrazu na oznaczenie tego, co z niczym porównać się nie da, co jest bez dna, co nie ma *terminus a quo* i *terminus ad quem*. To jest znak pojemności, która wymaga Boga. A Syn Boży, który zna cenę swoją w obliczu miłości Ojcowskiej, musi w Darze Ojca dla ziemi widzieć bezmiar miłości Boga do świata. „Tak” pozostanie więc zawsze głębią, choć zda się być napełniona Synem, jak stągwie kananejskie. Temu „tak” można odpowiedzieć tylko drugim „tak” - to jest „tak” człowieka. Ono też jest bez wymiarów i bez granic, bez dna. Ma ciągłe możliwości przenikania w głąb i wznwyż, wszędy i wzdłuż. To jest praca całego życia; to jest współpraca z Trójcą Świętą. To jest coś, co stale przyrasta, co nigdy nie mówi „dość”. Można je chyba porównać z tym *unum*, które jest konieczne, i z tym *primum*, którego szukać trzeba. Te trzy wyrazy zdolne są pochłonać dynamikę serca najbardziej ochotnego.

31. V. 1955, wtorek.

Dziś Kościół pozwala dzieciom swoim zebrać wszystkie imiona, nazwy, tytuły, którymi obsypuje Maryję i pozwala - podczas Mszy ku uczczeniu Pośredniczki Łask wszelkich - powiedzieć wszystko, co serce wierzące i miłujące powiedzieć zdoła. Dziś jest pełna swoboda słowa i uczuć; wszystko będzie wyrozumiane. Dziś już nam nie wystarczy jedno, choćby najpiękniejsze miano. Dziś otrzymuje się wszystko i trzeba oddać wszystko.

Co może być najpiękniejszego na tym też padole? To Dziewica piastująca Boga Człowieka na swoich ramionach! To kapłan przeistaczający chleb i wino w Ciało Chrystusowe i Krew Boga Dziewicy! To Dziewica poświęcająca swe ciało i serce Królowi Dziewic! To Matka karmiąca Owoc żywota swego.

Gdybym dziś narodził się na nowo, a zapytany - jaką drogę życia obrałbym - bez chwili wahań wszedłbym na drogę kapłaństwa, choćbym od początku jasno wiedział, że skończę w okowach Chrystusowych, we wzgardzie szubienicy. Lepiej być wzgardzonym kapłanem, niż uwielbianym Cezarem.

5. VI. 1955, niedziela.

Trójca Święta - Ognisko Miłości, płonące wiecznie jak krzew Mojżeszowy na puszczy. Światłością tego Ognia jest Syn - *Lumen de lumine* - a Duch w postaci ognistych języków, to iskry ogniska, które padając na serca ludzkie rozszerzają pożar Boży po całym świecie. W tym ogniu spala się wszystko, co jest tylko słomą, a oczyszcza wszystko, co jest złotem. Dusze promieniają Bożym światłem, z Bożego ogniska. Ogień łączy - nasze płomyki jednoczą się z ogniem Miłości. I tak powstaje jeden Ogień Boży, który jest Światłością wszystkich ludzi. Ten Ogień nie wygasa.

Serce Trójcy Świętej. Przyszedł - jako owoc miłości Ojca do świata. Narodzony z wielkiej Miłości, by rodzic miłość. Przyszedł - jako blask Ojcowskiej doskonałości. Pozwolił stworzyć Serce swoje na krzyżu. To Serce z Ojca. W tym Sercu poznajemy Serce Ojca. Ojciec ma Serce i dlatego Synowi dał Serce. Można i trzeba mówić o Sercu Ojca. Czyż może być miłość bez serca? Duch jest miłością Ojca i Syna. Serce Ducha z Serca Ojca i z Serca Syna. Te trzy Serca jednym są Sercem, które bije miłością wzajemną. Z tej miłości żyjemy, w niej się poruszamy i jesteśmy.

9. VI. 1955, czwartek.

Boże Ciało. *Notre Dame* - Katedra, synonim katedry. *Templum Domini*, w której mieszka Słowo Przedwieczne. *Sacrarium Spiritus Sancti*. I w Polsce wszystkie niemal stare katedry są pod wezwaniem Matki Boga Człowieka. Jak bardzo to słuszne! Wszak w katedrach konsekruje się kapłanów. Pierwsza konsekracja Kapłana miała miejsce w Katedrze *Notre Dame*, w dniu Zwiastowania, gdy na człowieczeństwo Chrystusa spłynął dar Ojca - Kapłaństwo, według obrządku Melchizedeka. Z tego Kapłaństwa Chrystusowego wzięli swoje kapłaństwo wszyscy śludzy Ołtarza. Uczestniczą w tym darze z Ojca, który uczynił Jezusa Kapłanem na wieki. Jak słuszną jest rzeczą, by trwali w tym *Sacrarium Spiritus Sancti*, by wszystko czynili z Matką Wierzącego Kapłana! Wszak Maryja była na „Mszy Prymicyjnej” Syna swego, na Kalwarii. Jak blisko stać powinna ołtarza, przy którym sprawujemy Najświętszą Ofiarę! Jak bardzo należy Ją zapraszać do udziału w każdej Ofierze Mszy świętej. Przypomina nam to Kościół, gdy każe spowiadać się *Beatice Marice Virgini*, gdy tak często w ciągu modlitw mszalnych przypomina Maryję. Kapłaństwo Chrystusowe dokonało się w Maryi. *Alter Christus* nie może o tym zapominać.

10. VI. 1955, piątek.

By doznać łaski zrozumienia wielkości kapłaństwa, trzeba - niekiedy - doznać jednocześnie łaski poznania wielkiej nędzy i niegodności swojej. Chrystus, do którego mówimy we Mszy świętej - *quoniam tu solus Sanctus* - pokaże mi, kim jestem - *quoniam tu solus peccator*. Jak bardzo przydaje się wtedy *felix culpa*-, pozwala mi uwolnić się od tego „nieprzystojnego” poczucia prawa do Ołtarza. Wszak prawo suwerenne do Ołtarza ma tylko Jezus Chrystus, Bóg Człowiek, *Sacerdos et Hostia*, przyozdobiony w człowieczeństwie swoim - Kapłaństwem na wieki. A ja jestem zaledwie „naczyniem ku zelżywości”, z którego *solus Sanctus* tak przedziwnie karmi swe dzieci, że chroni je przed całym brudem i nędzą moją. *Misericors et miserator Dominus*.

12. VI. 1955, niedziela.

Wśród Oktawy Bożego Ciała. *Etiam passer invenit domum, et hirundo nidum sibi, ubi ponet pullos suos.*

Altaria Tua, Domine, exercituum... (Ps 83).

Gdy patrzę w gniazdko muchołówek, które skrzydlaci rodzice uwili sobie we framudze mego okna i tu złożyli pięcioro swoich piskląt - zaczynam lepiej rozumieć Ołtarz dla duszy kapłańskiej. Te nieudolne okruszyny, w których zaledwie tli iskierka życia, umieją tylko dziobki swoje otwierać - jak szeroko i namiętnie, jak chciwie i odruchowo - gdy tylko usłyszą szum skrzydeł ojcowskich. Jak bardzo bezpiecznie czują się w tym gniazdku, chociaż dzieli je od wnętrza mej izby tylko - szyba. Jak są gotowe, jak czujne... Jak nigdy nie mają dość! Gdzież lepiej czuć się może pisklę, jeśli nie w gniazdku? Cóż dziwnego, że tak niechętnie puszcza się ku pierwszemu lotowi.

Bardziej niż pisklęciem nieudolnym jestem przy ołtarzu. Umiem tylko jedno - otwierać usta. Ale nic z nich dać nie mogę! To Chrystus wszystko w nie wkłada: *Hoc est enim Corpus Meum...* Cała moja siła z tego Skrzydlatego Serafina, który przybija ręce moje i nogi do ołtarza: *altaria Tua, Domine, virtutem...* Gdzież lepiej się czuję, jak nie przy ołtarzu? Gdzież wspanialej żyję, jak nie w tym gnieździe łaski? Cóż mi pozostaje? Otwierać usta z żarłocznością piskląt! Trzymać się mocno ołtarza, jak pisklęta trzymają się krawędzi gniazda! Otwierać serce, ufać, czekać, pragnąć, wyglądać... Ołtarz - to mój dom...

9. VII. 1955, sobota.

Nie odpisałem dotąd na listy z 29. V. br., aż doczekałem się nowych, które wręczono mi 7.VII. br. Wraz listami od Ojca i siostry wręczono mi przesyłkę żywnościową. List Ojca donosi o zgonie śp. arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Usiadłem natychmiast do zredagowania odpowiedzi. Jest to bodaj największa trudność. Pisać list, który ma być wyrazem całej prawdy i najlepszych uczuć, z tą myślą, że i ta prawda, i te uczucia przejdą przez drewniane gardło lektora policyjnego - to wielka udręka. Jedyny motyw, który skłania do pokonania oporu: trzeba przecież liczyć się z sercem ludzi, którzy kochają, którzy się niepokoją. Ale z drugiej strony, opór jest protestem przeciwko gwałceniu prawa obywateli do wolności i dyskrecji w korespondencji. To prawo jest nadal gwałcone, pomimo moich protestów. Zresztą nie wiem, co właściwie jest czytane z moich listów, a co przemilczane? A może teksty się uzupełniają swoistymi komentarzami i dodatkami, które mogą stawiać mnie w fałszywym świetle? Czy w takich okolicznościach byłby jakiś sens w pisanu listów? Zamiast ulgi mogą przynieść nowe udręki! A przecież po ludziach, dla których nie istnieje różnica między prawdą a kłamstwem, można się wszystkiego spodziewać. Nie mogę pojąć, jak system zmuszający do okłamywania obywateli przez urzędników nie lęka się tego, że ta sprawność kłamania, ta „cnota” kłamania kiedyś będzie użyta przeciwko mocodawcom.

Ukochany Synu mój!

Została wysłana paczka w maju i listy. Zapewne otrzymałeś. Do dziś jednak od Ciebie listu nie mamy. Z tego powodu jesteśmy niespokojni, upłynęło już przeszło pięć tygodni.

Ja powoli przychodzę do zdrowia, małe niedomagania są nieodłączne w tak podeszłym wieku. W rodzinie nic nowego nie zaszło, o czym Stasia obszerniej napisze.

Proszę napisać, jak zdrowie, gdyż to dla nas najważniejsze. „Słowo Powszechnie” z dnia 21. VI. podało wiadomość o śmierci księdza arcybiskupa R. Jałbrzykowskiego, zmarłego 19. VI. br.

Polecamy Cię opiece Matki Bożej Częstochowskiej, modlimy się usilnie, ufając w miłosierdzie Boże, że próśb naszych wysłuchać raczy. Proszę o Mszę świętą za śp. Jadwigę, która modliła się bardzo wraz z innymi w Twojej intencji.

Kończę te parę słów, proszę o modlitwę w naszej intencji. Życzę zdrowia i rychłego powrotu, z prośbą o błogosławieństwo pasterskie.

Zalesie, 30. VI. 1955.

S. Wyszyński

Najdroższy mój i Najlepszy Ojcze!

List ten jest odpowiedzią na dwa: z 23. V. i 30. VI. Tak bardzo ucieszyłem się, że po tylu przeżyciach i cierpieniach mogłeś, Ojcze, wrócić do Zalesia, Podziękowałem Bogu za Twój powrót do sił; ufam, że pora letnia i powietrze leśne przyczynią się korzystnie do pełnego wyzdrowienia. Nie przestaję nadal prosić o to Boga i Matkę Najświętszą. Jestem wdzięczny wszystkim, którzy w czasie choroby spieszyli Ci, Ojcze, z pomocą, sercem i opieką. Zwłaszcza dobrej Siostrze Przełożonej oraz Księżom Franciszkowi i Hieronimowi, którzy odwieźli Cię do domu; wywdzięczę się Mszą świętą w ich intencji. Zasmuciłem się wiadomością o ponownej chorobie Siostry Maksencji; ostatnia wiadomość, że wróciła do zdrowia i jest w domu, bardzo mnie pocieszyła.

Pierwsza Komunia święta małego Stasia - to wielka radość; nie mogłem mu usłużyć, ale tak się złożyło, że 18. V. odprawiłem Mszę świętą w jego intencji i prosiłem Boga, aby Staś dochował Mu wierności przez całe życie. Powiedz, Drogi Ojcze, małemu Stasiowi, że chociaż nie odpisałem mu na list, ale stale o nim pamiętam, gdyż nadesłaną mi fotografię dzieci mam na stole i często wśród pracy polecam je Matce Najświętszej. Niech będzie po chrześcijańsku - w prawdzie, czystego serca, prawy wobec wszystkich i mężny w walce ze sobą. Błogosławię mu z serca.

Na pytanie Księdza Władzia Padacza, czy otrzymałem jego list w ubiegłym roku na imieniny - odpowiadam: nie otrzymałem, ale dziękuję za dobre jego serce i proszę, by się za mnie nie przestawał modlić. W jego intencji często odprawiam Mszę świętą. - Dnia 4. VII. odprawiłem Mszę świętą w Twojej i Rodziny intencji. Masz, Ojcze, udział w każdej Mszy świętej. Ciebie, Drogi Ojcze, proszę, byś sił swoich oszczędzał, byś nie porywał się do cięższych prac, byś nie poddawał się smutkom, byś zachowywał spokój, ufność i cierpliwość wobec Niebieskiego Ojca i byś wiedział, że modlitwą i uczuciem jestem zawsze z Tobą. Inne szczegóły znajdują się w liście do Stasi.

Wiadomość o zgonie śp. arcybiskupa Jałbrzykowskiego bardzo mnie wzruszyła; był to człowiek o gołęmbim sercu i ujmującej prostocie. - Za duszę śp. Jadwigi odprawię Mszę świętą 29. VII.

Ręce Twoje ze złością i oddaniem całuję, błogosławiąc.

8. VII. 1955.

St. W.

Najlepsza moja Siostrze,

Odpowiadam na dwa listy z 23. V i 30. VI. Wybacz zwłokę, ale chcę Ci oszczędzić trudności z wysłuchiowaniem lektury moich listów i dlatego piszę rzadziej. Nie bez cienia zazdrości radowałem się tym, że mogłaś być na Jasnej Górze i modlić się przed Obrazem naszej Matki,

ale zazdrość moja była uczciwa o tyle, że wiedziałem, iż z Twojej modlitwy i ja skorzystam. Tak bardzo dziękuję za 3 Msze święte w mojej intencji, a zwłaszcza odprawioną w 9 rocznicę konsekracji biskupiej. Twoja pielgrzymka przypomina mi moją pierwszą Mszę świętą na Jasnej Górze przed 31 laty, gdyśmy byli tam oboje. Z radością przyjąłem nadesłane mi hostie mszalne i najdokładniej spełniłem Twoje życzenie w dniu 31.V. br. Wierzę, że Wspomożyciel ka wiernych łączy nas i pomaga dochować wierności i Bogu Ojcu w niebie, i przyjaznym sercem na ziemi. Prawdziwie - *Volo in caelo et in terra* - bez cienia wahania, nawet jeszcze mocniej, niż w dniu konsekracji. Szczęśliwie się złożyło, że w brewiarzu swoim mam obrazek maleńki, z dłońmi Chrystusa, który mi to stale przypomina. Gdy człowiek widzi, jak bardzo dłonie Boga stały się podobne do ludzkich, doznaje wielkiej pociechy, że tak może być.

Macie w domu wiele radości, że nasz drogi Ojciec znowu jest razem - jak ufam - w zdrowiu dostatecznym. W ciągu roku szkolnego zapewne jest samotny, a teraz i Ty możesz więcej się towarzyszyć. Nieustannie trzeba czuwać, by zacięcie do pracy, jakim żył dotąd, nie poniosło go ponad siły. Może obydwa nasi rekonwalescenci będą się wzajemnie do roztropności zachęcać; tak się cieszę, że Józio też wszedł na drogę poprawy sił. O Julci wiadomości pocieszyły mnie, pamiętam o niej i wspieram ją Mszami świętymi. Dobrej Siostrze Makscencji bardzo współczuję, że w tak krótkim czasie przechodzi ciężkie choroby; życzę jej z całego serca, by tym razem wzmocniła się na stałe. Często odprawiam za nią i za siostry Mszę świętą i pragnę im wynagrodzić modlitwą opiekę, jakiej doznawałem od nich. Tadzio złożył ode mnie życzenia dorastającego syna i powiedz im, że w dniu świętej Anny będę polecał Bogu we Mszy świętej małą Hanię. Jak to dobrze, że nareszcie mają jakieś mieszkanie.

Bardzo podziękuj Włodzowi za tak piękny obrazek i tak radosną dla mnie wiadomość. Powiedz mu, że 8. VI. odprawiłem w jego intencji Mszę świętą do Matki Bożej Jasnogórskiej, której oddałem go w opiekę na całe jego życie. Musi się przygotować na życie niełatwe jako siostrzeniec kardynała, gdyż musi być najpokorniejszy ze wszystkich kapłanów, by niczym nie wynosił się ponad nich, ani też nie oglądał na żadne ułatwienia. W Kościele Chrystusowym wszystko mierzy się miarą łaski Bożej, a nie miarą łaski ludzkiej - i tej zasady niech uczy się przestrzegać od początku. Ufam, że nasze myśli pokrywają się całkowicie. Błogosławię mu w szczególny sposób z całego serca.

Cieszę się dla Was wszystkich, i dla Ciebie, i dla Janki, i dla Romciów, z wakacji, które pozwolą Wam wzmocnić siły po uciążliwej pracy całorocznej i nieco pomyśleć o sobie. Dziękuję Ci, że wyręczyłaś mnie u Zosi, gdyż tu nie zapomniałem o jej dniu. Pamiętam o Czesiu; odprawię Mszę świętą 20. VII w jego intencji. Za Dzieci odprawię

Mszę świętą 16. VIII. Najmilej pozdrawiam Rodzinę Naści, wszystkich Twoich Domowników, Rodzinę Janki, Julcię i wszystkich moich Najbliższych. Jankę pociesz - powiedz, że w naszej rodzinie już był jeden Stefan, z którym było wiele kłopotu.

Bardzo jestem wdzięczny za nadesłane mi wiktuały w obydwu paczkach; ponosisz z tego powodu wiele trudu, podczas gdy ja mógłbym się bez nich obyć zupełnie. Ale nie wyrzekam się niczego, jako wyrazu naszej wspólnoty. - Poza tym nic nowego ze zdrowiem; stare dolegliwości dokuczają, nowych nie mam.

Ponieważ są wakacje, więc muszę Ci pochwalić się i ja letnim osiągnięciem. Dochowałem się pięciu maleńkich muchołówek, których rodzice zaufali mi i we wnęce okiennej ustali sobie gniazdko. Miałem przez miesiąc pogładową lekcję mądrości Bożej, w takim szczególe, jak życie tych drobiazgów. Chrystus na wróblach pouczał ludzi, że są w oczach Ojca ważniejsi. Dziś moi wychowankowie już wyfrunęli z gniazda, ale czasem spotykam ich na ogrodzie.

Zachowaj cierpliwość, gdyż musisz ją mieć i dla siebie i dla pomocy Ojcu. Masz jej więcej, niż myślisz. Będę się modlił, by Ci Bóg jej dodał.

Bodaj to wszystko - w stylu kronikarskim, co z mego życia może Was interesować. Oddaję się Wam całym sercem i modlitwą, zachowując w pamięci i błogosławiąc.

St. W.

16. VII. 1955, sobota.

Sobota - Wspomnienie Najświętszej Maryi Panny Karmelińskiej. Najmilsze dziękczynienie po Komunii świętej w dniu sobotnim, które czci Jezusa i Maryję zarazem, zamknę w słowach niewiasty z rzeszy: „Błogosławiony żywot, który Cię nosił i piersi, które ssałeś”. - Bo tu związane jest życie Jezusa i Maryi - podobnie jak w dziejach Odkupienia, tak i w każdej duszy. - I to drugie słowo: *Ave, verum Corpus, natum de Maria Virgine*. - I to trzecie, jako wołanie Kościoła: *Beata viscera Marice Virginis*. - I to czwarte, z prostej pieśni ludowej: „Witaj, Jezu, Synu Maryi, Tyś jest Bóg prawdziwy w świętej Hostyi”. - Czyż może być miłsze uczczenie Gościa, który przychodzi rankiem, w dniu sobotnim do duszy?

Przybraliśmy dziś nasz ubożuchny ołtarzyk liliami z ogrodu *Florete, flores, quasi lilium...* Tak cudownie pochwalił Chrystus lilie, na których w ogrodzie chętnie siadają wróble - może wyczuwając **swoje** „ewangeliczne pokrewieństwo” w ustach Słowa? Lilia jest prawdziwą chwałą Stworzyciela, która lepiej wypadła niż sam Salomon. Słusznie Murillo zapożyczył sobie barw dla swej *Purissima* od lilii. Trzy **rumień*** ce dziewiczej wstydlivości osłaniają trzy przeczyste płatki wewnętrzne tak nieskalane, że patrząc pod światło nie można w nich dostrzec **mał** drobniejszej skazy. Cudowna architektura kwiatu: trzy śnieżne **płatki** ułożone w kształcie trójkąta, objęte są trzema węższymi płatkami, **lekko** rumianymi od zewnątrz. Te przecinające się trójkąty: zewnętrzny - *Tres sunt, qui testimonium dant in terra: spiritus et sanguis et aqua* - to owoc tchnącego Ducha Stworzyciela, który odnawia oblicze **ziemi** przez krew i wodę; wewnętrzny - *Tres sunt, qui testimonium dant in caelis: Pater, Verbum et Spiritus Sanctus* (1 J 5,7,8) - osłaniający wspólne dzieło - Słowo Wcielone. A całość symbolizuje „**Pałac** wstydu panieńskiego”. - Prawdziwa „Świątynia Pańska” - **bo** kielich lilii oglądany od dołu czyni wrażenie gotyckiej katedry, **której** śnieżne sklepienia podtrzymywane są różowymi ramionami żebrowań, Chrystus mówił: „Przypatrzcie się liliom polnym...” - **Warto** posłuchać Go...

/ VIII. 1955, poniedziałek.

Związane ręce Chrystusa.

Dostałem taki obraz, gdy po drodze na ingres do Gniezna wstąpiłem do Kościoła na przedmieściu toruńskim - Podgórze. Chrystus ze związanymi dłońmi stał, trzymany za prawe ramię przez żołnierza. W brewiarzu mam obrazek maleńki, przedstawiający Chrystusowe skrępowane dłonie; dostałem go w dniu konsekracji. Dziś obydwie są tak dla mnie aktualne! Przynoszą pociechę na myśl, że dłonie Chrystusowe są tak bardzo podobne do ludzkich dłoni... Ci, co związali Chrystusowi dłonie, chcieliby i nadal widzieć Chrystusa z dłońmi skrępowanymi. Iluż ludzi pracuje nad tym, by związać dłonie Chrystusa! Ale dziś nie mają władzy nad Bogiem. Sięgają więc po ręce tych ludzi, do których należy rozwiązywać ręce Bogu. Im więcej jest wysiłku, by związać ręce Chrystusowe, tym więcej musi być trudu kapłańskiego, by te błogosławione dłonie rozwiązywać. Chryste, pomóż mi rozwiązywać Twoje dłonie w duszach ludzkich, byś swobodnie mógł działać - byś mógł błogosławić i uzdrawiać... Ale miej litość i nad tymi, którzy Twoje dłonie krępują. Rozwiąż ich serca, by doznały Twej miłości.

\$, VIII 1955, środa.

Ustalił się w Prudniku zwyczaj, że listy i przesyłki okolicznościowe wręczone są *ipsa die*. Dlatego też pan komendant przyszedł dziś z listami imiennymi i miał twarz o jakiś procent żywcześniejszą, niż za zwyczaj. Zdaje mi się, że poniekąd bierze udział w tej odrobinie radości, którą sprawia widok listu. Spędzamy dzień świętego Szczepana w atmosferze familijnej. Moi towarzysze łaski uczynili wszystko, co mogli, aby okazać mi jak najwięcej serca. Ks. Stanisław śpiewał *Mszę świętą*, a siostra wykonała cały szereg pieśni, znanych w „Rodzinie Maryi”. Dzień spędziliśmy razem: przy stole, w kaplicy i na zebraniu „podwieczorkowym”. Zaopatrzeni hojnie przez otrzymane dziś paczki, mogliśmy urządzić stół „po europejsku”. Pogoda nie sprzyjała nam, wobec czego nie poszliśmy do ogrodu. Chodzi się po nim coraz trudniej; brak jest odpowiedniej ścieżki i powietrza. Prawdziwy kocioł, chociaż położony na wzgórzu. Nasza siostra bardzo nie lubi, gdy chodzimy do ogrodu; woli, abyśmy zostawali w domu. Zresztą nic nam tam nie ciągnie. Jesteśmy wprawdzie mniej obserwowani teraz niż w początkach, ale zawsze jakieś oko gdzieś się czai, nieufnie śledząc nasze kroki. Walczymy z plagą zaskrońców, które rozgościły się w naszym ogrodzie tak licznie, że wszędzie je spotykamy.

•

Z najlepszej woli Twojej, Ojczy, żywota, ukończyłem dziś w nocy 54 lata życia na ziemi i 31 lat kapłaństwa. Pragnę podziękować Ci za życie: za całe życie, i to uległe Twej łasce, i to odporne. Bo w nim poznałem Miłość, przez którą istnieję, i Miłosierdzie Twoje. Czy powiedziałeś i o mnie: *Poenitet me fecisse hominem...*? Czemu dałem mu życie? Ojczy, choćby życie moje było jeszcze bardziej nieudane, jest moim szczęściem. Bez łaski życia nie miałbym nadziei Nieba. A przecież to, co się rodzi z mojej słabości, grzech i opór, to wszystko opadnie z duszy jak liść z drzewa. Życie jest większym darem niż cokolwiek, bo można przedzierać się przez nie jak przez dżunglę, ku Tobie. Porwane są moje szaty, pełen jestem ran, jakbym wracał z pola bitwy, ale Ty wszystko zaleczysz i uzdrowisz. Nie żałuj, Ojczy, że dałeś mi życie: przymnóż łaski, a wystarczy mi. Jestem Ci wdzięczny za życie, za całe życie, nawet za obecne, które mi upływa w więzieniu. Nawet to jest lepsze niż niebyt.

Dziękuję Ci za Matkę, którą mi dałeś, a która przed 54 laty przekazała mi wśród mąk i bólów Twoją Ojcowską miłość. Jej ramionami objąłeś mnie i wypielęgnowałeś. Była Ci posłuszna w tym prawie ojcostwa. Jak ongiś cierpiała za Twoje prawo życia, tak dziś okazała Serce i przygarnij do Tronu Twej łaski i szczęścia. W młodym wieku odwołała ją z tej ziemi: dałeś jej wszystkie męki rodzicielki, nie

dałeś radości z oglądania owoców tej męki. Daj jej radość Ojcowskich oczu Twoich.

Dziękuję Ci, Ojcze, za mojego patrona, świętego Stefana, którego sobie przyniosłem. Może splamiłem imię jego, wstawione krwią męczennią? Pragnę je ozdabiać dobrym życiem swoim i cierpieniem. Daj, Ojcze, łaskę, bym oglądał niebiosa otwarte, bym umiał modlić się za nieprzyjaciół. Święty Stefanie, pierwszy Męczenniku, mało dotąd przyniosłem Ci chwały; proszę Ojca mego życia, by odtąd z tego życia spływała jedynie chwała na Twoje imię; by już nie było takich, którzy gorszyliby się „ze Stefana”.

Dziękuję Ci, Ojcze, za łaskę chrztu, kapłaństwa i biskupstwa, za życie w Kościele, za Matkę Najlepszą, którą dałeś w zamian za Matkę ciała mego. Wszystko jest tak wielką łaską, że za każdą pragnę zapłacić Ci najdroższą cenę - nawet cenę krwi.

6. VIII. 1955, sobota.

Wczoraj kierownik zaproponował mi doręczanie gazet. Pytałem, jakie mogę otrzymywać. Prosiłem o *Trybunę Ludu*. Dziś doręczono mi tygodnik ilustrowany *Stolicę*. Jest to pierwsza gazeta, jaką miałem w rękę od chwili mojej izolacji.

7. VIII. 1955, niedziela.

O zwykłej porze wizyt zgłosił się kierownik w towarzystwie pana, który przedstawił się jako przybywający z ramienia Urzędu Bezpieczeństwa dla przeprowadzenia rozmowy. Po wyjściu kierownika niespodziewany gość oświadczył, że chce rozmawiać w sprawie 2 moich petycji, złożonych do Rady Ministrów. Przynosi odpowiedź, połączoną z propozycjami. Zacznie od pierwszej, jako dalej idącej - zmiany warunków izolacji.

Oświadczenie brzmi następująco: „Powrót do domu jest niemożliwy, decyzja Rady Ministrów jest nieodwołalna. Natomiast Rada Ministrów chce złagodzić warunki izolacji, by nie była, jak dotąd, w otoczeniu tych ludzi. I dlatego proponuje: 1. zamieszkanie w jakimś klasztorze, według wspólnego wyboru; 2. bez prawa wydalania się; 3. nie wolno będzie wypełniać żadnych funkcji publicznych ani występować; 4. należy się zobowiązać do niedopuszczania do petycji i jakichkolwiek manifestacji otoczenia w związku z pobytem Księdza Kardynała lub ludzi przybywających z odwiedzinami. - To jest przedłożenie Rządu, na które chciałbym usłyszeć odpowiedź”.

Odpowiedź moja wymagała wyjaśnień. Nie na 2, ale na 3 listy do Prezesa Rady Ministrów nie otrzymałem dotąd odpowiedzi. Rad bym wiedzieć, na podstawie jakiej ustawy jestem trzymany w więzieniu. Prosiłem o to kilkakrotnie i dotąd nie doręczono mi odpisu dekretu rządowego.

Przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa wyjaśnia: „Na podstawie uchwały Prezydium Rządu, w oparciu o dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych i pozbawianiu stanowisk kościelnych przez Władze państwowe, art. 6” (odczytuje).

Oświadczam, że „art. 6 też nie może mieć tu zastosowania, tym więcej, że nie przewiduje żadnych sankcji karnych, podczas gdy ja jestem dotknięty sankcjami karnymi, bez stwierdzenia winy, bez zachowania zasady: *audiat et altera pars*, a więc zaocznie; stosowane są do mnie takie rygory, jakich nie stosuje się nawet do więźniów. Każdy więzień: 1. wie, jakie ma uprawnienia, czego ja dotąd nie wiem; 2. zna podstawy wymiaru kary i wysokość wyroku, wie, jak długo pozostanie w więzieniu - co ma wielkie znaczenie dla psychiki ludzkiej - czego ja nie wiem; 3. ma możliwość korespondencji, podczas gdy moje listy są konfiskowane; 4. ma możliwość widywania się z rodziną, czego ja jestem pozbawiony. - Chciałem zrozumieć swoją sytuację i dlatego zabiegałem o to, by jakiś przedstawiciel Władz chciał mnie wysłuchać. Zazwyczaj odpowiadano mi: życzenie będzie przekazane Władzom. - I na tym się kończyło, bez odpowiedzi. Moje trzy listy: z 12. VII. 54, z października 1954 i z lutego 1955, dotąd są bez odpowiedzi. Pan jest pierwszym przedstawicielem Władz, z którym mam możliwość mówić i dlatego wyjaśniam swoje stanowisko, zanim będę mógł dać odpowiedź na przedłożenie.

Sposób zachowania się Władz państwowych uważam za niezgodny z zasadami podstawowymi sprawiedliwości. Miałem możliwość prowadzić tyle rozmów, z własnej inicjatywy - z prezydentem Bolesławem Bierutem i marszałkiem Fr. Mazurem. I w tym wypadku, zamiast 2 lat wystarczyłaby półgodzinna rozmowa. Dlaczego Rząd odstąpił od przyjętego między nami zwyczaju?! Nadto, w wypadku, gdy Władze domagały się usunięcia księdza ze stanowiska, zawsze była możliwość wysłuchania przyczyn i udzielenia wyjaśnień. To się już utarło: załatwiały to albo Kurie, albo zainteresowani. Tyle razy sam skierowywałem obwinionych księży, by pytali o zarzuty. Wyjaśnienia dawały rezultaty dodatnie. W moim wypadku nikt mi nie sprecyzował zarzutów, nikt nie pytał o wyjaśnienia, nikt nie starał się konfrontować. Zostałem napadnięty w nocy i wywieziony, chociaż dekret nie mówi o tym, że to właśnie Władze państwowe mają dokonywać wywiezienia. Dlaczego nie zachowano tych elementarnych wymagań, do jakich mają prawo nawet przestępcy, którzy otrzymują akt oskarżenia, obronę, sędziów, możliwość wyjaśnień, ostatecznie - wyrok umotywowany? ”

Mój rozmówca notował sobie moje uwagi, po czym wyjaśnił, że w tej chwili idzie mu o odpowiedź na postawione pytanie.

Prosiłem jeszcze o kilka wyjaśnień.

1. Co do miejsca pobytu: czy może być na terenie moich diecezji*
Odpowiedź: „Oczywiście nie, nie może też być w żadnym mieście”, tylko na wsi, z dala od skupisk ludzkich”. Mam tam żyć wśród innych, i mieć możliwość warunków domowych, o co prosiłem w liście. -
Wyjaśniam, że prosiłem o co innego.

2. Co do pozbawienia prawa wydalania się - uniemożliwi mi to prowadzenie kuracji w Krynicy czy w Zakopanem.

3. Nie rozumiem, jak mógłbym zapobiegać „petycjom i manifestacjom”, nie mając możliwości kontaktowania się z ludźmi. Zobowiązania „za innych” nie mogę składać. Odpowiedź wyjaśniała, że mogę wpływać na odwiedzających mnie, by nie podejmowali takich rzeczy.-

Po tych wyjaśnieniach rozmówca nalegał na udzielenie odpowiedzi. Prosiłem o kilka godzin do namysłu. Ustaliliśmy godzinę 15.00 na odpowiedź.

Po modlitwie doszedłem do wniosku, że nowa sytuacja, jaka miałyby złagodzić izolację, równa się: 1. aprobacie wytworzonej przez dekret sytuacji, aprobacie pozbawienia wolności, domu i pracy; 2. jest zastąpieniem „niewoli bezwolnej” „niewolą dobrowolną”; 3. stwarza warunki, które mogą być okazją do zarzutów i konfliktów z Władzami*
4. klasztorowi, w którym będę umieszczony, skomplikuje warunki życia i narazić może na przykrości; 5. może być okazją do komentarzy w społeczeństwie, budzących zgorzniecie.

Wobec tych i innych racji, udzieliłem o godz. 15.00 rozmówcy następującej odpowiedzi: 1. na złożone przedłożenie nie mogę udzielić odpowiedzi; 2. uważam to za nowy wymiar kary, po dwóch latach więzienia, gdy nie mogłem nowych win zaciągnąć - bo jest to pozbawienie domu, pracy i wolności; 3. proszę Rząd o sprawiedliwość.

Rozmówca oświadczył mi, że to nie jest nowa kara, tylko złagodzenie dawnej.

Odpowiadam: „Przyjmując ją, uznałbym wymierzenie kary bez stwierdzenia winy”.

Rozmówca wstał i oświadczył: „No cóż - zobaczymy się za rok”.

Dodaje: „Jest to groźba!?”

Odpowiedź: „To nie jest groźba”.

Z tymi słowami opuścił mój pokój. - Dodam, że przez cały czas rozmowy wysłannik mianował mnie: „Ksiądz Kardynał” - czy trzeba, czy nie trzeba.

Całą sprawę złożyłem w ręce Matki Najświętszej, w duchu wskazań dzisiejszej liturgii mszalnej (***Dm. Xpost Pent): Iacta cogitatum tuum in Dominum et Ipse te enutriet. De vultu tuo iudicium meum prodeat: oculi Tui videant oequitatem.*** - Wydaje mi się, że inaczej nie mogłem postąpić. Trudno, żebym stał się współpracownikiem Rządu

w sprawie mego ponownego uwięzienia. Miejsce moje, wyznaczone mi przez Stolicę świętą jest przy katedrze biskupiej; nie mogę więc „wybierać” miejsca pobytu, gdy mam obowiązek rezydować przy katedrze.

O decyzji swojej poinformowałem księdza, wyjaśniając mu powody mej decyzji. Zdaje się, że początkowo był zdezorientowany \ nie doceniał motywów mej odmowy. Wydało mu się, że uzyskanie odrobiny wolności dałoby mi możliwość jakiejś pracy dla Kościoła. Po namyśle jednak przyznał, że innej odpowiedzi nie mogłem udzielić, powoli wróciła mu pogoda na twarz i zaczęliśmy dalsze „normalne” życie. Siostrę poinformowałem krótko, że o sprawach, o których mówiliśmy z przedstawicielem Urzędu Bezpieczeństwa, lepiej obecnie nie mówić, gdyż nie są przyjemne. Prosiłem siostrę o zaufanie do biskupa i o modlitwę.

- •

*

Niedziela X po Zesłaniu Ducha Świętego. Złożono mi propozycję, bym wspólnie ustalił miejsce nowego pobytu mego w jakimś klasztorze, bym zobowiązał się do nie opuszczania klasztoru, bym powstrzymał się od wszelkich wystąpień i oświadczeń, bym przeciwdziałał petycjom i manifestacjom. Uchyliłem się od odpowiedzi. - Moje miejsce jest przy Katedrze Gnieźnieńskiej i Warszawskiej - i tylko na ten temat mogę rozmawiać. Nie mogę przecież współdziałać w naradach nad nowym pozbawieniem mnie wolności, nad tym, jak mam zostać dobrowolnym niewolnikiem. Wyrzeczenie się dobrowolnie wolności jest wyrazem upadku moralnego obywatela. Gdybym dziś nie chciał bronić swych praw do wolności, nie umiałbym - gdyby zaszła potrzeba - bronić i wolności Ojczyzny. Tylko taki obywatel umie bronić wolności, który doznaje wolności w swej Ojczyźnie. Obywatel uciskany w swej Ojczyźnie, nie jest zdolny jej bronić.

9. VIII. 1955, wtorek.

Odmowa odpowiedzi na propozycje Urzędu Bezpieczeństwa wywarła wielkie wrażenie na moje otoczenie. Widocznie wszyscy byli przekonani, że propozycje przyjmę skwapliwie. Kierownik zatrzymał księdza zapytaniem: „Co, Ksiądz Prymas zgodził się?” - Ksiądz wyraził zdziwienie. „Na co?” - „No, na wyjazd do klasztoru”. - Zrozumiałem, że moja „zgoda” mogłaby być atutem propagandowym, może nawet dla prasy, może dla przedstawicieli zagranicy, których przebywa w tej chwili w Warszawie, na Festiwalu.

W ogrodzie rozpoczęto wielkie prace przy budowie ścieżki. Widocznie mój rozmówca zaznajomił się z warunkami, w jakich

odbywają się nasze spacer, i polecił wybudować ścieżkę. Na pochyłym terenie zdejmowana jest murawa i sypany żwirowy piach: W ten sposób powstaje ścieżka, którą bardzo szybko zmyje woda, spływając od parkanu i bramy, po zboczu do stawów. Do pracy przystąpili wszyscy mieszkańcy domu, każdy według swych zdolności i właściwości rasy. Nawet komendant przerzucił symbolicznie kilka rydli ziemi. „Pan starszy” oddaje wielkie usługi pracownikom, śledząc ich baczny okiem.

Wielką atrakcją są dla nas gazety, które dostajemy dotąd. Wprawdzie po wizycie z 7. VIII regularność bardzo się zachwiała, ale coś niecoś dochodzi. Otrzymuję więc: *Świat*, *Przekrój*, *Stolicę*, *Problemy* i *Przegląd Sportowy*. Wszystko jest dla nas rewelacją. Cały nowy sposób pisania, przedziwnie „krytyczny” wobec wszystkiego, co dotychczas było nietykalne, aż razi i zdumiewa. Jak to, więc to można dziś mówić, tak bez żenady, o bolączkach w MO, w PGR, wśród zbankrutowanego ZMP? Przecież przed dwoma laty nawet myśleć tak było niebezpiecznie! Coś istotnie zaszło doniosłego w linii taktycznej, skoro „opinia publiczna” doszła do głosu. Wczytałem nawet, wśród wierszy, uwagi na temat: „Nie tłumić krytyki”. Wynika stąd, że dziś robi się to, za co ja od dwóch lat siedzę w więzieniu. Czyżbym lepiej znał ducha komunizmu aniżeli moi dozorczy? Jeżeli wrogami rewolucji dziś są ci, co gaszą krytykę, to chyba znaczy, że ja byłem jej „przyjacielem” od początku i wiedziałem lepiej, co jej służy. - By zrozumieć, o co idzie, czytam tych kilka banalnych pism o deski do deski, nic nie pomijając, nawet ogłoszeń. Wszystko bowiem czegoś uczy i pozwala zrozumieć nowe wiatry w Polsce.

15. VIII. 1955, poniedziałek.

Wniebowzięcie. - „Niewiasta obleczona w słońce” - to pocałunek Księgi Apokalipsy dla Księgi Rodzaju, prawnuczki dla prababki, Omegi dla Alfego. Jak Bóg jest konsekwentny: ukazał naszym rodzicom w raju nadzieję. „Niewiasta zetrze głowę węzła”. - Właśnie Ona, dziś „obleczona w słońce”! Jak długimi okresami myśli władza Bóg, jak wspaniałe jest Jego programowanie! Władca wieków. Tylko ludziom ciągle pilno, bo lata ich ustają. Bóg zaprogramował przed milionami lat. Ale żadne słowo Jego nie będzie odmienione, aż się wypełni. Czuwa nad tym Duch Święty, Ojciec Księgi Rodzaju i Księgi Apokalipsy. Czuwało nad tym Słowo - aby się wypełniło Pismo. Ileż radości wlewa w serce to władztwo Boga nad wiekami, ta wierność obietnicom swoim! Ta przedziwna jedność myśli w planie Bożym jest mocą Sprawy Bożej na ziemi. Tak ciągle przecież oczekujemy sprawdzianów dla użytej Bogu wiary i zaufania. Tak ciągle pragniemy,

by Bóg usprawiedliwił się przed nami: *ut iustificaris in sermonibus Tuis...*

1. IX. 1955, czwartek.

Nieladą sensacją była dziś rozmowa kierownika („Kacza”) z księdzem. Wbrew panującemu zwyczajom kierownik wyciągnął księdza z mieszkania i przemówił doń w sposób zdumiewający: „Proszę księdza, ja już jadę, a na moje miejsce przyjdzie inny. Miałem być z wami do końca, ale od pierwszego muszę być na nowej posadzie. Wkrótce będziecie zwolnieni: Ksiądz Prymas pójdzie do domu i wy też już nie wrócicie do więzienia. Ponieważ teraz są wakacje i Rząd też jest na urlopie, więc trzeba jeszcze poczekać. Pod koniec miesiąca Rząd wróci z urlopu i poweźmie uchwałę w sprawie Księdza Prymasa. Bo to musi przejść przez uchwałę Rządu, po czym Ksiądz Prymas powróci do domu”.

Ksiądz zachował powściągliwą oględność wobec tej wieści. Wyczuwał to kierownik: „Nie wierzy ksiądz”? - Istotnie ksiądz nie wierzył. „Już tyle było różnych pogłosek i żadna się nie spełniła” - odpowiada. - „To się ksiądz wkrótce sam przekona. Przecież wyjdzie ksiądz na wolność i my się tam gdzieś spotkamy, to ksiądz będzie widział, że prawdę mówiłem”.

W tym sensie dość długo kierownik przekonywał księdza, zapewniając go o swej życzliwości, ale ksiądz zbyt długo był częstowany kłamstwem, by mógł w taką „prawdę” uwierzyć. Tym razem kierownik nie czynił żadnego zastrzeżenia, by nic nie mówić Prymasowi. Widocznie zależało mu na tym, bym i ja dowiedział się o tym rychło...

Ksiądz przyszedł do mnie opanowany i powtórzył swoją rozmowę z kierownikiem. Postanowiliśmy na razie zachować treść tej rozmowy między nami dwoma. Całe nasze zachowanie ma być nadal takie, jakby cała rozmowa nie istniała. Będziemy pracować normalnie, spokojnie, systematycznie, unikając podniecenia. Ja napiszę list po książce do domu. Jeżeli ta rozmowa ma być jeszcze jednym chwytem, to niech będzie wiadomo, że chwytamy umiemy należycie oceniać. Zresztą, mamy prawo nie wierzyć, po tylu kłamstwach, jakimi nas co dzień otaczają.

Jedno trzeba przyznać, że od pamiętnej rozmowy mojej z przedstawicielem Urzędu Bezpieczeństwa w dniu 7.VIII br., całe otoczenie nasze jest uprzedzająco grzeczne. Pan komendant czyni wszystko, co może. Zdobywa się na tematy towarzyskie, interesuje się moimi sukcesami w żywieniu ptaków. Przychodzi bardzo uśmiechnięty i wychodzi bardzo zadowolony do księdza. Stwierdzamy to obydwaj. Podobnie wszyscy funkcjonariusze na dole, poczynając od „starszego pana”, są uprzedzająco grzeczni. Prawie ich nie widać, zachowują się

cicho. „Stolik” przy wyjściu jest prawie nieczynny. Dawniej był starannie „zasiedziały”, dziś nikogo nie ma przy stoliku, zniknęły zeń książki, papiery, pióra. A nawet typowe sto złotych, które tu się zjawiało stale, na miejscu publicznym, nie pojawia się więcej. Dyżurny, gdy wyczuje nasze kroki z góry, chowa się w głąb korytarza. - Życzenia zgłaszane, co do wina, hostii, żarówek, są od ręki załatwiane, chociaż przedtem trzeba było czekać na nie tygodniami.

Istotnie, zniknął kierownik; wyjechał z walizkami, co dało się widzieć siostrze. Na jego miejsce przybył jakiś „biedny człowieczek”, bez pozy bohaterskiej i ze skromnymi manierami. Nie pokazuje się też więcej „Eskulap”. Nawiedza nas tylko sam komendant, który przychodzi co dzień.

9. IX. 1955, piątek.

Wręczyłem komendantowi list do Ojca treści następującej:

Najdroższy mój i Najlepszy Ojcze!

Wszystkie listy, życzenia i przesyłki otrzymałem 3. VIII. br. przed południem. Nie umiem tak podziękować za okazaną mi dobroć ze strony Rodziny, jakbym pragnął. Jestem w tym położeniu, że mogę się zdać tylko na pośrednictwo papieru i pióra, a to tak mało znaczy. Przecież nic serca nie wyręczy i uczucia nie zdoła odsłonić. Ale widocznie trzeba je skierować drogą najbardziej właściwą - przez najtrwalszy węzeł nadawczy - Serce Boże. Listy niszczeją, atrament zblednie, a to co wiecznie żyje, zachowa swoją świeżość. Odnaleźć się możemy tylko w modlitwie i dlatego za najcenniejszy dar imienniny uważam modlitwę; tak jestem wdzięczny za każde „Zdrowaś Maryja”, za każdą cząstkę różańca, za każdą Mszę świętą. Zwłaszcza Twoje, Drogi Ojcze, modlitwy, są mi najżywiej odczuwaną pomocą. Przekazałeś mi życie i lękasz się o to, aby to życie było godne. Czyż trzeba Cię zapewniać o tym, że jest to najważniejsza troska moja? Wszak jedno mam tylko życie i nie mogę go niczym przyćmić. O to się módl, Drogi Ojcze, bo Twoja modlitwa jest mi najcenniejszą i jedyną pomocą, jakiej od Ciebie wyglądam. Byś był wolny od lęków i zwątpień - i ja modłę się o Ciebie - zwłaszcza w każdej Mszy świętej i przy trzeciej cząstce różańca, którą odmawiam w intencji Twojej.

Bardzo mnie podnosi na duchu myśl, że samopoczucie Twoje, Drogi Ojcze, poprawia się z dniem każdym; organizm, przyzwyczajony do życia pełnego wysiłków, poradził sobie. Teraz czuwaj nad tym, by utrzymać się w usposobieniu pogodnym i ufnym. Nie poddawaj się zamyśleniom smutnym, które nieznacznie dręczą od wewnątrz

i wyczerpują psychicznie. Żyj chrześcijańską nadzieją, która zawsze pamięta, że Bóg ojcowską dłońią prowadzi sprawy ludzkie. Żyj raczej uczuciem dziękczynienia i uwielbienia Boga, jak nam to wpaja Kościół w *Gloria* - dziękujemy Ci, Boże, za wielką chwałę Twoją. Niech Ci pomagają Psalmy, które są pełne uwielbienia Boga. Gdy człowiek wyzwoli się z małych trosk swoich, ileż zyskuje pogody do zwalczania wielkich cierpień! Posłuchaj sugestii Boga: myśl o Mnie, a Ja będę myślał o tobie.

Nie bierz sobie, Drogi Ojcze, do serca zbyt wielu wiadomości, które czasami posyłam Stasi o moim zdrowiu. Czynieć to tylko dlatego, aby być w prawdzie i oszczędzić Wam domysłów. Wprawdzie potrzeba mi kuracji domowej raczej niż leczniczej, ale nad podziw wytrzymuję warunki mego bytowania i moje dolegliwości znoszę dobrze. Pomaga mi to, że zachowuję pełny spokój i nie myślę o tym, co było, ani o tym, co będzie. Wiele czytam, nieco piszę; ale z pisaniem jest gorzej, gdyż brak mi mego warsztatu pracy. Na pewno tak jest dobrze! Od początku miesiąca sierpnia br. otrzymuję nieco pism tygodniowych (*Stolica*, *Świat*, *Przekrój*, *Problemy*), a więc wiem coś niecoś, co się w druku dzieje.

Cieszę się, że jesteś, Drogi Ojcze, u siebie, że masz przy sobie Julcię i Stasię, że nie jesteś samotny, że tak blisko jest kaplica z Najświętszym Sakramentem, do której możesz zaglądać. - Cieszę się, że masz choć odrobinę pociechy z dzieci Twoich, które mogą okazać Ci swoje serca, jak na to zasługujesz. Ileż powodów do wdzięczności Najlepszeemu Ojcu Niebieskiemu! Wspominając to, odmawiaj sobie często *Te Deum*.

Pozostanę nadal w naszej łączności - w modlitwie - zwłaszcza w czasie Mszy świętej, którą odpawiam o godzinie 7.30 rano. Odpawiłem niedawno Mszę świętą w intencji śp. Jadwigi i często o niej pamiętam. W rocznicę śmierci Mamusi będzie Msza święta; zresztą ciągle o niej pamiętam, gdyż mi wiele pomaga.

Ręce Twoje najdroższe, Ojcze Najmilszy, całuję z oddaniem i uległością synowską; modlitwie się oddaję. Dziękuję za listy - Tobie i Julczce - ślę wszystkim członkom Rodziny słowa przywiązania i błogosławieństwo.

8. IX. 1955.

St. W.

Ukochany Synu mój!

List pisany 8. IX. przeczytano nam 17. IX. Dziękujemy bardzo. Dwa miesiące nie mieliśmy listu, to bardzo długo. Cieszysz nas to, że paczki i listy w porę Ci doręczono. Dzień trzeci sierpnia był dla rodziny wielkim Świętem, tego bowiem dnia polecał mi Bogu i Matce Najświętszej Ciebie, prosząc o zdrowie, wytrwanie i rychły powrót do swoich obowiązków, które na Cię czekają. Ksiądz Władysław odpawił w intencji Twojej uroczystą Mszę świętą, na której było wiele

osób, modlących się gorliwie. Za bardzo pouczające zdania, serdeczne, pełne wyrazu, szczere i godne zastosowania, bardzo dziękuję. Np. zachęta do odmawiania hymnu *Te Deum* była dla mnie przypomnieniem, bym go odmawiał często, co też od tego czasu będę stosował codziennie, gdyż do tego czasu nie zwróciłem na to uwagi. Dziękuję za cząstkę różańca w mojej intencji; ja w myśl dedykacji w mszale, wszystkie moje dobre uczynki i modlitwy każdego dnia ofiaruję za swojego Syna. Co do zdrowia mojego, to nadal czuję się dobrze, boję się przybliżającej zimy, gdyż od paru lat, jak nadchodzi zima, zapadam na zdrowiu. Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup Michał często mi przypomina, bym na zimę, skoro nastana zima, zamieszkał w Warszawie. - Piękne zdanie o znoszeniu cierpień rad bym w swoim życiu zastosować; było ich w życiu dużo, ostatnie jednak nad wyraz ciężkie; ufam Bogu, że i ten krzyżyk przy pomocy Bożej zniosę. Pocięszam się wzmianką o zdrowiu, gdyż o to największa nasza troska, by Dobry Bóg w Twym krytycznym położeniu udzielił Ci tego cennego daru; o to właśnie się wiecznie Bogu naprzykrzamy.

Na uroczystość Matki Bożej Bolesnej byłem z pielgrzymką w Częstochowie; klęcząc przed Cudownym Obrazem Matki Bożej polecałem opiece Matki Najświętszej Ojczyznę, Kościół i całe Duchowieństwo na czele z Tobą, Synu mój, oraz potrzeby rodziny i swoje. - Pierwszy Sufragan prosił o przesłanie pozdrowienia z zapewnieniem, iż w modlitwie pamięta o Jego Eminencji; właśnie w te dni byli tu Księża Biskupi, odprawiając, rekolekcje. - Parę słów o Twoim domu na Miodowej. Historyczna altana nakryta dachówką, ogród uporządkowany, podsiany trawą, zasadzono różne krzewy, obok alejek kwitną przepiękne róże, na klombach dominują kanny, całość przedstawia imponujący widok. Na placu przed pałacem rzucono dwa zieleńce, na których cztery klomby kann i innych kwiatów, budynki, prawy i lewy przepięknie otynkowane, obecnie murarze tynkują front od ulicy. Jak widać, administracja stara się, by było pięknie na przyjęcie Jego Eminencji. - Dziękuję bardzo za Msze święte odprawione za duszę śp. Jadwigi. Julia dziękuje bardzo za Mszę świętą za duszę śp. Mamusi. O innych sprawach dotyczących się rodziny itp. napisze Stasia. Na zakończenie jeszcze raz dziękuję za modlitwę, polecam Cię opiece Serca Jezusowego i Matce Bożej Częstochowskiej, łącząc serdeczne pozdrowienia i miłe ucałowania, wraz z podziękowaniem za pasterskie błogosławieństwo.

S. Wyszyński

14. IX. 1955, środa.

„Ojczy, odpuść im...” Wołanie z krzyża przynagła. Doznawszy najboleśniejszej zniewagi, Święty świętych cały swój stosunek do nie-

przyjaciół i prześladowców wypowiedział w modlitwie do Ojca. Pamiętał, że umiera i za nich. Czyż mógł zamknąć im drogę do owoców Odkupienia? - Taki przykład pozostawił *Sacerdos in eternum*. Czyi może być inny stosunek kapłana do swoich prześladowców! Przecież oni też muszą się zbawić, muszą doznać miłości i łaski Bożej. Któż im to ułatwi? Skoro Bóg nas związał: nieprzyjaciół i kapłanów, to może dlatego, że pragnie modlitwy naszej dla naszych prześladowców. Wszak czynić mamy na wzór Pasterza pasterzy! Zresztą, ci ludzie zazwyczaj „nie wiedzą, co czynią”. Brak im wiary w Boga, brak rozeznania zła i dobra, nie znają Ewangelii, nie wiedzą, czym właściwie jest Kościół, mają jak najbardziej błędne pojęcie o zadaniu i życiu kapłanów, pełni są uprzedzeń, może zgorzeleni przez nas, może pełni gniewu, ducha odwetu, słabości i złych skłonności. W takich kajdanach trudno zachowywać się po ludzku. Wszak to są niewolnicy samych siebie. Godni współczucia! *

Czy moje czyny byłyby lepsze, gdybym żył bez wiary, bez pomocy łaski, bez zasad moralności chrześcijańskiej? A i teraz, tak bardzo ubogacony, czyż sam niekiedy nie zasługuję na zarzut: „Nie wie, co czyni”. Mam wiarę, znam teologię i filozofię, wychowany jestem po chrześcijańsku, życie spędziłem w Kościele, umocniły mnie sakramenty święte, posiadałem kapłaństwo - a jednak?! Czy we wszystkim podobam się Bogu? Czy sam nieraz nie szukam dla siebie przebaczenia, oślanając się słowami Chrystusa: Ojczy, odpuść, bo nie wiem, co czynię... Jakoż daleko więcej prośbę tę mam powtarzać za moich nieprzyjaciół, którzy prawdziwie nie wiedzą, co czynią.

25. IX. 1955, niedziela.

Dziś upływają dwa lata od chwili mego uwięzienia. W ciągu tego czasu doszedłem do niezachwianego przekonania, że cokolwiek Bóg uczynił, „prawdziwym sądem uczynił”. I dlatego lata swoje kończę słowami *Te Deum*... Pochwalam w pełni sprawiedliwość Bożą, która się okazała w tym wszystkim, co na mnie spłynęło. Rozważając całe moje życie kapłańskie, tak bardzo nieudolne, przynaję Ci, Ojczy, słusność, żeś mnie odtrącił od ołtarzy i od ambony. Dziękuję Ci, żeś stanął w obronie Kościoła, że go bronisz przede mną; że bronisz świętości ołtarzy swoich przed moją niegodną służbą; że bronisz owczarni swojej przed tak lichym pasterzem. Jestem Twoim sprzymierzeńcem w tej walce Twojej przeciwko mnie, i to szczerym. Możesz więc toczyć boje przeciwko mnie, Ojczy, będę Ci pomagał przeciwko sobie samemu. *Rectum iudicium Tuum*... Jesteś w pełni prawa... I za to bądź pochwalony.

Najbliższe dni spędzę w duchu dziękczynienia-, złożę Ci w darze wszystkie modlitwy moje, by uwielbić Tróję Świętą hymnem

pochwalnym. A gdy uwielbiam Twoją sprawiedliwość, nie mogę ukryć znaków miłosierdzia Twego, którymi wypełniłeś te dwa lata mojego życia więziennego. Jeżeli czego mam żałować, to tylko tego, że nie zawsze byłem zdolny wykorzystać ogrom Twego miłosierdzia. Pozwól, bym nadal wiódł życie pełne oddania Tobie: *tacere, adorare, gaudere*. - Swoje życie więzienne zacząłem z Tobą, Matko Różańcowa, p „rózańiec” prosiłem gromadkę wiernych, gdym żegnał ich przed Świętą Anną. Zachowaj mnie wiernym Twojemu różańcowi. *Refugium peccatorum - ora...*

15. X. 1955, sobota.

Ostatnie dni były dość ożywione w naszej ciszy kartuzjańskiej. Naprzód, dnia 9. X. br. otrzymałem list od Ojca, siostry Stanisławy Jaroszowej i cztery paczki z książkami i żywnością. Przysłyły książki, które bardzo pragnąłem mieć, a o które nie wiedziałem, jak w liście poprosić. Zauważyłem już kilka razy, że istnieje między mną a moją rodziną jakiś węzeł komunikacyjny, który - na szczęście - nie poddaje się cenzurze. Są takie sprawy, o których wystarczy pomyśleć, aby się spełniły; ale są i takie, o które trzeba długo się modlić, a brak na nie odpowiedzi.

Wskutek przeziębienia uformował mi się na twarzy dość duży wrzód, którego nie mogłem domowymi sposobami opanować. Zmuszony byłem prosić o pomoc lekarską. Odpowiedź, tym razem, otrzymałem bardzo szybko. Ustalono, że wieczorem, dnia 13. X. udamy się do kliniki, do Opola. Wjazd nastąpił o godzinie 23.30. Zabieg miał miejsce w klinice wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Lekarz, który zaopatrywał mnie, przybył z Warszawy. Przy zabiegu była obecna jakaś młoda pani, w charakterze siostry. Lekarz był rozmowny, pani „uśmiechająca się”. Nasz komendant, który mi towarzyszył, był „za pan brat” z lekarzem, człowiekiem pełnym tupetu i poczucia swej pozycji. Wszystkie okoliczności „bezpieczeństwa”, o których już dawniej pisałem, i tym razem były bardzo starannie przestrzegane. Osłona nocy, pustka na ulicy, na dziedzińcu kliniki, na schodach i korytarzach - na dawną modłę - zabezpieczyły dyskrecję. Wizyta powtórzyła się dnia następnego, w godzinach 18.00 - 20.00. Tym razem lekarz był sam, bez pomocy siostry, jakkolwiek zawsze w towarzystwie pana komendanta i „starszego pana”. Obydwaj byli troskliwi i grzeczni. Miałem możliwość nawet przejrzeć pismo *Świat*, leżące w poczekalni. Widocznie tu już wiadano, że Jest mi dozwolone wiedzieć”, co w niektórych pismach się pisze. Tym razem i lekarz był „wychodzący”, skłonniejszy niż jego poprzednicy, do akcentów „ludzkich” w administrowaniu upaństwowionego zdrowia i środków leczni-

czych. Jednak żeby być uleczonym, muszę skorzystać z pomocy „ustroju”. Jakie to dziwne i jakie to proste!

Wracaliśmy nocną porą, w milczeniu. Moi towarzysze domowi wyczekiwali na mój powrót i szczerze ucieszyli się widząc, że już jestem. Poprzedniej nocy czuwali, aż wróciłem. Gdy im czyniłem wymówki, że nie poszli spać, bardzo się dziwili, że mogliby to uczynić pod moją nieobecność. Ilekroć wracałem z Opola do swojego „kła-sztoru”, gdy z ciemności nocnych wyłaniał się odrutowany parkan, odbierałem wrażenie, jak gdyby „moja szuflada” znów była wsuwana głęboko do jakiegoś przepastnego biurka. I oto znów, w. ciszy i odosobnieniu, mam tu trwać, nie wiedząc, jak prędko ta brama otworzy się ponownie. A jednak i tym razem szofer był z Warszawy. Bodaj ten sam, który wywoził mnie z Miodowej.

Dzisiaj szkicowałem sobie odpowiedź Ojcu na jego list z dnia 1. X. br.

Najdroższy i Najlepszy mój Ojcze!

Pragnę podziękować za list z 1. X. doręczony mi 9. X. br. i za wszystko, co w nim zawarte. Wybrałem dzień dzisiejszy na odpowiedź, by od razu donieść, że o rocznicy śmierci Mamusi pamiętałem i odprawię Mszę świętą: jedną 25. X., drugą 31. X., a trzecią 2. XI. Jestem przekonany, że Mamusia już raduje się szczęściem w niebie: Dobry Bóg bowiem wszystko starannie oblicza - i niełatwe życie ludzkie, i modlitwy, które są zanoszone, a lubi łaski przyspieszać. Chciałem też zapewnić, że pamiętam o Babuni Katarzynie; często przypomina mi się ta chwila, gdym widział ją ostatni raz i otrzymałem stanowczą zachętę, bym był przykładnym kapłanem. Wspominam to jako największą łaskę Bożą. Rzecz zniemienna, jak takie chwile są trwałe. Kiedyś wyczytałem; by nigdy nikomu nie odmawiać, gdy nas o coś proszą, bo przyjdzie chwila, w której nie będziemy mogli odżalować odmowy naszej; i to jest wielka prawda - zwłaszcza wobec zmarłych, bo im już nie można naprawić przykrości wyrządzonej - pozostaje jedna modlitwa. Na szczęście modlitwa jest takim darem, którego uczyć się nie trzeba; wystarczy chcieć się modlić - a przychodzi. Z jej pomocą najłatwiej jest regulować wszystkie sprawy i zobowiązania; na modlitwie najłatwiej nawiązać kontakt z najbliższymi i zyskać spokój o ich losy. Podobnie jak najłatwiej wywdzięczyć się za okazane dobro. Gdy nadchodzą cierpienia i udręki, również modlitwa pomaga pokonać ich ciężar, gdy składamy Bogu w Jego Ojcowskie dłonie wszystko, co boli.

Bardzo się cieszę, że Twój stan zdrowia, Drogi Ojcze, jest lepszy; proszę skorzystać z przyjaznej rady Księdza Biskupa Michała i przenieść się na zimę do miasta. Bardzo jestem mu wdzięczny za okazywaną Ci, Ojcze, opiekę, której ja nie mogę pełnić nad Tobą,

choć to mój obowiązek. Ale Bóg nie pozostawi Cię i nadal bez życzliwych ludzi, gdyż On pierwiej troszczył się o Ciebie, niż Twoje, dzieci. Mam zwyczaj często modlić się za tych ludzi, którzy okazują Ci swoją dobroć. Przychodzi okres jesiennych szarug, które zazwyczaj znosisz, Ojcze, bardzo źle; proszę bardzo, uważaj na siebie i nie narażaj się na przeziębienia i katary. Ograniczaj zbędne przejazdy i wędrówki po mieście.

W zeszytcie *Stolicy* z 23. IX. br. oglądałem zdjęcia fotograficzne fasady Katedry Świętego Jana. Bardzo się ucieszyłem z podjętych prac, jak również tym, że ostatecznie przyjęto rozwiązanie profesora Zachwatowicza. Jeśli kiedy dopisze pogoda, proszę odwiedzić Katedrę, pomodlić się na grobie śp. Kardynała i w kaplicy Najświętszego Sakramentu i opisać mi w liście - jeśli to będzie możliwe - jak wygląda wnętrze. Ufam, że przez ostatnie dwa lata prace posunęły się naprzód. Bardzo dziękuję za wiadomości o stanie prac przy Domu; mam obawę, czy aby to wszystko nie wygląda zbyt pokazowo, w porównaniu z otoczeniem. Zachowanie równowagi jest cnotą dyskretnie społeczną, zwłaszcza w takich warunkach, w jakich znajduje się dźwigane z gruzów miasto. Jest wiele kościołów, jak na przykład Święty Florian, którym przydałaby się pomoc na mury.

Proszę Juleczkę, by w każdym liście Tatusia dopisała żywą ręką krótki swój biuletyn zdrowia, czego mi zazwyczaj brak. Gdyby zaś dodała słówko o Tadziku, byłbym szczerze wdzięczny, tym więcej, że myśl o jego z*drowiu stale mnie prześladowuje.

Wielce radowałem się tym, że Tatus mógł być na Jasnej Górze i modlić się w kaplicy Matki Bożej.

(nie wysłany).

25. X. 1955, morek.

Choćbym się ujrzał na dnie piekieł w obliczu szatana, królującego w całej chwale swojej i potędze nieludzkiej, to jeszcze Królem mego serca będziesz Ty, Chryste, ubiczowany, sponiewierany i ukrzyżowany. Twoje wzgardzone Królestwo stawiam sobie wyżej, gdy je dziś rozważam, niż największą chwałę królestwa ciemności.

Gdybym miał dziś wybrać drogi życia mego na nowo, wybrałbym z najwspanialszych bram tę, która prowadzi do kapłaństwa, choćbym w głębi tej drogi widział przygotowaną dla siebie gilotynę.

Gdybym miał do wyboru: posiadać na własność bibliotekę Muzeum Brytyjskiego, czy też jeden mszalik, wybrałbym mszalik.

Gdybym miał nadzieję odzyskania wolności za cenę najdrobniejszego upokorzenia Kościoła, wybrałbym dozgonną niewolę.

Wierzę w żywot wieczny, a więc w życie, które się tylko odmienia, a nie ustaje; mam przeto wiele czasu i wiele cierpliwości.

26. X. 1955, środa.

Dążyć do wewnętrznego uciszenia: zachować pełną ciszę w ciągu godzin pracy, które spędzam w swoim pokoju, unikając kontaktu z otoczeniem. Podnieść wydajność pracy piórem.

Częściej mam powtarzać Dobremu Ojcu - by w pełni widział, jak uległy jestem Jego woli - że sprawiedliwość Bożą czuję nad sobą i uznaję ją umysłem i wolą. Pragnę poddać jej swoje serce, by uczucia były zgodne z postawą rozumu i woli. Jestem po stronie sprawiedliwego Boga rozumem i wolą; chcę być po stronie Boga sprawiedliwego - sercem, przeciwko sobie.

Tobie, Chryste, przyznaję pełne prawo do mej radości i cierpienia. Kapłaństwo, którym uczestniczę w Twoim kapłaństwie, wymaga, bym ofiarował swoje cierpienia wraz z Twoimi, bym Tobie współczuł. Skoro Kościołowi Twemu potrzebne jest moje cierpienie, pragnę uległy Twjej woli. Chcę poświęcić swoje dobro osobiste dobru Kościoła. Im gorzej stoją moje sprawy osobiste, tym lepiej jest dla Kościoła. Moje cierpienie ośłania Kościół przed złośliwością nieprzyjaciół Boga. Jestem łupem, który odwraca uwagę wilków, który zapycha gardła ich i nie pozwala gryźć innych. Czuję to dobrze, jak moje uwięzienie kępuje ręce nieprzyjaciół Kościoła, którzy dotąd wszystko zło na mnie składali. Być może *prudencia carnis* ulżyłaby mojej sytuacji, ale nie chcę z niej korzystać, by nie pogarszać sytuacji Kościoła. Dodaj siły, Nauczycielu i Wodzu, bym dochował wierności tym myślom.

28. X. 1955, piątek.

O godzinie 17.30 odwiedził mnie komendant domu, przepraszając za przyjście „w niezwykłej porze”. Oświadczył, że przybył przedstawiciel Władz państwowych z Warszawy i rad by się widzieć ze mną. Odpowiedziałem, że nie mam żadnych przeszkód po temu. Wkrótce wszedł do mego pokoju wysoki mężczyzna o nieco nieskoordynowanych ruchach i wyraził życzenie rozmowy. W rękę trzymał teczkę papierową. Zająwszy miejsce przy stole, wyjął z teczki papier i oświadczył, co następuje: Rząd powziął decyzję o zmianie warunków mego bytowania - według zarządzenia, które odczytał.

Urząd do Spraw Wyznań.

Warszawa, 27. X. 1955 r.

Zarządzenie

Zawiadamiam, że Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zezwolił Księdzu Arcybiskupowi Stefanowi Wyszyńskiemu na zmianę wy-

znaczonego dotychczas miejsca pobytu i na zamieszkanie w klasztorze Sióstr Nazaretanek w Komańczy, powiat Sanok, bez prawa opuszczenia nowego miejsca pobytu.

W razie jakichkolwiek prób wykorzystywania możliwości stykania się dla akcji antypaństwowej, w stosunku do winnych wyciągnięte będą konsekwencje.

Zawarty w uchwale nr 700 Prezydium Rządu z dnia 24. IX. 1953. zakaz wykonywania funkcji, wynikających z piastowanych poprzednio stanowisk kościelnych oraz zakaz jakichkolwiek wystąpień publicznych, pozostaje w mocy.

Dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań
(Marian Zygmantowski)

Po odczytaniu prosił o dokładne rozważenie tekstu i o odpowiedź. Zapytałem wobec tego, co mam rozumieć przez „miejsce pobytu”. Urzędnik oświadczył, że idzie o całą miejscowość Komańczę, po której będę mógł chodzić, ale nie mogę wsiąść w samochód i wyjechać dalej. Dodał nadto: „Proszę zebrać swoje rzeczy, gdyż jutro o godzinie 6 rano nastąpi wyjazd samochodem do nowego miejsca pobytu”. Zapytałem jeszcze, co się stanie z księdzem Stanisławem Skorodeckim i siostrą Leonią Graczyk, moimi towarzyszami więzienia. Oboje są chorzy i wymagają opieki domowej. Urzędnik wyraził zdziwienie, że siostra jest też chora, po czym dodał: „Oboje będą zwolnieni, zwłaszcza że o księdza podjęte były starania przez jego ojca. Tym więcej, że Rząd, korzystając z amnestii, zwolni teraz większość kapłanów, z których wielu ma zbyt surowe kary. Taka jest obecnie linia postępowania”.

Zapytałem, czy mogę dokonać odpisu zarządzenia. Urzędnik wyraził zgodę. Widocznie wyczuł moje wątpliwości co do znaczenia zarządzenia Rządu, gdyż wydobył z teczki inne pismo - list biskupa Michała Klepacza, jako przewodniczącego Konferencji Episkopatu, do prezesa Rządu - i pozwolił mi go odczytać. List ten w oryginale, upewnił mnie, że wchodzi w grę inicjatywa Episkopatu, mająca na celu wydobyć mnie z obozu, w którym przebywam od 2 lat, i uzyskać lepszych warunków bytowania. Nadto urzędnik przedstawił mi odpis warunków, które Episkopat przyjmuje na siebie, w zamian za moje uwolnienie z izolacji. Obydwa teksty przewidywały możliwość widywania się mojego z Ojcem, siostrami i bratem, oraz z biskupami Klepaczem i Choromańskim. Zapytałem o wyjaśnienie bliższe, co do możliwości widywania się z ludźmi, tym więcej, że bardzo niemiłe wrażenie zrobiła na mnie sugestia zarządzenia, jakobym mógł wykoryzystać „możliwość stykania się dla akcji antypaństwowej” i zapowiedź konsekwencji w stosunku do winnych. Wyjaśnienie urzędnika wskazywało, że wszyscy biskupi, którzy tego będą pragnęli, będą mogli się ze mną widywać. Wyczułem też, że inni ludzie będą mieli swobodny dostęp do mnie.

Zważywszy te wyjaśnienia, nie podniosłem już merytorycznych zastrzeżeń co do pozostałych ograniczeń wolności. Dodałem tylko, że podnoszone były przeciwko mnie różne zarzuty i nie wiem dotąd, czy i one są pojęte jako „akcja antypaństwowa”. Urzędnik oświadczył: „Rząd zaprosił księży biskupów i wyłożył im wszystkie zarzuty, jakie ma przeciwko Księdzu Arcybiskupowi. Biskup Klepacz, który odwiedzi w najbliższych dniach Księdza Arcybiskupa, wszystko to wyłoży. On też udzieli wyjaśnień co do dalszych warunków bytowania Księdza Arcybiskupa”. Wobec takiego oświadczenia nie podnosiłem dalszych wątpliwości, jakie budziło we mnie nowe zarządzenie. Wolałem rozmawiać z biskupem niż z urzędnikiem, którego wiadomości były odmierzone. Oświadczyłem: „Panowie zrobicie ze mną to, co postanowiliście, jak to czyniliście dotąd”. Urzędnik poprosił, by napisać na zarządzeniu: „Przyjmuję do wiadomości”. Napisałem: „Czytałem - Stefan Kardynał Wyszyński. 28. X. 1955 r.”. Urzędnik zapewnił mnie, że moje otoczenie wyręczy mnie w zebraniu moich rzeczy, po czym opuścił pokój.

Pierwszej wiadomości udzieliłem księdzu Stanisławowi, który właśnie odprawiał Drogę Krzyżową. Był bardzo wzruszony, chociaż opanowany. Postanowiliśmy przystąpić po wieczery do likwidacji naszego gospodarstwa. Zachodziła wątpliwość, co zrobić z kaplicą. Byłem gotów zostawić wszystko, by ksiądz mógł odprawiać Mszę świętą, zanim będzie zwolniony. Ale ksiądz wkrótce otrzymał zapewnienie drugiego zastępcy, że po powrocie komendanta wyjedzie do domu, wobec czego nie ma potrzeby nic zostawiać. „Co więcej - oświadczył - trzeba wszystko zabierać, gdyż dom ten ulega likwidacji”. Siostra Leonia przyjęła wiadomość bez zdziwienia; dłuższy czas milczeliśmy wszyscy. Przypominało mi się oświadczenie przedstawiciela KB z 7. VII. br.: „Zobaczymy się za rok”.

Tak więc Rząd sam, bez mojego współdziałania, zarządził częściową zmianę uchwał wyjątkowych, stosowanych do mnie od dwóch lat. Dzieje się to bez mojej zgody: jestem nadal tylko obiektem samowolnych poczynań Rządu. Jestem świadom, że nie wolno mi wchodzić w jakiegokolwiek układy co do miejsca mego pobytu, gdyż obowiązkiem moim jest być przy Katedrze i Owczarni. Poczuję się wolny dopiero wtedy, gdy wrócę na Miodową. Nowego zarządzenia nie mogę uważać za przywrócenie mi możliwości pracy i naprawienie krzywdy wyrządzonej. Pogwałcenie jurysdykcji kanonicznej jest nadal stosowane.

Po wieczery odprawiliśmy ostatnie nasze wspólne nabożeństwo. Kończyliśmy nowennę ku uczczeniu Chrystusa Króla. Uświadomiliśmy sobie łaskawość Ojca Niebieskiego, który dał znak swej dobroci właśnie w tym, że okazał moc swoją nad nami w czasie tej nowenny. Nadto mogliśmy stwierdzić, że prawdziwie „od wieków nie słyszano”, aby ktokolwiek nie był wysłuchany, gdy zwraca się do Matki Najświętszej. Od dawna trwalimy na modlitwie do Matki Bożej Jasnogórskiej,

Matki Nieustającej Pomocy. Nic tak wewnętrznie nie uspokaja, jak modlitwa przez Maryję. Ile odprawiliśmy Mszy świętych, prosząc o łaskę powrotu do obowiązków naszego powołania. Niekiedy zdawać by się mogło, że prośby nie są wysłuchane; ale nigdy modlitwy nasze nie były bez śladu w duszy, nigdy nas nie opuszczała ufność i spokój. Modlitwa ostatniego roku, tu w Prudniku, była raczej modlitwą dziękczynną niż błagalną. Stwierdzamy, że modlitwa uwielbienia przynosi więcej radości i mocy niż modlitwa błagalna.

Zawarliśmy umowę z Matką Najświętszą, by łaska, której oczekujemy, była udzielona w sobotę lub w miesiącu Maryi. Byliśmy gotowi pozostać nawet dłużej w więzieniu, byleby tylko okazało się nad nami Boże miłosierdzie tak, by było ku chwale Maryi. Bóg okazał swą delikatną dobroć, bo pierwszy dzień wolności będzie nie tylko w różańcowym miesiącu Maryi, ale nadto w dzień *Sanctae Marice in sabbato*, który właśnie jutro przypada.

28. X. 1955, piątek.

Z Twoim różańcem w rękę, czekam, Maryjo, na uroczystość Królewskiego Syna Twego. Pomóż przygotować serce, wołę i myśli. Wszystko mam przez Ciebie; pragnę, by hołd, należny Królowi, szedł przez Ciebie przed tron Króla mojego.

1. Gdy patrzę na mękę Ogrójca, zdumiewam się posłuszeństwem Potęgi Królewskiej wobec Ojca. Ale nie masz królestwa bez posłuszeństwa. Pragnę go dla siebie, by uwielbić Króla.

2. Władcy wkładają wspaniałe płaszcze koronacyjne. Twój Syn, Maryjo, okrył się płaszczem własnej Krwi. Jego ubiczowane ramiona są najcenniejszą ozdobą. Ze czcią klękam na posadzce pretorium, by złożyć hołd strzępom królewskiego płaszcza Krwi, z Ciebie wziętej. Jak gdybym wargi wpił w kielich mszalny.

3. Jedyna to korona, która wyciska Krew z czoła Władcy. Wszyscy inni wyciskają krew z poddanych. Tylko Twój Syn ich oszczędza. Ale natomiast nie oszczędza siebie. A jednak ułamek ciernia z tej korony jest mi droższy niż wszystkie korony świata.

4. Za którym to królem poszły takie rzesze dźwigających krzyż? Lud chodzi za władcami - triumfatorami. Tylko za Tobą, Chryste, idą rzesze, gotowe cierpieć. Jakże niezliczone są szeregi Twych wyznawców krzyżowych!

5. Szubienicę zamieniłeś na tron. Widzimy trony, zdobne w złoto, i drogie kamienie. Władcy znają swą cenę i dlatego coś dodają, by zyskać na wartości. Jedyne Ty, Chryste, odrzuciłeś wszystko. Sam jesteś najwyższą wartością nagiego drzewa krzyża. Ten tron stał się chwałą świata.

KOMAŃCZA

29. X. 1955, sobota.

Prudnik Śląski - Komańcza. Msza święta dziękczynna do Matki Bożej Jasnogórskiej o godzinie 4.30 i druga - do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, były ostatnimi aktami naszej wspólnej modlitwy. Życie trojga ludzi, dwuletnie, upłynęło nam w modlitwie. Chociaż byliśmy ofiarami przymusu, zdołaliśmy wytworzyć chrześcijańską wspólnotę, wolną od wewnętrznego przymusu, pełną spokoju i pogodnego współżycia. Życie to upływało niezwykle szybko. Porządek dzienny nie ulegał zmianom i był zachowany z dokładnością więcej niż zakonną:

5.00 Wstanie.

5.30 **Prima** i modlitwy poranne.

5.45 Rozmyślanie (zazwyczaj podawałem sam punkty, na tle Roku Liturgicznego).

6.15 **Angelus Domini.** Przygotowanie do Mszy świętej.

6.30 Pierwsza Msza święta - niekiedy śpiewana, gregoriańska, zwłaszcza w Adwencie i w większe święta.

7.15 Druga Msza święta. Dziękczynienie.

8.15 Śniadanie.

8.45 Godziny brewiarzowe, cząstka różańca (niekiedy w ogrodzie).

9.15 Praca przy książce.

11.15 Nawiedzenie kierownictwa.

13.00 Obiad. **Adoratio Sanctissimi.**

13.30 Spacer i czas wolny.

15.00 Nieszpory i cząstka różańca - zazwyczaj w czasie spaceru.

15.30 Praca przy książce.

18.15 **Matutinum cum Laudibus.**

19.00 Wieczera. Lektura niemiecka.

20.00 Różaniec w kaplicy i modlitwy wieczorne. Śpiewy kościelne.

20.45 Praca, lektura, spoczynek.

Ten codzienny porządek ulegał w niedziele i święta zmianom o tyle, że po południu o godzinie 15.00 zbieraliśmy się na wspólną

„kawę” i lekturę. Te „akademie” miały za temat różne sprawy; wykłady mariologiczne, z zakresu historii sztuki religijnej, lekturę (*Dzieje duszy*, Ricciotti, Sienkiewicz, Parnicki, Historia Kościoła, K. Michalski). W okresie Bożego Narodzenia śpiewaliśmy całymi go. dzinami kolędy; uczyliśmy się też śpiewu gregoriańskiego.

W uroczystość Bożego Narodzenia - urządzaliśmy wspólną wigilię, z opłatkiem i grzybami, nawet z choinką. Odprawialiśmy o północy Pasterkę. W Wielkim Tygodniu były „nabożeństwa” wielkie, w części zmodyfikowane przez brak celebr. Niekiedy śpiewaliśmy obydwaj *Matutinum cum Laudibus*. Przyjeliśmy za zasadę: zrobić wszystko co można, by nie odbiegać od życia Kościoła świętego; utrzymać najściślejszą łączność z modlitwą publiczną Kościoła, poczynając od rannego rozmyślenia, aż do wieczornej modlitwy. Ta czujność wprowadziła wielkie urozmaicenie do naszego życia i wzbogaciła modlitwę.

Wyjazd nastąpił p godzinie 6.00; droga wiodła przez Katowice, Kraków, Tarnów, Jasło, Sanok. W dwóch „warszawach” jechał nieznan mi osobnik, z władczymi manierami, które często w drodze ćwiczył wobec kierowcy prowadzącego wóz, którym jechałem. Moim towarzyszem był komendant, który przez dwa lata był razem ze mną. Zachowywał się bardzo uprzejmie, nawet podejmował rozmowę i rozwodził się o „Katedrze stalinogrodzkiej”, którą właśnie w niedzielę miano konsekrować. Raz tylko zatrzymaliśmy się w drodze na krótki postój w lesie, z zachowaniem wszelkich wskazań ostrożności i dyskrecji.

Do Komańczy przybyliśmy o godzinie 15.30. Na spotkanie wybiegła jakaś pani, która - jak się później okazało - przybyła tu dziś rano, aby uprzedzić siostry o moim przybyciu i przygotować mieszkanie. Wszystko było czynione w ostatniej chwili. Siostry były zaskoczone zapowiedzianym przyjazdem i w widoczny sposób zdezorientowane. Dość długo czekaliśmy na korytarzu, zanim się ktoś pokazał. Wyczułem, ile już musiały usłyszeć, skoro straciły tak zwyczajną w zakonie prostotę wobec przybywającego biskupa. Delegacja warszawska, złożona z mężczyzny i niewiasty, przybyła tutaj dziś rano i żywo interesowała się szczegółami mojego przyszłego bytowania w Komańczy. Wreszcie nadeszła jakaś siostra, która bez słowa przywitała mnie i poszła dalej. Minęło jeszcze kilka minut; mój towarzysz niecierpliwiał się w widoczny sposób. W końcu nadeszły dwie siostry, z których jedna była przełożoną domu, dotąd mi nieznaną. Wprowadzono mnie na górę do obszernego pokoju, w którym nareszcie pozostałem sam. Jestem więc ostatecznie „w klasztorze”, o którym od dwóch lat głośno komunikaty rządowe. Tym razem klasztor jest „z prawdziwego zdarzenia”. Obszerny dom, prowadzący normalne, życie klasztorne, z prawdziwymi siostrami zakonnymi, które nie są więźniarkami, i z własnym, zakonnym trybem życia.

Dowiedziałem się od siostr, że dopiero dziś rano zjawiła się nagle przed domem „warszawa”, z której wysiadło dwoje ludzi, i oświadczyli 0 moim przyjeździe. Oboje obejrzel starannie dom, wybrali pokój na pierwszym piętrze, polecili go urządzić. Domagali się też urządzenia kaplicy, uparczywie dowodząc, że „Kardynał musi mieć własną kaplicę”; widocznie wyczytali o tym dość niedokładnie w Kodeksie Prawa Kanonicznego. Siostry były tak jeszcze podniecone tym, co na nie spadło, że normalna wymiana zdań była bardzo trudna. Moi konwojenci zajęli się odżywianiem i wypoczynkiem. Przyniesiono moje walizy i kartony z książkami. Wszyscy panowie zachowali się grzecznie. Z zespołu prudnickiego byli wśród nich: komendant (pułkownik), jego zastępca, tzw. „Mo-mo”, i nieznan mi konwojent. W aucie ciężarowym było kilku mężczyzn z Prudnika, których jednak nie rozpoznałem.

O godzinie 17.00 „nieznany” wszedł do mego pokoju i oświadczył mi: „Od tej chwili opieka nasza nad Księdzem Arcybiskupem się kończy i przechodzi do Episkopatu Polski”. Zapytał też, czy nie mam jeszcze jakichś życzeń. Prosiłem o wyjaśnienie, co mam rozumieć przez „miejscowość Komańcza”, by wiedzieć, jaką mam swobodę ruchu. Zrozumiałem z wahań w odpowiedzi, że mogę odbywać spaceru na wszystkie strony, po lasach i górach, natomiast nie mogę wsiąść w auto i wyjechać. Próbowiałem żartować: „Już dalej nie mogliście mnie zawieźć”. „Owszem - odpowiada konwojent - można jeszcze jechać do powiatu przemyskiego”. - „O ile wiem, to Przemysły leży stąd na północ”. Pytałem jeszcze, co mam czynić na wypadek choroby, potrzeby konsultacji lekarskiej, czy też dentystycznej. „W tej sprawie - pada odpowiedź - należy zwrócić się do biskupa Klepacza”. Zrozumiałem, że odtąd życie moje zależy od biskupów, wobec czego nie podejmowałem nowych pytań.

Krótkie, dość władcze „do widzenia” oznaczało, że konwojent spełnił swe zadanie. Udzieliłem mu absolutorium równie krótkim: „Żegnam pana”. Od tej chwili poczułem się wolny od policyjnej izolacji. Jaka formę przybierze ona dalej, przyszłość pokaże. Byłem i jestem skłonny myśleć, że to nie koniec, że ta „forma” istnieje. Trzeba jednak cierpliwości, by ją rozpoznać. To, co się zaczęło, jest tak nowe i odmienne od dotychczasowych warunków bytowania, że jest wielką ulgą, którą można uważać za niewątpliwą łaskę Bożą.

Ujmę ją w takim wrażeniu: w ciągu dwóch lat prosiliśmy we troje o łaskę powrotu do pracy, do której jesteśmy powołani. Od roku szczególnie modliliśmy się o to, by łaska wolności, jeśli przyjdzie, dotknęła nas w dzień sobotni, albo w miesiącu poświęconym Matce Najświętszej. Dobrotliwy Ojciec w swej delikatności okazał znak, że modlitwy nasze były Mu miłe, skoro okazał ulgę nie tylko w różańcowym miesiącu, ale właśnie w dzień, w którym przypadło *Officium Sanctae Marice in sabbato*. Co więcej, Dobry Ojciec chciał, by stało się

to w przeddzień uroczystości Chrystusa Króla. Nie sposób nie myśleć, że Boży Wódz skinał berłem swej władzy i upomniał się o dzieci swoje. Te znaki łaski każą ufać, że dzieło podjęte będzie doprowadzone do końca Bożą mocą. Pragnę raz jeszcze wyrazić swoją gotowość na wszystko: z całym spokojem ufam mądrości i dobroci Bożej. Czy Bóg zaprowadzi mnie stąd do mych osieroconych Katedr, czy też zażąda nowych wyrzeczeń i ofiar? Wiem, że wszystko uczyni na większą chwałą swoją i Kościoła umiłowanego Syna swego.

30. X. 1955, niedziela.

Uroczystość Chrystusa Króla.

Msza święta przy „normalnym” ołtarzu, z prawdziwym portaty-lem, wśród normalnych ludzi, śpiewających w sposób swobodny pieśni. Składam Bogu dzięki za wszystko, co było, wyrażając gotowość na wszystko, co będzie. Ponieważ nie wolno mi czynić „wystąpień publicznych”, dlatego uroczystej sumy mogłem wysłuchać na chórkę kaplicznym. Radowałem się widokiem modlącego się Ludu Bożego, który dość licznie przybył na nabożeństwo. Odprawia miejscowy ksiądz proboszcz. Za wielką łaskę poczytuję sobie, że mogłem brać udział, przynajmniej w tej formie, we wspólnym hołdzie Królowi Wieków, Nieśmiertelnemu i Niewidzialnemu Bogu...

Pragnę rzucić okiem na rok spędzony w Prudniku. Choć okoliczności zasadniczo się nie zmieniły, to jednak „atmosfera” Prudnika była inna niż atmosfera Stoczka. Być może, jest to wrażenie płynące z oswojenia się z ludźmi i ich metodami postępowania. Bądź co bądź ludzie Urzędu Bezpieczeństwa są nowym rodzajem ludzi, nie spotykanym w normalnych warunkach życia; trzeba ich rozeznaczyć i przyzwyczaić się do wielu rzeczy, by „normalnie” ich trawić. To przyzwyczajenie się może łagodzić przyjmowanie stylu „ubowców”. - Przyjąwszy nawet to, że przyzwyczailiśmy się do ludzi nas otaczających, jeszcze nie wszystko było dla nas jasne.

Gdy idzie o stosunek do mnie, to muszę przyznać, że tylko moja skłonność do mówienia prawdy i przekonywania ludzi odmiennego stylu, doprowadzała do wymiany słów. Zresztą, były to raczej monologi, których wysłuchiwało spokojnie (poza wypadkiem „Kacza”), unikając polemiki. Gdyby nie moja „inicjatywa prywatna”, mógłbym milczeć cały rok, o nic nie pytany, poza „rytuałem” nawiedzeń. Moi panowie skazali mnie na pełną izolację od wszystkiego, nawet od najskromniejszych, zdawkowych form grzeczności. Zresztą, przekonałem się o tym, poczynając od marca bieżącego roku, gdy zamilknąłem zdecydowanie, nie otrzymawszy odpowiedzi na prośbę o widzenie mego chorego Ojca. Od miesiąca marca milczeliśmy

absolutnie, tak że jeden z panów wyraził się do księdza: „Nieszczęście, że obie strony wzięły na upór”. - Pomimo tego milczenia oficjalnego, przygodna wymiana uprzejmości była naturalniejsza. Dyżurni na dole nie unikali nas; zwłaszcza „pan starszy” chętnie dzielił się swoimi wrażeniami o pogodzie, o zdrowiu i starości, o swoich sukcesach artystycznych. Wiedzieliśmy, że urządza niekiedy „popisowe numery”, obstawia stół swoimi produktami laubzegi, rozkłada malowidła, chcąc zwrócić uwagę i nawiązać rozmowę. Wydaje mi się, że stawał się bardziej ludzki i naturalny. Patrzyło mu z twarzy lepiej. „Eskulap” nic się nie zmienił; dla niego nadal człowiekiem był tylko „papierkiem do załatwienia”, czymś niedostrzegalnym, z czym chciał się rozstać możliwie szybko. Natomiast komendant z dniem każdym stawał się uprzejmiej-szy, zwłaszcza w miesiącach wiosennych bieżącego roku. - Zauważyliśmy też jakieś zmiany „przy stoliku” dyżurnych. Mniej więcej w miesiącu maju zniknęła obsada „stolika”. Nie widywało się przy nim nikogo; jeśli ktoś był na dole, cofał się w głąb korytarza, gdy schodziliśmy do ogrodu. Stolik był opuszczony i pusty. Już nie widywało się na nim reprezentacyjnych kwiatów, popielniczek i obrusa białego, jak w pensjonacie dziewczęcym. Nawet krzesło zniknęło. Robiło to wrażenie rozluźnienia nadzoru. Nie widywaliśmy też nikogo w oknie, śledzącego nasze ruchy w ogrodzie. Nie było manipulacji zasłonami. „Zainteresowanie” oficjalne nami zmalało. Nasi dozorczy coraz częściej nudzili się, nie ukrywając swej nudy. Niemal wszyscy pozwalali sobie na „uśmiechy” i pewnego rodzaju swobodę i poufałą grzeczność.

Bardziej urozmaicone koleje życia w bieżącym roku miał ksiądz. Często chorował: zapadał na zęby, na nerki, trzustkę, wątrobę, na stawy; przeleżał w łóżku kilka tygodni na lumbago, poważnie się zaziębił, stale narzekał na reumatyzm. Wreszcie spędził 2 tygodnie w klinice we Wrocławiu, tuż przed Wielkanocą. Z wielkim trudem, nie bez ociągania i przypominania, uzyskiwał pomoc lekarską. Zdaje się, że liczne i rzeczywiste cierpienia księdza były przyjmowane nieufnie. Uważano, że na niektóre cierpienia ksiądz naraża się sam nierozważnie. Zdaje mi się, że do takiej opinii o księdzu przyczyniła się mimo woli siostra. Ksiądz był traktowany grzecznie, ale dość zdawkowo, chociaż sam starał się być bardzo grzeczny. Wyjazdy księdza były dość częste: głównie do lekarza i na widzenie z ojcem. Jakiś czas widzenia z ojcem, zazwyczaj w Rawiczu, w więzieniu, uległy zwłóce; odnieśliśmy wrażenie, że jest to zwłoka karna. Usiłowano skłonić księdza do różnych wypowiedzi na mój temat. Ksiądz zawsze bronił się tym, że jest moim spowiednikiem. Miało to skutek natychmiastowy, chociaż próbowano czynić zastrzeżenia, że nie idzie o sprawy sumienia. Nie wchodził bliżej w te sprawy, ze względów zrozumiałych.

Siostra była cały czas dość pogodna, z czego mogłem wnioskować, że trudności, na jakie była narażona w Stoczku, tutaj się nie powtórzyły. Była jeszcze bardziej zamknięta w sobie w tym roku niż

w poprzednim. Więcej przesiadywała w kuchni, gdzie dochodziło do jazgotliwych rozmów i śmiechów z gospodynią i „zarządem”, który chętnie odwiedzał kuchnię. Ponieważ miałem pokój nad kuchnią, wszystkie te odgłosy łatwo do mnie dochodziły. Często upominałem siostrę, by nie traciła czasu na rozmowy, by się uczyła i czytała. Ale to szło z wielkim trudem; zawsze wyszukiwała sobie różne prace, w wyniku czego książki leżały. O ile ksiądz pracował coraz sumiennie nad książką, siostra - coraz mniej. Zapaliła się do Starego Testamentu, później do historii Kościoła; więcej czasu traciła na powieści. Natomiast pracy domowej oddawała się z całym zapałem: dość często prała, gdyż brak było bielizny; urzędowała generalnie sprzątanie, pastowanie podłóg i długiego korytarza; nieraz musiała gotować, gdy gospodyni wyjeżdżała do Warszawy. W ostatnich miesiącach naszego wspólnego pobytu siostra jeszcze więcej spoważniała; częściej można było widzieć ją w kaplicy na samotnej adoracji. Żywość usposobienia mogła sprawić, że siostra mimo woli mogła wypowiedzieć swój sąd o naszym bytowaniu i o jego brakach. Nieraz prosiła, by jej coś powiedzieć o stanie mego zdrowia; unikałem tego, gdyż byłem w obawie, że przez wrodzoną żywość siostry, mogło to pójść dalej. Gdy w pracy zniszczyła swój habit, przywieziono jej materiał na nowy i polecono sobie uszyć. Początkowo oburzała się, lecz później uszyła go i nosiła. W tym czasie przysłano mi z domu nową sutannę, o którą wcale nie prosiłem. Może to była inicjatywa siostry, której wydało się, że moja wytarta sutanna z obszarpanymi rękawami, zbyt kontrastuje z jej nowym habitem. - Kilkakrotnie siostra badała, gdzie czułbym się najlepiej; bojąc się mimowolnych sugestii - milczałem. Kiedyś powiedziała: „Ojciec to na pewno czułby się najlepiej na Riwierze, w słońcu”. - Gdy po kilku tygodniach powtórzyła to przypuszczenie, zaniepokoiłem się. „Siostro - odpowiedziałem jej zdecydowanie - proszę sobie to zapamiętać, że wolę polskie więzienie, gdy już nie ma dla mnie innego miejsca w Ojczyźnie, niż zagraniczne pałace”. Siostra wyraziła zdziwienie. Dodałem jej: „Miejsce biskupa polskiego jest albo przy Katedrze, albo w więzieniu, ale nie za granicą”. - Siostra kilkakrotnie usiłowała podsować mi, bym wystosował pismo do Rządu, z prośbą o zwolnienie mnie do domu. Później zaniechała tych prób. - Znając taktykę Urzędu Bezpieczeństwa, jestem przekonany, że usiłowano użyć siostry do zakulisowego wywiadu. Jestem przekonany, że siostra nie dała się do tego użyć. Mogła jednak, wskutek swej wrodzonej żywości i odruchowości, udzielić bezwiednie niejednej cennej informacji zainteresowanym. Trudno jednak obwiniać ją o złą wolę. Może nawet myślała, że w ten sposób mi pomaga. Zresztą, cóż nowego mogła, donieść ludziom, którzy mieli doskonały wywiad o moim życiu? A poglądy swoje sam im odsłoniłem, i to nie raz, w czasie konferencji w Belwedrze i w Pałacu Wilanowskim. Wiedzieli, co myślę i na co liczyć nie mogą.

Czy ksiądz i siostra byli „dobrani” przez Urząd Bezpieczeństwa z nadzieją, że będą „użyteczni?” Bardzo w to wątpię. Może na to liczyli niektórzy funkcjonariusze jak „Nazi”; ale kierownik na pewno z tym się nie liczył - chyba, że role były dokładnie podzielone. Sposób postępowania pana „Nazi” był zbyt prosty, by mógł być uważany przez swoich mocodawców za narzędzie wywiadu. Ten chłop wszystko od razu wygadał, co go zabolowało. Następca jego, „Katz”, już takich funkcji nie sprawował; zazwyczaj tylko dowoził księdza do odpowiedniego urzędu. Jestem przekonany, że Urząd Bezpieczeństwa - gdyby nawet liczył na moich towarzyszy - to bardzo się na tym zawiódł. Podkreślam to i dlatego, żeby ochronić moich towarzyszy przed podejrzliwością społeczeństwa, które może się gubić w domysłach, dlaczego właśnie tych dwoje dostało się do mojego towarzystwa. Miałem możliwość poznać oboje na tyle, że jestem pełen przekonania o moralnej uczciwości obojga. Przy czym, trzeba i to podkreślić, że poziom duchowy księdza był o wiele wyższy od wysokiego. Był to człowiek gorącej wiary, niemal uczuciowej modlitwy, kochający Kościół święty, oddany mu całym życiem. Zainteresowania jego były wybitnie kościelne i religijne; chłonał książki teologiczne, zwłaszcza z zakresu historii Kościoła. Miał swoje ideały apostołsko-misyjne. Jediną dygresją było zainteresowanie dla sportu. Ksiądz miał wybitne powołanie kapłańskie, które kochał całą duszą. Naturalną skłonnością jego w rozmowach były tematy kościelne. Natomiast życiem politycznym niemal nie interesował się i niewiele o nim wiedział. To wpłynęło na charakter naszych rozmów, które obracały się zawsze w granicach spraw kościelnych.

Praca nasza w Prudniku, która już w Stoczku bardzo się rozkręciła, tutaj stała się bardzo intensywna. Obydwaj nie mieliśmy czasu na gawędy, na towarzyskie próżnowanie. Pomimo bardzo skromnego zasobu książek, zdołaliśmy rozkręcić studia systematyczne. Ksiądz studiował historię Kościoła, powtarzał teologię, zaczął pisać różne szkice liturgiczne, mały podręcznik dla ministrantów, kazania. Przystąpił z zapałem do nauki języka włoskiego. Prowadziliśmy konwersację łacińską i włoską podczas wszystkich posiłków i spacerów. Nadto wieczorem działał lektorat języka niemieckiego, ze starej „geografii podręcznej”, która liczyła tysiąc stron.

Moja praca szła nadal po linii pisania „Szkiców liturgicznych” i „Listu do neoprezbiterów”. Ten „List” wyrósł do dużych rozmiarów i nabrał charakteru systematycznej książki. Zdołałem wykończyć pierwszą redakcję „Szkiców liturgicznych” na cały rok kościelny, zarówno dla *Proprium de Tempore*, jak i *Proprium Sanctorum*. Zapisałem w ten sposób około trzech tysięcy ćwiartek papieru i zestawilem około 800 szkiców. „List” był wykończony w części pierwszej całkowicie; w części II - w znakomitej większości, i w części III - niemal cały. Pozostała do redakcji część IV. Wróciłem znowu do tematu, opracowywa-

nego już przed drugą wojną światową, we Włocławku: „Uświęcenie doczesności”; praca ta nie wyszła poza zakres zbierania notatek i wyciągów z lektur. W dni sobotnie pracowałem nad rozważaniami do „Litanii Loretańskiej”. Ponadto wiele drobnych szkiców kazań i konferencji zostało ukończonych. Przestudiowałem raz jeszcze całe Pismo święte oraz szereg książek francuskich. Wśród nich - dwa tomy dzieła „Maria” przestudiowałem dwa razy.

Podobnie jak w Stoczku, pilnowałem ściśle porządku dnia, przechodząc od czynności do czynności, od książki do książki, bez zwłoki. Wyprosiłem sobie, by moi towarzysze nie odwiedzali mnie od godziny 9.00 - 13.00 i od 15.00 - 18.00. Tylko niedziele i święta zmieniały ten porządek. Dzięki temu osiągnąłem to, że czas upływał niezwykle szybko, że nie poddawałem się rozważaniom nad przeszłością, że byłem wolny od smutku i tęsknot za innym życiem. Zdołałem „przyzwyczaić się” do więzienia. Nie jest to przesada. W takich warunkach bytowania niemal „zaskoczeniem” było dla mnie pojawienie się nowego wysłannika Rządu w Prudniku, podczas gdy już ułożyliśmy się psychicznie na spędzenie trzeciej zimy w więzieniu.

Prace nasze fizyczne w ogrodzie miały mniejsze pole inicjatywy niż w Stoczku. Mały ogródek, zarośnięty chwastami; brak narzędzi do pracy i terenu. Zajęliśmy się winnicą na murze, która była zabezpieczona na zimę. Ale wynik tej pracy był nędzny, gdyż w ciągu lata wszystkie grona uschły, zjedzone przez białą pleśń. Kwiatów nie mogliśmy hodować, wskutek olbrzymich chwastów, nie do pokonania, i wskutek braku nasion. Jedyne pociechą były lilie, które wyrosły z ziemi i cudownie kwitły. Gracowaliśmy ścieżki przy winnicy, ale i tutaj zostaliśmy pokonani przez zielsko. Stworzyliśmy sobie „altanę” pod szopą, ale mało z niej korzystaliśmy, wskutek fatalnego lata, ciągłych zimnie i opadów. Słońca mieliśmy bardzo mało: i w ogrodzie, i w oknach. Życie „społeczne” było niemal skwaśniałe; ożywiło się dopiero, gdy na jesieni pokazały się owoce w ogródku. Wtedy i nasi panowie wylegli na ogród i dostrzegli drzewa, które przedtem waliły się jedno po drugim, wskutek braku opieki. Nasz przykład pobudzał „materialistów” do tego, że podparli obciążone owocem sliwy. Pomimo zapowiedzi gospodyni i siostry, nie opiekowano się truskawkami, ani też nie uprawiano kwiatów. Co samo wyrosło, to było i to zniknęło.

•

Dopiero w Komańcy dowiedziałem się, że biskup Antoni Baraniak jest w więzieniu. Są nawet ludzie, którzy go tam widzieli w stanie wielkiego wymizerowania. Podobno przebywa od roku w szpitalu więziennym. Są głosy, że trzyma się niezwykle dzielnie, pomimo wyczerpania i choroby. Biskup nie odznaczał się nigdy silnym zdro-

wiem, chociaż na temat swego zdrowia nigdy nic nie mówił. Uderzał zawsze swym bladym wyglądem. W ogóle biskup Antoni nie lubił 0 sobie mówić; nawet gdy był wprost zapytany o stan zdrowia, zawsze zrecznie wyczerpywał „temat” w jednym zdaniu i przechodził do spraw bieżących. Nie można powiedzieć, by nie dbał o siebie, ale „radził sobie sam”, bez pomocy otoczenia. Można sobie wyobrazić, ile musiał przeżyć w szpitalu więziennym! Ludzie, którzy udzielili mi pierwszych informacji o biskupie Antonim, widzieli go w mokotowskim więzieniu przygodnie z dala, podczas spaceru. Był w sutannie, chodził sam, był bardzo blady, ale pogodny. Opinia, krążąca po więzieniu, przekazywała o nim najlepsze wrażenie. Wiedzano w Mokotowie, że biskup Baraniak trzyma się dzielnie i zajmuje godną postawę wobec swoich śledczych. Wiedzano, że biskup był „pod śledztwem”, że to śledztwo było długotrwałe i bardzo uciążliwe, że biskup nikogo nie obciążał. Mówiono, że wywiera on dobry wpływ na więźniów, którym dodaje otuchy, imponuje swoją kapłańską postawą i najlepszym usposobieniem. „Zwycięża siebie”, „zadziwia siłą duchową”, chociaż siły fizyczne są tak słabe, że budzą obawę wszystkich współwięźniów. W Mokotowie porównywano postawę obydwu biskupów: Baraniaka i Kaczmarka. Więźniowie odnosili się do obydwu bardzo życzliwie. Gdy w pralni przygotowywano bieliznę biskupa Kaczmarka, wszystkie więźniarki starały się o to, aby bielizna wyglądała jak najlepiej, „bo to przecież dla biskupa-więźnia”. Tak było do procesu. Te same kobiety-więźniarki głęboko bolały nad tym, co się ujawniło w procesie. Manifestowały wtedy jawnie swoją niechęć do „biskupa-zdrajcy”. Ale inni nie wierzyli, by to wszystko, co o postawie biskupa mówiono, mogło być prawdziwe. Ci nadal otaczali go swoją życzliwością. W warunkach pogłósów i plotek więziennych postawa biskupa Baraniaka urastała do symbolu. - Tyle wstępnych wiadomości o biskupie Antonim.

Mogę teraz porównać je z postępowaniem „bezpieczników”, którzy usiłowali wprowadzić mnie w błąd na temat losów biskupa Baraniaka. Jeszcze na Miodowej, gdy pytano mnie, „kto tu jest gospodarzem?” - odpowiedziałem: „Nie wiem, kogo zabieracie. Gospodarzem podczas mojej nieobecności jest biskup Baraniak”. Niczym wtedy nie zdradzono się, co mają zamiar uczynić z biskupem Baraniakiem. Gdy złożyłem biskupowi swoje oświadczenie, obecni przy tym panowie nie usiłowali nawet sprostować mojego mniemania, że biskup pozostanie na Miodowej. Gdy w kilka dni później, już w Rywałdzie (10. X. 1953) wynikła sprawa obrotów czekowych i pieniędzy na wypłatę dla robotników z budowy, znowu postawiłem pytanie o biskupa Baraniaka, który był uprawniony do podpisywania czeków. Wtedy pan z Urzędu Bezpieczeństwa, zapytany wręcz o to, czy biskup Baraniak jest w domu, odpowiedział mi: „Biskupa Baraniaka pozostawiliśmy na Miodowej”. Albo wręcz skłamał, albo posłużył się restrykcją mentalną: „myśmy pozostawili”, a co inni zrobili z biskupem, to ich rzecz!

Pomimo to nie rozstawałem się z wątpliwościami co do losów biskupa. Utwierdziło mnie w tych wątpliwościach to, że nie biskup, ale ksiądz Goździewicz zestawiał pierwszą listę rzeczy przesłanych mi z Miodowej do Rywałdu. Biskup, tak uważny i delikatny, na pewno uczyniłby to sam, gdyby pozostał w domu.

W ciągu dwóch lat odosobnienia sprawa biskupa Baraniaka nie dała się wyjaśnić. Nie znalazłem najdrobniejszej próby - w listach czy w rzeczach przesyłanych - dania mi do zrozumienia, że biskup jest w domu. Gdy w następnych przesyłkach otrzymałem książki Tołstoja „*Wojna i pokój*”, z biblioteki prywatnej biskupa Baraniaka, zastanowiło mnie to, że książki były podpisane przez księdza Hieronima inicjałami „A.B.” - na sposób właściwy biskupowi, ale charakterem pisma księdza Goździewicza. Ten znak prawie przesunął moje wątpliwości na stronę przekonania, że biskupa nie ma w domu. Przecież biskup, przy swojej dokładności, nie mógłby dawać książek księdzu Hieronimowi do podcyfrowania. Uczyniłby to sam.

Dopiero dzisiaj dowiedziałem się również, że po wywiezieniu mnie z Miodowej, uczyniono tam rewizję i wiele rzeczy zabrano. Bliższych szczegółów na razie nie umiano mi podać oprócz tego, że rewizja trwała całą noc i cały dzień sobotni i że dopiero w sobotę pod wieczór samochody, napełnione aktami, opuściły dziedziniec Domu Arcybiskupiego. Ten fakt jeszcze bardziej obciąża „konto bezprawia” dokonanego na Miodowej. Przecież Władze państwowe obowiązane są przy przeprowadzaniu rewizji przestrzegać przepisów Konstytucji (art. 71) i Kodeksu Postępowania Karnego. Urzędnicy wiedzieli, że mają przeprowadzić rewizję, mieli więc obowiązek postąpić zgodnie z art. 136 § 1, który wyraźnie postanawia: „Osobę, u której rewizja ma się odbyć, zawiadamia się o celu rewizji i wzywa się do obecności przy niej”. Wbrew temu przepisowi, naprzód wywieziono właściciela domu, a później przystąpiono do przeprowadzenia rewizji. Do długiego szeregu pogwałceń prawa, które skłaniały mnie do protestów, przybył jeszcze cały łańcuch gwałtów bezprawnych, o których nie wiedziałem. Charakteryzuje to działanie Władz w sposób bardzo wymowny.

Muszę wyrobić sobie dokładny obraz „stanu prawnego”, w którym działali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Muszę również zestawić sobie dokładnie postanowienia Konstytucji i Kodeksu, które wchodzi tu w grę, aby mieć sprawiedliwą ocenę działań ludzi, ponieważ Rząd wierzy, że „postąpił zgodnie z prawem”. O jakim prawie myśli - czy o Konstytucji, czy też może o takich uprawnieniach, które nie są mi znane, albo też które mocą własnych uchwał sobie nadaje? Trudno przecież tak *a priori* przyjąć, że Rząd chce lekceważyć przepisy Konstytucji, która jest „owocem myśli ludzkiej”. Czyżby tak mało miano dla niej szacunku? - Dołożę wysiłku, aby to zrozumieć.

31. X. 1955, *poniedziałek*.

Otrzymałem depeszę od biskupa Klepacza, treści następującej: „Przyjadę w towarzystwie Zygmunta i Ojca w prywatne odwiedziny, środa drugiego listopada około godziny piętnastej - biskup Klepacz”. Już w przeddzień wystosowałem list do biskupa Bardy, w którym powiadamiam go o tym, że znalazłem się na terenie jego diecezji. Podaję treść listu:

J.E. Ks. Bp Fr. Barda
Przemysł
Kuria Biskupia

Wasza Ekscelencjo, Najczcigodniejszy Księżu Biskupie!

Uważam sobie za obowiązek powiadomić, że w ubiegłą sobotę 0 godzinie 15.30 zostałem przywieziony przez Władze Bezpieczeństwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dotychczasowego miejsca przymusowego odosobnienia w Prudniku Śląskim koło Nysy i umieszczony w domu Sióstr Nazaretanek w Komańczy. Ponieważ nie wolno mi opuszczać miejscowości mi wyznaczonej na miejsce nowego pobytu przymusowego, nie mogę też osobiście prosić Waszą Ekscelencję, jako Ordynariusza miejsca, o łaskawą wyrozumiałość dla mnie, jak długo będę musiał tu pozostać. Siostry przyjęły mnie z całą dobrocią, pomimo że jestem tak niespodziewanym gościem. Czuję się dobrze w tym domu. Polecam się wielkiej dobroci serca Waszej Ekscelencji i skutecznym jego modlitwom - pełen czci i braterskiego oddania *in Christo Rege*.

Komańcza koło Sanoka, 30. X. 1955. + Stefan Kardynał Wyszyński

Uważałem sobie za obowiązek wystosować również list do biskupa Klepacza, do biskupa Choromańskiego i do najbliższych moich - do Ojca i do siostry Jaroszewej, którzy najwięcej udzięki i upokorzeń ponieśli podczas mojego uwięzienia. Listy te, jako świadkowie moich uczuć, niech znajdą się w tych wspomnieniach.

J.E. Ks. Bp Michał Klepacz
Warszawa
ul. Miodowa 17

Wasza Ekscelencjo, Ukochany Księżu Biskupie!

Spieszę powiadomić go, że na mocy zarządzenia Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dnia 27. X. 1955., podanym mi do wiadomości w Prudniku Śląskim koło Nysy dnia 28. X. br. o godzinie 17.30,

zostałem następnego dnia przewieziony przez Władze Bezpieczeństwa do Komańczy koło Sanoka i umieszczony w domu Sióstr Nazaretanek. Kierownik grupy transportowej oświadczył mi, że „opieka Władz Bezpieczeństwa na tym się kończy, a dalsza należy do Episkopatu Polski”. Nowego miejsca pobytu opuszczać mi nie wolno. Zostały też utrzymane w mocy "zakaz wykonywania funkcji wynikających z piastowanych poprzednio stanowisk kościelnych oraz zakaz jakichkolwiek wystąpień publicznych". Jak mogłem przekonać się z okazanego mi listu Waszej Ekscelencji do Premiera Rządu, polepszenie moich warunków bytowania zawdzięczam prośbie Waszej Ekscelencji i Episkopatu Polski. Pragnę serdecznie podziękować za to braterskie zainteresowanie się moim losem zarówno Waszej Ekscelencji, jak i wszystkim członkom Episkopatu Polskiego. Polecam się najgoręcej dobrym modlitwom Waszej Ekscelencji, pełen głębokiej czci, wdzięczności i oddania *in Christo Rege*.

Komańcza koło Sanoka, 30. X. 1955.

+ SW.

J.E. Ks. Bp Z. Choromański
Warszawa

Wasza Ekscelencjo, Najdroższy Księżu Biskupie!

Wiadomość o moim zwolnieniu z więzienia będzie dlań spóźniona, ale nie mogę sobie odmówić tej pociechy serca, by pośpieszyć ze swoim podziękowaniem za udzieloną mi obroną wobec Władz państwowych i za podjęte starania o zmianę warunków mojego bytowania. Z okazanego mi przez funkcjonariusza Komitetu Bezpieczeństwa listu biskupa Klepacza do Rządu wynika, że Księża Biskupi zastrzegli sobie prawo widywania się ze mną. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę Księdza Biskupa w Komańczy, chociaż rad bym uchronić go od trudu tej dalekiej i uciążliwej drogi. Proszę przyjąć na razie tych kilka słów mej wdzięczności, braterskiego oddania i czci głębokiej *in Christo Rege*.

Komańcza, 30. X. 1955.

+ SW.

Wielmożny Pan
Stanisław Wyszyński
Zalesie koło Piaseczna

Najdroższy mój Ojcze!

Już zapewne do tej chwili jest Ci wiadomo, że Władze państwowe uwolniły mnie od izolacji policyjnej w więzieniu i umieściły w domu

Sióstr Nazaretanek w Komańczy. Nie wolno mi opuszczać tej miejscowości ani też wykonywać jakichkolwiek funkcji, związanych z moimi obowiązkami pasterskimi. Tak więc warunki bytowania osobiste nieco się poprawiły, chociaż to, co jest dla mnie ważniejsze, jest nadal wielkim doświadczeniem. Nie mogłem Ci pisać tego, co mi serce wypełniało; nie wiem, czy to, co Ci pisałem, Ojcze, dotarło do Ciebie w tym sensie, w jakim było wyrażone. Pragnę jednak, byś wiedział, że całym moim wysiłkiem było, by godnie reprezentować Kościół, nawet w więzieniu, i by spełnić to zadanie, które Bóg nakłada na człowieka w każdym miejscu. A zasadnicze zadanie biskupa katolickiego, czy jest przy celebrze pontyfikalnej, czy na ambonie, czy w więzieniu - jest jedno: *nos Tibi semper et ubique gratias agere, Domine Sancte, Pater* - zawsze i wszędzie dzięki Ci czynić, Panie, Święty Ojcze. Byłem zdania, że więzienie moje musi mieć charakter wyznania prawdy i dziękczynienia. Pierwsze mogło pogarszać moją sytuację, ale było konieczne. A drugie było już tylko samą radością, na ile człowiek ułomny zdolny jest chwalić Boga stosownie. Byłem i jestem przekonany, że moje doświadczenie jest niezbędne dla dobra Kościoła i dla Jego chwały; chociaż musiałem milczeć, to w mocy Bożej leżało mówić za mnie. A cierpienie przeżywane ma taką właściwość, że Bóg przemawia przez nie do każdego sumienia wymowniej niż najlepsze kazanie. Byłem i jestem spokojny o to, że sytuacja moja szkody Kościołowi nie przyniesie, a raczej takie dobro, które przynieść może tylko Duch Święty, który przecież przez wszystko rządzi Kościołem. Cierpienie ludzi, jako walny środek pomocy Kościołowi, tak zrosło się z jego dziejami, że jest niemal „Ósmym Sakramentem”, czerpiącym swoją moc z Sakramentu Męki Kalwaryjskiej Chrystusa Pana. Czyż mógłbym odmówić Chrystusowi prawa przyzywania na pomoc mojego cierpienia, skoro uznał to za konieczne dla dobra Kościoła? Wreszcie, istota kapłaństwa Chrystusowego wyraża się w ofierze, a wszyscy słudzy Jego powołani są nie tylko do ofiarowania Ciała Chrystusowego, ale i do wydawania siebie za Kościół, jak Chrystus wydał siebie za rodzaj ludzki.

Trzeba więc, Drogi Ojcze, radować się, że dane nam było dla Imienia Chrystusowego zelżywość ucierpieć. Przewiduję, że wkrótce ujrzę Ciebie, choć tak dalekiej podróży lękam się dla Ciebie. Ale nie mam prawa powstrzymać Cię od niej. Ufam, że opanujemy łączy, bo nie trzeba Dobremu Ojcu okazywać smutku tam, gdzie jest sama radość i chwała. Wziąłeś udział w moim cierpieniu, przeżyłeś je mocno, ale wiem, że niczego nie żałujesz, jak i ja niczego nie żałuję, gdyż wszystko, co mądrość i dobroć Boża czyni, jest samą miłością i samą mądrością. Dziękuję Ci, Drogi Ojcze, z całego serca synowskiego za to, żeś czynił dobry użytek z Twej wiary, żeś zachował miłość i ufność ku Bogu, żeś nie ustał w modlitwie, której dobre owoce były tak dla mnie pożywne.

Szczególna wdzięczność należy się od nas obydwu Matce Najświętszej. Zawsze modliliśmy się w naszej kapliczce więziennej o to, by

łaska wolności, gdy przyjdzie, przysłała w dzień sobotni lub w miesiącu Maryi. Nawet gotowi byliśmy dłużej pozostać za drutami, byle tylko mieć ten wyraźny dowód mocy Matki Boga i ludzi, ten znak Jej łaski. I z tą dziecięcą prośbą Dobry Bóg liczył się, bo opuściłem druty w sobotni dzień Maryi, w Jej różańcowym miesiącu. Prosiłem wiernych w kościele Świętej Anny, by pomogli mi modlitwą różańcową. Przypomniałem grupie młodzieży, która zatrzymała mnie na korytarzu kościelnym, szczegół z fresku „Sądu Ostatecznego”, gdy Anioł Boży wyciąga z przepaści duszę ludzką na różańcu. Widocznie ukochana działy warszawska przejęła się tą prośbą, skoro właśnie pod koniec października, w przededniu Zwycięskiego Króla Wieków, poczułem więcej swobody wokół siebie.

Zapewne, to jeszcze nie wszystko: pozostaje nadal sieroctwo moich katedr biskupich, opuszczenie duchowieństwa i Ludu Bożego. Nie przestaję ufać, że Bóg zaczęte dzieło doprowadzi sam do końca. Nie ustawajmy więc w ufności\ dziękczynieniu. Skoro w czasie więzienia najpiękniejszą modlitwą naszą było *Te Deum*, trwajmy w niej nadal.

Przyjmij, Najmilszy Ojcze, tych kilka słów synowskiej otuchy, które przeznaczam wyłącznie dla Ciebie, gdyż należą się Tobie najśluszniej. Ręce Twoje ojcowskie ze czcią i uległością całuję, Sercu Bożemu Cię zawierzam, Matce Jasnogórskiej oddaję i mocą udzielonej mi władzy biskupiej błogosławię

Komańcza, uroczystość Chrystusa Króla 1955.

+ Stefan Kardynał Wyszyński
Prymas Polski

W 45 rocznicę śmierci mej Matki, patrząc na jej dłonie, dziękuję Ci, Ojcze - Dawco Życia - za drogic ra*mona, którymi okazywałeś mi Twoją słodką Opatrzność i dobroć. Z ich pomocą nosiłeś mnie w mej dziecięcej nieudolności. Te ręce podtrzymywały od upadków, te palce ocierały łzy moje, podawały pokarm, służyły w każdej potrzebie. Niech będą uczczone Twoje Ojcowskie ramiona w dłoniach mej Matki. Dziś niech stanie ona przed Tronem Twoim i niech będzie moją orędowniczką. Tyle razy w życiu polecała mnie w modlitwach swoich Tobie, Ojcze. Ty znasz mękę matek tej ziemi, boją zwiastował Ewie. Dziś nagradzaj tę mękę podjętą, by wypełnić Twój Ojcowski plan - przekazywania życia. Niech moja Matka raz jeszcze przemówi do Ciebie, Ojcze, w sprawie owocu żywota swego.

I. XI. 1955.

Radowałem się widokiem ludzi, modlących się dzisiaj w kaplicy sióstr Nazaretanek. Jednak modlitwa wspólna Kościoła ma swoją wartość dla jednostki, łatwiej dochodzi do Ojca ludzi, gdy jest zanoszona w ludzkiej wspólnoty. Ludzie modlący się pomagają nam modlić się, ułatwiają odszukanie drogi do Boga. Ścisłej i bliżej wiążą się ze sobą, dzięki czemu wzrasta miłość społeczna.

Wspominając ostatnie dwa lata widzę dobrze, jak doniosłe dla mej równowagi duchowej i dla mego spokoju były listy mojej siostry młodszej, Stanisławy. Bóg dał jej przedziwną równowagę ducha i mądrość kobiecą, z wielką dozą męstwa i wielką wiarą. Te wszystkie wartości promieniowały z jej listów. Widocznie musiała podejmować nielada trudy, by mi dosyłać listy i przesyłki. Nie wiem, jak to wyglądało, ale zdaję sobie sprawę, że musiało to być połączone z niemałym osobistym ryzykiem, a może i upokorzeniami. Tak rozważając, dziękuję Bogu za dobroć serca, które okazuje przez ludzi, których związały ze mną związkami krwi i wiary. Tych kilka słów, które skreśliłem do siostry, niech będą świadectwem mej wdzięczności.

Wielmożna Pani
Stanisława Jaroszowa
Zalesie koło Piaseczna

Najdroższa moja Siostrzo!

List ten dostaniesz wtedy, gdy już doznasz pociechy; ale do tej łaski, której Dobry Bóg użyczył Ci, jako nagrody Twej dobroci i męstwa, pragnę i ja dołączyć kilka słów braterskiej wdzięczności, jaką Ci jestem winien. Gdy nadzieje nasze choć w części się urzeczywistniły, pora jest wyznaczyć, że w Tobie widziałem „niewiastę męzną” naszej Rodziny. Spełniłaś to zadanie dzielnie; listy Twoje, które pisałaś mi przez dwa lata mego odosobnienia, były wyrazem Twego męstwa, spokoju, ufności i żywej wiary, która zawsze wydaje owoce. Bardzo Ci dziękuję za taką właśnie postawę, godną Siostry doświadczanego człowieka i Prymasa. Bóg wymagał ode mnie bardzo wiele, ale miał do tego pełne prawo. Od kogóż bowiem mógłbym wymagać, jeśli nie od wybranych sług swoich. Przecież tak twarde wymagania postawił Synowi jednemu Jednorodzonemu. Czyżby nie mógł oczekiwać uległości od swych synów przybranych? Tym więcej, że czynił to z całą sprawiedliwością i Ojcowską miłością. Tyle łask doznałem w życiu swoim od Boga i Kościoła! Całe swoje wyniesienie, tak niezasażone, zawdzięczam jedynie miłosierdziu i łasce Boga. Za łaski tak wielkie trzeba czymś płacić. Dziś

czuję się znacznie uczciwiej wobec Boga, który zażądał zapłaty cierpienia, wierności i ufności za obfite łaski swoje. Wyszedłem z drutów bardzo wzbogacony. Takie są tajemnice Boże. Uwielbiamy społem niewypowiedzianą dobroć Boga. Przyjmij, Najdroższa moja Stachno, słowa braterskiej wdzięczności za wszystko dobro, które mi okazałaś, a w moim zastępstwie i Drogiemu Ojcu naszemu, będąc mu opieką i podtrzymaniem. Błogosławię Ci z serca, jak również Twemu mężowi, domostwu Twojemu i wszystkim pracom Twoim.

Komańcza, 1. XI. 1955. + Stefan Kardynał Wyszyński

Zaczynam wchodzić w „szeroki świat” nowego życia. Są to pierwsze swobodne kroki na spacerze. Prudnicki „kojec” rozszerzył mi się w piękny las, po którym mogę chodzić „swobodnie”. Przyzwyczajenie, nabyte w więzieniu, każe mi wprawdzie oglądać się na drzewa stojące, by się przekonać ze zdziwieniem, że stoją z tej strony „niewidzialnego parkanu”; nie widzę drutów, ani nie czuję „wielkiego ucha”, które słuchało wszystkimi swoimi porami: parkanem, płotem, zadrzewieniem, podbramiem, a może podsłuchem. Tego tu nie ma. Wolę jednak mówić ciszej, chociaż mowa moja jest dziecięco niewinna i niegroźna nawet dla najsłabszego ustroju.

Czytam gazety, te nowe, dostępne mi z własnego wyboru. Nie wszystko w nich rozumiem, bo brak mi ciągłości wydarzeń. Muszę jednak przestudiować zaległe, najważniejsze przynajmniej dzienniki i tygodniki rządowe. Zwłaszcza chciałbym widzieć *Trybunę Ludu* i *Słowo Powszechne* - te dwa konie opinii, które obydwaj utykają „na prawdę”.

2. XI. 1955.

Dostał mi się dzisiaj do ręki numer *Słowa Powszechnego* z 29. IX. 1953. (wtorek), podający na pierwszej kolumnie cztery dokumenty, dotyczące mojego aresztowania. Są to: *Komunikat Prezydium Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Deklaracja Episkopatu Polskiego, Wybór Przewodniczącego Episkopatu i Oświadczenie Wiceprezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza*. Dotychczas znałem zaledwie skrawek komunikatu, który dostał mi się do ręki „w miejscu dykretnym”. *Słowo* podawało wiadomość o sesji plenarnej Episkopatu i wyliczało wszystkich obecnych na sesji Ordynariuszów, z biskupem Choromańskim włącznie. W streszczeniu podawano wtedy „Oświadczenie” Episkopatu. Wyrobiłem sobie wtedy sąd, że biskupi musieli być bardzo zaniepokojeni, skoro poszli na oświadczenie tak prędko.

Dzisiaj czytam te dokumenty ze spokojem człowieka, który już wie, co nastąpiło. Ten spokój pozwala mi bardziej obiektywnie ocenić

to, co miało miejsce dwa lata temu. Ale - wierzę mocno - że księża biskupi tego spokoju nie mieli, bo im tego spokoju nie dano; nie wiedzieli też, jakie będą dalsze losy Kościoła. Prawdopodobnie użyto wobec nich zwykłej metody zastraszenia i gróźb, w czym tak celowali panowie Franciszek Mazur i Edward Ochab. Świadom jestem, jak to wyglądało, mając przed oczyma tyle sprawozdań z posiedzeń Komisji Mieszanych. Być może, że biskupi musieli wysłuchać całego mnóstwa oskarżeń i zarzutów pod moim adresem, że byli tym przyłoczeni; zapewne domagano się od nich natychmiastowych decyzji, jak to już nieraz bywało, tak że nie mieli możliwości rozważyć całkowicie sytuacji i swoich atutów, jakimi rozporządzali w tak drastycznej dla Rządu sytuacji. Przecież, skoro Rząd musiał posunąć się do tak drastycznych czynów, naraził się katolickiemu społeczeństwu; chciał więc co rychlej wyjść z niewygodnej sytuacji. W tym tkwiła siła pozycji Episkopatu. Czy biskupi byli świadomi tej siły?

Prawdopodobnie nacisk na pośpiech nie pozwolił im rozpoznać swojej siły i tych atutów, jakie mieli w ręku. To doprowadziło do bolesnej „Deklaracji Episkopatu Polskiego”, której ostrze było wymierzone - wbrew woli autorów - w to wszystko, co dotychczas czyniłem. Dziś, gdy patrzę na te dokumenty, perfidnie zestawione obok siebie, odbieram bardzo bolesne wrażenie, które przechodzi do historii w swoim autentycznym wyrazie. Jak przykro musiało dotknąć ono społeczeństwo katolickie, przez samo zestawienie takich tekstów! I może nie tyle sama ich treść, ile to zestawienie - przykro razi! A już prosba Episkopatu „o wyrażenie zgody, aby Ksiądz Arcybiskup Wyszyński mógł zamieszkać w jednym z klasztorów” - dziś wykazuje, że Rząd i w tak delikatnej sytuacji postąpił brutalnie, zrzucając na biskupów odpowiedzialność za mój pobyt „w klasztorze”. Nie rozumiałem tego w pełni, gdy komendant oświadczył mi pewnego czerwcowego dnia w Stoczku, iż „Rząd nie tai przed społeczeństwem, że Ksiądz jest w klasztorze”. „Nie taił” już od 29. IX. 1953, gdy „na tę propozycję Rząd wyraził zgodę (*Słowo Powszechne*, j.w.) W ten sposób księża biskupi padli ofiarą „zaufania” do prawdomówności Rządu, który „klasztor” mój urządził na „obóz koncentracyjny.”

20. XI. 1955.

Daj pomoc, Ojcze, by w życiu moim już nic nie było tylko dla mnie, tylko dla mojego upodobania, tylko dla mojego zadowolenia, dla dogodzenia sobie, dla zaspokojenia własnych pragnień. Naucz, jak należy postępować, by od razu dostrzec, że to uczucie jest zbyt osobiste, że z tamtego doznania nikt nie ma korzyści - ani Ty, ani Twoje dzieci, ani nawet... ja. Spraw, abym oszczędzał czasu dla siebie, abym go miał

zawsze dla Ciebie i dla Twoich spraw. Wzbudź pragnienie zapomnienia o sobie: o tym, co dogadza mojemu wygodnictwu, zmysłowości, miłości własnej. Nie wiem, czy zdołam to uczynić, ale wiem, że bardzo pragnę, wiem, że inaczej nie warto, szkoda czasu i energii dla siebie. Przecież rodzic można tylko we dwoje.- ja z Tobą, Ojczy; dwoje młodych rodziców - z Tobą, jako jedno ciało. - A gdy jestem sam z sobą, cóż zdołam urodzić? I chcę, i pragnę być tylko z Tobą, bo tylko wtedy mogę rodzić dla Ciebie, dla Twojej chwały - *Soli Deo...* A więc - powtarzam - nic dla siebie! Bo nie chcę, by moja ziemia była niepłodna! A więc tylko z Tobą, bo wszelkie ojcostwo z Ciebie się wywodzi. Wyzwól, Ojczy, z syzyfowej pracy orki na moim ugorze. Uczyni, byśmy zawsze byli razem: Ty i ja, Ty we mnie, a ja w Tobie. Tego pragnął dla mnie Twój Syn Jednorodzony, który zawsze jest z Tobą.

30. XI. 19.55.

Drukując w swoim organie najrozmaitsze inwektywy pod adresem Prymasa, pan Piasecki uważał za stosowne zgłosić się do mnie w przeddzień mojego aresztowania i dać wyraz opinii, że „proces w widoczny sposób oszczędza Księdza Prymasa”. Snuł z tego optymistyczne wnioski na przyszłość. Prosił nawet wtedy, bym nie podejmował w najbliższym czasie żadnych wystąpień i bym go przyjął w sobotę najbliższą.

W tym samym czasie, gdy toczył się bolesny proces biskupa Kaczmarka, *Słowo* uważało za możliwe ogłosić artykuł księdza Wacława Radosza, kapłana diecezji kieleckiej, pt. *Po sześciu dniach rozprawy* (21. IX. 1953). Jest to wyczyn typowy dla sprawy, co „polityka trwogi” może zrobić z ludzi. Ksiądz Radosz przyznaje, że ślubował posłuszeństwo i szacunek „nie tylko mojemu ówczesnemu konsekretorowi, ale i jego następcy, zasiadającemu dziś na ławie oskarżonych, księdzu biskupowi Czesławowi Kaczmarkowi”. To nie przeszkadza księdzu Radoszowi godzić w Pasterza, który bronić się nie może. To nie przeszkadza pismu, które uważa się za katolickie, ogłaszać napaści na oskarżonego biskupa, jeszcze przed wydaniem wyroku sądowego, a więc wpływać ujemnie na kierunek tego wyroku. Coś równie bolesnego w swej ohydzie trudno jest sobie wyobrazić. To samo *Słowo*, w okresie procesu biskupa Kaczmarka nasiliło swe łamy artykułami pisanymi, a przynajmniej podpisywanymi przez księży. Nawet tak trzeźwi ludzie, jak ksiądz Eugeniusz Dąbrowski i ksiądz rektor Józef Iwanicki z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, nie widzieli nic niestosownego, by ogłaszać swoje „wywiady” z wysłannikami redakcji, *pari passu* z publikacją całych kolumn sprawozdawczych z procesu.

W takiej „atmosferze prasowej” ukazały się w *Słowie Powszechnym* na pierwszej kolumnie kolejno: *Komunikat Prezydium Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Deklaracja Episkopatu Polskiego, Wybór Przewodniczącego Episkopatu i Oświadczenie Wiceprezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza* (29. IX. 1953. wtorek).

Dalsze wypowiedzi redakcji *Słowa* były osłonięte wykładami na temat praw i obowiązków katolików postępowych w państwie; a głównie mobilizowano księży do wypowiedzi na temat obrony Ziemi Zachodnich, jak gdyby właśnie w tym czasie były one szczególnie zagrożone. Tymi argumentami - obrony Ziemi Zachodnich - odpowiada *Słowo* wszystkim, którzy poczuli się zaniepokojeni sytuacją Kościoła, wytworzoną po 25. IX. br. (*Słowo*, 2. X. 1953, artykuł pt. *Deklaracja Episkopatu i wrogowie Polski*). Słowem, to co było istotne w niepokojach świata katolickiego w Polsce, zostało przemilczane, natomiast uderzono w wygodny argument, którego w tej chwili nikt nie podważał. Podobny wydzwięk miał artykuł księdza Stanisława Hueta - po Konferencji Episkopatu - (*Słowo*, 3-4. X. 1953) - który poraż pierwszy bodaj wylicza całą litanię biskupów polskich, biorących udział w Konferencji Episkopatu dnia 28. IX. br. - zapewne dlatego, aby przekonać społeczeństwo polskie o tym, ilu biskupów jest na wolności.

Podobnie na odcinek sytuacji międzynarodowej skierował cały problem wewnętrzny ksiądz profesor Czuj w swym artykule pt. *Nie istnieje i istnieć nie może kolizja między nakazami wiary a społecznymi obowiązkami wobec narodu* (*Słowo Powszechnie*, 9. X. 1953). Nawiasem można dodać, że taki tytuł można wybaczyć patrologowi, ale socjologowi i moralistcie zapewne nie uszłoby to na sucho. Autor przejął się widocznie propagandą zagraniczną, gdyż pisze o „rozsiewanych fantastycznych plotkach, czy najczarniejszych horoskopach na przyszłość”. Zapewne, propaganda ta otrzymała obfity żer dla swych wywodów, wskutek posunięć Rządu.

W połowie października *Słowo* przesunęło ciężar argumentowania na odcinek Frontu Narodowego. Rozpoczęto całą serię zjazdów i zebrań, od referatu Bolesława Piaseckiego „o włączeniu katolików polskich w budowanie Polski Ludowej” (*Słowo Powszechnie*, 15. X. 1953). Na tych zebraniach sprawa „wydarzeń kościelno-państwowych z ostatnich kilku miesięcy” była już tylko „fragmentem” na tle całokształtu poruszanych problemów. Nietrudno jednak było wy-czuć, że ten fragment był istotną przyczyną ożywienia aktywności zjazdowej. Przy tej okazji naświetlano, niewątpliwie, zakulisy sprawy, nigdzie jednak nie wypłynęła ona w *Słowie* w pełniejszym naświetleniu. Zjazdy te były „przeglądem ludzi”, którym chciano wytłumaczyć, co się stało, i zapewne ich uspokoić. Oczywiście, wśród tych ludzi rolę afisza zawsze odgrywał ksiądz Czuj i jego satelici z Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Dołączono kilku członków

z Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego i z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Stałym zjawiskiem na tych zjazdach zaczął być zespół profesorów z Seminarium Duchownego w Nysie. Przeważali na tych zjazdach księża, do których dołączano po kilku tzw. „działaczy katolickich”, przeważnie pracowników żyjących z *Paxu*.

W całym przeglądzie prasy nie znalazłem ani jednego śladu jakiegoś „ubolewania” z powodu tak bolesnych dla Kościoła wydarzeń, jak zniknięcie z widowni Prymasa. Odnosiło się wrażenie, że dla redakcji *Słowa* nic się nie stało godnego uwagi, co wymagałoby zajęcia stanowiska „katolickiego”. Nie ma też ani śladu w przemówieniach księży; ich przemówienia są tak ujęte, jakby ich nic nie obchodziło, co się stało z Prymasem Polski. Zajmują się wszystkim: wymyślają całemu światu, złorzeczą Adenauerowi, kardynałom niemieckim, mówią o fabrykach, o traktorach, o kukurydzy - natomiast uważny czytelnik *Słowa* nie znajdzie nic o ich stanowisku wobec gwałtownie usuniętego przedstawiciela hierarchii Kościoła.

Czy istotnie ci księża nie próbowali pytać, prosić o wyjaśnienie, protestować - tego nie można ze *Słowa* wywnioskować. W ten sposób redakcja stworzyła dla „księży patriotów” najczarniejszy dokument, świadczący o tym, do jakiego stopnia są niewolnikami lęku, kiedy już zatracili wrażliwość na to, co jest nakazem „katolickiej racji stanu”.

W *Słowie* i dnia 6. X. 1953. książd profesor Eugeniusz Dąbrowski ogłasza artykuł pt. *Katolicyzm polski a sprawa Ziem Zachodnich* (nr 245). Jest to stenogram z referatu. Autor fałszuje historię, gdy na przestrzeni siedmiu lat (1946-1953) nie widzi żadnych działań hierarchii polskiej na rzecz stabilizacji na Ziemiach Zachodnich. A przecież w międzyczasie zawarto „Porozumienie” (p. 3), przeprowadzono inkarnację duchownych, wznowiono Kapituły we Wrocławiu i w Olsztynie. Książd Dąbrowski nie chce nic o tym wiedzieć.

Znamienne, że w październiku 1953 roku zaczęto tworzyć przy Komitetach Frontu Narodowego Komisje duchownych i świeckich działaczy katolickich. Wchłonęły one Związek Bojowników o Wolność i Demokrację i intelektualistów katolickich. Te dwa ośrodki przestały istnieć, dając życie nowemu tworowi. Ogłoszono długą listę prezydium i członków. Zaczęły wyłaniać się wojewódzkie Komitety. Bolesław Piasecki wygłosił referat wzorcowy pt. *Aktualne zadania katolików polskich na tle Deklaracji Episkopatu z dnia 28 września br. (Słowo Po-wszeczne, 24-25. X. 1953)*; stał się on przedmiotem tzw. „dyskusji” na zebraniach wojewódzkich. W swym referacie pan Piasecki uważał za stosowne skarcić „odpowiedzialne środowiska katolickie” za to, że „okazały nie raz brak społecznej dojrzałości, brak realistycznej oceny rzeczywistości, której posiadanie stanowi zasadniczy warunek właściwego kierowania”. Sobie przypisywał zasługę, że na „polityczną

krótkowzroczność” kierowników „ruch społeczno-postępowy w Polsce odważnie i prosto zwracał uwagę” (j.w.). Referat pana Piaseckiego, który miał być wyrazem myślenia postępowych katolików, zawiera napaść na biskupa Kaczmarka i Prymasa Polski. Uważa, że Deklaracja wrześnieiowa Episkopatu „stwarza warunki do niepojawiania się zjawiska rozbieżności w ocenach społeczno-politycznych między naszym ruchem a poglądami naszej hierarchii”. Słowem, widzi hierarchię na podwórku *Paxu*.

2. XII. 1955.

W dalszym ciągu przeglądam prasę rządową, by zdać sobie sprawę z zarzutów formułowanych przeciwko mojej osobie. Najbardziej autorytatywna była wypowiedź *Trybuny Ludu*, podpisana przez Edwarda Ochaba, Sekretarza Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego (sobota, 26. IX. 1953, nr 268), pt. *Kto przeszkadza w normalizacji stosunków między Kościołem a Państwem?* Artykuł jest napisany na tle procesu biskupa Kaczmarka, ale ostrze jego jest wymierzone we mnie. Gdy się zważy, że zostałem wywieziony w nocy z piątku na sobotę, a *Trybuna* musiała ukazać się rankiem, można łatwo rozpoznać, jak wcześniej montowany był cały aparat policyjno-propagandowy.

Tendencja artykułu jest widoczna: Za wszystko, co czynił biskup Kaczmarek, są odpowiedzialne „reakcyjne i awanturnicze elementy wśród hierarchii, które patronowały antyludowej i antypaństwowej działalności biskupa Kaczmarka i jego pomocników”.

Z artykułu można wyciągnąć następujące zarzuty pod moim adresem:

1. wywieranie przemożnego wpływu na działalność Episkopatu, zdążającego do rozbicia jedności Narodu, do skłócenia wierzących z niewierzącymi, do przekreślenia w praktyce zasad „Porozumienia”.
2. „...Dla kierownika Episkopatu Prymasa Wyszyńskiego podpisanie «Porozumienia» było tylko manewrem, zmierzającym do wprowadzenia w błąd Rządu i opinii publicznej”.
3. „Porozumienie” traktowano jako parawan do zasłaniania wrogiej ludowi i narodowi działalności politycznej, wymierzonej przeciw państwu ludowemu.
4. Pomimo zobowiązania się do przeciwdziałania rewizjonistycznej akcji części kleru niemieckiego, „kierownictwo Episkopatu faktycznie nie zrobiło nic, aby wypełnić to swoje uroczyste zobowiązanie...”

5. „Prymas Wyszyński, zgodnie z życzeniem Kurii rzymskiej czynił wszystko, aby nie dopuścić do stabilizacji administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych”.
6. „Nie wyciągnięto konsekwencji kanonicznych wobec księży, wiernych takiej działalności” - tj. antypaństwowej.
7. W procesie biskupa Kaczmarka „Prymas ani jednym słowem nie potępił przestępców, ani jednym słowem nie odgrodził się od wrogiej akcji amerykańsko-watykańskiej, rozwijanej przeciw Polsce!”
8. „Prymas Wyszyński w pierwszym rządzie ponosi odpowiedzialność za sabotowanie i łamanie «Porozumienia», za faktyczną pomoc okazywaną zachodnio-niemieckim Krzyżakom i anglo-amerykańskim wrogom naszego narodu w szkalowaniu i zohydowaniu Polski Ludowej”.

Artykuł ma być jeszcze jednym ostrzeżeniem, gdyż dotychczasowe „wielokrotne ostrzeżenia ze strony Rządu i społeczeństwa nie zmitygowały awanturniczego wychowanka Watykanu”. Pan Ochab zapowiada, że „warcholstwo karmazynów” w Polsce Ludowej bezkarnie ujść nie może.

Artykuł jest więc przygotowaniem opinii publicznej na to, co miało się stać w nocy, a co rano doszło do wiadomości społeczeństwa.

W tym samym numerze *Trybuny Ludu* (z 27. IX. 1953, niedziela Nr 269), na tej samej kolumnie, ogłoszono dwa artykuły: *Uroczystość ku czci wybitnego postępowego działacza Odrodzenia, prymasa Jana Łaskiego* i *Watykan, prymas i Ziemie Odzyskane (b)*. Wychwalano zmarłego prymasa jako człowieka postępowego, który „nie ułękł się potępiającej go bulli papieskiej”; ganiono żyjącego prymasa, że „reprezentował nie polskie stanowisko w Watykanie, lecz watykańskie stanowisko w Polsce”.

Nieznany autor (b) stwierdza, że polityka Watykanu była zawsze antypolska. Przykłady? Ratti, Cortesi, Kaczmarek, *Papa tedesco...* Dziś Watykan nie chce dopuścić do uregulowania spraw kościelnych na Ziemiach Odzyskanych, a „w Polsce usiłuje judzić przeciw władzy ludowej”. „I tę właśnie politykę realizowała w Polsce reakcyjna część hierarchii kościelnej z prymasem Wyszyńskim na czele”.

W tym artykule sformułowano następujące zarzuty:

1. Ksiądz prymas Wyszyński, tak często zabierający głos dla szkalowania Władzy ludowej,
2. nie protestował przeciwko oświadczeniu Adenauera w sprawie Ziem Zachodnich, wypowiedzianemu jakoby „w całkowitej zgodzie z Watykanem”.
3. Prymas Wyszyński nie tylko milczał, ale „zabierał głos wbrew interesom narodu”.
4. „Torpedował wszelkimi sposobami likwidację tymczasowości stanowisk kościelnych na Ziemiach Odzyskanych”.

5. „W Watykanie, dokąd pojechał, by rzekomo orędownać sprawę zniesienia tymczasowości, faktycznie stanął on całkowicie na antypolskiej platformie”. Dowodem tego mają być „dobrze poinformowane w tej sprawie koła zachodnio-niemieckiego kleru” (*Echo der Zeit*).
6. Prymas szykanował i zwalczał duchownych, „którzy zajęli stanowisko wobec rewizjonistycznej hecy”.
7. Prymas zajadłe zwalczał Władzę ludową, osłaniał i ochraniał księży - zbrodniarzy, skazanych za przestępstwa przez sądy.
8. Prymas usiłował „oszucać opinię polską i zataić przed nią rzeczywistą politykę Watykanu” w sprawie Ziem Zachodnich.
9. Zajmował „konsekwentnie antyludowe”, prowatykańskie, proimperialistyczne, a więc i antypolskie stanowisko”.

4. XII. 1955.

Odszukałem w prasie deklarację z „posiedzenia poszerzonego Prezydium Zarządu Głównego Komisji Księży przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację”, ogłoszoną w *Trybunie Ludu* z dnia 1. X. 1953. Usłużna Komisja Księży odbyła swoje posiedzenie już 29. IX. br.; wzięło w nim udział „ponad 40 księży, reprezentujących wszystkie okręgowe komisje”. Referat wygłosił ksiądz doktor Edward Korwot „o zadaniach Kościoła Katolickiego w Polsce Ludowej”. Zebrani przyjęli rezolucję, w której wyrażają radość z deklaracji Episkopatu z 28. IX. 1953. Napadają na Stolicę Apostolską, która „odmawia Polsce prawa do ziem, na których żyje 7 milionów Polaków”.

Wreszcie deklaracja określa stosunek księży Związku Bojowników o Wolność i Demokrację do sprawy Prymasa, w słowach: „Odpowiedzialność za atmosferę ujawnioną na procesie, spada na dotychczasowe kierownictwo Episkopatu, na księdza arcybiskupa Wyszyńskiego, który całą swoją postawą sprzyjał wytworzeniu tej atmosfery”.

8. XII. 1955.

Mała notatka z *Trybuny Ludu* pt. *Dlaczego się pienią?* (2. X. 1953) miała być wstępem do uzasadnienia, że „pienią się bez przyczyny”. *Trybuna Ludu zacięła*, ogłaszając długie tasiemce, przedstawiające mnie jako zecydowanego przeciwnika komunizmu. W tym celu sięgnięto do półek księgarskich, zdjęto z nich książki, które już dawniej usunięto z bibliotek, nie wyłączając Biblioteki Narodowej, i rozpoczęła się „rozprawa” przeciwko „księdzu drowi Stefanowi Wyszyńskiemu” na

tle pracy przedwojennej. Anonimowy autor (C-S) przytacza następujące prace moje: *Książka w walce z komunizmem, Czy katolik może być komunistą?, Jak skutecznie walczyć z komunizmem? Inteligencja w straży przedniej komunizmu, Katolicki program walki z komunizmem, Pius XI w walce z komunizmem, Kultura bolszewizmu a inteligencja polska, Katolicyzm - kapitalizm - socjalizm.*

Zarówno posługiwanie się tym materiałem jest dowolne, jak i wnioski wyprowadzone. W tych wnioskach autor oskarża mnie o wrogość dla ruchów robotniczych i o sprzyjanie hitleryzmowi. Można odczuć, że to oskarżenie miałoby posłużyć później jako materiał do ewentualnego procesu. Przy tej okazji powtórzono cały szereg zarzutów, uprzednio już drukowanych, i uczyniono ze mnie sprzymierzeńca hakaty. Wniosek: „Najwidoczniej kardynał Wyszyński służył złej i szkodliwej sprawie” (artykuł: *Niech mówią fakty*).

*

Z woli Bożej jestem znowu wśród gromady kobiet. Zapamiętam sobie: ilekroć wchodzi do twego pokoju kobieta, zawsze wstań, chociaż byłbyś najbardziej zajęty. Wstań, bez względu na to, czy weszła matka przełożona, czy siostra Kleofasa, która pali w piecu. Pamiętaj, że przypomina ci ona zawsze Służebnicę Pańską, na imię której Kościół wstaje. Pamiętaj, że w ten sposób płacisz dług czci twojej Niepokalanej Matce, z którą ściślej jest związana ta niewiasta niż ty. W ten sposób płacisz dług wobec twojej rodzonej Matki, która ci usłużyła własną krwią i ciałem... Wstań i nie ociągaj się, pokonaj twą męską wyniosłość i władztwo... Wstań nawet wtedy, gdyby weszła najbiedniejsza z Magdalen... Dopiero wtedy będziesz naśladować Twego Mistrza, który wstał z Tronu po prawicy Ojca, aby zstąpić do Służebnicy Pańskiej... Wtedy dopiero będziesz naśladował Ojca Stworzyciela, który Ewie na pomoc przysłał Maryję... Wstań, bez zwłoki, dobrze ci to zrobi.

10. XII. 1955.

„Bądź wola Twoja”, jako w niebie tak i w Komańczy - pragnę, Ojcze, wypowiedzieć to wyraźnie, boć wiesz, gdzie jest Komańcza, i że ja jestem w Komańczy. Wola Twoja jest tak potężna, że skłania mnie do uznania w pełni tego faktu, że zdobywa sobie moją pełną uległość. Czuję nad sobą moc Twoją... korzę się przed nią. Nie chcę opierać się woli Twojej żadnym odruchem. Ty wiesz, Ty wszystko wiesz... Raduję się, że wola Twoja jest aż tak potężna. Na sobie mam dowód potęgi

woli Twojej. Dobrze jest posiadać jeszcze jeden argument na rzecz Twoją, choćby się go zdobyło tak doświadczalnie.

Gdy znajduję w sobie choć jeden akt miłości, już nie jestem nędzą. Choćby całe życie moje było jednym grzechem, ten jeden akt miłości oddaje mnie Bogu. Nie, nie jestem nędzą... jestem wielkością, bo miłuję. A miłość nie umiera. W rupieciarni mego życia znalazłem coś Bożego... To sam Bóg zagubił tę „przecenną perłę”. A chociaż leży ona w roli, w ziemi, w błocie, warto posiadać to błoto, by wraz z nim stać się panem perły. Ileż pereł leży w błocie! Jak wielką cenę ma błoto przez to właśnie, że odkryto w nim jedną, jedyną perłę. Wszak ludzie sprzedają wszystko, co mają, aby nabyć to błoto wraz z perłą. Jestem tylko błotem! Ale w tym błocie Bóg zgubił perłę miłości... Nie mówcie mi już nigdy, że jestem nędzą. Nie mówcie tego nikomu, kto jeszcze umie miłować.

13. XII. 1955.

Warto zanotować przygodę siostry Maksencji, jadącej do Komańczy. Od dawna było ustalone z księdzem biskupem Klepaczem, że przed Bożym Narodzeniem przyjedzie siostra Maksencja, by przejrzeć moją bieliznę, przywiezioną z więzienia. Poprzedzona listem ekspressem i depeszą, siostra miała być na przystanku kolejowym na godzinę 17.00. Matka Przełożona wysłała jej na przewodniczkę siostrę Malwinę. Wyprawa zakończyła się tak, że siostra Maksencja została przewieziona na dworzec do Komańczy, stąd na posterunek Milicji Obywatelskiej, a stąd samochodem do Sanoka i zawrócona do Warszawy. Siostra Malwina, wysłana na spotkanie, miała za towarzysza funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej, który nie opuszczał jej do Sanoka. Obie siostry jechały spokojnie do Komańczy, gdy w Rzepedzi weszło do przedziału czterech MO i poprosili o dokumenty. Siostra Maksencja przedstawiła dowód osobisty i zaświadczenie, wydane przez biskupa Klepacza. Stwierdziła ono, że na mocy zapewnienia premiera Cyrankiewicza, rodzina i domownicy moi mogą mnie odwiedzać. Przedstawiciel Milicji Obywatelskiej oświadczył siostrze Maksencji, że pojedzie na posterunek Milicji Obywatelskiej w Komańczy. Nie pozwolono siostrze wyjść na przystanku Komańcza; zdołała zaledwie oddać walizy siostrze, oczekującym na peronie. Obydwie z siostrą Malwiną znalazły się na Milicji Obywatelskiej. Wysłane na pomoc siostry otrzymały wyjaśnienie, że jeśli będzie potrzeba, to zatrzymane siostry będą odeślane do klasztoru. Wbrew temu oświadczeniu stało się inaczej. O godzinie 21.00 wróciła siostra Malwina i opowiedziała, że siostrę Maksencję wsadzono do auta przybyłego z Sanoka i zabrano w drogę powrotną. Nic nie pomogły prośby siostry Maksencji, by mogła

przenocować i ogrzać się. Przedstawiciele Milicji Obywatelskiej byli bezwzględni, przynaglali do pośpiechu, by mogli zdążyć na pociąg warszawski.

31. XII. 1955.

Należy się Tobie, Ojcze przyszłego wieku, którego lata nie ustają, formalne wotum zaufania od Twego sługi. Wszystko, czegoś dokonał dla mnie - to miłosierdzie i prawda. Wszystko, czegom dokonał dla Ciebie w kończącym się roku - to dziecięca uległość i niemowlęca ufność. Tyś sam miłością i łaską i mocą! Ja - samolubstwem, grzechem i słabością. Bierzesz całą nieudolność moją w swoje święte Dłonie i zostawiasz na niej ślady miłosierdzia i wyrozumienia. Ty sam sprawiasz we mnie, że nie mogę stracić wiary w Twoją mądrość i dobroć. Ty sam odmieniasz w oczach swoich moją wolę i moje myśli. Ty sam sprawiasz, że uznaję Twoją sprawiedliwość. Ty sam budzisz w mojej duszy pragnienie ofiary i męczeństwa za Twój Kościół, dla Twojej chwały. Ty sam uśmierzasz we mnie lęk i niechęć do cierpienia. Ty sam wlewasz w serce moje spokój wobec nieznanego i radość ze wszystkiego, co mnie spotkać może. Ty sam sprawiasz, że człowiek zmysłowy i przywiązany do siebie, pragnie zostać wrogiem siebie samego, by zrozumieć Twoją przyjaźń. Ty czynisz, że nie mogę poznać siebie, że zaczynam dziwić się sam sobie, że pytam siebie: *unde mihi noc?*... Teraz, gdy bije godzina 24.00, oświadczam Ci, Ojcze, ostatniej chwili starego i pierwszej chwili Nowego Roku, że nic nie zawinięś wobec mnie, że to ja jestem Twoim niewypłacalnym dłużnikiem. Pracowałem deficytowo... Ale Ty umiesz odpuszczać dłużnikom... Może tylko w ten sposób zdołam realizować hasło mego życia - *Soli Deo*.

16. I. 1956.

Gdybyś nawet nie miał dla mnie, Ojcze Najlepszy, nic więcej jak kamień rzucony złośliwą ręką, to pragnę przyjąć go jak największą łaskę Twoją; pragnę go ucałować, aby - jak świętemu Szczepanowi - wydał mi się słodki. I gdybyś nawet nie miał dla mnie, Ojcze Miłości, żadnego słowa dobrego, tylko obelgę nieprzyjaciół krzyża, tylko potwarz i szyderstwo - to jeszcze pragnę uznać to za łaskę, na którą jedynie zdolny jestem sobie zasłużyć. I gdyby już nie było dla mnie miejsca przy Twoich ołtarzach, Ojcze Wieczystego Kapłana, to jeszcze pragnę w tym widzieć świętość Troistą, która sama jedna zna wartość i godność kapłaństwa i wie, kto jest zdolny godnie Ci służyć. I gdybyś

zamknął usta moje tak, żebym nie miał możliwości więcej wyznawać Syna Twego przed ludźmi - to jeszcze wyznając Cię w sercu swoim, czcić będę potęgę Twoją, która zdolna jest ożywić kamienie ze ścian, by głosiły chwałę Twoją, by wołały go głuchych.

Tak, Ojcze, bo wszystko, co od Ciebie pochodzi, co z Twego jest dopuszczenia, jest największą dla mnie łaską, jest znakiem Twojej miłości; wszystko to zasługuje na zawierzenie Tobie.

21. I. 1956.

Świętej Agnieszki. *Ad Laudes* antyfony: *Anulo suo subarrhavit me Dominus meus Iesus Christus, et tamquam sponsam decoravit me corona*. I psalm, pełen dążenia do zaślubionego Jezusa: *Deus, Deus meus es: sollicite te quicero. Te sitit anima mea, desiderat te caro mea...* (Ps 62). Te słowa muszą mnie wyrzucić z siodła wygodnego oczekiwania na łaski, gdy przyjdą. To jest prawdziwa pożądlivość Boga, związanego pierścieniem ze mną. Wszystko trzyma mnie przy Bogu; widzę to dobrze czasu pokusy, która wiele się upracuje, by rozerwać tę więź. Miarą oporu w walce z pokusą, jest miara siły więzi z Bogiem. Jeśli nie ustępuje łatwo, to znaczy, że moje zaślubiny są trwałym związkiem. Przyjdzie doświadczenie w ogniu pokusy i człowiek wychodzi z większym jeszcze pragnieniem Ciebie, Oblubieńcze, który trzymasz mnie na zaślubionym pierścieniu moim. *Ad Te levavi animam...* - *Te sitit anima mea...*

29. I. 1956.

Siedemdziesiątnica - „Duch Prawdy przypomni wam wszystko i nauczy wszystkiego, cokolwiek wam mówiłem...” Ten Duch mówi nieustannie w modlącym się Kościele. Dziś Kościół przemawia do mnie bogactwem swych myśli, gdy zaczyna okres Odkupienia w liturgii. Ukazuje świat Boży, stworzony przez Ojca - *In principio creavit Deus...* - świat zbrukany grzechem, świat omywany przez krew Chrystusa... *Circumdederunt me dolores mortis* (Introit) - to jest świat zmęczony grzechem. Ale Bóg tak umiłował świat, że Syna swego dał... Syn zaczyna dzieło odnowy. Trzeba więc za przykładem Ojca, miłować świat... I to tak bardzo... Nie można nazywać go złym, skoro Bóg widział go dobrym... Słucham uważnie Ducha Prawdy, który mi dziś przypomina. Idę krok za krokiem z Nim, dnia każdego, gdyż Kościół Ducha Świętego mówi do mnie każdego dnia. Zawsze ma tak wiele do powiedzenia! Jest jak drzewo rodzące obfity owoc na każdy dzień. Dziś mam ten owoc spożyć^ nie odkładać go na jutro, bo jutro Kościół poda

mi nowy owoc. Muszę być dobrze odżywiony, bo Bóg głodomorów nie lubi. Dzieci Jego muszą być pełne dóbr, jak i On sam. Zasiadam dó Jego uczyty co dzień... Jestem posłuszny Duchowi Świętemu co dzień..:

31.1. 1956.

Chroń mnie, Ojczy Prawdy, przed wyniosłym słowem. Gdy się rnodzę Tobie, w ciszy, Ty jeden znasz moją prawdę; nie dopuść, by słowa moje przerastały moją prawdę. Ty jeden znasz człowieka i nie trzeba, aby Ci cokolwiek mówić o człowieku. Nie dopuść, bym ja mówił Ci o sobie coś wielkiego, coś przerosłego, wygórowanego. Gdy Ci mówię, że jestem największy grzesznik, Ty wiesz, czy nie myślę czegoś na swoje usprawiedliwienie, czy nie widzę w duchu większych nad siebie grzeszników; nie dopuść, by między moim słowem a myślą była luka. Gdy Ci mówię, że Cię kocham, nie dopuść, bym Ci kłamał. Gdy mówię, że żałuję, nie pozwól, by serce zostało chłodne. Niech słowo moje będzie w prawdzie, niech będzie prawdziwe, oględne, ale rzetelne. Chroń mnie, Ojczy Słowa, od nadużycia słowa. Wejdz w świat moich myśli i uporządkuj je, bym nie starał się słowami i myślami zwodzić Ciebie, imponować Ci. Chroń mnie przed całą tą „literaturą”, przed wyobraźnią, przed twórczością, przed nadprodukcją słowa... Obym zamilkł nawet myślą, gdy stoję przed Tobą, który patrzysz w serca i czytasz w myślach... *'Scrutans corda et renes, Deus.*

19.11. 1956.

W I niedzielę Czerdziestnicy nieustannie wraca nam tragiczna scena z Wielkiego Kuszenia Syna Człowieczego. Do dziś dnia powtarza się w dziejach człowieczeństwa, w życiu Kościoła Chrystusowego, w duszy każdego chrześcijanina. Wielką jest łaska, że Chrystus dał poznać na sobie, jakimi metodami posługuje się kusiciel, jakie są jego kusicielskie chwytty. Czyż nie widzę w sobie, jak wrażliwy jestem na pokusę „chleba”, na pokusę łatwizny życiowej, na pokusę „świętego spokoju”. Czyż nie dobrze podpatrzył kusiciel moje słabości? Jeśli nie uległ tym pokusom dotąd, to wcale nie znaczy, że już bezpieczny. Jeśli wytrwał, to czy nie dlatego, że Bóg walczył za mnie? Ale samo podejrzenie, że „można z nim próbować”, czyż nie stawia mnie w rzędzie tyłu innych ludzi, którzy są doświadczani jako i ja? - Walka dziś toczona z Kościołem zwycięża w wielu ludziach właśnie dlatego, że pieką sobie chleby z kamieni, rzuconych Kościołowi pod nogi; że pozwalają się nosić na rękach złym duchom, że nieustannie padają plackiem na twarz, bijąc służalcze hołdy wszystkim kusicielom. To są

współcześni katolicy „postępowi”. W czym? „Postępowi” w złu! Czynią nieustanny postęp w uległości wszystkim, coraz słabszym pokusom. - Czy mam się z nich gorszyć? Nie - raczej mam mądrzeć, abym sam nie był kuszony „od diabła”. - By mnie uratować przed pokusą, Duch Boży zaprowadził mnie na tę puszczy. Ale i tu nie jestem wolny od pokus: są to walki z sobą, aby już nie myśleć, że mogą być inne drogi niż te, którymi prowadzi mnie Duch Boży od dwóch lat.

20.11. 1956.

A jedna z „najświętszych” pokus?! Dzisiaj przestudiowałem nowe przepisy o obrzędach Wielkiego Tygodnia. Ile w nich ducha Chrystusowego! Aż serce się ściska na myśl, że pozostanę tutaj beczynny, nie mając możliwości radować się przeżyciami Kościoła, który dla wszystkich swoich dzieci zgotował tyle radości, gdy każe im czcić Chrystusa Króla w Palmową Niedzielę, gdy chce ich zachwycić miłością Boga Eucharystycznego, gdy chce ich porwać do Krzyża, gdy chce wlać nadzieję Zmartwychwstania. Kto moim dzieciom otworzy oczy na te cuda myśli Bożej, patrzące z liturgii Kościoła? Wszak łaskę stanu dla moich dzieci mam przede wszystkim ja! I obowiązek, i zrozumienie, i gotowość... I to wszystko ma ucichnąć, zmiłknąć, nie dojść do głosu, chociaż w duszy kipi? Oby moje „kamienie” stały się chlebem! Ojczy - dla nich! „Rzuć się na dół!” Już teraz!... Boże Niezbadany! A jednak: kamienie zostaną kamieniami. A jednak: nie będę spływać z obłoków - pozostanę w swoim rowie Komańczańskim, zazdrośnie podpatrując z chóru kapłana, który ma łaskę służenia swojemu ludowi... Ojczy! daj moc zwyciężyć i tę pokusę - najświętszą pokusę „służenia Tobie coram populo”... Czyż nie są większą chwałą Twoją „święte wyrzeczenia”, pozorna bezcelowość takiego życia, wydanie na łup Twej woli najszlachetniejszych porywów, ukrzyżowanie swej gorliwości, poddanie swego zapału pasterskiego Twojej rozrzutności?... Mam ucichnąć raz jeszcze; mam zamknąć usta, skępować wolę, uwiązać swe popędy kapłańskie. Przecież „święte” bardziej się należy Tobie niż grzeszne! Zdradzam siebie, dla Ciebie!

22.11. 1956.

Intellige clamorem meum!... Któż lepiej nad Ciebie mnie wyrozumie? Wszak w jednym odruchu Twej Boskiej myśli o mnie jest więcej wiedzy, aniżeli we wszystkich myślach moich całego życia o dziejach globów i ludów. - Ty więcej wiesz o mnie, niż ja o całym świecie! Ty więcej odkrywasz we mnie, aniżeli ja w całym świecie. - Ty jeden nie

potrzebujesz pytać, co jest w człowieku, albowiem sam wiesz, co jest w człowieku. Ja nieustannie gubię się w sobie, Ty nieustannie rozpoznajesz się we mnie. - Ja ciągle wątpię o sobie, Ty nigdy nie wątpisz we mnie. - Ja ciągle się przeceniam lub nie doceniam, Ty ciągle widzisz całą moją prawdę. - Ja unoszę się pychą, gdy coś zrozumiam z Ciebie, Ty ciągle dajesz mi pojąć, że jestem analfabeta. - Ja wpadam w rozpacz, gdy przegram, Ty nieustannie mi szepcesz: wystarczy ci łaski mojej, bo moc w słabościach się udoskonala. - Ja ciągle szukam mojej drogi, mojej prawdy, mojego życia, Ty zawsze jesteś moją Drogą, moją Prawdą, moim Życiem. Jedna myśl moja o Tobie odślania mi całą prawdę o mnie. Widzę siebie dobrze tylko w Tobie. Poznają siebie przez Ciebie. Odnajduję cały sens mego bytu w Tobie. Gdybym już zaginął i przepadł w otchłaniach piekieł, jeszcze bym mógł odzyskać grunt pod nogami przez jeden odruch serca ku Tobie. Jestem nicością bez Ciebie, jestem potęgą w Tobie. „Ja, proch, będę z Panem gadał...”

9. ///. 1956.

Skłaniasz mnie, Ojczy, do tego, abym się stał przeciwnikiem swoim, bym modlił się przeciwko sobie, bym prosił Cię o wszystko, czego się lękam, a co może być potrzebne Twojemu Kościołowi. Wymagasz, bym się oddał za Kościół święty, bym ofiarował swoje życie i pragnienie pracy za dochowanie wierności Tobie przez mój Naród. Oczekujesz, że będę się modlił o wszystko „straszne” dla siebie, aby wszystko straszne ominęło Twój Kościół w Polsce i wierny Naród katolicki. Masz prawo i tego wymagać. Chcę stać się przeciwnikiem swoim, by stać się uległym Tobie. Pragnę być bezwzględny dla siebie, byś Ty był względny dla Kościoła i biskupów polskich. Nie zdołam ich wyręczyć, ale Ty możesz powiedzieć: twoja nęcza mi wystarczy, resztę wam daruję. Możesz przecież wziąć tylko 20 srebrników, jak bracia Józefowi, zamiast pełnej ceny okupu za Lud Boży. Weź to trochę, ale resztę daruj. Nie patrz na wielką niedoskonałość mej ofiary, na te wewnętrzne opory, które pozwalasz mi naginać pod Twoje święte stopy.

Tak kocham służbę liturgiczną przy ołtarzu, tak lubię wyznawać Cię przed ludźmi, tak miłuję ozdobę Domu Twego, tak tęsknię do mieszkania w przybytkach Pańskich! Cóż jest większą radością?! I tej miałbym się wyrzec? Jeśli to przymnoży Ci chwały, jeśli Cię ochroni przed niegodnym sługą - to przyjmij i to wyrzeczenie, najstraszniejsze dla kapłana! Ale Ty umiesz je wziąć, boś dał łaskę darmo. Możesz ją cofnąć! Masz prawo!

U. III. 1956.

Niedługo trzeba było czekać na następstwa wystąpienia Chruszczowa „przeciwko niezgodnemu z duchem marksizmu-leninizmu

kultowi jednostki, który przekształca tego lub owego działacza w bohatera-cudotwórcę” (XX Zjazd Partii w Moskwie). Domyśliliśmy się łatwo, że Chruszczow ma na myśli Stalina. Dziś *Trybuna Ludu* (nr 69) przyniosła artykuł *O kulcie jednostki i jego następstwach* - wprost nieprawdopodobny w swoich sformułowaniach. Podkreślając „wybitną rolę”, jaką odegrał Józef Stalin po śmierci Lenina, anonimowy autor dodaje: „Stopniowo jednak - w latach trzydziestych - Stalin zaczął wynosić się ponad partię, narzucać partii swoją wolę, swe jednostkowe decyzje. Kolegialność kierownictwa partyjnego była coraz bardziej umniejszana i wreszcie zlikwidowana. Wszystko to wyrządziło wiele bolesnych i dotkliwych szkód Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i międzynarodowemu ruchowi robotniczemu”. - Artykuł jest bez podpisu, to znaczy - jest artykułem wzorcowym dla prasy, która zacznie go rozrabiać teraz w wielu innych artykułach. Istotnie, w *Ekspresie* jakiś autor tłumaczy fikcyjnej Jance, „wychowanej w kulcie Stalina”, wszystkie jego błędy i wyrządzone przezeń krzywdy. - Trzeba być komunistą, by tak długo na to czekać. Niekomuniści już dawno widzieli, że dzieje się coś niedemokratycznego w tym kulcie jednostki. Gdy z okazji uroczystości majowych Warszawa była tapetowana olbrzymimi portretami Stalina a la Mikołaj II, wszyscy trzeźwi ludzie widzieli w tym „ubóstwianiu” grzech przeciwko oficjalnemu ateizmowi komunistycznemu. Ale wtedy mieli rację tylko komuniści; inni szli pod klucz, chociaż protestowali z pobudek narodowych, obywateli Narodu suwerennego. Kto dziś miałby iść pod klucz, gdy się okazało, że to właśnie niekomuniści byli lepszymi „komunistami”, lepiej znali ducha marksizmu?

Jak szybki jest zmierzch „bogów”, czynionych ludzkimi rękami! I przed tymi bogami miałby ustąpić Bóg Żywy, dla którego miejsca nie ma w państwie marksistowskim, a który „zawsze ten sam - i wczoraj, i dziś, i jutro!” I dla takich złudnych mgieł miałby Kościół iść na służbę doktryny, która jutro potępi i odrzuci to, co wczoraj wynosiła „na ołtarze”?

12. III. 1956.

„Purpura Kościoła, której pragniesz, jest purpurą Chrystusa przed Ponckim Piłatem. Na tobie będzie ciążył obowiązek, aby ją nieść” - mówi papież Honoriusz do młodego Leona (G. von Le Fort: „Papież z ghetta”).

Pierwszą pioskę purpurową nosił Chrystus, gdy włóczono na Niego koronę, która wbiła się 70 igłami w świętą Głowę. Spłynęła ona obficie Krwią świętą. Moja pioska jest tylko symbolem tej krwawej, purpurowej głowy Chrystusa.

Pierwszy płaszcz purpurowy był wyrazem szyderstwa żołnierskiego. Jak krzyż Chrystusa stał się chwałą Kościoła, tak i płaszcz purpurowy jest chwałą Jego synów. Ale nie przestaje być on krwawym symbolem Chrystusowej Krwi. Mój płaszcz purpurowy, podarowany mi przez polskie duchowieństwo Rzymu, minister Bida oddał do teatru, na przedstawienia szydercze, by tam drapowano artystów, wyśmiewających kardynałów.

13. III. 1956.

Obudziłem się przed piątą minut dwadzieścia, dręczony snem... Może nie warto o snach pisać, ale ten, który dzisiaj miałem - wyjątkowo zapiszę. - W widzeniu sennym opuszczałem jakiś wielki gmach, po uciążliwej konferencji z Bolesławem Bierutem. Pożegnaliśmy się w hallu. Wychodziłem już, gdy przyłączył się do mnie p. Bierut, z wyraźnym zamiarem towarzyszenia mi. Byłem tym skrępowany, dręczyło mnie wrażenie, co ludzie pomyślą, widząc nas wspólnie na ulicy. Szliśmy długą ulicą, jakby Alejami Racławickimi w kierunku Krakowskiego Przedmieścia w Lublinie. Prowadziliśmy rozmowę; chciałem jeszcze powiedzieć coś p. Bierutowi. Gdy czekaliśmy na skrzyżowaniu ulic na wolne przejście, pan Bierut skręcił na lewo i po przekątnej przeszedł ulicę. Pozostałem sam z myślą; jemu wszystko wolno, nawet gwałcić przepisy o ruchu ulicznym. Wkrótce zniknął mi z oczu, gdzieś w bocznej ulicy. Przechodziłem przez jezdnię w prostym kierunku, pełen lęku przed dwoma groźnymi kozłami, które stały na środku mej drogi. Ale mijałem je bez przeszkód, ciągle szukając p. Bieruta, gdzie zniknął. Oglądałem się za nim, chcąc coś jeszcze mu powiedzieć. Dziwiłem się, że tak nagle mi zniknął. Mój towarzysz, jakiś ksiądz, chciał mi coś tłumaczyć; czy należy się oglądać? W poczuciu, że nie wszystko zostało między nami zakończone, ruszyłem przed siebie prostą drogą, w ulicę Krakowskie Przedmieście. Z tym obudziłem się...

Rychło zapomniałem w ciągu dnia o tym śnie, jak o wszystkich innych. Jednak dręczyłem dzisiaj Dobrego Ojca, natarczywiej niż zwykle, w modlitwie *superpopulum*-. *Miserere, Domine, populo tuo: et continuis tribulationibus laborantium, propitius respirare concede* (wtorek, po IV Quad).

Wkrótce po śniadaniu przyszli obydwaj księża. „Proszę zgadnąć, co się stało?” - Nie zgadywałem. Sami powiedzieli. Radio właśnie podało, że wczoraj wieczorem umarł w Moskwie Bolesław Bierut. - W obliczu każdej śmierci chrześcijanin zajmuje postawę głębokiej powagi. Wchodzi przeciw na drogę życia ludzkiego Ten, *cui omnia vivunt*, Ten, który *aufert spiritus principum*. Dziś odpada ostrze

polemiki, gdyż Bolesław Bierut już uwierzył, że Bóg jest i że jest jednak Miłością. Jest więc zdecydowanie „po naszej stronie”. Po stronie przeciwnej jednak pozostali ci, którym przewodził dotąd na ziemi, a którzy w ostatnich tygodniach montowali „postępowo-naukowy atak na zabobon religijny”. Właśnie w ostatnich tygodniach napływały wiadomości, że nauczycielstwo otrzymało tajne instrukcje, by tak zatrudnić młodzież, iżby nie mogła brać udziału w ćwiczeniach rekolekcyjnych.

Bóg położył kres życiu człowieka i głowy Państwa, który miał odwagę pierwszy i jedyny z dotychczasowych władców Polski zorganizować walkę polityczną i państwową z Kościołem. To straszna odwaga! Na tę odwagę zdobył się Bolesław Bierut. Z jego imieniem będą związane odtąd w dziejach Narodu i Kościoła te straszne krzywdy, które zostały wyrządzone Kościołowi. Czy robił to z przekonania, czy z taktyki politycznej - przyszłość oceni! Być może, nie chciał otwartej i drastycznej walki, ale pozwalał na przeprowadzanie tak perfidnego planu - usypiania czujności rękami katolików postępowych - i konsekwentnego, stopniowego niszczenia tyłu instytucji kościelnych i religijno-społecznych. W ciągu rządów Bolesława Bieruta, pomimo zawartego „Porozumienia”, zniszczono prasę, wszystkie niemal pisma i księgarnie oraz wydawnictwa, nie wyłączając urzędowych organów Kurii Dziecezjalnych; zniszczono dobroczynność kościelną, mnóstwo placówek wychowawczych i opiekuńczych; zniszczono szkolnictwo i szpitalnictwo katolickie; zlikwidowano mnóstwo klasztorów i domów zakonnych, nie wyłączając szkół zakonnych dla celów wewnętrznych. Straszliwe gwałty, których dopuszczano się na więźniach kapłanach i zakonnikach w czasie śledztw, nadmiernie ciężkie wyroki sądowe, wskutek których więzienia zaludniły się sutannami i habitami, jak nigdy od czasów Murawiewa - to wielki i bolesny rozdział tych rządów.

Ostatnie lata wzięły Kościół święty w łańcuchy Urzędu do Spraw Wyznań i dekretu o obsadzeniu stanowisk kościelnych. Ten wielki aparat kościelny został w ogromnym stopniu skrępowany, a jeżeli nie zdołano go zniszczyć do końca, to może i dlatego, że postawa społeczeństwa katolickiego była dość zwarta; że siła Kościoła była zbyt wielka; że roztropność Episkopatu doprowadziła do „Porozumienia”, choćby akt ten był bez znaczenia; że jednak czasy się zmieniały; że przyszyły nowe „natchnienia” z góry (metoda Chruszczowa). - Te bolesne przeżycia będą związane odtąd na zawsze z imieniem Bolesława Bieruta. Może historia go wybieli? Dziś, gdy odchodzi, pozostawia po sobie straszne wrażenie.

Bolesław Bierut umarł w rocznicę koronacji Piusa XII, człowieka, którego pozwolił tak boleśnie bezczęścić w prasie partyjnej. Ilekroć zwracaliśmy uwagę na tę przekraczającą wszelką przyzwoitość metodę walki, pozostawało to bez skutku, chociaż autorytet Bolesława Bieruta

w partii był tak wielki, że mógłby położyć temu kres, albo nadać walce wymiary przyzwoite. Bóg upomniał się o cześć służby swojego, Piusa, w obliczu Narodu katolickiego, który tak bardzo był urażony w swoich uczuciach religijnych.

Wreszcie - jeszcze jeden „palec Boży”. Bolesław Bierut umarł na obczyźnie, w Moskwie - tam, gdzie zgodził się na oddanie 1/3 terytorium Polski, tam, gdzie czerpał swoje natchnienie dla walki z Kościołem. Widocznie Bóg chciał i tu pokazać, że „kto czym wojuje, od tego ginie”. Zapewne, można przyjąć, że śmierć miała przebieg normalny, gdy się zważy ciężką chorobę serca, przez którą przeszedł przed kilku laty, i wyczerpującą pracę, jakiej się oddawał. Ale w atmosferze publicznej Narodu pozostanie to osobliwe wrażenie, które zawsze będzie zmuszać do „wyjaśnień”.

I jeszcze jedno! Ostatecznie, Bolesław Bierut umarł obciążony ekskomuniką kościelną. Nie dlatego że był komunistą, ale dlatego że współdziałał w gwałcie, dokonywanym na osobie kardynała, przy jego deportacji z Warszawy. Dekret Świętej Kongregacji Konsystorialnej z dnia 30. IX. 1953 wyraźnie to stanowi. Mógł sobie nic nie robić z tego dekretu, jak gwałcił tyle praw Kościoła; ale dla mnie ta okoliczność jest wyjątkowo ciężka, że z mego powodu stanęła jeszcze jedna przeszkoda między sprawiedliwym Sędzią a zmarłym. Jak trudno w takiej sytuacji być pełnym chrześcijaninem! Pogwałcone prawo Kościoła wymaga kary. Cześć należna woli Bożej musi być okazana. To muszę uznać i tego chcieć; muszę chcieć sprawiedliwości Boga, który walczy w obronie swoich pomazańców. A jednak pragnąłbym, by ta ostatnia przeszkoda nie istniała. Tym więcej pragnę modlić się o miłosierdzie Boże dla człowieka, który tak bardzo mnie ukrzywdził. Jutro odprawię Mszę świętą za zmarłego; już teraz „odpuszczam mojemu winowajcy”, ufny, że sprawiedliwy Bóg znajdzie w tym życiu jaśniejsze czyny, które zjedną Boże Miłosierdzie.

Wieczorem przypomniałem sobie mój ranny sen, który opowiedziałem księżom przy wieczerzy. Istnieje nie tylko *Sanctorum communio*. Istnieje w świecie komunikacja duchów ludzkich. Tyle razy w ciągu swego więzienia modliłem się za Bolesława Bieruta. Może ta modlitwa nas związała tak, że przyszedł po pomoc. Oglądałem się za nim w śnie - i nie zapomnę o pomocy modlitwy. Może wszyscy o nim zapomną rychło, może się go wkrótce wyrzekną, jak dziś wyrzekają się Stalina - aleja tego nie uczynię. Tego wymaga ode mnie moje chrześcijaństwo.

16. III. 1956.

Nowenna ku uczczeniu chwili Zwiastowania w Nazaret każe mi włączyć się w to, co dokonało się w Maryi i w dziejach ludzkości.

Trójca Święta jest przy swojej Wybrance, odszukanej w bezkresach wszechświata. Ojciec posyła Anioła swego i oczekuje odpowiedzi. Słowo Przedwieczne powtarza Ojcu- *Ecce venio, utfaciam voluntatem Tuam*. Duch Święty całą miłość swoją skupia, by ogarnąć „Łaski pełną”. Ludzkość nic nie wie o tak doniosłej dla siebie chwili. Maryja jedna zatrzymuje ten moment pytaniem: *Quomodo flet istud?...* Jej *fiat* sprawia, że wszystkie Osoby Boże zaczynają działać. Ojciec Słowa staje się Ojcem Syna Człowieczego, Słowo Przedwieczne zespala w sobie naturę ludzką. Duch Święty jednoczy Boże z ludzkim. Maryja staje się Matką Boga, Świątynią Boga, Przybytkiem Ducha Świętego. Ogarnia Nieogarnionego. *Beata viscera...* W środku nas stanął Ten, którego my nie znamy, a który już jest wśród nas. Ale zna Go Maryja, jedyna Istota na ziemi, która już wie, że Słowo Ciałem się stało.

17. III. 1956.

Doszło do mojej wiadomości, że Rząd „wyraził życzenie”, aby program „Roku Ślubów Narodowych” z okazji 300-lecia Ślubów Jana Kazimierza we Lwowie, był wycofany. Program taki opracowała komisja, powołana przez Episkopat; został przyjęty przez Komisję Główną i rozesłany przez Sekretariat Episkopatu do wykonania. Miał charakter wybitnie duszpastersko-religijny; obejmował nawet takie punkty, które są wspólną troską Rządu i społeczeństwa, jak walka z alkoholizmem, z rozwiązłością młodzieży itp. A jednak Rząd, pomimo widocznej korzyści współpracy Kościoła ze społeczeństwem, wolał zrezygnować z tej pomocy; co więcej - usiłował sparaliżować poczynania Episkopatu. Co jest przyczyną decydującą? Można przyjąć obawę przed masowymi wystąpieniami opinii katolickiej pod przewodnictwem Episkopatu?! Można przyjąć lęk, że Episkopat jest poniekąd wodzem Narodu?! Można przyjąć protest przeciwko wchodzeniu religii, „która jest rzeczą prywatną”, na teren społeczno-narodowy? - Cokolwiek byśmy przyjęli, pozostanie przykra prawda, że Kościół w pracy swej nie może korzystać z głoszonej powszechnie „odwilży”. Korzysta już z niej prasa, która coraz śmielej występuje z krytyką różnych inicjatyw gospodarczych; mniej odważnie korzysta z tego tzw. „prasa katolicka” - na odcinku moralnym. Korzystają z tego zwłaszcza pisma satyryczne (*Szpilki*), które otrzymały przydział wolności opinii w najszerszym zakresie. Zdaje się, że mają wolność wykpiwać wszystkich, prócz ministrów i sekretarzy partii. *Trybuna Ludu* pozwala sobie nawet na podważanie małego „boga”. Natomiast Kościół nie tylko nie może naśladować tych krytyków, pomimo protestów przeciwko „tłumicielom krytyki”, ale nie może prowadzić swobodnie pracy religijno-społecznej, choćby przynosiła ona Narodowi niewątpliwe korzyści.

25. III. 1956.

W Palmową Niedzielę, która dziś po raz pierwszy jest uczczeniem Chrystusa Króla, śpiewa Kościół święty: „A rozebrawszy Go, włożyli nań płaszcz szkarłatny...” Kościół pragnie, aby słudzy Jego pamiętali o tym zdarzeniu i dlatego przyodziewa 70 sług swoich w purpurę. Może być ona niekiedy przedmiotem pożądania i pychy... Ale w rzeczywistości jest symbolem tej Krwi, która obficie spłynęła z Chrystusa Boga Człowieka i z Chrystusa - Mistycznego Ciała. Trzeba więc w sobie wyniszczać to, co mogło pozostać z pychy, choćby nie łączyło się z pożądaniem... Nie było wprawdzie we mnie pożądania, a bodaj - nie było i pychy. Ale nie byłem wolny od swoistego jej odcienia. Ile to razy „droczyłem się” z Panem, gdy musiałem brać na siebie oznaki woli Kościoła? Pocziwa siostra Maksencja nieraz musiała mi powtarzać: „To przecież dla chwały Kościoła świętego”. A jednak unikałem jak mogłem tej czerwieni, niemal nie nosiłem szarfy, sutanny czerwonej, płaszcz brałem tylko jako ochronę przed zaziębieniem po kazaniu, nie używałem pończoch czerwonych... Zauważyłem, że niektórzy księża biskupi zaczęli mnie naśladować... A to była jednak pycha, bo więcej w tym było myśli o sobie niż o Chrystusowej Purpurze. Jednak by godnie nosić ozdobę Kościoła, nie tylko nie wystarczy pragnąć jej, ale trzeba umieć cenić ją - dla Kościoła. Chrystus nie wzdragał się przyjąć szaty szkarłatnej. A ja nieustannie „droczyłem się” z wolą Kościoła. A przecież każdy wie, że w tym szkarłacie więcej jest z krwi Kościoła, niż z ludzkiej próżności tak, że nigdy pycha ludzka nie będzie zdolna przysłonić prawdy Krwi. Muszę więc cenić sobie najdrobniejszy sznur, by światu głosić Najświętszą Krew Chrystusa i Kościoła...

Skoro już mam spowiadać się Tobie, Ojcze, z mej pychy, to bodaj jednym z ostatnich grzechów mej pychy był opór, jaki przed 10 laty stawałem Tobie, gdy kardynał Prymas Hlond zwiastował mi posłannictwo biskupie. Chociaż wiedziałem, że to był dzień Zwiastowania Nazaretańskiego, to jednak zapomniałem o tym, że w tym dniu Maryja powiedziała: *Fiat mihi*. A moje: *quomodo flet istud* trwało przez całą noc. Wydało mi się, gdym przyszedł następnego dnia do Domu Prymasa, że dziś jestem godniejszy tej łaski niż wczoraj; że to ja przygotowałem się sam na przyjście biskupstwa, przez tę skromną nocną modlitwę, w kaplicy Sióstr Wspólnej Pracy. W tym właśnie była moja pycha. Przecież Tyś znał mnie, Ojcze, jeszcze przed tą modlitwą. Tyś wnikał w moje serce, Tyś był świadom moich upadków, nałogów i win żywota. A jednak chciałeś, by mi Kościół śpiewał: *qui in diebus suis placuit Deo*. - W swojej pysze nie zauważyłem

delikatnej wymówki, którą mi uczynił kardynał Hlond: „Ojcu świętemu się nie odmawia”. Pycha moja tkwiła w tym, że więcej wiedziałem grzechy moje niż moc i łaskę Najwyższego. Dziś to lepiej rozumiem niż przed laty dziesięciu. Dziś zdaje mi się, że to był ostatni grzech pychy mojej. Dziś zdaje mi się, że odtąd nie grzeszyłem pychą. A może taka myśl jest jeszcze jednym grzechem pychy?

Dziękuję Ci, Ojcze, że zwiastowanie mego biskupstwa było dokonane w dniu Zwiastowania Nazaretańskiego, że przez ten akt łaski dodatkowej dałeś mi do zrozumienia, iż Maryja - „oto Matka moja”.

26. III. 1956.

Upływa dzisiaj dziesięć lat, gdy w Poznaniu wyraziłem *consensum canonicum* na ręce kardynała Prymasa Hlonda, na objęcie osieroconej stolicy biskupiej w Lublinie. Duch Święty wymagał wtedy, bym poszedł do kleru i ludu lubelskiego.

Dzisiaj otrzymałem list księdza dra Padacza, który mi donosi, że „pomimo starań, wyjaśnień i tłumaczeń, na święta pozostaje w Warszawie.” Prosiłem księdza Padacza, aby jako mój kapelan przybył przynajmniej na Wielkanoc do Komańczy, abym miał radość, że mam przy sobie chociaż jednego swojego kapłana. Wiem, jak ksiądz Padacz gorąco pragnął być razem ze mną. I ja cieszyłem się na to przybycie. Przecież biskup bez duchowieństwa - to straszne wyrzeczenie; zwłaszcza na dzień Wielkiego Czwartku. Ale Władze Bezpieczeństwa, które upatrują w księdzu Padaczu „starego politykiera”, nie zgodziły się na to. Poczynając od stycznia br. wstrzymano wszystkie „przepustki do Komańczy”. Starali się o nie: ksiądz Jerzy Modzelewski, ksiądz Stefan Piotrowski, ksiądz Jan Sitnik, ksiądz prałat Kulczycki z Krakowa, ksiądz proboszcz Ziemiński z Warszawy, ojciec przeor Jerzy z Jasnej Góry (któremu odebrano przepustkę już wydaną) i wielu innych. Wszystkim wręcz odmówiono. Trudno dociekać, co jest przyczyną tej nowej szykany, która pozostaje w sprzeczności z oświadczeniem, jakie mi złożono w Prudniku przed wyjazdem. Według sformułowania przysłanego urzędnika, miałem możliwość kontaktować się ze wszystkimi, którzy by tego sobie życzyli.

Wydaje mi się, że przyczyny tego „ostrego kursu” trzeba szukać w tym, że mój prywatny list, który skierowałem do ojca generała Paulinów, jako konfrater Zakonu, dostał się niejasną drogą do wiadomości publicznej i był kolportowany przez „nieznanych sprawców”. List miał charakter bardzo osobisty, tym większym nietaktem było powielanie go i rozsyłanie po kraju. Jednak autor tego nieprzemysłanego kroku, o którym każdy jako tako zorientowany w sprawach kościelnych w Polsce dobrze wie (a wiedzą także o tym i Władze Bezpie-

czeństwa), nie przyznaje się do swego czynu. Wskutek tego nieszlachetnego czynu cierpi wielu ludzi, obciążonych posądzeniami Władz. List mój został zaopatrzony bardzo mętnymi i niejasnymi komentarzami przez nieznanymi sprawców (może już w odpisach wtórnych).

Można też przypuszczać, że „zaostrenie kursu” jest spowodowane i listem Ojca świętego, skierowanym na moje imię, z okazji jubileuszu Ślubów Królewskich. List ten wprawdzie dotąd nie doszedł do mnie w oryginale, ale wiem, że już kursuje w odpisach po Polsce. Może się to nie podobać naszym Władzom.

Kokolwiek jest przyczyną „nowego kursu na Komańczę”, będzie faktem, że jestem całkowicie odgradzony od swoich kapłanów. Jestem skazany na towarzystwo siostr zakonnych i moich rodzonych siostr, które mają przyjechać. Zdołały natomiast wydobyć przepustkę panny: Maria Okońska i Janina Michalska, które przybyły tutaj 24. III. br. z Jasnej Góry. Przywiozły mi nieco wiadomości o pracach nad „Rokiem Ślubów Narodowych”. Wprawdzie uczyniłem już ofiary Bogu z tych radości, które daje obecność bliskich, ale Bóg ofiarę moją przyjął częściowo. Odebrał mi kapłanów, pozostawił kobiety. Podobnie uczynił Synowi swojemu na Kalwarii, gdy dopuścił, że wszyscy Apostołowie odeszli Go, ale pozostały niewiasty, które tam przyszły za Maryją. Tak wymownie uwydatnia ten fakt święty Mateusz: „I było tam wiele niewiast, patrzących z daleka, które przyszły za Jezusem z Galilei, posługując Mu. Między nimi była Maria Magdalena i Maria, matka Jakuba i Józefa, i matka synów Zebedeuszowych” (Mt 27,55-6). Można nie doceniać tego daru, można tęsknić za pracą wśród ludzi „mocniejszych”. A jednak Bóg rozpoczął dzieło zbawienia świata od Niewiasty. Raz zapowiedział Ją w raju; a drugi raz posłał do Niej anioła Gabriela, do Nazaret. Upadek świata zaczął się od niewiasty i odnowienie świata zaczęło się od Niewiasty.

Szczyliłem się ongiś przed ojcem Kornilowiczem, że prowadzę pracę wśród mężczyzn: uczę alumnów w Seminarium, prowadzę Sodalicję Kujawsko-Dobrzyńską Ziemiaków, pracuję wśród Związków Zawodowych. Może Ojciec przyjął to jako przyganę sobie, dość, że mi powiedział: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Było to w Dratowie, w domu pani Kleniewskiej, podczas rekolekcji dla grupy tzw. „Bratek”, prowadzonej przez panią Halinę Dernałowicz.

Dziś to rozumiem może jeszcze lepiej, gdy w moim najbliższym otoczeniu umilkli wszyscy mężczyźni. Nie miałem od nich znaku życia w ciągu lat mojego więzienia. Ratowała mnie swoją energią siostra moja, Stanisława Jaroszowa. Nie ustawały w modlitwach dziewczęta z grupy pani Okońskiej; one to znalazły sposób, by dać znać o sobie jeszcze w Stoczku, przesyłając mi żłóbek na Boże Narodzenie, pomysłowe pisanki, które wyglądały jak wymowne listy, palkę „z różańcami” na kielich i wiele innych znaków, których nikt nie rozumiał, a które mogłem odczytać, gdyż były wspólnym naszym językiem od dawnych lat.

Dziś wiem, że moja młodzież akademicka z „Ósemki” umiała gołymi kolanami przemierzać na klęczkach plac Jasnogórski, gdy przybyła z Pielgrzymką Warszawską (1955) na Jasną Górę. Dobry Bóg widział to poświęcenie, któremu dziwili się nawet księża, biorący udział w Pielgrzymce. Czyż nie miałbym zachować tego w pamięci i okazać wdzięczności?

Dziś znowu mam dowody, że gdy nikt z kapłanów nie zdołał pokonać przeszkód dotarcia do Komańczy - *devotus femineus sexus* odważnie przyznaje się do współcierpienia ze mną. Przychodzą mi z pomocą zakonnice, które wspierają mnie materialnie - niemal wyłącznie muszę korzystać z pomocy i utrzymania siostr Nazaretanek, które narażone są na wielkie straty materialne przez mój pobyt w Komańczy, nie mogąc przyjmować wczasowiczów; a nieustanną modlitwą w Kaplicy Jasnogórskiej wspiera mnie zespół „Ósemkowy”. Jeśli inaczej być nie może, muszę i w tym widzieć wyraz woli Najwyższego.

Tygodnik ilustrowany *Świat* w swoisty sposób „uczcił” 300-lecie zwycięskiej obrony Jasnej Góry. Oto od kilku tygodni publikuje wspomnienia niedyskretnego prokuratora Kazimierza Rudnickiego pt. *Proces Macocha* (25. III. 1956). Autor sam zdaje sobie sprawę z tego, że jest w konflikcie z etyką zawodową, „pisząc niezbyt pochlebnie o swoim kliencie”. Ale bodaj większym nietaktem jest aprobata, a może zachęta czynników odgórnych, które rzucają społeczeństwu katolickiemu w twarz bolesne wspomnienie z dawnej przeszłości, właśnie wtedy, gdy cała Polska przygotowuje się do rozważania jednego z największych porywów sprawiedliwości społecznej, jakim były Śluby Kazimierzowskie. - Redakcja czyni to w tym samym zeszycie, w którym czci pamięć Bolesława Bieruta. - To jest prawdziwie „nowa kultura”.

29. III. 1956.

Wielki Czwartek. *Desiderio desideravi manducare hanc Pascham vobiscum*. - Wieczysty Kapłanie - gorąco pragnęłeś pożywać Twoją Paschę z uczniami. Twoje gorące pragnienie jest tak bardzo kapłańskie, wyrasta ze wspólnoty rodziny kapłaństwa, którego jesteś Początkiem i Źródłem. I ja „pragnę pragnieniem” męki kapłana, któremu też dałeś uczniów. Ale pomimo tak gorącego pragnienia, nie jest dana memu sercu kapłańskiemu ta pociecha, której z woli Ojca doznałeś w Wieczniku. Tyś doznał ulgi, rozdając Eucharystię uczniom swoim. Moja

męka kapłańska nie skończy się tak radośnie. Muszę ją przeżyć sam, bez współdziałania moich uczniów. Zda się, więcej wymagasz ode mnie, niż od siebie. Tyś dał folgę swemu Sercu, ustąpiłeś przed potrzebą Twego Serca. Ale memu sercu nie chciałeś i dziś pofolgować, chociaż już trzeci raz przeżywam swój straszny Wielki Czwartek. Wszystko można wytrzymać, ale w chwili prawdziwie kapłańskiej udręki, jak bardzo jest trudno - Ty wiesz... Jeśli Twoja moc nie wesprze mej słabości...

Nie lituj się nade mną, nie współczuj mi - ale patrz na moją mękę. Niech się już dokona do końca. To straszne, Ojczy, to straszne... - Ale widocznie potrzeba Ci mojej kapłańskiej męki... Nie podam moim uczniom Ciebie... Moja Katedra prymasowska dziś bez biskupa, którego Duch Święty dla Kościoła pragnie... *Quia peccavimus Tibi...* Tyś po Wieczerniku miał swój Ogrójec. Mój Wielki Tydzień cały jest Ogrójcem - raz jeszcze... Niech ta męka sługi Twego oczyszcza moich uczniów i powierzone mi owce... Nie szcędź mnie, nie żałuj, nie oszczędzaj...

4. IV. 1956.

Warto zanotować „przygody świąteczne” moich sióstr, które postanowiły dotrzeć na Wielkanoc do Komańczy. Naprzód otrzymałem wiadomość, że ksiądz dr Padacz, mój kapelan, nie otrzymał pozwolenia na przyjazd. W czwartek 29. III. miały przyjechać obie moje siostry, Stanisława i Janina. W rzeczywistości przyjechała sama Stanisława. Janina nie otrzymała przepustki, chociaż prowadziły obie starania razem, w jednym urzędzie powiatowym, w Piasecznie. Przepustkę wręczono jej w ostatniej chwili, gdy już po raz siódmy zgłosiła się po odbiór i zapowiedziała kategorycznie, że urzędu nie opuści, aż doręczą jej papier. Następnego dnia, w Wielki Piątek, przyjechała Janina; wydano jej przepustkę na ostatni moment, gdy odwołała się do przewodniczącego PRN. Przyjął ją wiceprzewodniczący i wyraził zdziwienie, że Janina jest siostrą Prymasa, a nadto stwierdził, że nic nie wiedział o jej staraniach. Wreszcie papier wydano. Dopiero w Poniedziałek Wielkanocny okazało się, że dokument miał ważność „od 29. III do 10. III.” Tej pomyłki urzędniczej nikt nie zauważył. Dopiero w Komańczy dopatrzono się, że dokument nie jest w porządku. Komendant przysłał rano żołnierza i domagał się, by siostra natychmiast wyjechała z Komańczy. Nic nie pomogły żadne tłumaczenia. Przez porównanie obydwu przepustek, wystawionych w tym samym urzędzie, łatwo było pojąć, że przepustka Janiny musiała być później wystawiona niż przepustka Stanisławy. Nie mogło więc być mowy „o sfałszowaniu dokumentu”. I to nie pomogło. Siostra miała wyjechać

następnego dnia. Musiała stawić się na dworcu. I tu, na oczach 12 żołnierzy, „którzy przyszli całą rodziną”, wsiadła w pociąg i przedwcześnie opuściła biurokratyczną Komańczę. Prócz okazania współczucia, nic więcej nie można było uczynić.

14. IV. 1956.

Na zboczach góry, wiszącej nad torem kolejowym, weszliśmy na wspaniałą łąkę, pokrytą śnieżyczkami. Wzruszający obraz! Wszystkie kwiatki otwierały swe niepokalane serca, jakby patrzyły na niespodzianych gości z ufnością, pewne swego nieprzepartego uroku czystości i piękna. Spojrzałem wstecz: na linii moich kroków zdeptane główki, rozgniecione listki. To moje dzieło. Tak wygląda i moje życie, i moja praca. Zatrzymałem się pod krzewem leszczynowym. Dalej nie mam odwagi iść. Tylko Chrystus może bezpiecznie przejść przez dziewicze pola serc - *Qui pergis inter lilia, septus choreus Virginum, sponsus decorus gloria sponsisque reddens praemia*. Tylko Chrystus niczego nie zdepcze, wszystko osłoni swą delikatną, mistrzowską umiejętnością prowadzenia ludzi. A ja? Zawsze mi to źle wychodziło: niefortunnemu „ojcu”. Może jeszcze najlepiej mi się to udawało, gdy pracowałem wśród młodzieży akademickiej „Odrodzenie”. Ale dziś? Utraciłem jakąś wielką „umiejtność” oddziaływania, zgrubiała mi dusza i serce. Od czego? Patrzę z lękiem na ten skrawek łąki śnieżyczek, którego nie dotknęła moja noga. Jakie to wszystko cudowne! Nie pójdę dalej, nie przejdzie tędy moja noga, niczyjej główki nie trąci, niczyjej nie zmiażdży. Skręciłem w bok i uratowałem kwiaty. „Zachowałem” duszę swoją. A może to tylko pycha?

20. IV. 1956.

Odjechał dziś bp Choromański wraz z księdzem Goździewiczem i księdzem Bronisławem Dąbrowskim. Bawili tu od 16 bm. Nie przyjechał zapowiedziany biskup Michał Klepacz, pozostający dotąd w szpitalu, po operacji na przepuklinę. Wśród spraw szerzej omawianych, biskup wysunął „sprawę najważniejszą” - mój powrót do Warszawy. Ustawiłem zagadnienie do dyskusji na szerszej płaszczyźnie. Dla mnie „sprawą najważniejszą” jest sprawa poszanowania praw Kościoła, a moja sprawa jest tylko fragmentem w całości. Dlatego wyraziłem przekonanie, że nie można wnosić mojej sprawy w oderwaniu od całości; można natomiast wnosić ją wśród innych spraw. Episkopat powinien - moim zdaniem - spowodować rozmowę

Komisji Mieszanej z Premierem albo z Edwardem Ochabem. W tej rozmowie należy wykazać, że postulaty Episkopatu, zgłoszone we wrześniu 1953 roku, na wezwanie Rządu, nie zostały uwzględnione. Należy je na nowo przypomnieć. W oparciu o współczesne nawoływanie do praworządności, można pokusić się o zrewidowanie sprawy usuniętych biskupów: Adamskiego z sufraganami, arcybiskupa Baziaka z Krakowa, biskupa Kaczmarka z Kielc i mojej z sufraganami. Nie chciałbym wracać do Warszawy wtedy, gdy inni biskupi pozostaną poza swoimi diecezjami. Mógłbym wrócić ostatni, nigdy pierwszy. Gdyby się okazało, że mój powrót byłby niemożliwy, należałoby sprawić, by przynajmniej biskup Baraniak mógł wrócić do Gniezna. Rozmowę należy zakończyć wręczeniem *pro memoria* na piśmie.

26. IV. 1956.

Ojciec Życia - widziałem dzisiaj orkę na wyżynach, widziałem siew. Widok ten rozdziera mi serce. Dałeś łaskę oraczom, by mogli ziarno Twoje rzucać w ziemię; wydobywające z opustoszałych spichlerzy i pełni ufności ku Tobie, oddają ziemi - Bożej rodzicielce. Twoje ziarno oddają Twojej ziemi. Nagrodzisz ten akt wiary w Twoją Opatrzność. - Ojciec, ziarno, które nagromadziłeś w spichlerzu mojej duszy, pozostaje nadal na pryzmie. Nie mogę go wysiać. Brak mi pola. Spichlerz mój zamknięto. Już mi ciasno, Ojciec. Dusza moja jęczy. Rozumiem Apostoła: „Biada mi, gdybym Ewangelii nie przepowiedał”. Dziś była Ewangelia - „proście Pana zniwa...” Ojciec, Ojciec - czyż mogę prosić za siebie? Otwórz moje spichlerze. Widzę, jak niektórzy Twoi siewcy oszczędzają ziarna, jak skąpo je wymierzają... Ty wiesz, żem go nie skąpił... Dziś trzymam rękę i nie mogę jej podnieść na siew... Ileż mi trzeba pokory, bym zgodził się na to, że ziarno, które mi dałeś, nie będzie użyte do siewu. Ojciec, to jest straszne! Ale w tym jest potęga Twoja, przed którą się korzę. Zazdroszczę oraczom - patrzę na nich szerokimi oczyma. Znam ich rozkosz, by tym głębiej odczuć Twoją moc nad moją niegodnością...

27. IV. 1956.

A jednak nędza moja i niegodność nie mogą osłabić potęgę Twojej. Przecież nędza moja nie może być „bogiem”. Choćbym więc stanął w obliczu wszystkich grzechów moich, choćbym nałożył na barki moje wszystkie grzechy i zbrodnie całej ludzkości, jeszcze mogę stanąć

z ufnością przed potęgą i miłosierdziem Twoim, jak stanął Syn Człowieczy. Miałybyś wszelkie prawo i wszelką moc odrzucić, ale nie zło rządzi światem, tylko miłość i dlatego nie możesz, Ojciec, odrzucić. Nie jesteś „wszechmocny”, gdyż nie możesz działać przeciwko Twojej naturze, przeciwko miłości. Widzę całą mękę moją, a przez nią widzę całą potęgę Twoją, która największe zło zwycięża przez miłość.

2. V. 1956.

Otrzymałem list od biskupa Choromańskiego, który donosi mi, że wystąpił do Marszałka Sejmu, za sugestią Komisji Głównej Episkopatu i biskupa Klepacza, o zwolnienie mnie z więzienia. List, bardzo niefortunnie zredagowany, skierowany został do Marszałka Sejmu, a odpisy posłano Przewodniczącemu Rady Państwa, Prezydium Partii i Rządu. Marszałek przekazał list Biskupa do Prokuratora Generalnego. Biskup czyni komentarz, że zapewne dlatego list poszedł na tę drogę, iż Prokurator czuwa nad praworządnością, która w moim wypadku była poważnie pogwałcona decyzją Prezydium Rady Ministrów. Biskup czyni nadzieję, że odpowiedź Prokuratora będzie pomyślna. Można przypuszczać, że Prokurator rozpatrzy uchwałę Rządu z września 1953 roku. Wolałbym osobiście, by sprawa ta szła innymi drogami.

3. V 1956.

Rozpaczam dzisiaj przed dniem dziesięciolecia konsekracji nowennę dziękczynną przez Maryję Jasnogórską do Chrystusa - Wierzystego Kapłana, za łaskę sakry biskupiej. Pragnę, by to dziękczynienie było w pełni radością za tę gwarancję dla życia minionego: *qui in diebus suis placuit Deo*. Tym więcej, że tak niewiele było w życiu moim, co mogłoby we mnie podobać się Bogu. Pragnę dziękować za pełnię kapłaństwa, za to, że spłynęła ona na mnie na Jasnej Górze. Pragnę dziękować za wszystko, co wraz z biskupstwem spłynęło na mnie. A najradośniej pragnę dziękować za łaskę więzienia dla Imienia Chrystusowego. Chcę, by Dobry Bóg niczego nie żałował, co uczynił dla mnie, że wybrał i pokonsekrował. Chcę, by nie zawiódł się na mnie nawet teraz, gdy przebywam w tym „więzieniu” złagodzone, gdy nie mogę wrócić do Owczarni swojej. Chcę, by Dobry Ojciec nie widział cienia smutku i męki w mej duszy. Im bardziej coś smutne i bolesne, tym więcej musi być zapłacone Bogu dziękczynieniem. W takim usposobieniu pragnę trwać w przededniu dziesięciolecia sakry bisku-

piej. A wszystkie te pociechy składam w ręce Pani mojej Jasnogórskiej, która pozwoliła, abym urodził się do biskupstwa w Jej Stolicy.

Radością moją jest chwała Twoja, Królowo Świata, Królowo Polski, Maryjo. Tak Ci „naurażał” święty Piotr Damian w lekcjach brewiarzowych, które czytaliśmy w modlitwach publicznych Kościoła. Wypomniał Ci wszystko: i wspólną z nami naturę, i potęgę, i niezwykłość. Chciał skłonić Cię na korzyść naszą. Zapewne, nie mogą mieć pełnej radości głodne dzieci Matki uczującej, choćby patrzyły na całą Jej chwałę i ozdobę. Zapewne, zapewne, święty Piotrze Damianie...

Ale Twój nieświęty czytelnik ma jednak odrobinę radości i z tego, że ma Matkę uwielbioną. Mój Naród jest ciągle w męce. Brnie z niewoli w niewolę. Ale nadal pozostaje prawda - nawet wśród największej niewoli - że Królową Narodu niewolniczego jest Maryja.

A Twój niewolnik, Królowo, chce swej niewoli dla większej chwały Twojej. Jeśli męka mojego Narodu przyniosła Ci chwałę, to może więcej chwały przyniesie Ci niewola jednego syna tego Narodu niż jego wolność.

Nie będę Ci czynił wymówek, nawet za przykładem świętego Piotra Damiana. Ale będę Cię wielbił wszystkim, co mam w tej chwili, z woli Ojca Niebieskiego. Wybacz, że dary nie są królewskie, że są niewolnicze. Ale może miłsza jest Ci ta uległość niż hojność „szczęśliwych” na tej ziemi.

8. V. 1956.

Nazwano mnie „Prymasem maryjnym”. Gorąco pragnę życiem swoim usprawiedliwić tę nazwę. Mogę to uczynić w doskonały sposób tylko wtedy, gdy upodobnię się do Ciebie, Królowo mego życia. Stałaś się Służebnicą Pańską - wesprzyj mnie, bym nareszcie był jedynie sługą Twego Syna. Oddałaś krew swoją najczystsza Synowi Człowieczemu. Dopomóż mi do tego, bym i ja krwi swojej nie szczędził Chrystusowi.

12. V. 1956.

Z drugiego krańca Polski wołam do Ciebie, Pani i Królowo Jasnogórska, by przypomnieć Ci łaskę udzieloną mi przed dziesięć laty w Twoim Domu. *Sufficit mihi gratia Tua*. Dziś żyję tym wspomnieniem, gdy wołam do Ciebie *ab extremis terre*. - Przeszło trzy tysiące

Mszy świętych odprawiono dziś za Prymasa maryjnego. Tobie się to wszystko należy, Królowo Polski, jako hołd prymasowski, na Twoje 300-lecie. Dołączam skromny dar pracy tego dziesięciolecia mego pasterzowania i więzienia. Niech wszystko „moje” wielbi Ciebie. Twój niewolnik składa wszystko w Twoje Królewskie Dłonie, szczęśliwy, że może ogołocić się dla Ciebie. - O jedno proszę, byś wzięwszy wszystko moje, chciała bronić Kościoła Chrystusowego, Tobie oddanego, Twemu Sercu Niepokalanemu, przed dziesięć laty. Ochraniaj go płaszczem macierzyńskim, skryj go w Sercu Twoim. Jeśli jest Ci to potrzebne, zabij mnie, aby mógł żyć w Polsce Kościół Syna Twego. Wydaje mi się, że jednak potrzeba Ci gotowych ofiar, byś mogła zachować całość i czystość Kościoła świętego, byś mogła przynieść dar męstwa sługom jego. Ciągłe jeszcze lękają się, poniżej roztropności i obowiązku wyznania. Milczą nawet wtedy, gdy trzeba, by głosem wielkim krzyżeć. Daj im męstwo; niech zrozumieją, że siła Kościoła polega na wyznaniu przed ludźmi. O ten dar dla Kościoła i jego biskupów proszę Cię Twój niewolnik, oddając w ręce Twoje macierzyńskie, płodne i hojne, wszystko, czym ludzie dobrzy wsparli mnie w tym dniu dziesięciolecia sakry mojej.

Dziękuję Ci, Matko Jasnogórska, że to dziesięciolecie moje przypa-
dło w roku Twego trzechsetlecia, że to było w sobotę, że mogłem dziś odprawić wotywę ku uczczeniu Ciebie, Pani Jasnogórska.

14. V. 1956.

Soli Deo! Ludzie okazali mi wiele serca w ciągu ostatnich dni. Wiem, że to przez Ciebie i dla Ciebie. A jednak pragnę wszystkiego tylko dla Ciebie i dla Twojego Kościoła, Chryste. Odbierz mi te serca i te uczucia i zabierz tylko sobie. Pozbaw ludzi przywiązania do mnie i uczucia dla mnie. Wyrzekam się tego! Inaczej nie będzie wszystko *Soli Deo!* W służbie Twojej świętej nie chcę żadnych korzyści czerpać dla siebie. Zabierz ludziom ich serca dla mnie. Weź je dla siebie! Nie chcę nic dla siebie. Oby mnie zniechędzili wszyscy, oby najmniejszej odrobiny serca i uczucia nie zabierali Tobie. Wszystko i wszystkich, co ciąża ku mnie, weź sobie. Dopomóż mi do tego, by już zaczęło się *Soli Deo!* Lękam się wszystkiego, co jeszcze jest dla mnie, choćby w Tobie. Niech wszystko będzie w Tobie i dla Ciebie. Broń ludzi przede mną! Wszystko uczynię, co będę mógł, aby ludzi tak zrazić do siebie, bym już nie czerpał ludzkich pociech, bym już wiedział, że są ku Tobie. Mam ich oddać Tobie - *Soli Deo!*

Przestanę myśleć o sobie - wystarczy, że Ty myślisz!

Przestanę mówić o sobie - wszak Tyś jest Słowem Żywota, a nie ja!

Przestanę wysłuchiwać o sobie - niech mówią Tobie o mnie!

20. V. 1956.

Zstap, Duchu Święty, na Watykan i rozpal Białego Papieża do czerwonoci, daj mu wszystkie swe dary. Nawiedz Twym płomieniem serca purpuratów, aby równie gorzały jak ich szaty. Ogarnij wszystkich biskupów całego świata, aby dawali świadectwo Twej prawdzie, okazując nie tylko rzetelną prawdę, ale i życie z prawdy.

W Zielone Świątki Duch Święty napełnił serca i umysły taką mocą, że Uczniowie mówili różnymi językami o wielkich sprawach Bożych. Mówili, wołali, krzykali... Nie mogli utrzymać słów, myśleli, uczuć. Wyglądali jak pijani z upojenia słowem. To straszna siła - świadectwo Prawdzie. Szczęściem jest dla człowieka, gdy może tej siły otworzyć drzwi, gdy płynie ona przez usta, przez słowo, przez czyn apostołski.

Ale tragedią apostoła jest, gdy tę wielką siłę musi w sobie stłumić, gdy nie może mówić, krzyżeć, szaleć po Bożemu. Tak ja wyglądam! „Biada mi” - bo nie mogę wyzwolić z siebie Twojej siły... *Loquebantur variis linguis* - to duch apostołski... Czym jest milczenie w wielkich sprawach Bożych? Co za nieogarniona tajemnica mocy Bożej, która może sprawić, że bomba nie wybuchnie nawet wtedy, gdy w niej ognie się żarzą. Prawdziwie, większą moc okazujesz, gdy dajesz łaskę milczenia, niż gdy dajesz łaskę przepowiadania.

22. V. 1956.

Zostawiłeś na obliczu świata swoje zbawcze ślady, które wydają do dziś dnia owoc stokrotny. Przyglądam się im z wdzięcznością, gdyż dusza moja wzrasta na glebie użyźnionej Krwią Twoją. Czy nie trzeba pragnąć wstępowania w Twoje ślady? Gdyby miały owoc przynieść? Moje ziarno jest z Twojego. Moje pragnienia rodzą się z Twoich czynów. Moje nadzieje płyną z Twoich zwycięstw. Krew moja jest ożywiona Twoją zbawczą Krwią. Dać duszę za braci, za Kościół święty, za Dzieło Twoje - jest potrzebą moją, głosem Krwi Twojej, nadzieją Kościoła. Wszyscy ludzie w Polsce cieszą się z tego, że jest ktoś, kto może cierpieć. Wszyscy lękają się o to, by ten ktoś nie ustał w swej drodze, nie zawiódł. Bo wszyscy mają chrześcijańskie życzenie potrzeby cierpienia i oddania się za Kościół. Niemal wszyscy chcą, bym wrócił do pracy, ale ci sami czują, że ktoś musi się poświęcać nadal, musi dawać świadectwo mocy Bożej i wyznawać cierpieniem. Czyż miałbym się oglądać wokół? Czemu to miałbym szukać zastępcy? Pragnę być śladem Twoim na ziemi polskiej, śladem, który w duszach przyniósłby owoc wiary i miłości ku Tobie, Chryste.

Jest ktoś, kto pragnie się przyłączyć do tej woli, by razem zostać Bożym śladem... Przyjmuję to chcenie, bo wiem, że jest Boże!

Ojciec, to nie może być łatwe. Gdy nie czuję ciężaru, wydaje mi się to wszystko być poezją, jakąś pustką. Gdy jest trudne, wydaje mi się, jakbym otrzymał coś realnego, co mogę wziąć w ręce i oddawać Tobie. Pragnę dawać, brać i dawać. Pragnę czuć ten ciężar, bym odczuł, że mam coś do dania.

24. V. 1956.

Tak często przesuwam mi się przez duszę cień Mojżeszowego odczucia rozdroża: *Audite... numquid possum deducere aquam vivam de petra hac?* Tak często mówisz do mnie przez ludzi pragnących Żywej Wody i mówiących mi, że mam ją dać, że muszę ją dać. Bo ktoś mógłby to uczynić? Ale wszystko, co ludzie mówią mi, jest tak wielkie, że wprost trudno mi przypuścić, że mogłoby mieć jakiś związek ze mną. „To mowa do kogoś innego, to mowa głodnych do Nieznanego, który ma przyjść i odnowić oblicze ziemi”. - Ale nie do mnie! Może dlatego, że zbyt dobrze znam nędzę swoją, bronię się odruchowo przed wielkimi słowami. Wiem, że to jest grzech pychy, wielkiej pychy, która myśli, że ma wyręczyć Boga. Boję się wielkich słów, ilekroć ludzie wiążą je ze mną. Jestem zbyt realistyczny, nadmiernie trzeźwy, zbyt dobrze poinformowany, zbyt dokładnie znający sytuację, bym mógł to przeskoczyć w swoim przewidywaniu. Właśnie grzech mój jest grzechem trzeźwości, w której brak miejsca na to „niemożliwe słowo”, które Bóg jeden zawsze wypowiedzieć może. Oskarżam się z grzechu trzeźwości. Mówią o mnie komuniści, że jestem mistykiem; nie jestem nim, ale przeciwnie - jestem realistą. Moim największym grzechem jest realizm, wróg oczu nadprzyrodzonych. Wierzę, że Bóg może wszystko i zawsze uczynić, ale nie przeze mnie. Wierzę, że Bóg może wyprowadzić wodę ze spieczonej skały umęczonej duszy Narodu, ale żeby to miał uczynić przeze mnie? Brak mi jeszcze tej pokory, która pozwoliłaby mi uwierzyć w to. Grzech Mojżesza powtarza się we mnie.

26. V. 1956.

Otrzymałem dziś łaskę zrozumienia, jak nieudolnym i lichym byłem sługą Twoich dzieci, Ojciec. Wydawało mi się, że służę im dobrze, że niczego im nie szczędzę z tego, co dać mogę. Dziś pojąłem, że więcej dawałem z siebie, mniej z Ciebie. Miałem ongiś z woli Twojej

miliony dzieci, dziś zostawiłeś mi tylko dwoje. Ale na nich poznałem, jak niedobra była moja służba milionom. Po dwóch latach oderwania od owiec, widzę, że jeszcze niezupełnie oderwałem się od siebie, skoro nawet tym dwojgu nie umiem służyć w Tobie. A małość moja tym gorsza, że one myślą, iż ja je prowadzę do Ciebie; im się wydaje, że daję im Ciebie. Może dlatego, że są zbyt dobre i moją nieudolność zastępują łaską, którą Ty im dajesz. To one prowadzą mnie do Ciebie, a nie ja prowadzę je do Ciebie. Idę za nimi, zamiast iść przed nimi. Czyż mogę oczekiwać łaski powrotu do Owczarni, do pracy? Byłoby zuchwalstwem tak myśleć i tego pragnąć. Musisz ubić mnie jeszcze więcej, bym wyzwolił się z siebie, bym umiał prowadzić do Ciebie. *Ne respicias peccata mea, sed fidem Ecclesice Tuce...* Nie pozwól mi niszczyć w duszach łaski im danej. Nie pozwól mi obniżać ich możliwości i powołania. Daj mi zrozumieć wielkość Twoją w ludziach, daj mi moc uszanować ją.

27. V. 1956.

Uroczystość Trójcy Świętej. W sercu Twej niezgłębionej Istności, Trójco Święta, szukam oparcia dla moich nóg. Dopiero tam czuję się jak w gnieździe, z którego wyszło moje życie. Dopiero gdy tam wracam wiarą i miłością, czuję, jak gdybym wrócił w Dom Ojca. Dopiero w obliczu Twoim, Trójco Święta, czuję pełnię mej wiary. Dopiero stąd czerpana miłość wydaje mi się być najczystsza i bez przymieszki tego, co może jeszcze zbyt ludzkie. Odczuwam głęboką potrzebę składania Ci hołdu w Twej troistej jedności, w Twej głębi, w Twym mateczniku Bóstwa troistego. Dopiero gdy patrzę w Twą głębię, uważam, że wielbię Cię dla Ciebie, że miłość moja jest bezinteresowna, że zapominam o sobie, o swoich małych sprawach i prośbach. Czuję wtedy dobrze, jak to wszystko co moje, jest małe, jak nie warto myśleć „o swoim”, jak mało znaczy prośba, jak cała siła moja musi pójść na uwielbienie. Gdy patrzę w Twe Serce - istnienie i istotę - odczuwam lepiej w sobie Twoją obecność, pragnę Jej, obcuję z Tobą pełen pokory i radości. Bądź uwielbiona Trójco, która jesteś we mnie.

30. V. 1956.

W przededniu Bożego Ciała. Doznałem dziś łaski pracy na chwałę jutrzejszej uroczystości. Zazwyczaj odciskałem sobie rękę od monstrancji; tej łaski jeszcze nie jestem godzien. Ale dałeś mi łaskę odcisnięcia sobie ręki od sekatora, którym ciałem w lesie gałązki jedliny na jutrzej-

sze święto. Bodaj to będzie największy wysiłek, który mi pozwolił podjąć dla chwały Twojej. Jutro będę się czaił na chórk, aby mnie nie widzieli ludzie, którzy przyjdą na procesję. Ale już dziś wiem, że będę się radował. Prawdziwie, niegodzien jestem być Twoim kapłanem; ale pozwoliłeś mi być drwalem i ogrodnikiem. Dzięki Ci, Ojcze, za ten dowód wyrozumiałości dla potrzeb mego serca.

31. V. 1956.

Catulus Leence. Pragnę pożywić się z tego stołu, którego okruszyny obficie spadają na ziemię. Wiem, Matko, że rodzisz nie tylko Ciało Twojego Syna, ale i mnie. Wiem, że wyżywiłaś nie tylko Jezusa, ale przez Jego Ciało, z Ciebie wzięte żywisz i mnie. Wszak powtarzam tak często.- *Ave verum Corpus, natum de Maria Virgine.* To prawdziwe Ciało tak napełnia mnie, że dobrze czuję w sobie Twoją macierzyńską krew, która pulsuje w Twoim Synu, a przez Niego pulsuje i we mnie.

Lwico macierzyńska, coś wykarmiła Syna swego, coś przekazała Mu wszystko, co było Mu potrzebne, aby wyżywił przy stole eucharystycznym miliardy dzieci swoich. Gdy czczę dzisiaj Boże Ciało, uwielbiam i Twoje Ciało, to źródło Bożego Ciała. Jestem szczeniakiem, które łasi się pod stołem eucharystycznej Uczty Syna Twego. Nie odtrącaj mnie, bo pamiętasz o tym, co Syn Twój usłyszał od Chananejki, że i szczeniaki pożywają z okruszków spadających ze stołu Pana, ze stołu zastawionego Ciałem, wziętym z Ciebie. Nie mogę brać udziału w radościach Kościoła, który dziś składa publiczny hołd synowi Twemu eucharystycznemu; ale nie odmówiłaś Pokarmu rodzającego się ze Mszy świętej. A teraz przyjm, Matko, hołd mej uległości wobec potężnej woli Ojca, która już trzeci raz chce, bym pozostał poza radością Kościoła świętego. Nawet to uważam za łaskę, za tę okruszynę, która spadała dziś ze stołu radującego się Eucharystią Kościoła. Jestem Twoim szczeniakiem, Lwico macierzyńska, która rodzisz Ciało na pokarm synom.

Angelus w Boże Ciało jest bardzo pożywny. To *concepit* jest jakby konsekracją, która rodzi Chleb Żywota z Ciała Dziewicy, które rodzi dziewice. Ciało Dziewicy - Maryi Dziewicy i Chrystusa Dziewicy. - *Ancilla Domini*, Służebnica Boga, który pragnie ludzkiego ciała, aby móc Ciałem żywić ciała i duchy ludzkie. - *Yerbum - Caro*, to początek przeistaczania, które odtąd rodzić się będzie ze słowa na ołtarzach, by przez Słowo chleb stawał się Ciałem. *Factus cibus Viatorum.*

Dziś przypada po raz pierwszy nowe święto Królowej Świata. To jest woła Ducha Świętego, który chciał nas pouczyć, że Niewiasta rodząca Ciało prawdziwe Boga Człowieka, Ciało - Pokarm, *qui pacem ponit Jines Ecclesice*, nie może nie być Królową Świata. Ten

spichlerz Boży, karmiący ludzkość przez Syna swego trzyma w swym łonie Życie, bez którego wszyscy pomarlibyśmy głodem. Wszak królestwo każde jest powołane do tego, by zarządzać najpilniejszym potrzebom poddanych. Nasza Królowa żywi świat wiecznie, dając Boga Żywota.

2. VI. 1956.

Dajesz mi, Ojczy, łaskę widzenia tego punktu jedyne, w którym schodzą się delikatne ostrza dwóch obozów dzieci Twoich: tego, który jest z Tobą i za Tobą, i tego, które jest bez Ciebie i przeciwko Tobie. Gdy staram się zrozumieć, gdzie leży punkt ciężkości tego problemu w Polsce w chwili obecnej, to jednak muszę go widzieć na sobie. Chciałeś, abym był Dawidem Twoim, który ma przeciwstawić się potędze zbrojnego Goliata. Nie może w mej postawie być nic z Goliatowej pewności siebie. Muszę być pokorny jak Dawid. Muszę zaufać jaśniu-tekim kamyckom z potoku, tej nicości w walce o Ciebie. Muszę iść w Imię Pana Zastępów, a nie w swoje. Muszę z głęboką pokorą rozumieć, żeś Ty mnie wybrał do tej rozgrywki, w której idzie o Imię Twoje i o prawo Twoje na ziemi polskiej, o prawo Narodu do Ciebie, o prawa Kościoła świętego. Nic nie poradzę, że pomimo iż myślę o sobie pokornie, muszę widzieć ten najdelikatniejszy punkt walki wiary i niewiary w sobie i na sobie. Ten punkt styczny, ten barometr, ta igła sejsmograficzna, jest właśnie we mnie. To jest tragiczna prawda, która wymaga bohaterskiej pokory. Sytuacja nie zależy w tej chwili od całego Episkopatu, nie zależy od matactw kupieckich Piaseckiego ani od „patriotów”; ona zależy od tego, jak ja wytrzymam próbę. Oni wszyscy, nie wyłączając Rządu i Partii, patrzą w tej chwili na Komańczę. To nie jest zarozumiałstwo, to jest łaska zrozumienia sytuacji, tak delikatnej, jak niezbadane są drogi Boże na kartach dziejów świata. A więc muszę być dla Boga Dawidem, muszę ufać w imię Boże, muszę być wewnętrznie czysty i pokorny, jak kamyki z potoku. To jest światło dnia.

5. VI. 1956.

Ktokolwiek zdołał dotrzeć do mnie, mógł wzbudzić w czujnej opinii społecznej zastrzeżenie: dlaczego on mógł, a inni nie?! To pewnie „człowiek zaufania” mężów krwawych?! Tak cierpią ludzie, którzy zdołali tu dotrzeć. Ta wrażliwość opinii może pouczać, jak bardzo społeczeństwo lęka się, bym nie stał się maluczki. Im potrzeba wielkości, może dlatego, że sami poddali się małości. Oni nie chcą bym służył,

dlatego że sami służą. - Prawdziwi przyjaciele moi są dziś rozdwojeni w sobie: pragną dla mnie wolności, ale czują, że potrzeba mi męki. Walka między tymi dwoma uczuciami jest miarą wartości przyjaźni i zmysłu katolickiego. Muszę pragnąć bardziej męki niż wolności, choćby dlatego, że mniej jest takich, którzy pragną męki.

7. VI. 1956.

Vere consumpti sumus ira Tua (Ps 89) - gdy oglądam się wokół, Ojczy Narodów, widzę, że każdemu przygotowałeś odrobinę odpocznienia po tej strasznej wojnie. Nawet synom „krwawego narodu”, nawet tym, co wylali krew naszą obficie w tyłu obozach, zgotowałeś miejsce, gdzie mogą być u siebie i czuć się bezpiecznie. Tylko mojemu Narodowi nie dałeś dotąd ani chwili oddechu. Dusimy się od nadmiaru męki, udręczenia i gwałtu. Odeszli wprawdzie jedni pożeracze ludzi, ale ci, co zapełnili obozy i więzienia własnymi braćmi, jakże są stokroć okrutniejsi! Teraz jest wprawdzie amnestia, wychodzą setki, tysiące ludzi z więzień i różnych obozów. Ale udręka nie ustaje. Ojczy, o *Clavis David!* Daj odetchnąć, byśmy sobie zdołali przypomnieć, jak wygląda życie dzieci Bożych, ludzi wolnych. Uczyniłeś narody wolnymi, dałeś im pragnienie i potrzebę wolności, wszczepiłeś w duszę takie siły, które mogą się rozwinąć ku chwale Twojej tylko wśród wolności. Nie pozwól, by niszczało w nas tyle darów człowieczeństwa, byśmy żyli nieustannie jak bydłota. Przecież stworzyłeś człowieka na obraz i podobieństwo swoje, Ojczy wolności, któryś wolnością swoją przez Chrystusa obdarzył ludy. Niechby i dla mojego Narodu coś z tych darów Twoich pozostało. Dziś dajesz wolność nawet dzieciom Twoim w Dahomeyu. Wspomnij na Polskę.

7. VI. 1956.

„Błogosławiony Owoc żywota Twojego” - Matko Żywicielko! Jeśli kiedy „słodki ustom moim”, to teraz, w tych dniach oktawy Bożego Ciała. Jesteś niewyczerpalnym *Ciborium*, z którego czerpią miliony dłoni kapłańskich, miliardy ust. Rodzisz nieustannie od chwili, gdy raz stałaś się Matką rozmnażającego się Ciała Chrystusowego. Arko Przymierza, w której trwa Manna, dana przez Ojca. Owoc Twój zawsze świeży, zawsze pożywny, zawsze obfity na stole Kościoła.

Każdy ołtarz jest Betlejem, w którym czuwasz, aby dać pokarm sługom Syna swego, czasu stosownego. W tym Owocu odczuwam smak Twej niepokalaności. Wiem, że rodzi dziewice, bo wzięty z Dziewicy. O mój Ty, Pokoju...

8. VI. 1956.

Sanctissimi Cordis Jesu. Czytam w Nonie: *Serenum prcebe vultum Tuum servo tuo...* O pogodne oblicze Twoje woła moje dziecięce serce. Ale woła człowieka dojrzałego, który zna potrzeby Kościoła i nędzę swoją, powściąga serce. Kościołowi okaż pogodne oblicze. Ale od sługi Twego odwróć się, Ojcze, aby ciężar opuszczenia i samotności oczyścił moje serce, tak jeszcze ciągle szukające pociechy. Kiedyś wołałem do Ciebie o to łagodne oblicze Twoje. Dziś wiem, że mi się nie należy. Największą mądrością Serca Twego będzie, gdy dasz słudze Twemu zrozumienie, że tylko Ty jesteś Radością, Pokojem i Odpocznieniem. Ale sługa Twój jeszcze nie zasłużył sobie na radość, pokój i odpocznienie. Sługa Twój musi być udręczony aż do upadku, aż do poniżenia, aż do zupełnego zapomnienia przez wszystkich. Muszą mnie opuścić ludzkie serca, nawet ci, co nie chcą przestać mnie miłować. Wszyscy muszą stanąć z daleka ode mnie i kiwać głowami nad moim nierozumem i upadkiem. Dopiero wtedy uleczy się serce moje. Już dałeś mi cząstkę tego zrozumienia, gdy doznałem największych zawodów od ludzi, którzy wmawiali we mnie od dawna, że są moimi przyjaciółmi. Ale to jeszcze mało. Muszą odejść ode mnie ci, którzy dotąd wytrwali w miłości i przyjaźni. Wtedy dopiero upodobnię się do Twego Syna, którego nawet Ty, Ojcze Najczulszy, opuściłeś. Może taka męka zdoła zjednać oblicze Twoje Ojcowskie dla Kościoła i dla Narodu, który ochrzciłeś i wydałeś w ręce bezbożników i zdrajców. A więc nie oszczędzaj, Ojcze, choćbyś i sił odmówił. Niech się zgorszą ze mnie wszyscy przyjaciele moi.

15. VI. 1956.

In montibus Dominus videt - Gdy stoję na szczycie góry, odnoszę wrażenie, że jestem sam na globie, sam na jego najwyższym punkcie, najbliżej nieba. Sam najbliżej Boga! Sam na sam z Bogiem! Wydaje mi się, że wtedy widzi Bóg tylko mnie, a ja mam poczucie Jego oczu na sobie. Tylko na sobie... Wtedy czuję się być prawdziwie wielkim. Choćbym widział nicość swoją na tle ogromu przestrzeni, która rozciąga się w dole! Wielkość człowieka jest w tym, że pnie się w górę, stale, coraz wyżej, niczym nie zatrzymany. Chce dotrzeć na szczyty, aby poczuć się „ponad wszystko”. A gdy już to „wszystko” zmaleje, wtedy odczuje swoją wielkość. I właśnie teraz, u szczytu swej wielkości, odczuwa, że stanął „twarzą w twarz” z Bogiem. W Nim Ujrzał swoją małość. Moja małość jest prawdą w obliczu Tego, który widzi. Bóg widzi we mnie. Dlatego wdrapałem się na góry, aby Bóg mnie ujrzał w pełni.

Pnę się na góry, jak chłopię na kolana Ojca, aby Mu powiedzieć: ja i Ty. Bez przeszkód, bez pośredników.

Dio - Io!
Zuchwalcze!
Ojczel!
Synu!!...

*
**

Gdy wieczorem pachną storczyki na szczycie wyniosłego wzgórza, bijąc wioną w niebo, wiem, jakich woni potrzeba Ci, Ojcze Życia, z ziemi. Skoro aż tak musi pachnąć Ci ziemia, jak bardzo powinien pachnąć Ci człowiek. A jednak jesteś Panem upajającego Piękna i Czaru. Jest w Tobie, Ojcze, niezwykły wykwint i subtelność uczuć. Wiem, dlaczego wymagasz w świątyniach kadzideł. Przecież Tobie przede wszystkim pachną te kwiaty. Któż tu przyjdzie nocną porą, aby upajać się rozkoszą ziemi? My boimy się wilków i ciemności. Ale nie boją się niczego storczyki, które pełnią swoją służbę, upajając w ciemnościach niebo swoją wioną. To one modlą się Tobie, gdy ziemia śpi. To one otwierają swe kwieciste, choć tak skromne serca i śpiewają Ci upajającą chwałę wioną swej duszy. Bądź uwielbiony przez wszystką roślinność i zieleń, przez wszystko kwiecie wonne, co modli się Tobie całą swoją duszą, jak umie.

Czy ja już pachnę Tobie, mój wykwintny Ojcze?! Jaką woi wydaje dusza moja? Czy mogę Cię upajać? Jakżeż uboższy jestem od skromnej roślinki. Rachunek mego ubóstwa jest deficytowy.

Oddam swoją duszę Tobie, Ojcze, na progu nocy. *In noctibus extollite manus vestras in sanctitate et benedicite Domino!*

Kiedy Ci powiem: *Nardus mea dedit odorem suavitatis!?*

Benedicite, montes! Góro wonności, bądź mi źródłem zazdrości, gdy nocą upajasz Pana swą wioną!

16. VI. 1956, sobota.

Dziękczynną nowenną Mszy świętych i modlitw rozpoczynam dziś, aby podziękować Tobie, Królowo Polski i Matko Jasnogórska, za to, że jesteś wśród nas, że chciałaś być nam Królową przez te trzy wieki, że pobudzasz do wierności sobie, że byłaś nam pomocą do wierności Trójcy Świętej, że przez Ciebie mogliśmy być „przedmurzem chrześcijaństwa”, że wzięłaś serca nasze w swoją niewolę, żeś rozbuździła miłość ku sobie, od której oderwać się nie możemy ani nie chcemy. - Pragnę dziękować Tobie, Królowo Jasnogórska, za to, że Ci ufam, że od początku mej drogi kapłańskiej aż dotąd byłaś nade

mną, żeś użyczyła Znak swego dla mej tarczy biskupiej, żeś w tej tarczy prymasowskiej stała się programem mej pracy. Dziękuję Ci za wszystko, a szczególnie za te lata więzienia, w których zrozumiałem, że jestem Twoim niewolnikiem i zakładnikiem. Uwolnisz mnie wtedy, gdy Naród cały uświadomi sobie obowiązek wierności Prawdzie Syna Twego.

W tym Roku Jubileuszowym 300-lecia Ślubów Narodu czuję, że powinienem być wraz z całym Narodem, z moim Duchowieństwem i Ludem na Jasnej Górze, u stóp Twoich. To jest takie oczywiste, że pierwszy Prymas, który rządzi Kościołem w Twoim Znak, Jasnogórska Pani, powinien być przed Tobą, powinien sam powtarzać odnawiane Śluby. - A jeśli nie będę wbrew temu prawu memu, to już będzie jakaś wielka tajemnica, Matko, tajemnica Twoja i moja. Może jej nie pojmem, ale wystarczy, że Ty wiesz, czego potrzeba. Poddam się tej tajemnicy w pokorze, chociaż z prawa mego zrezygnować mi, jako Prymasowi Polski, nie wolno. Nie w swoim przecież tylko, ale w imieniu całego Narodu występuję. Spraw, Matko, by „tajemnica nasza” nie pomniejszała chwały Twojej w oczach słabych i nierozumiejących.

Et ego sicut herba aresco. Gloria Patri et Filio, et Spiritui Sancto.
Tak kończę psalm w sobotniej Tercji. Usycham jako trawa na Twoją chwałę, Trójco Święta.

Widziałem wczoraj na górze wyniosły smrek strzaskany przez piorun. Pozostał tylko biały, rozdarty pień; ramiona jego podarte na drzazgi, rozrzucone wokół. Stał w zadumie nad tym, co się stało. Biel pnia biła wokół swoją jasnością. Obnażone drzewo!

Czy tak obnażasz duszę, gdy chcesz ją olśnić światłem swoim, gdy chcesz ją ponad śnieg wybielić!?

Szaty próżnej chwały rozrzucone wokół, a wybielone serce pozostało. Drzewo już nie będzie żyć swoim życiem. Uschło od Twojego pioruna. A jednak zatrzymują się tu ludzie i podziwiają moc Twoją. *Vox tonitrus Magni.* To drzewo obnażone stało się apostołem mocy Twojej. Ono też głosi swoje *Gloria Patri.*

Nie jestem smrekiem, jestem zaledwie trawą, która też chce uschnąć na Twoją chwałę.

Sicut herba aresco - gloria Patri et Filio, et Spiritui Sancto...

A jednak wspaniały jesteś w swej olśniewającej bieli, strzaskany palcem Bożym, oświecony z nagła...

Może przypominasz Niepokalaną, gdy Piorun Boży dążył przez Nią, aby się wcielił w Jej Ziemi.

20. VI. 1956.

Nieraz myślę o tym, jak bardzo jestem ubogi; oglądam się po swoim otoczeniu i widzę, że nie mam żadnego doczesnego ubezpieczenia dla swego bytowania. Wydaje mi się, jakbym był upodobniony do Twego bytowania w Nazaret. Brak mi najprostszycy nawet pomocy do normalnej pracy. Twoje ubóstwo, Jezu Nazareński, było bogatsze, gdyż w Nazaret byłeś „Słowem”. Moja biblioteka została na Miodowej, choć tak trudno żyć bez niej. Ale to są rzeczy zewnętrzne - słowo na papierze. Ty jesteś Słowem żywym, moim Słowem Żywota. Gdy Ty mi zostałeś, po co mi biblioteka? Ty jesteś moją biblioteką.

Na tydzień przed moim aresztowaniem pytałeś mnie, tak wyraźnym głosem: „Czy umiałbyś być ubogim?” Odpowiedziałem wtedy: „Zdaje mi się, że tak, Chryste”. - Dotąd odpowiadam Ci na Twoje pytanie życiem każdego dnia. Zapewne już wiesz, czy umiałbym być ubogim.

A gdybyś w tej chwili zażądał ode mnie jeszcze większego ubóstwa, opuściłbym wszystko, co mam teraz, bez żalu, i poszedłbym za Tobą.

Gdy opuszczałem Lublin, zostawiłem w pałacu biskupim wszystko, nawet moje s-utanny fioletowe i dary osobiste. Nie chciałem „robić majątku” na pasterzowaniu. Drugi raz uczyniłem to samo we wrześniu pamiętnego roku. Wszystko, co posiadam w tej chwili, nie pochodzi z moich starań. Jest zwykłym owocem współczucia ludzkiego.

Wszystko dałeś, wszystko jest Twoje. Pragnę, Chryste, być ubogi, jak i Ty stałeś się ubogim, będąc bogatym.

22. VI. 1956.

Dziękuję Ci, Mistrzu, za to, żeś mój los tak bardzo upodobnił do Twojego, za to, żeś w Męce swojej zostawił mi dobry wzór męki mojej. Opuścili Cię Twoi Apostołowie, jak mnie opuścili biskupi; opuścili Cię Uczniowie, jak mnie moi kapłani. I jedni, i drudzy poddali się trwodze. Pozostała przy Tobie garstka niewiast; widzę je i przy sobie. Pozostali sami świeccy, słabi, grzesznicy: Łotr, Magdalena, Setnik, Nikodem, Józef z Arymatei i Szymon z Cyreny. I przy mnie została gromadka świeckich katolików, wcale nie najmocniejszych, którzy mają odwagę przyznawać się do mnie. To wszystko. Gdy porównam moje małe cierpienia z Twoimi, raduję się, że wszystko przeżyłeś, co każesz mi naśladować. Bądź uwielbiony w męce mojej.

23. VI. 1956.

Stabat Mater... Wykreślam słowo - *dolorosa*, chociaż ma ono swoje historyczne znaczenie. Na pewno Maryja była *Socia passionis*. Ale nikt z artystów nie przedstawił Maryi w postawie oparcia o krzyż. Ona stała o własnych siłach. Wszystko wokół się chwiało! Ale ktokolwiek spozryzał na Maryję, widział, że Ona się nie chwiała! Zawsze była *Virgo Auxiliatrix* - wspomagała postawą swoją wszystkich wokół. I wytrwała!

24. VI. 1956.

Najwrażliwszy na głos Maryi Jan Chrzciciel drgnął w łonie matki swej Elżbiety, gdy usłyszał pozdrowienie Matki Boga. Budująca to wrażliwość, wstrząsa całą istotą człowieka.

Spraw, Maryjo, bym zawsze był wrażliwy na głos Twój, jak Poprzednik Syna Twojego był wrażliwy na pierwsze słowo Twego pozdrowienia.

Szczęśliwy, że dosłyszał Ciebie wśród ciemności macierzyńskiego łona. Już był gotów biegnąć, by wypełnić swoje zadanie.

Obudzaj, Matko, we mnie tę gotowość przepowiadania Syna Twego. Jestem dotąd w więzieniu, jak i Jan. Ale niech moja gotowość zastąpi czyny, do których jestem gotów.

1. VII. 1956.

Sanguis Christi inebria me... Tyle już Krwi Twojej spłynęło na mnie. Gdy zważę, że jedna kropla wystarczyłaby, by obmyć grzechy świata, tym więcej podziwiam Twoją hojność. Jakie potoki Twej Krwi Najdroższej przepłynęły przez Kielich błogosławieństwa na ołtarzach całego świata! Jak potężną falę Krwi skierowałeś na mnie! Ile Krwi Twojej miałem już przed sobą w kielichach? Jak czuвам nad tym, bym każdego dnia otrzymał orzeźwienie z kielicha Krwi Twojej? Każda kropelka, którą dałeś mi w kielichu moim, jest łaską nad miarę. A cóż dopiero ta nadobfitość Twej Krwi, która się przelała przez moje ręce, do ust moich. Jestem skąpany we Krwi Twojej. Jestem omyty od zewnątrz i od wewnątrz. Żyję Krwią Twoją. Oczyszczam się i omywam Krwią Twoją. Mam ją za napój codzienny!

Tak wymownie dziś przemawiała Ewangelia z VI niedzieli po Zielonych Świątkach - „żał mi tego ludu”. - Twoje współczucie otworzyło ludowi żyły Twoje, by karmić i poić Krwią Najświętszą.

Twoje Serce wycisnęło ostatnią kroplę tej Krwi, by żal Twój nad ludem nie był tylko uczuciem, lecz zamienił się w czyn.

Czuвам nad sobą, by utrzymywać się w duchu wdzięczności za potoki krwi Twojej, która płynie na mnie z boku Twojego, z kielichów całego świata i z mojego kielicha kapłańskiego.

Odżywiany Krwią Twoją, czyż mogę Ci szczenić krwi mojej, która jest z Twojej?

2. VII. 1956.

W dniu Narodzenia Najświętszej Maryi Panny składał Królowej świata i Królowej Polski hołd dziękczynienia modlitw ostatnich dwóch tygodni. Dziękuję Tobie, Matko-Królowo, za to, że jesteś; za to, żeś Królową i Matką, za to, że masz swoją Stolicę na Jasnej Górze i że królujesz Narodowi mojemu od trzech wieków; za to, że jesteś mu Pośredniczką łask wszelkich, płynących z Trójcy Świętej na ochrzczony Naród; za to, że przyjąłeś pod swoją opiekę Kościół polski i otaczasz go Niepokalanym Sercem Twoim; za to, żeś wzięła pod opiekę obydwie moje archidiecezje; za to, żeś pozwoliła mi pracować pod Tarczą Twego Oblicza na moim znaku biskupim; za to, że władasz sercem moim niepodzielnie; za to, że wszyscy moi najbliżsi kochają Ciebie, Panienko Jasnogórska; za to, że wszystkich nas zespoliłaś w tej miłości.

Wszystkie Msze święte, modlitwy i prace, wszystkie cierpienia i radości składał w stóp Twoich, Matko i Królowo, jako hołd wdzięczności. Dodaję Ci te blisko trzy lata doli więziennej, przez które bądź w szczególny sposób uwielbiona.

Wyrzekam się dobrowolnie wszelkich starań o wyzwolenie, dobrowolnie przyjmując dalszą udługę, byłeś tylko Ty, Matko, miała okazać w pełni chwałę swoją.

In Te, Domina, speravi, non confundar.

20. VII. 1956.

Najpokorniejszym kapłanem w Polsce musi być Prymas Polski.

Łagodna siostra Stanisława uczyniła mi dziś wymówkę, że przekazałem podarowany mi na Boże Narodzenie przez rzymskie Nazaretanki dar na kaplicę domu Sióstr Nazaretanek w Komańczy. Może to nie było zbyt taktowne; może należało oddać go komu innemu, jednak ulżyło mi, gdy się wyzbył tej własności. Nie jestem jeszcze tak doskonały, bym nie czuł na sobie ciężaru posiadania. Łatwiej mi jest nie mieć, łatwiej mi jest wyzbywać się, niż sobie zatrzymać. Do wszystkiego potrzeba odpowiedniego stopnia cnoty.

25. VII. 1956.

Święty Patronie mój, Stefanie, Pierwszy Męczenniku! Tyle razy powtarza się w moim życiu Twoja tajemnica. Urodziłem się w dniu znalezienia Twych męczeńskich szczątków, otrzymałem Twoje imię i przyjąłem święcenia kapłańskie w tym samym dniu Twego znalezienia. Jestem więc związany z tajemnicą Twego życia. Dziś rozpoczynam nowenną dziękczynną, jako przygotowanie do dnia 55 rocznicy moich urodzin, do dnia Twoich i moich imienin, do 32 rocznicy moich święceń kapłańskich.

Spędzam ten czas w dziękczynieniu: Ojcu Niebieskiemu za dar życia, otrzymany w Twoim dniu; za dar Twojego imienia i za dar urodzin ponownych - w Wieczystym Kapłaństwie.

Dziękuję Ojcu za życie - w Twoim znaku niebios otwartych i modlitwy za nieprzyjaciół. Dziękuję Bogu za takie imię, które zobowiązuje mnie do pełnego naśladowania Ciebie. Dziękuję Bogu za to, że moje życie kapłańskie zaczyna się w znaku Twojej ofiary i świadectwa Prawdzie - krwią męczeńską.

Przepraszam Cię, że tak niegodnie posługiwałem się Twoim imieniem; że może niejedną cień z mego życia padł na Twoje imię; że może nieraz imię Twoje wymawiano przeze mnie z gniewem, złością, zgorznięciem.

Pragnę czynić zadość Ojcu za to, że dar życia był źle przeze mnie używany. I za to, że imię Twoje niegodnie nosiłem, że może użyłem go dla mej próżności, małości i nędzy.

Pragnę odnowić akty woli i serca - gotowości oddania za Twoim przykładem życia mego na świadectwo Prawdzie. Pragnę modlić się najgoręcej za wszystkich, którzy chcą uważać się za moich nieprzyjaciół.

W tym duchu spędzę te dni nowenny przed uroczystością Znalezienia Twych szczątków. Obym znalazł Ciebie całym moim życiem.

1. VIII. 1956.

W rocznicę Powstania Warszawskiego. - Miłość nie wie, co to niewola. Zawsze znajdzie sobie ujście, by oddać swoją krew serdeczną, miłującą. I dlatego było Powstanie, w którym krew wolnych duchem płynęła miłością w ziemię polską i użyźniała ją na nowe siewy.

Modlimy się za Powstańców. Jest to bodaj pierwsza rocznica, gdy można mówić o krwi powstańczej i o jej zasłudze dla wolności. Ale Kościół od początku modlił się za Powstańców, bez różnicy światopoglądów i orientacji politycznych. Przecież wszyscy wylewali krew

czerwoną; i ci z Armii Krajowej, i ci z Batalionów Chłopskich, i ci z Armii Ludowej.

Tę czerwoną krew braci naszych podnosimy dziś Ojcu wszelkiej krwi, aby chciał ją przyjąć, jak przyjął Krew Syna swego i dla tej Krwi miłującej okazał Ojcowskie Serce swoje nad Narodem udrczonym.

Suscipe, Sancte Pater...

6. VIII. 1956.

„Wyruszam” dziś z Pieszą Pielgrzymką Warszawską na Jasną Górę. Modlić się będę razem z pielgrzymami. W ich intencji odprawiać będę Msze święte do uroczystości Wniebowzięcia. Pragnę, by trud pielgrzymi przyniósł wiele chwały Ojcu, by stał się dziękczynieniem za królowanie Maryi w Polsce, by był również przygotowaniem do odnowienia Ślubów Narodu.

Towarzyszę duchem dzieciom moim, które mają łaskę wezwania na Jasną Górę.

26. VIII. 1956.

Dzień Ślubów Narodu na Jasnej Górze. Teraz wiem prawdziwie, że jestem Twoim, Królowo świata i Królowo Polski, niewolnikiem. Bo dziś, w dniu wielkiego święta Narodu katolickiego, każdy, kto tylko zapragnie, może stanąć pod Jasną Górą. A ja mam pełne do tego prawo, mam święty obowiązek i kóż tego goręcej pragnie niż ja? A jednak, mając tak Potężną i tak Dobrą Panią, mam zostać w Komańczy.

Przecież to z Twojej woli! Nikt takiej Potędze oprzeć się nie zdoła. Tylko my dwoje, Matko, możemy chcieć jednego. W tej chwili cała Polska modli się o moją obecność na Jasnej Górze. Tylko my dwoje wiemy, że jeszcze nie przyszedł czas, że ma się stać wola Twoja. W tym jest Twoja wielka moc, której ja uległem się poddaję, jako całkowity niewolnik Najpotężniejszej Królowej. Bądź uwielbiona w tej mocy, którą mi dajesz, bym w pełni uznał, że największa moc i miłość jest w tej uległości.

To jest Twoje królowanie nade mną. Uczyniłem co mogłem dla Twojej chwały: przygotowałem w dniu 16 maja tekst Ślubowania, napisałem adoracje stanowe: dla kapłanów, dla młodzieży, dla mężów i matek. Te słowa będą mówiły za mnie do ludzi. A ja będę mówić tylko do Ciebie - za nich. Modliłem się o największą chwałę Twoją na dziś. Chciałem ją zdobyć za cenę mej nieobecności. Ufam, że Królowa

Niebios i Polski dozna dziś wielkiej chwały na Jasnej Górze. Jestem już w pełni spokojny. Dokonało się dziś wielkie dzieło. Spadł kamień z serca. Oby stał się chlebem dla Narodu.

29. VIII. 1956.

Gdy głowę skłaniać będziesz dziś w *Gloria* na słowa: *Gratias agimus TM*, czyn to tak, by Ojcowi twój Bóg widział szyję twoją gotową przyjąć ciosy miecza, którymi ongiś zaszczycił Jana Chrzciciela.

Tak uraduj dziś, Maryjo, wszystkich kapłanów archidiecezji warszawskiej, jak ongiś uradowałaś głosem Twoim Jana, gdy nawiedziłaś matkę jego Elżbietę. Niech się rozradują serca kapłańskie *in vocem salutationis Tuce*.

1.IX. 1956.

Jedna kropla Krwi Najdroższej wystarczyła, by zgładzić grzechy świata. Morze krwi Polaków, wylanej w ciągu wojny, krwi, która nie przestaje wypływać nadal z otwartych ran Narodu, niech nam wyjedna u Ciebie, Ojczy Narodów, łaskę pokoju i odpocznienia, którego od tak dawna oczekujemy. Królowo Polski i Królowo Pokoju, zanieś przed Tron Boży wszystkie modlitwy, które Naród przyniósł do Tronu Twego w dniu swego Ślubowania.

3. IX. 1956.

Świętego Piusa X... Święty Pius X konsekrował Adama Sapiechę, biskupa krakowskiego; a Adam konsekrował Teodora Kubinę, biskupa częstochowskiego; biskup Teodor konsekrował Stanisława Czajkę, swego sufragana; a Stanisław Czajka, biskup sufragan częstochowski współkonsekrował Stefana biskupa lubelskiego.

Jestem więc w sukcesji apostoelskiej praprawnikiem świętego Piusa X.

25. IX. 1956.

Omnia bene fecisti... Po trzech latach mego więzienia ten wniosek uważam za ostateczny. Nigdy nie wyrzekłbym się tych trzech lat i

takich trzech lat z *curriculum* mego życia... Jednak lepiej, że upłynęły one w więzieniu, niżby miały upłynąć na Miodowej. Lepiej dla chwały Bożej, dla pozycji Kościoła Powszechnego w świecie - jako stróża prawdy i wolności sumień; lepiej dla Kościoła w Polsce i lepiej dla pozycji mojego Narodu; lepiej dla moich diecezji i dla wzmocnienia postawy duchowieństwa. A już na pewno lepiej dla dobra mej duszy. Ten wniosek zamykam dziś, w godzinie mego aresztowania, swoim *Te Deum* i *Magnificat*.

2. X. 1956.

Kościół rodził się we Krwi odrodzeńczej Chrystusa na krzyżu, podobnie jak we krwi przychodzi na świat każde dziecko Boże. Wtedy jest zdrowe, gdy ta krew płynie; niebezpieczny jest dla ciała ludzkiego skrzep krwi. Podobnie niebezpieczny jest dla Mistycznego Ciała Chrystusowego zastój Krwi. Musi ona zawsze gdzieś upływać; nie tylko w kielichach mszalnych, ale i w żywych kielichach dusz ludzkich. Musi gdzieś dopełniać się wykrwawienie Kościoła, by mógł być w pełni zdrowia i sił ożywczych. I dlatego zawsze gdzieś Kościół krwawi w niekończących się prześladowaniach, które są stałym zjawiskiem dziejów Kościoła świętego.

4. X. 1956.

Brak męstwa jest dla biskupa początkiem klęski. Czy jeszcze może być apostołem? Przecież istotne dla apostoła jest świadectwo Prawdzie! A to zawsze wymaga męstwa.

Przyszłość należy do odważnych, którzy ufają i działają z mocą - mówił Pius XII - nie do bojaźliwych i niezdecydowanych. Przyszłość należy do tych, którzy miłują, a nie do tych, którzy nienawidzą. Posłannictwo Kościoła na tym świecie jeszcze jest dalekie od wypełnienia; wymaga więc nowych doświadczeń i nowych poczynań.

10. X. 1956.

W dniu dziękczynienia za zwycięstwo chocimskie - tylko jeden Kościół w Polsce wznosi swoje modlitwy do Boga, który obronił nas prawicą swoją. Któż z największych patriotów myśli dziś o tym zdarzeniu. A jednak może ono rozstrzygnęło o dalszym rozwoju kultury

w środkowej Europie? Zapewne do Prymasa Polski należy pamiętać o obowiązku dziękczynienia za Naród, który do archiwum historycznego odesłał zdarzenie, choć ono żyje nadal w dziejach Narodu. Wielbię *Victricem manum Tuam*, Ojcze!

Dziękuję Ci za tę siłę wiary, która oparła się sile. Dziękuję za ten szczytny idealizm, który poniósł rody całe na pola bitew i ofiarował wszystkich niemal synów niejednej rodziny. Dziękuję za tę potęgę, którą wlałeś w skrzydła husarii. Słyszę jej śpiew i czuję pęd zwycięski. Niech to wszystko śpiewa Tobie, Ojcze Narodów. - A gdy dziękuję za przeszłość, proszę - wspomnij na bój, który dziś toczymy, by Polska nie była zalana przez obcą przewrotność, przez materialistyczną brutalność, przez półinteligentką pychę i wyniosłość. To straszna siła, która zwycięża, ogłupiając trwogą nawet mężnych i dobrych. Upomnij się o Naród Twój, którego jesteś Ojcem i Panem. Daj odpocząć odrobinę ludziom znużonym przez nieustanny ucisk i walkę.

Choćbym miał umrzeć nie wysłuchany przez Ciebie, Matko, to jeszcze będę uważał za największą łaskę życia to, że będę mógł do Ciebie mówić.

26. X. 1956.

O godzinie 9.00 rano zgłosili się do klasztoru w Komańczy wice-minister Sprawiedliwości Zenon Kliszko i poseł Władysław Bieńkowski, z polecenia Władysława Gomułki, i wyrazili przełożonej Nazaretanki życzenie rozmowy z Prymasem. Po przeszło 15 minutach przyjąłem obydwu panów w rozmównicy na dole. Oświadczyli mi, że przybywają z ramienia towarzysza Wiesława, dla przedłożenia pewnych spraw do rozważenia. Nowy Sekretarz PZPR stoi na stanowisku, że konieczny jest jak najszybszy powrót Prymasa do Warszawy i objęcie urzędowania. Przedstawili mi sytuację społeczno-gospodarczą kraju, jak również wewnętrzną i zewnętrzną-polityczną. Wszystkie te spostrzeżenia wymagają, by w kraju doszło jak najszybciej do pełnego uspokojenia. Władysław Gomułka uważa, że na odcinku stosunku Kościół - Państwo najwięcej niepokoju w społeczeństwie budzi obecna sytuacja Prymasa. I dlatego zostali wydelegowani przez Sekretarza Partii, by usłyszeć zdanie Księdza Prymasa. Moja odpowiedź: „Jestem tego zdania od trzech lat, że miejsce Prymasa Polski jest w Warszawie”.

Rozpatrzyliśmy sytuację od strony najpilniejszych potrzeb Kościoła. Po czym panowie udali się do wsi Komańcza, by specjalnym telefonem poinformować Gomułkę o wyniku rozmów.

Wrócili na skromny posiłek, który spożyliśmy w rozmównicy. Siostry chciały dać lepszy obiad. Byłem zdania, że ma być zwykły, jak na co dzień.

Po obiedzie obydwaj wystannicy pożegnali nas. Pozostawili wrażenie zróżnicowane. Pan Bieńkowski otwarty, pogodny, z podejściem humanistycznym; widzi raczej drogę łatwych rozwiązań. Pan Kliszko, z mentalnością prawnika, wszędzie widzi trudności, zastrzeżenia. Jest człowiekiem schematycznym. - Widzę trudności na przyszłość po jego stronie.

Zasadnicze wnioski z dwugodzinnej rozmowy można sprowadzić do następujących punktów:

1. Wobec zachodzących zmian w życiu wewnętrznym Polski, zmierzających do uspokojenia i zerwania z błędami przeszłości, Ksiądz Prymas ustosunkowuje się pozytywnie.
2. Dla ściślejszego określenia stanowiska, miarodajne są wypowiedzi towarzysza Gomułki na VIII Plenum i na Wiecu Warszawskim, oczywiście w ramach wyznaczonych przez różnice światopoglądowe.
3. Dla stopniowego uspokojenia opinii katolickiej Narodu, żywo dotkniętej dotychczasową działalnością Rządu, niezbędne jest zniesienie dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych, i to jak najprędzej. Obydwaj rozmówcy oświadczyli, że towarzysz Gomułka ocenia ten dekret negatywnie. Obydwaj rozmówcy, jakkolwiek bliżej go nie znali, to jednak oceniają go negatywnie. Będzie rzeczą wyznaczoną Komisji Mieszanej zająć się nowym sformułowaniem tego zagadnienia.
4. Jako punkt zasadniczy uważa się, że obsadzanie stanowisk biskupich powinno być uzgadnianie z Rządem, podobnie jak to było w Konkordacie. Gdy idzie o obsadzanie innych stanowisk kościelnych, nie uważa się za rzecz konieczną uzgadniania, jakkolwiek jakaś forma wymiany stanowisk może być potrzebna. Oczywiście, istnieje całe mnóstwo stanowisk kościelnych, które nie mogą podlegać uzgadnianiu.
5. Pilną jest rzeczą wznowienie prac Komisji Mieszanej, w której spotkają się specjaliści do omawiania spraw. Ze strony Rządu skład będzie całkowicie nowy. Ze strony Episkopatu pozostaną księża biskupi Klepacz i Choromański. Biskup Zakrzewski, z uwagi na stan zdrowia nie będzie mógł brać udziału w pracach Komisji Mieszanej. Do Komisji Mieszanej będą przekazane inne sprawy, których nagromadziło się wiele.
6. Dla uspokojenia opinii społecznej konieczną jest rzeczą, by wrócili na swoje stanowiska księża biskupi: Adamski ze swoimi sufraganami i biskup Kaczmarek z Kielc. Rozmówcy wysunęli trudności, gdy idzie o biskupa Adamskiego, którego osoba od dawna budzi zastrzeżenia.
7. Powrót biskupów sufraganów gnieźnieńskich na swoje stanowiska uważa się za rzecz oczywistą i łączącą się ze sprawą Księdza Prymasa. Tym więcej, że diecezja prymasowska jest od trzech lat

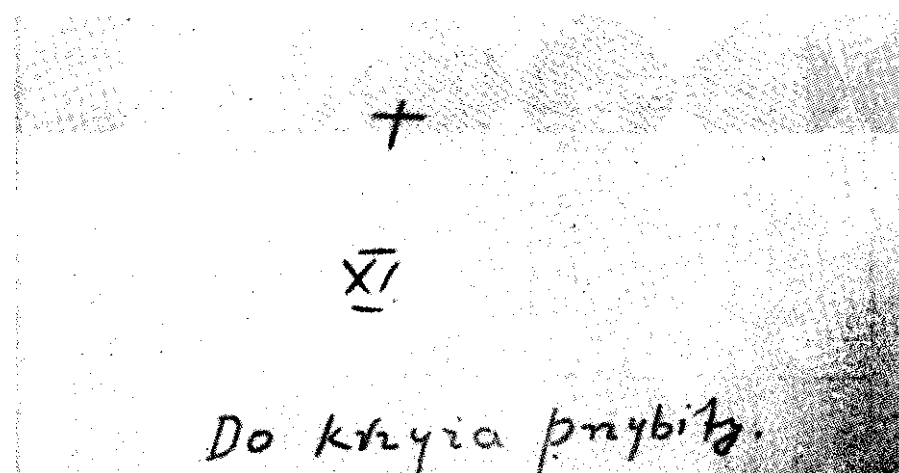
bez biskupów. Pełnienie obowiązków Prymasa bez ich pomocy byłoby rzeczą niemożliwą.

8. Dla uspokojenia opinii publicznej na Śląsku, celem podniesienia zaufania do nowej linii rządu, należy dokonać zmian na stanowisku rządców we Wrocławiu i w Katowicach. Obydwaj powinni odejść.
9. Dla właściwego układu ideologicznego niezbędną jest rzeczą przywrócenie prasy katolickiej w pełnym tego słowa znaczeniu.
10. Zdaniem rozmówców, na Konkordat ze Stolicą świętą nie jest jeszcze czas.

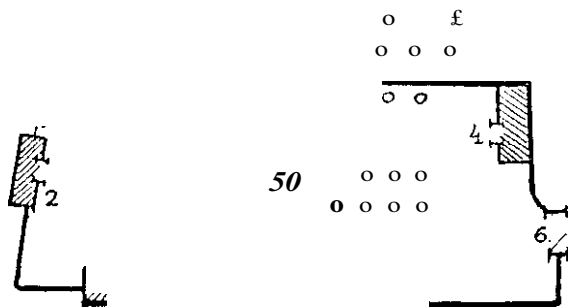
Sformułowano komunikat do PAP, treści następującej: W wyniku rozmowy, przeprowadzonej przez przedstawicieli Biura Politycznego KC PZPR z Prymasem Polski Stefanem Kardynałem Wyszyńskim, w tych dniach Ksiądz Prymas wrócił do Stolicy i objął urządowanie.

Rywałd k/Lidzbarka 25.IX. 1953— 11X. 1953

Klasztor 00. Kapucynów; własnoręczny napis uwięzionego Prymasa Wyszyńskiego na ścianie celi; plan miejsca



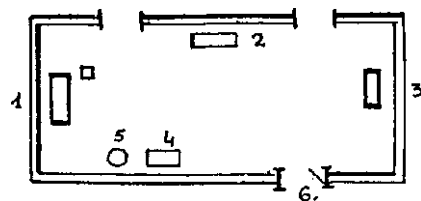
Widok -z okna



1. Klasztor
2. Stajnia
3. Stodoła
4. Dom służbowy
5. Studnia
6. Brama wjazdowa

Stoczek Warmiński 12.X.1953 — 6.X.1954

Fragment klasztoru OO. Marianów; aparat podsłuchowy;
zewnętrzne ogrodzenie — sieć drutów i kabli; wysokie latarnie,
plan miejsca



1. Łóżko
2. Biurko
3. Szafa
4. Piec
- 5- miednica
6. drzwi
7. okna

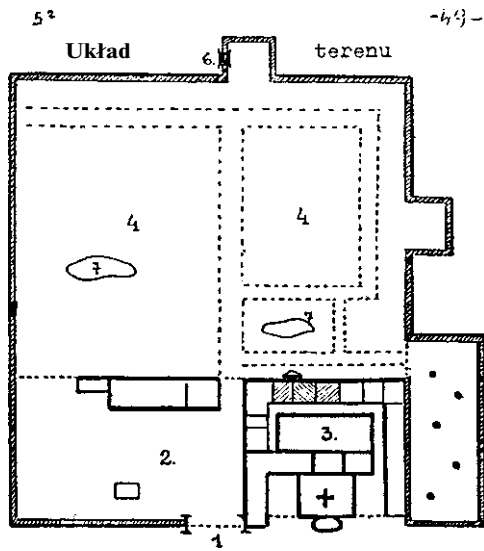
Plan_I_pifi"?a.i

- i. Cella
2. Korytarze
3. Łazienka
4. Kościół /?/

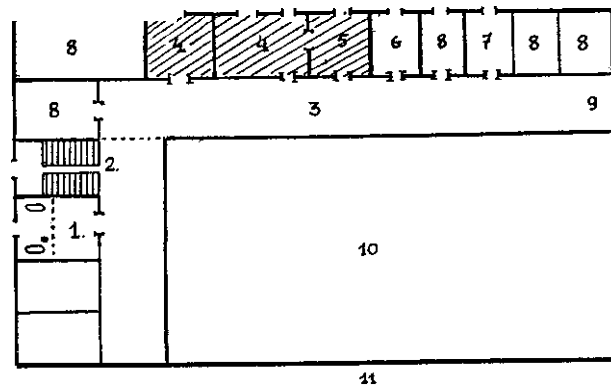
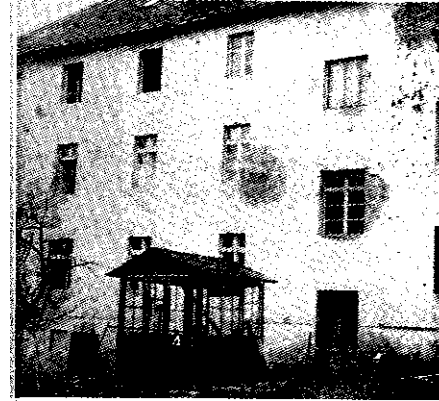
Prudnik Śląski
6.X.1954 — 27.X.1955

STOCZEK

Klasztor Franciszkanów — stan z roku 1955 i 1989; cela Księstwa Prymasa; grota w parku — stan obecny; plan miejsca

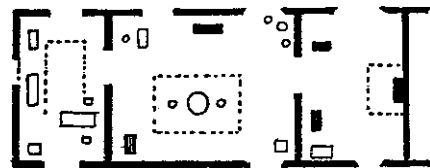


1. Wjazd
2. Podwórze gospod.
3. Budynek główny.
4. Ogród.
5. Dm wart żołnierskich
6. Furta dla żołnierzy
7. Sadržawki.

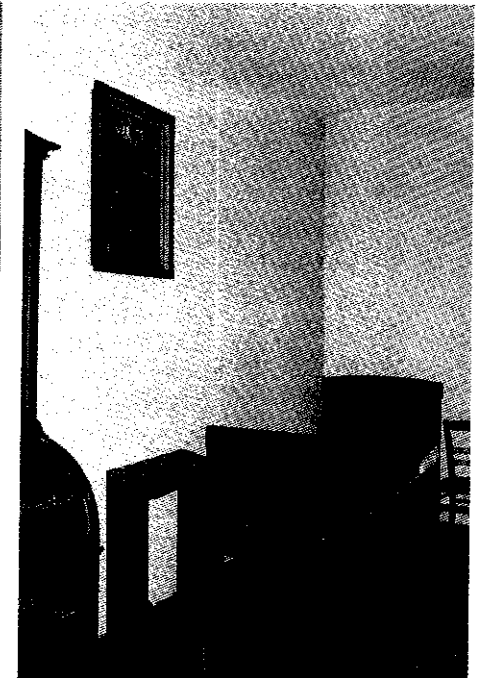
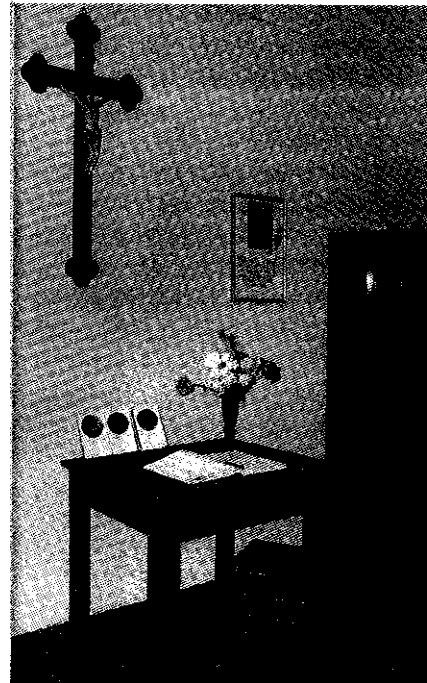


1. Łazienka
2. Schody
3. Korytarz
4. Mieszkanie.
5. Kaplica
6. Ksiądz
7. Siostra
8. Mieszkania wolne
9. "Kasa"
10. ffirydarz
11. Kościół

Mieszkanie

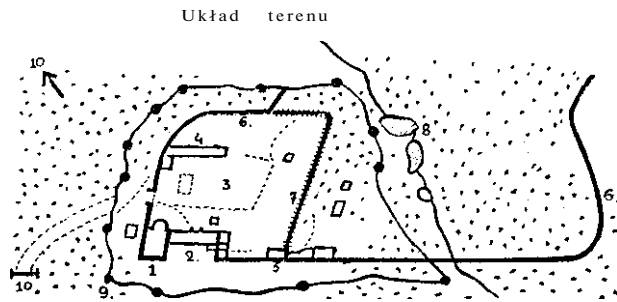


1. Sypialnia
2. Wspólny pokój
3. Kaplica.

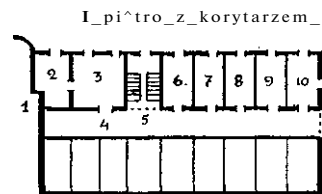


Komańcza
27.X. 1955 — 28.X. 1956

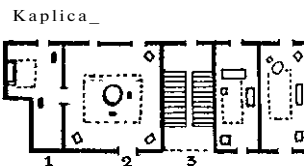
Klasztor SS. Nazaretek; na spacerze w lesie; rozmowa z Siostrą nazaretanką; spotkanie z Ojcem; odwiedziny sióstr — Stanisławy Jaroszowej i Janiny Jurkiewiczowej, przyjazd biskupów Michała Klepacza i Zygmunta Choromańskiego; Ksiądz Prymas z przedstawicielkami swojego Instytutu



1. Kościół
2. Dom.
3. Ogród
4. Szopy
5. Kurnik
6. Parkan
7. Płot
8. Stawy
9. Lompy
10. Do miasta
11. Do fi-anicj



1. Kościół
2. Kaplica
3. Stołowy p
4. Korytarz
5. Schody
6. Sypialnia
7. Gabinet
8. Ksiądz
9. Siostra
10. Łazienka



1. Kaplica
2. Stołowy
3. Schody
4. Sypialnia
5. Gabinet

SPIS TREŚCI

I. ARESZTOWANIE11
II. RYWAŁD K. LIDZBARKA17
III. STOCZEK WARMIŃSKI35
IV. PRUDNIK ŚLĄSKI95
V. KOMAŃCZA191